

Anna Rice

Godzina Czarownic

The witching hour

Tom 4

Przełożyła: Agnieszka Izdebska

Wydanie polskie: 1995

TMN

CZEŚĆ PIERWSZA

W czasie kolacji w „Dębowym Ustroniu” z Aaronem i Rowan Michael z grubsza przemyślał, co powinno się kolejno zrobić przy remoncie domu. Mimo to w czwartkowy ranek wszystkich ogarnęło istne szaleństwo.

Michael nie miał najmniejszej ochoty dłużej zaprzętać sobie głowy myślami i skojarzeniami dotyczącymi grobowca i wszystkim, co kiedyś w związku z kryptą zapisał w notesie – drzwi, numer trzynasty.

Cała wyprawa na cmentarz okazała się ponurym wydarzeniem. Ranek był piękny, choć pochmurny, a Michaelowi sprawiało przyjemność spacerowanie z Aaronem, tym bardziej że Anglik pokazał mu, jak blokować natłok wizji rodzących się na skutek dotykania przedmiotów dłońmi. Próbował chodzić bez rękawiczek. Kładąc palce to tu, to tam, na ułamanych gałązkach dzikiej lantany, słupkach bramy, starał się odpychać natrętne obrazy. Ku jego zdumieniu prawie udawało mu się powstrzymać napływ przerażających, obsesyjnych wizji.

Ale ten cmentarz! Nienawidził go, nienawidził jego romantycznego uroku, piękna rozkładu, nienawidził stosu więdnących kwiatów, który wciąż jeszcze, od pogrzebu Deirdre, otaczał grobowiec. I na dodatek ten ziejący pustką otwór, gdzie niebawem miała spocząć na wieczność Carlotta Mayfair.

Potem, akurat gdy uświadomił sobie nagle z oszalamiającym i przykrym uczuciem, że w grobowcu było dwanaście krypt, zaś portali nad nimi trzynaście, nadszedł z grupką pobludłych Mayfairów jego stary przyjaciel, Jerry Lonigan. Za niewielkim konduktem wieziono na wózku cmentarnym trumnę, w której

mogło spoczywać tylko ciało Carlotty, i która po bardzo krótkiej modlitwie odmówionej przez księdza została wsunięta do wolnej niszy.

Dwanaście krypt, dziurka od klucza, a później ta trumna, wślizgująca się z głuchym dźwiękiem! Oczy Michaela ponownie spoczęły na wrotach grobowca wyglądających zupełnie tak, jak drzwi domu. Co to mogło oznaczać? Od rozmyślań oderwały go podziękowania krewnych Carlotty, którzy myśleli, że zjawił się tu z Aaronem specjalnie, by uczestniczyć w ceremonii. Potem wszyscy zaczęli się rozchodzić.

– Wpadnij do mnie kiedyś na piwo – zapraszał Jerry.

– Pozdrowienia dla Rity – odpowiedział Michael.

Kiedy uczestnicy pogrzebu odeszli, cmentarz spowiła oszłamiająca, wibrująca cisza. Nic, co przydarzyło mu się od początku tej wyprawy, nawet wizje wynurzające się z chaosu nie wzbudziły w nim takiego uczucia przerażenia jak widok grobowca.

– Portali jest trzynaście – powiedział do Aarona.

– Ale ciało pochowano tu więcej – wyjaśnił Anglik. – Przecież wiesz, że tak się zawsze robi.

– To znak – wymamrotał Michael na wpół świadomie, czując jak krew odpływa mu z twarzy. – Spójrz, dwanaście krypt i wrota. To znak, mówię ci. Widziałem już tę liczbę i drzwi z nią związane. Nie wiem tylko, co to znaczy.

Później po południu, czekając na Rowan, gdy w pokoju obok Aaron na komputerze wystukiwał prawdopodobnie kolejny fragment dziejów Mayfairów, Michael naszkicował w notatniku te wrota. Na samo wspomnienie o nich poczuł odrazę. Nienawidził tej pustej przestrzeni, otwierającej się w płaskorzeźbach obramowań, czyniącej z nich nie drzwi, ale właśnie wrota do jakiejś czeluści.

Przypominam sobie skądś tę bramę – napisał w notatniku. – Widziałem ją gdzieś w jakiejś innej postaci, ale ciągle nie wiem gdzie.

Myśli o niej przerażały Michaela. Nawet zjawia tajemniczego mężczyzny nie napawała go takim lękiem.

Ale potem, siedząc z Rowan przy kolacji, kiedy patio „Dębowego Ustronia” tonęło w popielatym zmroku, a płomyki świec odbijały się migotliwie w szkle kieliszków, doszli do wniosku, że szkoda czasu na łamanie sobie głowy rozwiązywaniem zagadek. Tyle przecież było do zrobienia. Noc spędzili we frontowej części domu, w sypialni mile różniącej się od hotelowych pokoi, w których spali ostatnio.

Następnego dnia, kiedy Michael, obudzony świecącym mu prosto w twarz słońcem, wstał o szóstej rano, Rowan siedziała na balkonie nad drugim już kubkiem kawy i czekała na niego ze śniadaniem.

Zaraz po przyjeździe do Nowego Orleanu, około dziewiątej, Michael zabrał się do pracy.

Od dawna nie czuł większej radości.

Wynajętym samochodem jeździł po mieście, zbierając adresy i nazwy firm budowlanych, zatrudnianych przy odnawianiu najbardziej stylowych i eleganckich domów Dzielnicy Francuskiej. Kolejno odwiedzał szefów przedsiębiorstw, rozmawiał z pracownikami. Czasem, gdy trafiał na bardziej gadatliwych rozmówców, wchodził z nimi do remontowanych budynków, przyglądał się prowadzonym pracom, dyskutował o szczegółach robót, wypytywał o nazwiska stolarzy i malarzy, którzy poszukiwali zajęcia.

Wydzwaniał też do miejscowych biur architektonicznych, znanych z projektowania dużych rezydencji, prosząc o polecenie mu dobrych fachowców. Zdziwiła go szczerza serdeczność ludzi, z którymi rozmawiał. Sama wzmianka o domu Mayfairów wzbudzała ich zainteresowanie, a jedyną uciążliwość stanowiła nadmierna skłonność do udzielania dobrych rad.

W mieście było bardzo dużo bezrobotnych rzemieślników. Rozkwit przemysłu naftowego, przypadający na lata siedemdziesiąte i częściowo osiemdziesiąte, spowodował, iż stało się modne restaurowanie starych, zabytkowych budowli. Ale teraz, wobec kryzysu naftowego, interesy w tej branży szły kiepsko. Sporo domów zajęto za długi, trudno było o kredyty.

Nieruchomości odsprzedawano za połowę ich rzeczywistej wartości.

Nie minęła jeszcze pierwsza, a Michael miał wynajęte trzy ekipy znakomitych malarzy i grupę najlepszych tynkarzy w mieście, Murzynów, których przodkowie zostali uwolnieni na długo przed wojną secesyjną. Od siedmiu czy ośmiu pokoleń uprawiali ten sam fach, pokrywając tynkiem ściany i sufity domów w Nowym Orleanie.

Michael umówił się też z dwiema brygadami hydraulików, załatwił także świetnych dekarzy. Wreszcie koło drugiej z najlepszym w mieście projektantem ogrodów obszedł w pół godziny posiadłość, wskazując zaniedbane otoczenie domu, rosnące wokół gigantyczne kamelie, azalie, wybujale krzewy róż.

W tym czasie dwie sprzątaczkę, wynajęte z rekomendacji Beatrice Mayfair, rozpoczęły generalne porządki. Odkurzały meble, czyściły srebra, myły porcelanę, usuwając z niej wieloletnią warstwę kurzu.

Na piątek rano zamówiona została specjalna ekipa, która miała osuszyć basen i zobaczyć, co trzeba zrobić, by ponownie uruchomić stare urządzenia do jego napełniania. Na ten sam dzień Michael wezwał również fachowca od urządzeń kuchennych i grupę inżynierów mających obejrzeć szczegółowo fundamenty i werandę. Zatrudniono też Darta Henleya, znakomitego miejscowego cieślę, cieszącego się sławą człowieka, który zna się na wszystkim. Pragnął on najwyraźniej zostać prawą ręką Michaela w tym gigantycznym przedsięwzięciu remontowym.

O piątej, kiedy było jeszcze wystarczająco jasno, Michael wszedł pod ganek w masce przeciwpyłowej i przez czterdzieści pięć minut czołgając się oglądał dokładnie wewnętrzną stronę ścian domu. Stwierdził, że są suche i czyste, i że jest tam dostatecznie dużo miejsca, by umieścić urządzenia, które zasilą system klimatyzacji i centralnego ogrzewania.

W tym samym czasie Ryan Mayfair krążył po domu, dokonując koniecznej przed formalnym przejściem spadku, dokładnej inwentaryzacji całego majątku Deirdre i Carlotty Mayfair. Towarzyszyła mu grupa młodych prawników:

Pierce, Franklin, Isaac i Wheatfield Mayfairowie, oraz ekipa ekspertów od handlu antykami, klasyfikujących, szacujących wartość wyposażenia i nalepiających kartki na każdy świecznik, obraz, lustro czy fotel.

Bezcenne francuskie antyki zostały zniesione ze strychu. Tylko kilka krzeseł wymagało zmiany obić, stoły były w idealnym stanie. Światło dzienne ujrzały również należące do Stelli cacka w stylu art deco, delikatne i świetnie zachowane.

Odkryto tuziny olejnych płócien, starych gobelinów zwiniętych w nasączone kamforą bele, i świeczników z Riverbend. Wszystko to zostało opisane i zinwentaryzowane.

Ryan skończył obchód domu już po zmierzchu.

– Moi drodzy – powiedział – miło mi zakomunikować: nie ma już żadnych ukrytych ciał.

Jeszcze tego wieczoru Ryan zadzwonił do nich z wiadomością, że zrobiony przez niego spis pokrywa się z listą sporządzoną po śmierci Anthy, Żaden ze sprzętów nie zmienił nawet swego miejsca. „Wszystko, co mamy do zrobienia, to po prostu odhaczyć poszczególne pozycje na starej liście”, powiedział. Nawet ilość złota i klejnotów zgadzała się. Oficjalny rejestr przedmiotów mógł więc być gotowy natychmiast.

Po powrocie do hotelu Michael i Rowan uczcili pomyślne rozpoczęcie robót wykwinną kolacją w Sali Karaibskiej. Potem przeglądali książki o architekturze, naznoszone przez Michaela z okolicznych księgarń, zatrzymując się dłużej przy zdjęciach domów otaczających rezydencję Rowan, i ciekawszych budynków w całej Dzielnicy Ogrodów.

Michael kupił też „domowy” notes w sklepie papierniczym na ulicy Luizjańskiej i teraz wypełniali go wspólnie listą spraw do załatwienia. Należało między innymi wezwać glazurnika, żeby zbadał dokładnie stan kafelków w łazienkach. Obojgu tak podobało się piękne stare wyposażenie tych pomieszczeń, że nie chcieli, jeśli nie było to konieczne, niczego zmieniać.

Rowan przeglądała również dokumenty, otrzymane do podpisu. Po południu otworzyła w Banku Whitneya konto, którym mógł dysponować również Michael. Zdeponowała tam trzysta tysięcy dolarów na koszta związane z renowacją domu.

Wręczając Michaelowi książeczkę czekową, powiedziała:

– Żadna suma wydana na remont nie będzie za wysoka. Ten dom zasługuje na to, by nie ograniczać wydatków.

Michael uśmiechnął się z zadowoleniem. Zawsze marzył o budżecie bez ograniczeń, przywracaniu starej rezydencji dawnej świetności, niemal artystycznej kreacji, o możliwości podejmowania decyzji bez pragmatycznych obciążeń i finansowych konieczności.

O ósmej Rowan zeszła do baru na umówione spotkanie z Beatrice i Sandrą Mayfair. Wróciła po godzinie. Następnego dnia zamierzała porozmawiać z inną parą świeżo poznanych kuzynów. Było to zajęcie miłe i nie męczące – opowiadali raczej oni, Rowan tylko z przyjemnością słuchała. Zawsze lubiła, gdy ludzie mówili na tyle dużo, że sama nie musiała dźwigać ciężaru konwersacji.

– Wydaje mi się – powiedziała potem do Michaela w pokoju hotelowym – że moi kuzyni wiedzą o różnych rzeczach, ale nie chcą o nich mówić. A przede wszystkim znają starszych, którzy widzieli i słyszeli więcej. To z nimi muszę porozmawiać. Muszę zdobyć ich zaufanie.

* * *

W piątek od rana wokół domu uwijał się pracowicie rój robotników; tynkarze, hydraulicy, malarze i dekarze wkroczyli ze swymi narzędziami, drabinami i wiadrami, a w ogrodzie z głośnym świstem chodziła na pełnych obrotach maszyna osuszająca basen. Wyrwawszy się z całego tego rozgardiaszu, Rowan pojechała do śródmieścia podpisać różne dokumenty. Michael zaś udał

się z kafelkarzem do łazienki we frontowej części domu. Zdecydowali, że doprowadzenie do porządku wnętrza budynku zaczną właśnie od tej strony, żeby Rowan mogła się wprowadzić jak najszybciej. Michael i sprowadzony fachowiec oglądali całą instalację. Niestety, należało skuć trochę glazury, aby zainstalować kabinę prysznicową, ponieważ Rowan chciała mieć nowy prysznic bez demontowania starej armatury.

– Zrobię to dla pana w trzy dni – obiecał Michaelowi rzemieślnik.

W sypialni obok sztukatorzy usuwali właśnie stare tapety i okazało się, że trzeba wezwać elektryka, bo mosiężny żyrandol był podłączony jedynie prowizorycznie. Michael i Rowan zaplanowali zamontowanie pod sufitem wentylatora, więc należało właściwie położyć nową instalację. W „domowym” notatniku pojawiły się kolejne zapiski.

Gdzieś koło jedenastej Michael stał wpatrzony w częściowo odgradzony starym parawanem kąt salonu. W dużym pokoju za jego plecami ochoczo i hałaśliwie pracowały dwie sprzątaczkę, a dekorator wnętrz, polecony przez Beę, mierzył okna, by uszyć nowe zasłony. Zamyślony Michael nie widział już parawanu, zrobił jakąś notatkę, po czym spojrzał na stary fotel bujany. Stał na tle werandy starannie oczyszczony i wymyty. Gdzieś w głębi ogrodu pośród dzikiego wina brzęczały pszczoły, a z lewej strony zza pnia potężnego bananowca co jakiś czas przeblyskiwało słońce, które odbijało się od łopat robotników pracujących wokół basenu. Odrzucali ziemię z kamiennych płyt patio, pokrywających większą, niż należało przypuszczać, powierzchnię.

Michael stał nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w kępę mirtu na trawniku.

– Jak dotąd żadnych spadających drabin, prawda, Lasher? – wyszeptał, a jego cichy głos wydawał się zamierać gdzieś w próżni.

Słyszał tylko brzęczenie pszczół i nakładające się na siebie odgłosy toczących się wokół prac: szum włączonej właśnie kosiarki, niski dźwięk urządzenia czyszczącego ścieżki z liści. Michael zerknął na zegarek. Specjalista od klimatyzacji powinien pojawić się lada chwila. Zaprojektował system ośmiu

pomp, które mogły tłoczyć i ciepłe, i zimne powietrze, ale na razie główny problem stanowiło ulokowanie całej tej maszynerii. Strych był zawałony pudłami, pakunkami, meblami i mnóstwem innych rupieci, wyglądało więc na to, że skończy się na zainstalowaniu urządzeń na dachu.

No i pozostała jeszcze kwestia podłóg. Należało przemyśleć, jak doprowadzić je do porządku i utrzymać w należyтым stanie. Parkiet w salonie wyglądał wciąż bardzo dobrze, choć od czasów Stelli zawsze tam tańczono. Jednak posadzki w innych pokojach były bardzo zniszczone, zabrudzone i matowe. Oczywiście nie było mowy o tym, by brać się za ich odnawianie, zanim malarze i tynkarze nie skończą prac w środku domu. Trzeba zobaczyć, jak radzą sobie na zewnątrz malarze. Musieli czekać, aż dekarze umocnią wiązania dachu i szczyty ścian, ale i tak mieli mnóstwo roboty z zeszlifowaniem starej farby i oczyszczeniem ram i okiennic. Co jeszcze? Ach, instalacja telefoniczna, Rowan chce jakiegoś cacka technicznego, ale dom jest tak duży. I ten pawilon w parku za domem, dawne pomieszczenie dla służby. Michael myślał, czy nie wynająć małej, niezależnej ekipy i nie zacząć, mimo całego rozgardiaszu panującego w samej rezydencji, całościowego remontu pawilonu. Na co właściwie czekać?

Nie chciał zwierzać się Rowan ze swojego wrażenia, ba, czasem nawet pewności, że jest obserwowany. W samym domu było coś żywego, może jakieś tęskne wspomnienie zabłąkane wśród starych sukien na strychu, coś, co żyło w tych ścianach od fundamentów po dach. Tak naprawdę Michael nie wierzył w duchy. Jednak to miejsce wchłonęło jakąś część osobowości Mayfairów, których kilka pokoleń wiodło egzystencję w tych murach. Zawsze czuje się coś takiego w starych domach, i teraz ilekroć Michael odwracał się, wydawało mu się, że zobaczy kogoś lub coś, czego tak naprawdę nie ma.

Co za niespodzianka, wkroczyć do salonu i zobaczyć tam tylko zalane słonecznym światłem stylowe meble, gigantyczne lustra, stojące jakby na straży, i stare obrazy – martwe i pociemniałe w swych ramach. Przez chwilę Michael wpatrywał się w miękki, pastelowy portret Stelli, kolorowaną fotografię. Patrzył

na jej uśmiech pełen słodczy, połyskliwe, ciemne loki i w kącikach oczu, spoglądających na niego z portretu, dostrzegał jakiś blask, którego nie przysłonił kurz i brud pokrywający szkło fotografii.

– Czy potrzebuje pan czegoś? – Młoda sprzątaczką wynurzyła się z sąsiedniego pokoju.

Michael pokręcił przecząco głową.

Odwrócił się i spojrzał na pusty fotel bujany. Czyżby mebel się poruszył? Nie, to jakieś bzdury, prowokowanie czegoś, co być może wcale się nie zdarzy. Zamknął notes i wrócił do roboty.

Joseph, dekorator wnętrz, czekał na niego w jadalni. Była tam też Eugenia. Szukała pracy. Oczywiście znajdzie się coś dla niej. Nikt nie zna rezydencji tak jak ona, zajmowała się prowadzeniem domu przez pięć lat. Powiedziała dziś rano swojemu synowi, że wcale nie jest za stara do roboty i może pracować aż do upadłego.

– Czy doktor Mayfair chce, aby zasłony były z jedwabiu? – pytał dekorator.
– Czy jest tego absolutnie pewna? – Mówił, że mógłby przynieść i pokazać próbki z adamaszku i welwetu – kosztowałyby to o połowę mniej.

* * *

Uporawszy się z bieżącymi sprawami domowymi, Michael spotkał się z Rowan, by zjeść z nią lunch. Dziewczyna siedziała ciągle w firmie Mayfair & Mayfair i podpisywała papiery. Michael był zaskoczony życzliwością i ufnością, z jaką Ryan zaczął wyjaśniać mu, czym się zajmują.

– Do bardzo starego zwyczaju rodzinnego należało rozpisywanie spadku w takich okolicznościach jak teraz – tłumaczył Ryan. – Rowan chce wrócić do tej tradycji. Sporządzamy listę Mayfairów, którzy mieliby ewentualnie otrzymać pieniądze. Beatrice jest w kontakcie telefonicznym z całą rodziną. To nie takie bezsensowne, jak ci się wydaje. Oczywiście większość Mayfairów posiada

pokażne konta bankowe, zawsze tak było. Ale są też jacyś kuzyni w college'u, jakaś para studiująca medycynę, inni zaś przymierzają się do kupna pierwszego w swoim życiu domu. Rozumiesz, o co chodzi. Sądzę, że to godne pochwały, że Rowan chce zgodnie ze starą tradycją podzielić majątek, oczywiście zachowując odpowiednie proporcje przydziału spadku.

Mimo całej uprzejmości była w Ryaniu jakaś przebiegłość, chłodna, wykalkulowana czujność. Ale czyż to nie naturalne w tej sytuacji? Zdawał się badać reakcje Michaela na przekazywane informacje, ale ten tylko kiwał potakująco, a w końcu, wzruszając ramionami, powiedział:

– Świetny pomysł.

Po powrocie do domu, przed zapadnięciem zmroku, Michael i Rowan odbyli naradę z ludźmi pracującymi przy basenie. Smród szlamu z dna był nieznośny. Robotnicy, półnaczy i bosy, wywozili błoto taczkami. Okazało się, że w ocembrowaniu basenu nie ma większych szczelin ani dziur – woda nie przenikała do ziemi. Majster twierdził, że jego ekipa doprowadzi basen do zupełnego porządku do połowy następnego tygodnia.

– Zróbcie to wcześniej, jeśli można – zaprotestowała Rowan. – Nie mam nic przeciwko zapłaceniu wam za dodatkową pracę w czasie weekendu, byle zakończyć to jak najszybciej. Nie mogę znieść widoku basenu w tym stanie.

Jej deklaracja została przyjęta z wyraźną aprobatą – perspektywa dodatkowych czeków wszystkim była miła. Tak naprawdę to każdy robotnik pracujący przy renowacji domu chętnie stawiałby się do roboty w czasie weekendu.

Całość nowych urządzeń do ogrzewania i oczyszczania wody w basenie została już zamontowana. Instalacja gazowa okazała się wystarczająca, elektryczna była właśnie wymieniana.

Michael zatelefonował też do następnej ekipy malarzy, którzy mieli się zająć pawilonem na tyłach domu. Tak, oczywiście, mogli pracować w sobotę, za półtorej dniówki. Nie, nie wzięliby dużo za pomalowanie drewnianych drzwi

pawilonu, odnowienie prysznic, ubikacji i małych pokoi.

– Na jaki kolor ma być pomalowany dom? – Michael chciał znać opinię Rowan. – Niewykluczone, że na ściany zewnętrzne będzie można zacząć nanosić farbę wcześniej niż myślisz. Czy pawilon i dawny dom dla służby mają być w tym samym kolorze, co rezydencja?

– A ty jak sądzisz? – zapytała Rowan.

– Zostawiłbym taki kolor, jaki był zawsze: fiołkowy na murach i ciemnozielony na okiennicach. Zachowałbym w ogóle cały schemat kolorystyczny domu: niebieski dach nad kapitelami, szara podłoga werandy, czarne elementy metalowe. Nawiasem mówiąc, znalazłem człowieka, który mógłby uzupełnić brakujące fragmenty ogrodzenia. Trudni się teraz robieniem odlewów, ma swój własny sklep za rzeką. Czy wiesz coś o tym ogrodzeniu otaczającym posiadłość?

– Nie – odpowiedziała Rowan. – Opowiedz mi.

– Otóż – zaczął Michael – jest ono starsze niż sam dom. Stanowiło pochodzącą z początku dziewiętnastego wieku wersję ogrodzenia łańcuchowego, to znaczy składało się z elementów o tym samym wzorze. Ciągnęło się wzdłuż całej ulicy Pierwszej aż do rogu Obozowej, bo tak rozległa była wtedy posiadłość. Teraz powinniśmy je pomalować czarną farbą, by zabezpieczyć przed zniszczeniem.

– Zatrudnij tylu fachowców, ilu potrzeba – powiedziała Rowan. – Kolor fiołkowy podoba mi się – jest znakomity. A w ogóle, jeśli musisz podejmować decyzje beze mnie, rób to. Nadaj domowi wygląd, jaki według ciebie powinien mieć. Wydawaj tyle pieniędzy, ile twoim zdaniem potrzeba.

– Kochanie – powiedział Michael – jesteś marzeniem przedsiębiorcy budowlanego. Wystartowaliśmy z hukiem. Niech się dzieje, co ma się dzieć. Widzisz tego faceta koło drzwi z tyłu domu? Czeka na mnie. Prawdopodobnie chce mi powiedzieć, że wpakował się w kłopoty ze ścianami w łazienkach na górze. Wiedziałem, że tak będzie.

– Nie powinieneś pracować tak ciężko – wyszeptała mu do ucha, a jej głęboki, aksamitny głos przyprawił go o dreszcz rozkoszy. Kiedy piersi Rowan musnęły jego ramię, poczuł narastające podniecenie. Nie był to jednak odpowiedni moment, aby dać upust namiętnościom.

– Pracować tak ciężko? – odpowiedział. – Ależ kochanie, to dla mnie największa frajda. Poza tym powiem ci coś jeszcze, Rowan. Jest tutaj w okolicy parę cholernie pociągających domów i mam ochotę zabrać się za nie, skoro jesteśmy już w mieście. Widzę oczyma wyobraźni: „Wielkie Nadzieje” na ulicy Sklepowej – nowe biura. Mógłbym wolno i ostrożnie zacząć odnawiać budynki, żeby spokojnie przebrnąć przez kiepską koniunkturę na rynku nieruchomości. Oczywiście remont twojego domu jest na pierwszym miejscu i nie zacznę niczego, zanim go nie skończę.

– Ile pieniędzy potrzebujesz, żeby doprowadzić stare magazyny do stanu używalności? – spytała Rowan.

– Ależ skarbie, ja mam fundusze na realizację tego przedsięwzięcia – odpowiedział i pocałował ją szybko. – Dysponuję mnóstwem pieniędzy. Spytaj kuzyna Ryana, jeśli nie wierzysz. Byłbym ciężko zdziwiony, gdyby nie zrobił już kompletnego wywiadu na temat moich finansów.

– Michael – zdenerwowała się – jeśli Ryan powiedział ci choć jedno przykre słowo...

– Rowan, kochanie – zwrócił się do niej – uspokój się! Naprawdę jestem w siódmym niebie.

Sobota i niedziela upłynęły im spokojnie. Ogrodnicy pracowali wokół domu do późnego wieczora, pieląc chwasty, ścinając trawę i czyszcząc żeliwne ogrodowe meble, nawet po zapadnięciu zmroku.

Rowan, Michael i Aaron wynieśli z domu stół i krzesła, ustawili je pośrodku trawnika i tam zasiadali do lunchu w te spokojne dni.

Aaron poczynił pewne postępy w pracy nad książką Juliena. Okazało się, że nie była to autobiografia, lecz raczej spis nazwisk z umieszczonymi przy nich

związłymi i dość enigmatycznymi uwagami.

– Śmiem przypuszczać – powiedział Aaron – że jak dotąd jest to lista z powodzeniem przeprowadzonych wendett.

Przeczytał im fragmenty zapisków:

– *4 kwietnia 1889 roku, Hendrickson zapłacił za swoje, tak jak na to zasłużył.*

– *9 maja 1889, odplaciłem Carlosowi pięknym za nadobne.*

– *7 czerwca 1889, wściekły na Wendella, który zbyt demonstrował swoje nastroje, pokazałem mu to i owo. Żadnych problemów na przyszłość.*

– I tak strona za stroną, tom za tomem – powiedział Aaron. – Czasami zdarzają się małe mapki, rysunki, notatki o wydatkach. Ale większość tekstu wygląda tak właśnie. Wyliczyłem, że przeciętnie robił około dwudziestu dwóch zapisków rocznie. Nie natknąłem się jeszcze na bardziej spójny fragment. Nie, jeśli autobiografia istnieje, to nie jest zawarta w tych księgach.

– A co ze strychem? – spytała Rowan. – Może tam się rozejrzyj.

– Nie teraz – odpowiedział – miałem mały wypadek wczorajszego wieczoru.

– O czym ty mówisz?! – wykrzyknęła.

– Nic wielkiego, po prostu spadłem ze schodów w hotelu – odpowiedział. – Nie chciało mi się czekać na windę. Stoczyłem się na półpiętro. Mogło być gorzej.

– Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś? – zapytała Rowan wyraźnie zdenerwowana.

– Och, nie było o czym. Nie ma nic niezwykłego w tym zdarzeniu, może tylko to, że nie pamiętam, abym się potknął. Stukłem sobie trochę kolano, więc wyprawę na strych muszę odłożyć na później.

Rowan, wyraźnie zbита z tropu i zła, podniosła wzrok na fasadę domu. Wszędzie pracowali ludzie. Na parapetach, na dachu, w otwartych oknach sypialń na piętrze.

– Nie ma co przedwcześnie wszczynać alarmu – powiedział Aaron. –

Dobrze, żebyś wiedziała o tym drobnym incydencie, ale po cóż się denerwować.

Michael przyglądał się Rowan i było oczywiste, że te argumenty nie trafiają do niej. Czuł prawie furię, która w niej narastała, widział grymas gniewu na twarzy dziewczyny.

– Tutaj nie miało miejsca żadne wydarzenie – powiedział do Aarona. – Absolutnie żadne. I nikt inny nie widział niczego, co warte byłoby uwagi.

– Zostałeś popchnięty, prawda? – spytała Rowan przytłumionym, niskim głosem.

– Być może – odpowiedział Aaron.

– On to zrobił – powiedziała.

– Tak sędzę – potwierdził Aaron, lekko skinąwszy głową. – Zdaje się, że lubi też ciskać zapiskami Julię, kiedy opuszczam pokój. Ach, wiesz, zdawałem sobie sprawę z wagi tych ekscesów, ale nie chciałem cię niepokoić.

– Dlaczego on to robi? – zapytała.

– Być może chce zwrócić na siebie twoją uwagę – odpowiedział Aaron. – Ale nie mam całkowitej pewności. W każdym razie zaufaj mi, umiem zadbać o własne bezpieczeństwo. Wydaje się, że prace w domu posuwają się w imponującym tempie.

– Tak, bez jakichkolwiek problemów – odpowiedział Michael niefrasobliwie, ale w duchu sposepniał.

Po lunchu, kiedy odprowadzał Aarona do furki, odezwał się do niego:

– Zdaje się, że trochę przesadzam z tym entuzjazmem, nieprawdaż?

– Och, nie sędzę – odparł Aaron. – Ale co niepokojącego masz mi do powiedzenia?

– Myślę, że coś wisi w powietrzu – rzekł Michael. – Wydaje mi się, że jeśli coś się zdarzy, będę wiedział, jak postąpić, ale to napięcie doprowadza mnie do szału. Powiedz, dlaczego on zwleka?

– Co z twoimi dłońmi? – Aaron wyraźnie zmienił temat. – Naprawdę uważam, że powinieneś spróbować chodzić bez rękawiczek.

– Próbowałem – odpowiedział Michael. – Zdejmowałem je na kilka godzin codziennie, ale ciągle nie potrafię przyzwyczać się do tych przenikliwych, gorączkowych wrażeń, które powstają nawet wtedy, gdy udaje mi się wytłumić wszystkie inne doznania. Słuchaj, może chciałbyś, żebym odprowadził cię do hotelu?

– Och, nie – powstrzymał go Aaron – nie ma potrzeby. Moglibyśmy jednak zobaczyć się wieczorem, jeśli zaoferujesz mi jakiegoś drinka.

– Z przyjemnością – zgodził się Michael i dodał z zadumą: – Wszystko jest jak spełniające się senne marzenie, nie sądzisz? Przynajmniej ja tak to odbieram.

– Ja też – odpowiedział Aaron.

– Ufasz mi?

– Na Boga, jak możesz o to pytać! – wykrzyknął Anglik.

– Czy sądzisz, że mi się uda, czy myślisz, że to, co zamierzam zrobić, jest tym, czego ode mnie oczekiwali? – zapytał Michael.

– Co masz na myśli?

– Czuję, że ona mnie kocha i że czeka nas wspaniała przyszłość.

– Też tak uważam – odpowiedział Aaron.

* * *

Michael był w wyśmienitej kondycji, a każdy pomyślnie zakończony etap renowacji domu wzmagił jego radosny nastrój; przez cały czas pobytu w rezydencji nie nawiedzały go żadne, nawet ułamkowe wizje, obrazy czy zjawy.

Wspaniale było spędzać noce z Rowan, wspaniale kochać się z nią, być na powrót we własnej skórze, budzić się na nowo do pracy nad robieniem planów i notatek. Wspaniale było zmęczenie po całym dniu fizycznego wysiłku i uczucie, że ciało wydobywa się z odrętwienia tych dwóch miesięcy apatii i morza wypitego piwa.

Pił teraz niewiele i jego doznania, nie przytłumione alkoholem, były

przeszywająco wyostrzone. Nie mógł się nasycić gładkim, dziewczęcym ciałem Rowan, niewyczerpaną energią ukochanej. Jej absolutny brak skłonności narcystycznych i zażenowania obudziły w nim szorstkość, którą, wydawało się, Rowan uwielbia. Kiedy się kochali, ich seks bywał ostry, czasami bardziej brutalny niż na początku. Ale miłosne zapasy zawsze kończyli czule objęci i Michael zastanawiał się wtedy, jak mógł zasypiać przez te wszystkie lata, nie czując uścisku jej ramion.

Wczesnoporanne godziny należały tylko do Rowan. Bez względu na to, jak długo wieczorem czytała, budziła się zawsze o czwartej. I bez względu na to, jak wcześniej Michael położył się spać poprzedniego dnia, niezmiennie spał twardo do dziewiątej, chyba że ktoś wyrywał go ze snu krzykiem i szarpaniem, za ramię.

Chwile porannej samotności sprawiały Rowan przyjemność. Dawały jej ten margines spokoju i całkowitej prywatności, którego potrzebowała. Nigdy nie знаła mężczyzny, który by ją tak bez reszty akceptował jak Michael. Jednak mimo to pragnęła choć trochę poprzebywać z dala od innych.

Kochając go uświadomiła sobie, dlaczego do tej pory „zażywała” mężczyzn w małych dawkach. To, co odczuwała wobec Michaela, wydawało jej się rodzajem niewolniczego oddania. Ciągła napiętność nie pozwalała patrzeć na jego gładkie plecy lub mocną szyję otoczoną złotym łańcuszkiem bez pożądania, bez zaciskania zębów na myśl o wsunięciu ręki pod kołdrę, myszkowaniu w ciemnych włosach wokół jąder, sprawianiu, by jego członek stawał się gruby i twardy w jej dłoni.

Kiedy się kochali, wiek Michaela obracał się niekiedy przeciwko Rowan. „Nie, już nie mogę”, mawiał czule lecz stanowczo po drugim razie i to czyniło go jeszcze bardziej prowokacyjnym. Wydawało jej się, że Michael droczy się jak mały chłopiec. Ale kiedy poznała jego czułość, dojrzałą łagodność, absolutny brak tak typowego dla młodych mężczyzn egotyzmu i dławiącej ich

nienawiści do świata, uznała, że ta dojrzałość jest więcej warta niż niewyczerpana energia młodości.

– Chcę spędzić z tobą resztę życia – wyszeptala cicho tego ranka, wodząc palcem po jego zarośniętej piersi i brzuchu, wiedząc, że i tak go nie obudzi. – Tak, potrzebuję cię duszą i ciałem. Kimkolwiek będę, nie przestanę cię pragnąć. – Pocałowała go, a Michael, zgodnie z przewidywaniami, spał dalej.

Ale teraz miała czas tylko dla siebie, z dala od niepokojącego widoku Michaela i związanych z nim napiętości.

Były to godziny wymarzone do spacerowania opustoszałymi alejkami, w blasku wschodzącego właśnie słońca, obserwowania buszujących w koronach dębów wiewiórek, wsłuchiwania się w dzikie krzyki ptaków, żałobne i zdesperowane.

Poranne opary snuły się nad kamiennymi płytami patio, a metalowe ogrodzenie lśniło od rosy. Niebo zmieniało kolor, krwawa czerwień wschodzącego słońca powoli nasycala się błękitem dziennego światła.

W domu panował chłód o tej porze. Jednak tego ranka Rowan to nie przeszkadzało, a nawet cieszyło, czuła bowiem narastającą gorączkę. Planowane przedsięwzięcie wcale nie sprawiało jej przyjemności.

Powinna była zająć się tym już wcześniej, ale odsuwała od siebie jak natrętną muchę, jak jedną z tych drobnych rzeczy, chętnie ignorowanych, skwapliwie nie zauważanych.

Ale teraz, kiedy wchodziła po schodach, czuła w sobie prawie zapal. Ku własnemu zdumieniu, wstrząsnął nią nawet drobny dreszcz podniecenia. Weszła do sypialni, należącej kiedyś do matki, i skierowała się do oddalonego od łóżka stolika, na którego marmurowym blacie ciągle leżał zapomniany woreczek z monetami. Szkatułka z biżuterią stała obok. W całym tym zamieszaniu żaden z pracowników nie odważył się ich tknąć. Przeciwnie, co najmniej sześciu różnych robotników przychodziło do Rowan, by donieść o leżących na górze klejnotach, ale nikt nic z nimi nie zrobił.

Tak, trzeba coś postanowić, pomyślała.

Wpatrywała się w niewielki stos zabrudzonych złotych monet wysypanych z woreczka. Bóg raczy wiedzieć, skąd wzięły się w tym domu. Rowan zgarnęła je z powrotem do sakiewki, wzięła szkatułkę z klejnotami i zeszła do jadalni, którą w całym domu lubiła najbardziej. Miękkie światło poranka przedzierało się właśnie przez zakurzone szyby w oknach, oświetlając podłogę zarzuconą rzeczami tynkarzy, i wysoką drabinę sięgającą na wpół odnowionego sufitu.

Rowan odsunęła płótna zakrywające stół, zdjęła pokrowce z krzeseł i usiadła, kładąc przed sobą cenne przedmioty.

– Jesteś tutaj – wyszeptwała. – Wiem, że jesteś. Patrzysz na mnie. – Kiedy to powiedziała, poczuła chłód. Wzięła garść pieniędzy i rozłożyła je na blacie stołu, by móc lepiej im się przyjrzeć w coraz intensywniejszym świetle dnia. Były tam rzymskie monety – bez pomocy eksperta mogła to potwierdzić. Inne pochodziły z Hiszpanii, pokrywały je zadziwiająco wyraźne napisy i cyfry. Sięgnęła ręką do woreczka i wyciągnęła kolejne cenne znalezisko – być może greckie tym razem, choć nie była pewna.

Monety lepiły się od brudu i Rowan miała ochotę zacząć je czyścić, ale pomyślała, że byłoby to świetne zadanie dla Eugonii. Uśmiechnęła się na tę myśl i wtedy usłyszała jakiś dźwięk w głębi domu, coś, co wydało jej się lekkim szelestem czy, jakby powiedział Michael, gdyby tu był, cichym śpiewem desek. Zlekceważyła to.

Schowała monety i odsunęła na bok. Sięgnęła teraz po puzderko z klejnotami i przyglądała mu się przez chwilę. Stała przed nią prostokątna, stara szkatułka z zaśnieżonymi zawiasami. Spod przetartego miejscami pluszu wyłaniało się drewniane dno. Szkatułka była głęboka i podzielona dużymi przegródkami na sześć części.

Jednak biżuteria znajdowała się w całkowitym nieładzie. Kolczyki, naszyjniki, pierścionki i cenne szpile tkwiły pomieszane ze sobą. Na dnie, jak zwykle kamyki, leżały, lśnić matowo, nie oszlifowane kamienie. Czy były to

prawdziwe rubiny lub szmaragdy? Nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie знаła innych pereł poza sztucznymi, ani innej biżuterii niż imitacje. Naszyjniki były doskonale ukształtowanymi, małymi dziełami sztuki. Kiedy ich dotykała, przenikał ją i smutek, i szacunek.

Myślała o Ancie podążającej w pośpiechu ulicami Nowego Jorku, by sprzedać garść monet, i serce ścisnął jej gwałtowny ból. Widziała swoją matkę, spoczywającą w bujanym fotelu na werandzie, ze strużką śliny spływającą na suknię, ze wszystkimi tymi kosztownościami w zasięgu ręki i ze szmaragdem Mayfairów na szyi, jak z dziecięcym świecidełkiem.

Szmaragd Mayfairów. Nie myślała o nim od momentu, kiedy pierwszego wieczoru tutaj odłożyła go do kredensu z porcelaną. Wstała i podeszła do nie zamkniętego, jak wszystko w tym domu, kredensu. Małe etui leżało na półce za szklanymi drzwiczkami, pośród wedgwoodowskiej porcelany. Wzięła je, usiadła przy stole i ostrożnie otworzyła. Oto klejnot klejnotów – duży, prostokątny, błyszczący w ciemnej oprawie starego złota. Jakże teraz, kiedy znała historię cennego kamienia, zmieniło się jej podejście do niego.

Kiedy zobaczyła klejnot po raz pierwszy, wydawał jej się nierzeczywisty i budził niejasną odrazę. Teraz był niemal czymś żywym, mającym własne dzieje do opowiedzenia. Wahala się, czy wyjąć go z przybrudzonego pluszowego etui. Oczywiście, nie należał do niej. Należał do tych, które wierzyły w jego moc, chciały go nosić z dumą, chciały, by on przybył.

Przez moment poczuła pragnienie, by być jedną z nich. Próbowała odepchnąć od siebie to uczucie, ale ciągle w niej tkwiło: płynące z głębi serca pragnienie przyjęcia całego dziedzictwa.

Zarumieniła się nagle i poczuła uderzenie gorąca na twarzy. Może to tylko powiew wilgotnego powietrza. Słońce wschodzące powoli nad horyzontem i napełniające ogród jaskrawym światłem sprawiło, iż drzewa za oknami jakby ożyły, a niebo stało się intensywnie błękitne.

Rowan poczuła się nagle zażenowana. Wstydziła się przed Aaronem i

Michaeliem swoich myśli. Tego, że nieomal pożądała demona jak prawdziwa czarownica. Roześmiała się cicho.

Niespodziewanie wydało jej się nieuczciwe, że on stał się jej śmiertelnym wrogiem, zanim się w ogóle spotkali.

– Dlaczego zwlekasz? – spytała głośno. – Czy jesteś jednym z tych nieśmiałych wampirów z legend, zjaw czekających, by je wezwać? Myślę, że nie. To twój dom. Jesteś tu teraz. Słyszysz mnie i obserwujesz.

Usiadła na krześle i przebiegła wzrokiem po freskach, zdających się ożywać w bladym świetle wschodzącego słońca. Po raz pierwszy dostrzegła dwie nagie kobiety na pociemniałym malowidle przedstawiającym dom na plantacji. Jedna stała w oknie, druga siedziała na ciemnozielonym brzegu laguny. Ten widok sprawił, że uśmiechnęła się. To było jak odkrycie tajemnicy. Zastanawiała się, czy Michael widział te dwie śniade piękności. Pomyślała, że ten dom i melancholijnie smutny ogród pełne są takich drobnych, nie odkrytych jeszcze sekretów.

Za oknem drzewo wawrzynu zakołysało się w nagłym porywie wiatru, zaczęło prawie tańczyć, jakby wiatr chwycił je za konary i wywijał nimi. Rowan słyszała, jak uderzają w kolumnienki werandy, ocierają się ze zgrzytem o dach. Drzewo gięło się na wietrze, ulegając pokusie tańca, grube gałęzie, obsypane różowymi kwiatami, zdawały się żyć własnym życiem. Wreszcie gwałtownie wygięte uderzyło w szarą ścianę sąsiedniego domu i posypał się deszcz cętkowanych, trzepoczących w gwałtownych porywach porannej bryzy liści. Przypominało to spadający kaskadą drobnych błysków strumień światła.

Widziała jakby przez mgłę. Miała świadomość ogarniającego ją lekkiego odprężenia i nadchodzącej senności. Tak, spójrz na taniec tego drzewa, spójrz raz jeszcze na wawrzyn i potok zieleni spływający na deski werandy. Popatrz, jak potężny konar gnie się, by uderzyć w szyby okna.

W jakimś tępych oszołomieniu skupiła wzrok, wpatrując się w konary, w ich zgodny, jakby przemyślany rytm, w którego takt łomotały o szybę.

– To ty – wyszeptała.

Lasher w drzewach, Lasher, który być może w taki właśnie sposób pojawiał się, wzywany przez Deirdre. Rita Mae tak naprawdę nigdy nie wiedziała, co w rzeczywistości opisuje Aaronowi Lightnerowi.

Rowan siedziała sztywno na krześle. Drzewo odchyłało się od domu, a jego korona całkowicie przesłaniała słońce, zmięte liście osuwały się po szybach, wirując w przestrzeni.

Rowan nie pamiętała, kiedy podniosła się z krzesła. Stała teraz. Wiedziała, że on jest tutaj. To on wprawia drzewa w ruch, nic innego na ziemi nie mogło sprawić, by ruszały się w ten sposób. Poczowała ciarki, jakby dotknięcie chłodnej ręki we włosach.

Wydawało się, że w powietrzu wokół niej zaszła jakaś zmiana. Nie było najmniejszego powiewu. Czowała muśnięcie niewidzialnej zasłony. Obróciła się i spojrzała przez okno na ulicę Kasztanową. Czy jej się wydawało, czy było tam coś, wielki gęsty cień, coś co kurczyło się i rozciągało jak ciemne morze, to zagarniające brzeg swoimi mackami, to cofające się? Nie. Nie było nic. Tylko dąb po drugiej stronie ulicy i niebo rozświetlające się coraz intensywniej.

– Czemu nic nie mówisz? – zapytała. – Jestem tu sama. – Jak dziwnie i obco zabrzmiał jej głos.

Nagle w ciszę wdarły się inne dźwięki. Usłyszała głosy na zewnątrz. Przed domem zatrzymała się ciężarówka; dotarł do niej zgrzyt furtki popychanej przez robotników i ocierającej się o kamienne płyty. Drgnęła w oczekiwaniu, gdy gałka drzwi obróciła się.

– Dzień dobry, doktor Mayfair.

– Witaj, Dart; dzień dobry, Rob; cześć, Billy.

Słyszała ciężkie kroki na schodach. Z cichym drzeniem ruszyła na dół mała winda i niebawem jej ciężkie mosiężne drzwi otworzyły się ze znajomym stłumionym szcęknięciem.

Tak, teraz dom należał do nich.

Rowan odwróciła się wolno z jakąś nieoczekiwaną determinacją, zgarnęła wszystkie klejnoty i schowała je do szuflady kredensu, gdzie leżały już stare obrusy, czekające na przejrzenie. Klucz tkwił w zamku, więc zamknęła szufladę i schowała go do kieszeni. Potem niespiesznie wyszła z domu, zostawiając go we władaniu innych.

Przy furtce zatrzymała się i obejrzała za siebie. Drzew w ogrodzie nie poruszał najmniejszy nawet powiew wiatru. Tylko dlatego, by zyskać pewność, że to, co widziała przed chwilą, zdarzyło się naprawdę, cofnęła się i ścieżką wokół starej werandy dotarła do galerii dla służby, biegnącej wzdłuż okien jadalni. Tak, wszystko było tu pokryte zielonymi listkami. Poczula znowu jakieś muśnięcie i odwracając się, podniosła ramię w obronnym geście, jakby chcąc ochronić twarz przed zwisającą pajęczyną.

Otoczyła ją zewsząd nagła cisza, żaden dźwięk nie docierał do tego zakątka ogrodu. Liście wokół gęstniały i ocieniały werandę.

– Co powstrzymuje cię przed odezwaniem się do mnie? – wyszeptała. – Czy naprawdę się boisz?

Nic się nie poruszyło. Upał zdawał się unosić nad kamiennymi płytami ścieżki. Drobne owady krążyły w cieniu. Łodyga białej lili sennie zgięła się ku jej twarzy, kiedy jakiś przytłumiony dźwięk kazał Rowan zwrócić oczy w głąb ogrodu, gdzie z płataniny roślin wynurzały się fioletowe irysy, dzikie i drżące, podobne do odrażających ust. Kwiaty drgnęły nagle, jakby potrącone przez buszującego w gąszczu kota.

Wpatrzyła się w jeden z nich. Zakołysał się i wyprostował gwałtownie, a jego postrzępione płatki drżały. Wyglądał niesamowicie. Miała ochotę włożyć palec do kielicha przypominającego żywy organ. Upał kładł się ciężarem na jej powiekach, wokół krążyły komary, które odganiała ręką. Czy kwiat rósł nadal?

Nie. Łodyga była złamana. Nic niezwykłego, bez względu na to, jak monstrialna wydawała się roślina. Upał, cisza, nagłe wtargnięcie intruzów na jej terytorium w chwili największego uspokojenia, wszystko to wprawiało Rowan

w stan całkowitej niepewności.

Wyjęła chusteczkę, przetarła twarz i poszła ścieżką w stronę furtki. Była wytrącona z równowagi, czuła się w jakiś sposób winna, że zjawiała się tu sama. Czy w ogóle zdarzyło się cokolwiek niezwykłego?

Powoli wróciła myślami do wszystkiego, co zaplanowała na ten dzień. Tyle przecież rzeczy, realnych i dotykalnych, pozostaje do zrobienia. Powinna obudzić Michaela. Jeśli się pospieszy, będą jeszcze mieli czas na wspólne śniadanie.

W poniedziałkowy poranek Michael i Rowan wybrali się do centrum, by załatwić prawa jazdy ważne w Luizjanie. Bez tego nie mogli tu kupić samochodu.

Kiedy oddali swoje kalifornijskie dokumenty, aby otrzymać nowe, odczuli, że jest w tym coś ceremonialnego, ostatecznego i dziwnie ekscytującego. Przypominało to trochę akt zrzekania się obywatelstwa. Michael złapał się na tym, że zerka na Rowan, a ona odpowiada mu tym samym porozumiewawczym spojrzeniem i uśmiechem.

Wieczorem zjedli w barze „Desire Oyster” lekki obiad, złożony z miejscowych specjałów i zimnego piwa. Drzwi były otwarte na ulicę Bourbonów, wentylatory nad ich głowami chłodziły powietrze. Z knajpki „Marhogany Hall”, znajdującej się naprzeciwko, dochodziły łagodne i wesołe dźwięki muzyki jazzowej.

– Oto nowoorleańskie brzmienie – powiedział Michael – ten śpiewny rodzaj jazzu, czuje się w nim *joie de vivre*, radość życia. Nie ma w tej muzyce nic mrocznego ani żałobnego, nawet jeśli grana jest na pogrzebach.

– Przejdźmy się – zaproponowała. – Chciałabym przyjrzeć się ruderom, o których mówiłeś.

Wieczór spędzili, chodząc w jaskrawych światłach ulicy Bourbonów, mijając eleganckie wystawy sklepów na Królewskiej i Chartres. Przemieszczali się w kierunku rzeki, skąd widać było plac Jacksona.

Wielkość Dzielnicy Francuskiej najwyraźniej zdziwiła Rowan. Zdumiała ją również autentyczność, która przetrwała w tych miejscach mimo licznych przeróbek, jakich dokonano przez lata. Michaeliem natomiast zawładnęły znowu wspomnienia niedziel spędzanych tu z matką. Nie miał właściwie nic przeciwko widocznym zmianom, nowym krawężnikom, latarniom i chodnikowi, który wiódł wokół placu Jacksona. Sam plac wydawał się teraz intensywniej tętnić życiem niż dawniej.

Czuli się wspaniale, siedząc przy rzece, patrząc na jej ciemne błyski, obserwując łódki sunące ku przeciwległemu, niewyraźnie zarysowanemu brzegowi, oświetlone i podobne do udekorowanych świeczkami weselnych tortów. Wokół spacerowali roześmiani turyści, zewsząd dochodziły rozmowy, rozlegały się wybuchy śmiechu. Jakieś pary ścisnęły się w cienistych zakątkach, saksofonista grał tęskną, soulową melodię dla grupki ludzi wrzucających od czasu do czasu monety do kapelusza u jego stóp.

W końcu Rowan i Michael wrócili do pełnego przechodniów centrum. Po drodze wstąpili do starej „Cafe du Monde” na kawę z mlekiem i pączki, z których knajpka słynęła. Siedzieli przez dłuższą chwilę w rozgrzanym wnętrzu, pośród kawiarnianego ruchu. Potem włączyli się pomiędzy tandetnymi sklepikami, wypełniającymi teraz stary Francuski Rynek, umieszczonymi na wprost smutnych i pełnych wdzięku domów na ulicy Decature, ozdobionych metalowym ażurem balkonów i kolumnienek.

Zgodnie z prośbą Rowan, Michael pojechał przez Kanał Irlandzki, obok ciemnych ruin St Thomas Project, a potem wzdłuż ciągnących się nad rzeką opuszczonych magazynów. Ulica Zwiastowania wyglądała nocą nieco lepiej, okna niewielkich domków świeciły wesoło. Ruszyli potem na przedmieścia, na małą wysadzaną drzewami uliczkę w części miasta utrzymanej w stylu wiktoriańskim. Stały tam dość chaotycznie zbudowane domy, pełne ozdób i sztukaterii, a Michael pokazywał Rowan te, które kiedyś podobały mu się najbardziej i które z rozkoszą by teraz odnowił.

Jak wspaniale było mieć pieniądze w kieszeni i wiedzieć, że można kupić te stare domy w rodzinnym mieście, spełniając dawne marzenia, jeszcze z czasów pełnego desperacji dzieciństwa.

Rowan także wydawała się pełna zapału, szczęśliwa, zafascynowana otoczeniem. Najwyraźniej nie żałowała, że się tu znalazła. Ale wszystko działo się tak szybko...

Mówiła do niego, a jej niski głos jak zwykle fascynował Michaela, odciągając trochę jego uwagę od tego, o czym mówiła. Zgadzała się, że ludzie w Nowym Orleanie są niesamowicie przyjacielscy, wszystko robią bez pośpiechu i są absolutnie, niewyobrażalnie pozbawieni małostkowości. Akcent, z jakim mówili Mayfairowie, nieco zbijał ją z tropu. Wymowa Beatrice i Ryana miała lekki nowojorski nalot. Melodyka języka Louisy była absolutnie odmienna, a młody Pierce mówił inaczej niż jego ojciec, ale wszyscy oni co pewien czas wymawiali niektóre słowa tak jak Michael.

– Nie wspominaj im o tym, skarbie – przestrzegł ją. – Jestem z tej drugiej strony ulicy Sklepowej, i oni o tym doskonale wiedzą. Nie miej co do tego złudzeń.

– Uważają cię za wspaniałego faceta – zlekceważyła jego komentarz. – Pierce twierdzi, że jesteś trochę starej daty.

Michael roześmiał się.

– Tak, do diabła – powiedział. – Chyba ma rację.

Siedzieli potem do późna, rozmawiając i pijąc piwo, w starej części domu, obszernej i wygodnej, z osobną kuchnią, salonem i sypialnią. Michael przez ostatnie dni nie upił się ani razu i choć wiedział, że Rowan jest tego świadoma, nie powiedziała na ten temat ani jednego słowa. I tak było najlepiej.

Rozmawiali o domu, o wszystkich drobnych rzeczach, które zamierzali zrobić. Pytał ją, czy tęskni za szpitalem. Odpowiedziała, że owszem, ale że teraz to nieważne. Miała na przyszłość wielkie plany, ale jeszcze za wcześnie, by je ujawnić.

– Ale nie możesz porzucić medycyny – powiedział zaniepokojony. – Chyba nie masz takich zamiarów?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała uspokajająco, z lekką nutką emfazy w głosie. – Wręcz przeciwnie. Myślę o medycynie w całkowicie nowym kontekście.

– Co masz na myśli?

– Za wcześnie na wyjaśnienia. Sama jeszcze nie jestem pewna, ale sprawa legatu wiele zmienia, a im więcej się dowiaduję o spadku, tym bardziej zasadnicze są to zmiany. Jestem znowu na stażu, tym razem w firmie Mayfair & Mayfair. Przedmiot studiów: pieniądze. – Wskazała leżące na stole papiery. – Robię całkiem niezłe postępy.

– Naprawdę chcesz się tym zajmować?

– Michael, kiedy coś robimy, mamy jakieś oczekiwania. Wychowywałam się w zamożnym domu. Oznaczało to, że mogę sobie pozwolić na studia medyczne i długi staż na neurochirurgii. Nie miałam męża ani dzieci pod opieką. Nie było nic, czym musiałabym się martwić. Ale teraz spadek zmienia to radykalnie. Z fortuną Mayfairów można by prowadzić badania naukowe, wybudować system laboratoriów. Możliwe byłoby założenie kliniki razem z całym centrum medycznym wyspecjalizowanym w neurochirurgii. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, co mam na myśli.

– Jasne, ale angażując się w takie przedsięwzięcie, porzucisz salę operacyjną. Będziesz zmuszona stać się administratorem.

– Być może – odpowiedziała. – Ale rzecz w tym, że ten spadek to rodzaj wyzwania. Zmusza do puszczenia wodzy fantazji.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – skinął głową – ale czy nie narobisz sobie kłopotów?

– W końcu pewnie tak, ale kiedy będę gotowa zrobić ruch, nie będzie to miało znaczenia. Poza tym postaram się wprowadzić zmiany możliwie łagodnie i taktownie.

– Jakie zmiany?

– Och, o tym też za wcześnie mówić. Nie jestem jeszcze przygotowana do naszkicowania wielkiego planu. Ale myślę o dużym centrum neurochirurgicznym tutaj, w Nowym Orleanie, z najlepszym dostępnym sprzętem, laboratoriami do niezależnych prac badawczych.

– Dobry Boże, nigdy nie myślałem o niczym podobnym.

– Do dzisiaj nie miałam najmniejszej szansy na urzeczywistnienie tego typu zamysłów. Wiesz, precyzowanie zamierzeń, określanie norm, ustalanie budżetu... – Widział jej nieobecny wzrok. – Ważne jest, by myśląc o całym projekcie, robić to samodzielnie i wciąż pamiętać o wysokości spadku.

Niejasny niepokój ogarnął Michaela. Nie bardzo rozumiał dlaczego. Dreszcz przebiegł mu po plecach, kiedy usłyszał jak powiedziała:

– Czy mógłby to być rodzaj zadośćuczynienia, Michael? Gdyby spadek Mayfairów został przeznaczony na uśmierzenie cierpień? Z pewnością rozumiesz, o co chodzi. – Wszystko nabrałoby innego sensu. Cała ta droga od Zuzanny – znachorki i Jana van Abła – chirurga, aż po nowoczesne centrum medyczne stworzone oczywiście po to, by ratować ludzkie istnienia.

Siedział zamyślony. Nie był w stanie jej odpowiedzieć. Rowan wzruszyła lekko ramionami i podniosła ręce do skroni.

– Och – powiedziała – tyle trzeba przestudiować, tyle się nauczyć. Ale czy nie widzisz w tym pewnej kontynuacji, logicznego następstwa wydarzeń?

– Tak, ciągłość, całość – powiedział półszepem.

Całość, której tak był pewien, kiedy się obudził w szpitalu – każdy szczegół był ze sobą powiązany. Wybrali mnie ze względu na to, kim byłem, kolejne elementy układanki pasują do siebie...

– Wszystko możliwe – powiedziała, odczytując bezbłędnie jego reakcję. Drobny ognik błąkał się w jej oczach.

– I bardzo bliskie doskonałości – powiedział.

– Więc dlaczego tak patrzysz? O co chodzi?

– Nie wiem.

– Michael, przestań sugerować się wizjami, poleceniami ludzi ofiarujących ci życie w zamian za wykonanie jakiejś misji. Nie ma tu żadnych duchów na strychu! Myśl samodzielnie.

– Robię to, Rowan. Robię. Nie wściekaj się. To fantastyczny pomysł, znakomity. Nie wiem, co mnie niepokoi. Bądź wyrozumiała, kochanie. Sama powiedziałaś, że nasze marzenia muszą choć w pewnym stopniu odpowiadać naszym możliwościom. To mnie trochę przerasta.

– Wszystko, co masz robić, to kochać mnie i słuchać z uwagą, pozwolić mi głośno myśleć.

– Jestem z tobą, Rowan. Zawsze. Uważam, że to wspaniałe.

– Masz kłopoty z ogarnięciem tego – powiedziała. – Rozumiem. Ja sama dopiero zaczynam widzieć wyraźnie kształty własnych planów. Ale, na Boga, mamy pieniądze. Jest coś absolutnie nieprzyzwoitego w wielkości tej sumy. Przez dwa pokolenia korporacja prawników dbała o tę fortunę, pozwalając się jej karmić samą sobą, zwielokrotniając ją monstrualnie.

– Tak, wiem – powiedział.

– Już dawno temu zapomnieli, że była to własność jednej osoby. W pewnym dość przerażającym sensie majątek należał sam do siebie. Jest tak wielki, że żadna istota ludzka ani nie powinna mieć do niego wyłącznych praw, ani sprawować całkowitej kontroli.

– Mnóstwo ludzi zgodziłoby się z tobą – powiedział. Michael nadal nie mógł uwolnić się od wspomnień. Myślał o tym, jak leżał w szpitalnym łóżku w San Francisco wierząc, że całe jego dotychczasowe życie miało znaczenie, że wszystko, co kiedykolwiek zrobił, służyło spłaceniu długu.

– Tak, to mogłoby być rodzajem odkupienia, prawda? – powiedział.

Dlaczego więc widział ciągle w myślach ten grobowiec z dwunastoma kryptami i wrotami poniżej, z wypisanym wielkimi literami nazwiskiem Mayfairów i wędnącymi w duszącym upale kwiatami?

Zmusił się do porzucenia tych rozważań i znalazł odskocznię od nich najlepszą, jaką znał. Po prostu popatrzył na Rowan. Przyglądał się jej i myślał o dotykaniu pięknego ciała, powstrzymując swoje pożądanie, choć dzieliły ich tylko centymetry i wiedział, że ona pragnie pieszczot.

To podziałało. W precyzyjnym mechanizmie, jakim był jego mózg, nagle przeskoczył jakiś przycisk. Myślał tylko o jej długich, nagich nogach i o tym, jak delikatnie w świetle lampy rysują się pełne piersi pod krótką, jedwabną sukienką.

Kobiece piersi zawsze wprawiały go w zachwyt. Kiedy je dotykał, ssał, wydawały się zbyt doskonałe, by były czymś więcej niż tylko ulotnym wrażeniem, jak chłodny sorbet czy bita śmietana, o których wiesz, że rozpuszczają się w ustach. Ale one nie znikwały, jakby czekając na niego dzień po dniu, były częścią ucieleśnionej niemożliwości, tkwiącej w kobiecie. To cała wiedza, jaką na ten temat posiadał. Pochylił się ku Rowan, pocałował ją mocno w szyję i wydał cichy, znaczący pomruk.

– Nareszcie – wyszeptała.

– Och, już czas – odpowiedział tym samym tonem. – Czy chciałabyś być zaniesiona do łóżka?

– Uwielbiam to – wymruczała. – Nie powtórzyłeś tego od czasu, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy.

– Chryste! Jak mogłem być tak mało troskliwy! – wyszeptał. – Jaki tam ze mnie facet starej daty!

Wsunął lewą dłoń pod rozgrzane, jedwabiące gładkie uda Rowan, prawą ręką otoczył ramiona i podniósł ją; cały czas obsypywał dziewczynę pocałunkami, ciesząc się w duchu, że nie stracił równowagi i nie wyłożył się jak długi. Ale trzymał ją na rękach, przytuloną i gorączkowo uległą. Zaniesienie Rowan do łóżka zajęło mu dosłownie moment.

* * *

We wtorek rozpoczął pracę specjalista od klimatyzacji. Okazało się, że na dachu galerii jest wystarczająco dużo miejsca, by zainstalować tam cały system. Joseph, dyrektor wewnątrz, wyniósł tymczasem te spośród francuskich mebli, które wymagały odnowienia. Piękne komplety do sypialni, wszystkie jeszcze z czasów plantacji, nie potrzebowały, jak stwierdził fachowiec, żadnych zabiegów renowacyjnych poza gruntownym wyczyszczeniem. Zajął się tym jedna ze sprzątaczek.

Sztukatorzy skończyli odnawianie frontowej sypialni, a malarze przykryli wykończone fragmenty płachtami folii, tak że można było przystąpić do czystych prac pomimo pyłu, powstającego ciągle przy robotach w pozostałej części domu. Rowan zdecydowała, że ściany sypialni będą jasnobeżowe, sufity i drewniane elementy – białe. Zjawił się też specjalista od dywanów i wymierzył pokoje na piętrze. Podłogi w jadalni zostały wycyklinowane i wymagały jedynie polakierowania.

Michael sam wszedł na dach i sprawdził stan kominów. Kominki w bibliotece i w podwójnym salonie, w których palono drewnem, były w dobrym stanie, przewody kominowe drożne, a ciąg powietrza znakomity. Pozostałe kominki już dawno temu zamurowano lub przerobiono na gazowe. Rowan i Michael zdecydowali teraz, że zastąpi się je nieco atrakcyjniejszymi, imitującymi prawdziwe, opalane węglem.

Wśród tego mnóstwa robót remontowych przestawiono również urządzenia kuchenne, a stary kloc do ćwiartowania mięsa został zheblowany i czekał na polakierowanie.

Rowan, siedząc w kucki na podłodze salonu, konferowała z dekoratorem wewnątrz, a wokół nich leżały wszędzie próbki bajecznie barwnych tkanin. Na zasłony do frontowego pokoju wybrała beżowy jedwab. Do jadalni chciała jakiś ciemniejszy materiał, który dobrze komponowałby się z pociemniałymi freskami. Na piętrze wszystko miało być w żywych, jasnych kolorach.

Michael obejrzał wiele malarskich próbek. Do przedpokoju na dole wybrał farbę o miękkim, brzoskwiniowym odcieniu, a do jadalni ciemny beż, który wydobywałby podstawową tonację kolorystyczną fresków. Zdecydował, że spiżarnię i kuchnię pomaluje się na białą. Ustalił też stawki dla ludzi do mycia okien i dla ekipy, która miała czyścić świeczniki. Zegar dziadka w salonie został zreperowany.

Późnym rankiem w piątek Tina, gospodyni Beatrice, zakończyła kupowanie pościeli do różnych pokoi na piętrze, bielizna została pochowana do szaf.

Prace na strychu skończono. Stare tapety w dawnych pokojach Millie i Carlotty zostały zerwane, a ściany niemal zupełnie przygotowane do malowania. System alarmowy w całym domu był gotów: wykrywacze dymu, urządzenia do wzywania pogotowia ratunkowego i zabezpieczenia szyb zostały zainstalowane. W tym samym czasie ekipa malarzy pracowała w salonie.

Jedyną rzeczą, która zmąciła spokój tego dnia, była telefoniczna dyskusja, jaką Rowan odbyła z doktorem Larkinem z San Francisco. Zawiadomiła go, że bierze bezterminowy urlop w szpitalu. Zareagował na to dość ostro – uważał, że się sprzedała, że spadek, niezwykły dom w Nowym Orleanie skusiły ją, odciągnęły od prawdziwego powołania. Nieśmiałe protesty Rowan, wzmianki o rozległych planach nie powstrzymały gromów rzuconych na jej głowę, ale jeszcze wzmogły święte oburzenie Larkina. W końcu cała ta rozmowa zirytowała ją na tyle, że oświadczyła, iż wcale nie zamierza odrzucać wszystkiego, co dotychczas osiągnęła, że teraz po prostu myśli o medycynie w całkiem innych kategoriach i kiedy będzie chciała z nim na ten temat porozmawiać, da mu znać.

Gdy odeszła od telefonu, była wykończona. Nie miała nawet ochoty na wyjazd do Kalifornii, by zająć się sprawą sprzedaży domu w Tiburon.

– Przechodzą mnie dreszcze na samą myśl o tej wyprawie – powiedziała do Michaela. – Nie wiem dlaczego aż tak mocno to przeżywam. Po prostu nie mam ochoty oglądać tego miejsca już nigdy więcej. Nie mogę uwierzyć, że uciekam

od podjęcia decyzji wyjazdu do San Francisco, miałabym ochotę uszczyplić się, by się przekonać, że nie śnię.

Ale Michael to rozumiał, choć odradzał jej sprzedaż rezydencji, uważał, że powinno minąć nieco czasu.

Rowan wzruszyła ramionami. Byłaby skłonna natychmiast wystawić dom na sprzedaż, gdyby nie fakt, że wynajęła go od ręki swojemu kalifornijskiemu następcy, doktorowi Slattery'emu. W zamian za obniżenie opłat do minimum i zwolnienie z wpłacenia kaucji, nowy lokator z radością zgodził się spakować i wysłać na południe wszystkie osobiste rzeczy Rowan, znajdujące się w domu i na łodzi. Ryan zajął się wynajęciem magazynu.

– Myślę, że te pudła pozostaną tam nie rozpakowane przez najbliższe dwadzieścia lat – powiedziała Rowan.

W piątek około drugiej Michael poszedł z Rowan do salonu firmy Mercedes-Benz w Alei świętego Karola. Teraz zakup luksusowego samochodu był prawdziwą przyjemnością. Sklep mieścił się w tym samym budynku co hotel. Michael pamiętał ów salon z czasów, kiedy jako dziecko mijał go, wracając ze starej biblioteki na placu Lee do domu. Często wchodził do środka, otwierał drzwiczki i napawał się pięknem tych oszłamiających niemieckich wozów, dopóki sprzedawca nie zobaczył go i nie wygonił ze sklepu. Nie mógł się uwolnić od tych wszystkich wspomnień, właściwie każdy mijany dom i wszystko, co robił, budziło w pamięci obrazy przeszłości.

Z niejakim rozbawieniem zauważył, że Rowan wypisuje czek za dwa samochody – mały, szybki, dwuosobowy kabriolet i czterodrzwiony sedan. Oba wozy miały skórzaną tapicerkę w kolorze kremowo-karmelowym, harmonizującym z kolorystyką domu.

Poprzedniego dnia kupił dla siebie małą, zgrabną, lśniącą luksusową ciężarówkę, do której mógł załadować, co tylko mu się podobało. Miała klimatyzację, można było nią jeździć szybko i wygodnie, podkręcając radio na pełny regulator. Michaela rozbawiło spostrzeżenie, że Rowan nie wyglądała na

osobę, dla której kupowanie tych samochodów byłoby szczególnie ekscytujące. Ba, nie robiła nawet wrażenia kogoś, kto uważa to za czynność interesującą. Dziewczyna poprosiła sprzedawcę o dostarczenie sedana na ulicę Pierwszą, na tylny podjazd, i podrzucenie potem kluczyków do hotelu Pontchartrain. Kabriolet postanowili wziąć ze sobą.

– Zapomnijmy na trochę o domu i całej rodzinie – powiedziała Rowan, zatrzymawszy wóz przed wejściem do hotelu. – Wyjedźmy gdzieś na weekend – zaproponowała.

– Tak od razu? – spytał Michael, nieco rozczarowany. Miał ochotę wynająć wieczorem łódź i zjeść kolację na rzece.

– Zaraz ci powiem, skąd ten pomysł – odpowiedziała. – Zrobiłam ostatnio interesujące odkrycie – stwierdziłam, że najpiękniejsze białe plaże Florydy są o cztery godziny drogi stąd. Wiedziałaś o tym?

– Tak, to prawda, rzeczywiście są blisko – przyznał.

– W małym miasteczku Destin jest parę domów na sprzedaż, a jeden z nich ma własną przystań dla łodzi. Słyszałam o tym od Wheatfielda i Beatrice. Wheatfield i Pierce jeżdżą często do Destin na wiosnę. Beatrice wpada tam przez cały rok. Ryan wykonał dla mnie kilka telefonów do tamtejszych pośredników w handlu nieruchomościami. Co ty na to?

– Świetnie, czemu nie? – Ponownie ogarnęła go fala wspomnień. Lato, kiedy jako piętnastolatek spędzał z rodziną wakacje na Florydzie, czerwone zachody słońca nad zielenią wody, biel plaż. Myślał o nich tego dnia, kiedy spacerował brzegiem morza w San Francisco, godzinę wcześniej przed tym jak fale zmyły go do oceanu, kilkadziesiąt minut przed spotkaniem Rowan.

– Nigdy jeszcze nie byliśmy tak blisko Zatoki – powiedziała dziewczyna. – Zatoka to prawdziwa woda, tak jak prawdziwym żywiołem jest Pacyfik. Wiesz, co mam na myśli.

– Owszem – roześmiał się Michael, szczerze rozbawiony. – Doświadczyłem tego na własnej skórze.

– Och, zrozum – powiedziała – umieram z chęci zobaczenia Zatoki.

– Jasne.

– Nie byłam tam od czasu, kiedy jeszcze jako studentka popłynęłam z Ellie i Grahamem na Karaiby. Jeśli jest tak gorąca, jak pamiętam...

– Oczywiście, warto się tam wybrać – powiedział Michael.

– Pewnie znajdę kogoś, kto przyholuje tu „Sweet Christine”, ale może nawet lepiej byłoby kupić nową łódź. Odbywatelibyśmy rejsy po Zatoce czy na Karaiby.

– No, nie – potrząsnął głową – powinienem był to przewidzieć, po tym jak zobaczyłem twój dom w Tiburon.

– To tylko cztery godziny – nalegała. – Proszę, chodź! Spakowanie się zajmie nam niecały kwadrans.

Kiedy zjawili się w domu, zastali w kuchni Eugenię polerującą srebrne tace.

– Co za radość, że to miejsce wraca do dawnej świetności – powiedziała rozpromieniona służąca.

– Tak, wygląda coraz lepiej – Michael ujął kobietę delikatnie za ramię. – A co byś powiedziała na powrót do twojego dawnego pokoju, Eugenio?

O tak, byłaby zachwycona. Jasne, że może zostać tu na weekend. Jest już za stara na znoszenie wybryków tych wszystkich dzieci w domu syna. Możliwość powrotu do rezydencji sprawiłaby jej wielką radość. Oczywiście, ciągle ma swoje klucze, ale nikt nigdy nie zamykał tu drzwi.

Malarze na piętrze mieli pracować do późna. Ekipa porządkująca dziedziniec zamierzała zostać aż do zmierzchu. Dart Henley, prawa ręka Michaela, z przyjemnością zgodził się czuwać nad wszystkim w czasie weekendu. Niech się o nic nie martwią.

– Spójrz – powiedziała do Michaela Rowan. – Basen jest już prawie gotowy.

– Rzeczywiście, wszystkie szczeliny wewnątrz były załatane, całość wymagała jedynie ostatecznego pomalowania.

Otoczenie basenu zostało również uporządkowane, wyrwano rośliny ze szpar desek wokół, odnowiono pomost do skakania do wody, piękna balustrada z

wapienia otaczała brzegi imponująco wyeksponowana. Usunięto rosnące obok olbrzymie bukszpany. Świeża farba lśniła na metalowych stołach i krzesłach stojących w ogrodzie. Kiedy oczyszczano z ziemi i chwastów niskie schodki od strony krytej werandy, okazało się, że przed czasami Deirdre weranda była otwarta, prosto z jadalni po kamiennych stopniach schodziło się na trawnik do ogrodu.

– Weranda nie powinna być zamkniętym pomieszczeniem – powiedział Michael. – Nawiasem mówiąc, mamy też podobny ganek z tyłu, obok kuchni. Chodź, rzuć okiem.

– Kochanie, mógłbyś się na moment od tego wszystkiego oderwać? – Rowan podała mu kluczyki do samochodu. – Czemu ty nie poprowadzisz? Mam nieodparte wrażenie, że nie przepadasz za stylem mojej jazdy.

– Tylko wtedy, kiedy mijasz światła i znaki stopu z szybkością błyskawicy. Nie wiedzieć czemu łamanie dwóch przepisów drogowych jednocześnie wprawia mnie w stan zdenerwowania.

– OK, przystojniaku, kluczyki są twoje, pod warunkiem, że będziemy na miejscu za cztery godziny.

Ostatni raz rzucił okiem na dom. Stał oświetlony blaskiem słońca, co, Michael zgadzał się tu z Rowan, przypominało Florencję. Południowa fasada, wymyta i oczyszczona, przywodzi na myśl stare włoskie palazzi. Wszystko szło tak dobrze, tak wspaniale.

Poczuł lekkie ukłucie, dziwny ból, osobliwą mieszaninę smutku i czystej radości. Jestem tu, naprawdę jestem, myślał w duchu, i to nie w marzeniach, jak dotychczas, daleko stąd. Jego wizje wydawały mu się odległe, wyblakłe, mało realne. Nie doświadczył ich najmniejszego odprysku już od dawna.

Poza tym czekała na niego Rowan i czyste, białe południowe plaże. Urzeczywistnione marzenia z przeszłości. Przemknęło mu też przez myśl, jak wspaniale będzie się kochać z nią w kolejnym, nowym łóżku.

Przyjechali do Fort Walton na Florydzie o ósmej wieczorem, po długiej, powolnej, ciągnącej się w nieskończoność jeździe w korku, który utworzył się za Pensacola. Wydawało się, że cały świat postanowił tego wieczoru, zderzak przy zderzaku, przemieścić się na plażę. Pchanie się dalej, do Destin, było ryzykowne, mogli nie znaleźć już żadnego noclegu.

Jak się okazało, jedyne wolne pokoje znajdowały się w starym skrzydle Holiday Inn. Za wszystkie pieniądze świata nie dałoby się wynająć apartamentu w lepszym hotelu. Zresztą całe miasteczko, bezładnie ciągnące się przy autostradzie, ze swoimi neonami i atmosferą przygnębienia snującą się po zaułkach, było nędzne.

Sam pokój świetnie pasował do otoczenia: obskurny, mętnie oświetlony, wypełniony zapachem stęchlizny. Łóżka były stare i zdezelowane. Ale kiedy przebrali się w kostiumy kąpielowe i wyszli przez szklane drzwi na końcu korytarza, znaleźli się od razu na plaży.

Świat stanął przed nimi otworem, ciepły i wspaniały pod aksamitnym niebem, obsypanym brylantami gwiazd. W świetle księżyca połyskiwała wyraźnie szklista zieleń wody. Powiew bryzy, bez najlżejszego śladu chłodu, wydawał się bardziej jedwabisty niż ciepły podmuch wiatru znad rzeki w Nowym Orleanie, a piasek pod ich stopami był tak nieprawdopodobnie biały, jakby brodzili w najczystszej cukrze.

Weszli razem do wody. Przez dłuższą chwilę Michael nie mógł uwierzyć, że

ma ona tak wspaniałą temperaturę, że jest tak doskonale przezroczysta i lśniąca, i tak łagodnie faluje wokół kolan. Na moment, z jakimś dziwnym uczuciem błyskawicznego cofania się w czasie, zobaczył siebie na plaży, po drugiej stronie kontynentu, z palcami kostniejącymi z zimna i twarzą smaganą ostrym wiatrem. Myślał wtedy o tym szczególnym, na wpół mitycznym, na wpół nierealnym miejscu na Florydzie.

Gdyby tylko mogli zatrzymać je w sobie, zachować, ukryć, odepchnąć to wszystko, co czekało w ciemności, ciążyło nad nimi, gotowe objawić się...

Rowan zanurzała się w wodzie powoli z rozkosznym śmiechem. Podcięła stopą jego nogę, a on pozwolił ponieść się fali wywołanej ruchem jej ciała. Woda obmywała go, nadstawił twarz i poczuł ten wspaniały, ciepły, mokry dotyk.

Płynęli razem, leniwie i spokojnie wyrzucając ramiona sunęli wśród miękkich fal, czując bliskość dna. Wreszcie oddalili się od brzegu na tyle, że mogli stać w wodzie, zanurzeni po szyję.

Białe wydmy na plaży lśniły w świetle księżyca jak zaspas śnieżne, odległe światła dużych hoteli migotały łagodnie w ciszy pod ciemnym, choć rozgwieżdżonym niebem. Michael objął Rowan, czując jak jej wilgotne ciało przywiera do niego. Cała reszta świata wydawała się niemożliwa, trudna do wyobrażenia ze swą pozorną prostotą, nieskrępowaną brutalnością, pogonią za blichtrzem.

– Oto raj – powiedziała Rowan. – On naprawdę istnieje. Dobry Boże, Michael, jak mogłeś kiedykolwiek go opuścić. – Nie czekając na odpowiedź, odsunęła się od niego i szybko popłynęła w stronę horyzontu, mocno uderzając ramionami w wodę.

Michael stał w miejscu, śledząc oczyma niebo, wyławiając z mnóstwa gwiazd konstelację Oriona, tkwiącą tam jak pas klejnotów. Jeśli kiedykolwiek przedtem w życiu czuł się tak szczęśliwy, nie pamiętał tego. Absolutnie nie mógł sobie przypomnieć. Nikt nigdy nie wyzwolił w nim równie wielkiego

poczucia szczęścia, jakie teraz dała mu Rowan. Nigdy jeszcze nic nie sprawiło, że doświadczałby takiej świeżości, piękna i jakby matczynego ciepła.

Tak, wróciłem do miejsca, do którego należę i mam ją tutaj obok siebie, i nie obchodzi mnie cała reszta świata. Nie teraz, pomyślał.

* * *

Sobotę spędzili na oglądaniu wystawionych na sprzedaż domów między St Walton i Seaside. Większość z nich, z widokiem na morze, leżała w obrębie miejscowości wypoczynkowych i drogich osiedli nadmorskich. Tylko nieliczne budynki stały osobno i cena ich była bardzo wysoka.

Okolo trzeciej trafili do „willi” domu o nowocześnie ascetycznej formie, niskimi stropami i surowymi, białymi ścianami. W prostokątnych oknach widok Zatoki tworzył jakby serię obrazów w prostych ramach. Horyzont przecinał te malownicze pejzaże dokładnie w połowie. Poniżej rozciągały się wydmy chroniące ląd przed wysokimi falami, które, jak im wyjaśniono, często atakowały brzeg w czasie huraganów.

Idąc długim nabrzeżem ominęli je i zeszli na plażę po zniszczonych przez wiatr i deszcz drewnianych schodach. W oślepiającym blasku słońca biel piasku znowu wydawała im się niewiarygodna, a woda niesamowicie, pieniście zielona.

Daleko, daleko w dole po drugiej stronie plaży wcinąły się w niebo wzniesienia równie geometryczne w kształtach jak dom, który oglądali. Żadnych stromych brzegów, skał i drzew, tak typowych dla Kalifornii. Mimo iż krajobraz był równinny, do złudzenia przypominał widok greckich wysp: te same ostre, kubistyczne linie w oślepiającym świetle.

Michaelowi podobało się tu, o czym natychmiast powiedział Rowan. Dom również wywarł na nim olśniewające wrażenie.

W architekturze willi przede wszystkim urzekło go to, że stanowiła taki kontrast z bogactwem stylu domu w Nowym Orleanie. Była dobrze zbudowana i

niewypowiedzianie piękna na swój sposób, z tą kubistyczną ascetycznością linii, czerwonymi dachówkami, grubymi dywanami i lśniącą niklem kuchnią.

Rowan czuła się rozczarowana jedynie brakiem miejsca do cumowania łodzi. Trzeba było jechać parę kilometrów dalej, do przystani po drugiej stronie autostrady, i przeprowadzać łódź przez port w Destin do Zatoki. Ale w zestawieniu z luksusem posiadania tak rozległego kawałka białej plaży, stanowiło to jedynie drobną niewygodę.

Kiedy Rowan i agent spisywali ofertę kupna, Michael wyszedł na splukany wodą pomost. Zmrużywszy oczy wpatrywał się w wodę, myśląc, że równowaga i spokój, które odczuwał, muszą mieć coś wspólnego z ciepłem i intensywnością otaczających go kolorów. Z perspektywy wydawało mu się, że barwy i odcienie w San Francisco zawierały w sobie zawsze jakąś domieszkę popiołu, niebo było na w pół skryte za mgłą, wilgocią lub wełną chmur.

Ten klarowny pejzaż morski nie miał nic wspólnego z szarością Pacyfiku i strzępami strasznych wspomnień, chwil kiedy leżał na noszach w helikopterze – obolały, dygocący z zimna w przemoczonym ubraniu. To była jego plaża i jego woda, one nie mogły go skrzywdzić. Do diabła, mógłby tu nawet polubić przebywanie na pokładzie „Sweet Christine”, choć, Bogiem a prawdą, robiło mu się trochę słabo na samą myśl o żeglowaniu.

Późnym popołudniem zjedli obiad w Destin, w dość obskurnej restauracji rybnej blisko portu. Było tu głośno, piwo podawano w plastikowych kubkach, ale jedzenie serwowano wyśmienite. Zachód słońca zastał ich na plaży obok motelu, usadowionych na wysłużonych drewnianych krzesłach. Michael notował, co trzeba zrobić po powrocie na Pierwszą, Rowan przysnęła obok niego. Włosy jej lekko spłowiwały, a skóra wyraźnie zbrązowiała przez ostatni tydzień spędzony na świeżym powietrzu i tę jedną godzinę na rozpalonej plaży. Patrząc na nią uświadomił sobie z bólem, jak bardzo jeszcze była młoda.

Obudził ją delikatnie, właśnie gdy gigantyczne krwawe słońce zaczęło tonąć w morzu, znacząc czerwoną smugą błyszczącą, szmaragdową wodę.

Oszołomiony tym widokiem, zamknął w końcu oczy, czując że musi się od niego oderwać. Gdy delikatny powiew bryzy musnął jego twarz, znowu uchylił powieki.

Koło dziewiątej, kiedy wrócili już z pobliskiej restauracji, w której zjedli znośną kolację, zadzwonił pośrednik. Oferta Rowan została przyjęta. Żadnych komplikacji. Wyposażenie domu: wiklinowe i drewniane meble, kuchnia, naczynia, wszystko było do kupienia. Można przystąpić do spisania umowy i zakończyć wszystkie formalności najszybciej, jak tylko się da. Za jakieś dwa tygodnie dostaliby klucze.

W niedzielne popołudnie odwiedzili przystań w Destin. Wybór łodzi był bajeczny. Ale Rowan ciągle łudziła się, że uda się posłać po „Sweet Christine”. Marzyła jej się porządna łajba, a tutaj nie widziała niczego, co dorównywałoby solidności i powabom starej pocziwej „Sweet Christine”.

Było już późne popołudnie, kiedy zdecydowali się wracać. Jechali szybko wzdłuż Mobile Bay, w radiu grano Vivaldiego, słońce zachodziło. Niebo wydawało się bezkresne, migocące magicznym światłem pod pułapem ciemniejących chmur, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność. W powietrzu unosił się zapach deszczu zmieszanego z upałem.

Dom. Miejsce, do którego należą. Gdzie niebo wygląda tak jak we wspomnieniach. Gdzie równina biegnie aż po horyzont. Gdzie powietrze jest przyjazne.

Szybko i cicho sunęli międzystanową autostradą. Mercedes-benz bez wysiłku mknął sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Czyste glissando skrzypiec nasycało skrzące się powietrze, słońce umierało w oślepiającej, złotej kąpeli. Ciemny, podmokły las zamykał się wokół nich, jakby wjeżdżali do Mississippi. Z hukiem mijali ich młodzi motocykliści, światła przydrożnych miasteczek migotały, resztki słonecznego blasku zmatowiały i zgasły.

Czy nie tęskni za dramatyzmem kalifornijskiego pejzażu, dopytywał się Michael. Czy nie brak jej tych stromych nadbrzeżnych skał i żółtych wzgórz?

Ona jednak patrzyła na to niebo jego oczami. Nigdzie nie ma takiego nieba jak tutaj. Nie, powiedziała miękko, za niczym nie tęskni. Może żeglować po różnych wodach, ciepłych wodach.

Po dłuższej chwili, kiedy ciemność była już tak zupełna, że widzieli tylko jarzące się światła samochodu przed nimi, powiedziała:

– To nasz miesiąc miodowy, prawda?

– Tak sędzę.

– Myślę, że to miłe. Póki nie zorientujesz się, kim naprawdę jestem.

– A kim jesteś?

– Chcesz zepsuć naszą idyllę?

– To niczego nie zepsuje – Michael rzucił na nią okiem. – Rowan, o czym ty mówisz? – Nie odpowiedziała. – Wiesz – ciągnął – jesteś jedyną osobą na świecie, którą kiedykolwiek poznałem naprawdę. Jesteś jedyną, której mogę dotykać bez tych idiotycznych rękawiczek. Wiem o tobie więcej niż ci się wydaje, Rowan.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – wyszeptała, prostując się na siedzeniu.

– A co tym razem masz na myśli?

– Ostatnio uświadomiłam coś sobie.

– Aż boję się zapytać, co?

– On nie ma zamiaru się pokazać, póki nie będzie gotowy.

– Wiem.

– On chce, byś teraz był tutaj. Stoi na uboczu, ustępuje ci pola. Pokazał ci się pierwszej nocy, żeby cię zwabić.

– Przyprawia mnie to o dreszcze. Dlaczego jest skłonny dzielić się tobą?

– Nie wiem – odpowiedziała. – Ale mimo że stworzyłam mu możliwości, nie ukazał się. Działy się dziwne rzeczy, zupełnie zwariowane, ale nie jestem nawet pewna...

– Jakie rzeczy, na przykład?

– Och, nie warto sobie tym zawracać głowy. Wiesz, jesteś zmęczony. Może

chciałbyś, żebym trochę poprowadziła?

– Dobry Boże, nie! Nie jestem zmęczony. Nie życzę sobie tylko, żeby był tu teraz, przy naszej rozmowie. Mam wrażenie, że i tak zjawi się niebawem.

* * *

Późną nocą Michael obudził się i stwierdził, że w dużym hotelowym łóżku leży sam. Znalazł Rowan w saloniku. Płakała.

– Kochanie, co ci jest?

– Nic, Michael. Nic, co nie przydarzałoby się każdej kobiecie raz w miesiącu – odpowiedziała, uśmiechając się z przymusem, trochę gorzko. – Po prostu... ach, pewnie pomyślisz, że zwariowałam, ale miałam nadzieję, że jestem w ciąży.

Ujął jej rękę, nie wiedząc czy najlepszą reakcją będzie pocałunek. Czuł się trochę rozczarowany, ale przede wszystkim szczęśliwy, że chciała mieć teraz dziecko. Przez cały czas obawiał się zadać jej to pytanie, a własna dotychczasowa beztroska martwiła go.

– Byłoby wspaniale, kochanie – powiedział. – Po prostu wspaniale.

– Naprawdę tak myślisz?

– Absolutnie i bez reszty.

– Michael, więc zrobmy to. Pobierzmy się.

– Rowan, nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym – wyznał szczerze. – Ale czy jesteś pewna, że ty tego chcesz?

– Nie wymigasz się – powiedziała i zabawnie zmarszczyła twarz. – Na co czekać?

Widząc jej minę, musiał się roześmiać.

– A co z Mayfairami, spółką z nieograniczoną odpowiedzialnością? Twoimi kuzynami i całą resztą? Dobrze wiesz, co na to powiedzą.

Potrząsnęła głową z wszystkowiedzącym uśmiechem.

– Czy chcesz znać moje zdanie? Bylibyśmy skończonymi głupcami, gdybyśmy tego nie zrobili.

Oczy miała jeszcze zaczerwienione, ale wyraźnie uspokoiła się. Wspaniale było na nią patrzeć, dotykać lekko jej twarzy. Nigdy nie doświadczył tego wcześniej aż tak, z nikim kogo znał, kogo kochał, o kim marzył.

– Och, chcę tego – wyszeptał – ale mam czterdzieści osiem lat. Urodziłem się w tym samym roku, co twoja matka. Chcę tego, pragnę całym sercem. Ale nie mogę zapominać o swoim wieku.

– Zróbmy wesele na Pierwszej, Michael – powiedziała miękko, przytłumionym głosem, mrużąc lekko oczy. – Co o tym myślisz? Czy nie byłoby świetnie? Urządzilibyśmy je od strony ogrodu.

Doskonały pomysł. Taki jak plany wybudowania szpitala za pieniądze Mayfairów. Po prostu doskonały.

Nie wiedział, co sprawiało, że się waha, ale nie mógł się temu oprzeć. Wszystko wydawało mu się zbyt piękne, by było prawdziwe, jej otwartość, jej miłość, i duma, którą w nim budziło przekonanie, że ta najwspanialsza z kobiet może go potrzebować i kochać tak bardzo, jak on potrzebuje i kocha ją.

– Ci twoi kuzyni napiszą mnóstwo dokumentów, żeby cię ochronić... no, wiesz – dom, spadek, te rzeczy.

– Nie ulega wątpliwości, zresztą to jest jakoś tam wprowadzone w zapis testamentu. Ale oni i tak prawdopodobnie wyprodukują cały stos papierów.

– Podpiszę je wszystkie za jednym zamachem.

– Michael, te akta są bez znaczenia. To, co mam, jest twoje.

– Chcę tylko ciebie, Rowan.

Jej twarz rozjaśniła się. Odwróciła się w jego kierunku i pocałowała go.

Nagle dotarło do niego, z całą imponującą wspaniałością: wezmą ślub. Stanie się mężem Rowan. I jej obietnica, absolutnie oszałamiająca obietnica, że będą mieli dziecko. Nie wiedział, jak reagować na tak całkowite uczucie szczęścia. Trochę go to niepokoiło. Ale tylko trochę.

Już wcześniej uświadamiał sobie, że są rzeczy, których muszą bronić za wszelką cenę. Chronić wspólne marzenia, plany, pragnienia przed ciemnymi siłami, które zetknęły ich, wyniosły ku sobie. Ale kiedy pomyślał o latach bolesnych doświadczeń, znów poczuł przyływ wielkiego, nie dającego się wyrazić szczęścia.

Nie próbował więc tego nawet. W ciszy przyplynał do niego fragment wiersza, mała fraza, w której udało mu się zamknąć całą radość jak chybotliwy płomyk w szklanym kloszu. Kiedy ta poetycka chwila minęła, poczuł się uspokojony, nie wypełniało go nic poza skrajną, niewyraźną miłością.

Patrzyli na siebie w absolutnym zrozumieniu. Wszystkie wątpliwości, przecucia klęski, nienawiść, jeśli nawet były częścią życia, nie miały w tej chwili najmniejszego znaczenia. Siedzieli wsłuchani w spokój, który był w nich samych.

Kiedy wrócili do sypialni, Rowan powiedziała, że chce, aby noc poślubną spędzili w domu przy ulicy Pierwszej, a potem pojechali na miesiąc miodowy na Florydę. Czyż nie był to najlepszy pomysł? Noc poślubna pod dachem rodowej rezydencji Mayfairów i przespanie wszystkich kłopotów. Oczywiście, jeśli uda się skończyć remont frontowej sypialni w ciągu kilku tygodni.

– Obiecuję ci to – powiedział Michael.

Oni w tym wielkim antycznym łożu! Słyszał już prawie głos ducha Belli: „Jak wspaniale, że jesteście razem”.

Rowan nie mogła zasnąć, kręciła się na łóżku, zmieniała pozycje, wtulała się w Michaela. Mimo świetnej klimatyzacji, prawie tak wspaniałej jak bryza nad Zatoki, było jej raz zbyt gorąco, raz za chłodno.

Ale co pociągnęło ją za szyję, wplątało się we włosy, raniło? Poruszyła się, by stracić niewidzialną marę, uwolnić się. Coś lodowatego gniotło jej piersi. Nie cierpiała tego.

Na wpół śpiąc, odwróciła się na plecy. Była znów na sali operacyjnej, zabieg należał do najtrudniejszych. Musiała przewidywać konsekwencje każdego ruchu, drgnienia ręki. Kontrolowała upływ krwi, zasklepienie się tkanek. Ciało operowanego mężczyzny leżało na stole rozcięte od krocza po głowę, widać było wszystkie organy wewnętrzne, pulsujące, czerwone, nieproporcjonalnie małe, czekające aż sprawi, że urosną do normalnych rozmiarów.

– Zbyt wiele oczekujecie ode mnie. Nie mogę tego zrobić – powiedziała. – Jestem neurochirurgiem, nie czarownicą.

Widziała każde naczynie krwionośne jego ramion i nóg, jakby był jednym z tych plastikowych manekinów oplatanych czerwoną siecią, na których pokazuje się dzieciom, jak wygląda system krwionośny. Małe stopy pacjenta drgały, kurczył i rozkurczał palce, chcąc, żeby urosły. Mężczyzna patrzył na nią, jego oczy były całkowicie pozbawione wyrazu.

Ponownie poczuła szarpnięcie za włosy i znowu odepchnęła od siebie to coś. W gwałtownym geście dotknęła palcem jakiegoś zimnego przedmiotu, czyżby

łańcucha?

Nie chciała przerwać tego snu. Miała świadomość, że śni, ale musiała wiedzieć, jak to się skończy, co się stanie z mężczyzną na stole operacyjnym.

– Pani doktor Mayfair, proszę odłożyć skalpel – powiedział Lemle. – Nie będzie już pani potrzebny.

– Nie, pani doktor – powiedział Lark. – Nie może go pani użyć.

Mieli rację. Było coś niewybaczalnie brutalnego w tym lśniącym stalowo, wąskim ostrzu. Wpatrywała się w długą, otwartą ranę, delikatne organy drgające jak rośliny, niczym ten monstrialny irys w ogrodzie. Jej umysł pracował gorączkowo, badając funkcjonowanie tkanek, komórek. Swoje spostrzeżenia przekładała na opis, który mogli zrozumieć początkujący lekarze: „Jak państwo możecie zauważyć, ilość komórek jest wystarczająca. A zatem najważniejsze jest dostarczyć im lepsze DNA, innymi słowy, pobudzić je do wzrostu”. I oto rana zamyka się nad organami o właściwych już rozmiarach, mężczyzna obraca głowę, a jego powieki opadają i otwierają się jak u lalki.

Aplauz wokół niej potężnieje. Rowan rozgląda się i nagle stwierdza ze zdziwieniem, że wszyscy wokół są Holendrami, zgromadzonymi na uniwersytecie w Lejdzie. Także ona ma wielki czarny kapelusz i obszerne, bufiaste rękawy. Oczywiście to „Lekcja anatomii” Rembrandta – dlatego ciało mężczyzny było tak malarsko oplecione siecią czerwonych linii, dlatego dokładnie widziała wszystko w jego wnętrzu.

– Och, dziecko, ależ ty masz dar, jesteś czarownicą – powiedział Lemle.

– To prawda – wtrącił się Rembrandt. Jaki miły, słodki staruszek. Siedział w rogu z przechyloną głową, a jego rdzawe włosy wydawały się mocno przerzedzone.

– Nie pozwól, by Petyr cię usłyszał – powiedziała.

– Rowan, zdejmij szmaragd – odezwał się Petyr. Stał o kilka centymetrów od stołu. – Pozbądź się go, jest na twojej szyi. No już!

Szmaragd?

Otworzyła oczy. Sen stracił wyrazistość, jak naprężona jedwabna kotara nagle uwolniona z mocujących ją lin i trzepocząca teraz na wietrze. Ciemność wokół Rowan zdawała się żyć.

Powoli znajome otoczenie wynurzało się z tła. Drzwi, stolik przy łóżku, Michael, ukochany Michael, śpiący obok niej.

Po raz kolejny poczuła chłodny ucisk na piersiach, dotknięcie we włosach, i wiedziała, co to było.

O Boże! – Zakryła usta ręką, ale nie mogła już powstrzymać cichego okrzyku. Zerwała to coś, co oplątywało jej szyję, straciła jak ohydny owada.

Wstała gwałtownie i zgięta w pół wpatrywała się w swoją otwartą dłoń, na której leżało coś przypominającego grudkę zakrzepłej, ciemnej krwi. Stłumiła oddech, ręka jej drżała. Przyjrząwszy się bliżej, stwierdziła, że trzyma przerwany stary łańcuszek ze szmaragdem.

Czy Michael słyszał okrzyk? Nie drgnął nawet, kiedy lekko się o niego oparła.

– Lasher – wyszeptała, wpatrując się w cienie, jakby usiłując dostrzec go gdzieś w mroku. – Chcesz, żebym cię znienawidziła? – Z jej ściśniętego gardła słowa wydobywały się z sykiem. Na moment świat snu stał się znów klarowny, jakby zdjęto z niego zasłonę. Wszyscy lekarze odeszli od stołu.

– Dobra robota, Rowan.

– To nowa epoka.

– Po prostu cudownie, Rowan – rzekł z uznaniem Lemle.

– Odrzuć to – powiedział Petyr.

Cisnęła szmaragd daleko od łóżka. Słyszała głucho, jakby bezradne stuknięcie w małym przedpokoju, gdzie właśnie upadł klejnot.

Zakryła twarz dłońmi. Nagle odniosła wrażenie, że na jej szyi, na piersi ten diabelski przedmiot pozostawił smugę kurzu i brudu. Zadrżała.

– Nienawidzę cię za to – wyszeptała w ciemność. – Czy tego chciałeś?

Wydawało jej się, że słyszy dalekie westchnienie, jakiś szelest. W saloniku

pod wpływem lekkiego powiewu poruszyły się zasłony, czy to stąd ten szmer?

Wsluchiwała się w powolny, spokojny oddech Michaela i zrobiło jej się głupio, że tak cisnęła drogocenny kamień. Siedziała skulona, z dłońmi przyciśniętymi do ust, wpatrując się w cienie.

W porządku, czy rzeczywiście wierzysz w te stare legendy? Dlaczego tak drżysz? To jeszcze jedna sztuczka, wcale nie bardziej wymyślna niż taniec drzew na wietrze, albo sprawienie, by poruszał się złamany irys. Po prostu ruch. Nie, to coś więcej. A może tylko złudzenie? W gruncie rzeczy... I wtedy przypomniała sobie te dziwne, ogromne róże na stole w holu. Nigdy nie zapytała ani Pierce'a, ani Geralda skąd się wzięły. Dlaczego jesteś taka przerażona?

Wstała, narzuciła coś na siebie i weszła do holu. Michael spał spokojnie.

Podniosła klejnot z dywanu i owinęła ostrożnie przerwanym łańcuszkiem. Wydawało jej się okropne, że ten kruchy, stary przedmiot został uszkodzony.

– To było głupie – wyszeptała. – Nigdy go już nie założę, nie z własnej woli.

Michael przewrócił się na drugi bok, sprężyny cicho jęknęły. Czy wyszeptał coś? Może jej imię?

Wróciła cicho do sypialni, na kolanach przeszukała pokój, znalazła gdzieś w kącie kosmetyczkę i schowała naszyjnik do kieszonki.

Nie dygotała już teraz. Ale jej strach, jak w retorcie alchemika, zmienił się we wściekłość. I wiedziała, że już nie uśnie.

* * *

Siedziała samotnie w salonie w świetle wschodzącego słońca i przypominała sobie portrety w domu, oczyszczone i przygotowane do powieszenia. Myślała o tych najstarszych, na których widniały twarze nierozpoznawalne przez nikogo z rodziny. Tylko ona mogła je zidentyfikować. Oto wizerunek Charlotty z blond włosami, tak wyblakły pod pokrywającym go lakierem, że dziewczyna wygląda jak duch. A to Jeanne Louise z bratem bliźniakiem, który stoi tuż za nią. Obok

portret posiwiąlej Marie Claudette, z małym obrazkiem Riverbend wiszącym w tle.

Wszystkie kobiety nosiły szmaragd. Tyle ujęć jednego klejnotu. Zamknęła oczy, drzemała trochę na pluszowej kanapie, marząc o kawie, ale była zbyt zaspana, by ją sobie zrobić. Wiedziała, że o czymś śniła, ale nie mogła sobie przypomnieć o czym. Miało to jakiś związek ze szpitalem i operacją. Był tam znienawidzony przez nią Lemle...

I ciemnousty irys, który za sprawą Lashera...

Tak, znam twoje sztuczki. To ty sprawiłeś, że stał się taki ogromny, a na łożdźce martwej róży wyrosły liście. To ty, prawda? Nikt w rzeczywistości nie zdaje sobie sprawy z tego, jaki jesteś potężny. Skąd bierzesz swoją postać, kiedy się pojawiaasz? I dlaczego nie zmaterializujesz się, aby stanąć przede mną? Boisz się, że rozproszę cię na cztery strony świata i już nigdy nie znajdziesz w sobie siły, by skupić na nowo potrzebną energię?

Śniła znowu, czyż nie? Jakieś obrazy, kwiat zmieniający się jak ten irys, przekształcający się na jej oczach, komórki mnożące się, mutujące...

Ale czy to były tylko sztuczki, podobnie jak nałożenie na jej szyję łańcuszka ze szmaragdem, kiedy spała? „A więc, panowie i panie – powiedział kiedyś Lark, stając przy łożku umierającego mężczyzny, pogrążonego w stanie śpiączki – zrobiliśmy parę nowych sztuczek, nieprawda?”

Co by się zdarzyło, gdyby wypróbowała jakiś numer z własnego repertuaru? Na przykład poleciała komórkom umierającego mnożyć się, przekształcać, odnawiać i zasklepić uszkodzone tkanki? Nie wiedziała, jak daleko może się posunąć.

Tak, śniła. Ktoś przechadza się holem uniwersytetu w Lejdzie. Wiesz dobrze, co zrobili z Michaelem Servetusem w kalwińskiej Genewie, kiedy szczegółowo opisał system krwionośny w 1553 roku. Spalili go na stosie razem z jego heretycką książką. Bądź ostrożny, doktorze van Abel.

Nie jestem czarownicą.

Oczywiście, nikt nie jest. To tylko kwestia ciągłego określania na nowo pojęcia naturalnych praw.

Te róże na pewno nie należały do świata naturalnego.

To wszystko twoje sztuczki – podmuch powietrza, sposób, w jaki porusza zasłony i każe im tańczyć, szeleści papierami na stoliku, płacze włosy, chłodzi twarz. Czy pacjenci w Lejdzie zawsze podnosili się ze stołu operacyjnego i wychodzili po lekcji anatomii?

Ale ty sam nie ośmielisz się ukazać, prawda?

* * *

Rowan spotkała się z Ryanem o dziesiątej i powiedziała mu o swoich planach matrymonialnych. Starła się przedstawić to jako rzecz już definitywnie postanowioną, nie podlegającą dyskusji. Nie chciała go prowokować do zadawania jakichkolwiek pytań.

– I jeszcze jedno. Mam do ciebie prośbę – powiedziała i wyjęła szmaragdowy wisior ze szkatułki. – Czy mógłbyś wrzucić to do jakiegoś sejf? Po prostu zamknąć gdzieś, tak żeby nikt nie miał do tego dostępu?

– Oczywiście. Przechowam naszyjnik tutaj, w biurze – odpowiedział. – Ale Rowan, są pewne rzeczy, które muszę ci wyjaśnić. Proszę, zachowaj cierpliwość. Tekst legatu jest bardzo stary – te zasady, podpunkty, ograniczenia, wszystko to dość dziwaczne, osobliwe, niemniej kategorycznie sformułowane. Obawiam się, że wymagane jest, żebyś na ślubie miała na sobie szmaragd.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Zrozum, takie drobne obwarowania prawdopodobnie najłatwiej zmienić i można by to zrobić sądownie, ale zawsze trzeba bardzo uważać, żeby nie stworzyć nawet najmniejszej możliwości podważenia prawomocności dokumentu, a przy tak wielkiej fortunie, dziedziczonej przez jedną osobę...

I tak dalej, i tak dalej, Ryan tokował z prawniczą swadą, ale Rowan szybko

zrozumiała, o co chodzi. Ta runda należała do Lashera. On znał zastrzeżenia testamentu. Po prostu obdarował ją prezentem odpowiednim do okazji.

Jej gniew był chłodny, mroczny, jak zawsze, kiedy była naprawdę wściekła. Wyglądała przez okno biura, nawet nie widząc pokrytego chmurami nieba i pobrużdżonej silnymi podmuchami wiatru rzeki.

– Muszę dać złoty łańcuszek do reperacji – powiedziała. – Wydaje mi się, że jest uszkodzony.

* * *

Po drodze w jakiejś knajpce zjadła kanapki i wypła holenderskie piwo, około pierwszej wróciła do domu. Michael był radośnie podekscytowany. Dokonał ciekawego znaleziska w postaci starych nowoorleańskich cegieł, które tkwiły za domem pod warstwą ziemi. Zachwycił się nimi, były oryginalne i rzadkie, postanowił użyć ich do budowy nowych słupów przy bramie. Znalazł również zachomikowane na strychu stare plany.

– Wyglądają na autentyczne – powiedział. – Musiały być sporządzone przez samego Darcy’ego. Chodź, zostawiłem je tam. Są bardzo kruche.

Rowan szła za nim po schodach. Jak wspaniale wyglądał świeżo pomalowany dom, nawet pokój Deirdre był piękny, tak jak zawsze powinien być.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Czy powinien wiedzieć, że ona musi mieć na sobie ten cholerny klejnot w dniu ślubu? – zastanawiała się. Może pożegnać się z wszystkimi marzeniami o Centrum Medycznym Mayfairów i całą resztą planów, jeśli nie spełni tego warunku. Michael chyba oszalał. Nie, nie zniosłaby strachu w jego oczach. Nie chciała go oglądać wstrząśniętego i słabego, to o to chodziło przede wszystkim.

Tak, wszystko w porządku – odpowiedziała. – Spędziłam po prostu cały ranek w mieście. Wiesz, znowu z tymi prawnikami. Stęskniłam się za tobą –

objęła Michaela, wtulając twarz w jego szyję – bardzo, bardzo się stęskniłam.

Nikt nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaskoczony nowiną o ślubie. Aaron wznosił przy śniadaniu toast na ich cześć, a potem wrócił do pracy w bibliotece na ulicy Pierwszej, gdzie na prośbę Rowan katalogował rzadkie książki. We wtorkowe popołudnie zjawił się z gratulacjami Ryan, jak zwykle wymowny, patrzący chłodno swoimi niebieskimi oczami. W czasie krótkiej, miłej rozmowy dał jasno do zrozumienia, że jest pod wrażeniem dotychczasowych osiągnięć Michaela, co mogło oczywiście oznaczać tylko jedno: drogą oficjalną sprawdzili jego stan majątkowy, tak jakby był człowiekiem starającym się o posadę.

– Zdaję sobie sprawę, że takie śledztwo wobec narzeczonego spadkobierczyni fortuny Mayfairów, to coś okropnego i trudnego do zniesienia – przyznał się w końcu Ryan – ale rozumiesz, nie miałem wyboru...

– Nie przejmuj się – Michael uśmiechnął się lekko. – Jeśli czegoś nie mogłeś wyszperać, a chciałbyś to wiedzieć, po prostu zapytaj.

– W porządku, więc na początek wyjaśnij, jak to się stało, że radziłeś sobie zawsze tak dobrze, nie ocierając się o nielegalne działania?

Michael roześmiał się z tego komplementu.

– Kiedy zobaczysz ten dom za kilka miesięcy, zrozumiesz.

Nie był na tyle głupi, aby myśleć, że jego majątek zrobił wrażenie na tym facecie. Cóż bowiem znaczyło kilka milionów w dobrych papierach wartościowych wobec fortuny Mayfairów? Tak naprawdę chodziło o małą

pogawędkę o porządku rzeczy i ludzi w Nowym Orleanie. Pochodził z innej strony ulicy Sklepowej i ślady tego wciąż jeszcze było słychać w akcencie. Ale Michael przestał się już przejmować takimi rzeczami.

Przechadzali się po świeżo skoszonej trawie. Bukszpan – przycięty i zadbany – zamykał perspektywę ogrodu. Widać było klomby rozmieszczone dokładnie tak jak przed wiekiem i małe rzeźby greckie stojące w czterech rogach dziedzińca.

Cały klasycystyczny układ ogrodu i otoczenia domu został wiernie odtworzony. Ośmiokątny trawnik znajdował swoje powtórzenie w identycznym kształcie basenu. Idealnie kwadratowe płyty chodnikowe układały się w regularny wzór obramowany wapiennymi klockami, dzielącymi patio na prostokąty i wyznaczającymi ścieżki. Alejki przecinające się pod kątem prostym otaczały i dom, i cały ogród. Słupy przy bramie zostały naprawione, a ogrodzenie oczyszczono i pomalowano, przywracając dawną świetność powtarzającym się wzorom rozet.

Tak, wzory, wszędzie gdziekolwiek spojrzysz geometryczny schemat istniejący jakby na przekór mirtom, kameliom o połyskliwych liściach, starym różom, które oplotły kraty, i całej tej bujnej roślinności, walczącej o dostęp do światła w jaśniejszych plamach tworzonych przez promienie słoneczne.

Około drugiej zjawiała się Beatrice, by porozmawiać o weselu. W ogromnym różowym kapeluszu i dużych kwadratowych okularach w srebrnej oprawce wyglądała nieco teatralnie. Rowan wyznaczyła datę ślubu na sobotę przyszłego tygodnia.

– To za dziesięć dni! – alarmująco zauważyła Beatrice.

Nie, wszystko powinno być zrobione właściwie. Czy Rowan nie rozumie, jak ważny dla rodziny będzie ten ślub? Ludzie mogliby nie chcieć przyjechać z Atlanty i Nowego Jorku.

Ceremonia może się odbyć dopiero w końcu października. Poza tym przecież Rowan chce, aby renowacja domu została wcześniej ukończona. Dla

wszystkich tak wiele znaczyłoby obejrzenie rezydencji.

W porządku, powiedziała Rowan. Ja i Michael poczekamy tak długo, tym bardziej, że chcielibyśmy spędzić noc poślubną w domu, a i przyjęcie mogłoby się odbyć tutaj.

Zgoda, powiedział Michael: to dałoby nam osiem pełnych tygodni na doprowadzenie wszystkiego do porządku. Oczywiście parter zostanie w tym czasie skończony, zrobi się również frontowe sypialnie na górze.

– Mielibyśmy zatem podwójną uroczystość, prawda? – powiedziała Bea. – Wasz ślub i ponowne otwarcie domu. Wprawicie wszystkich w absolutny zachwyty.

Tak, oczywiście, każdy Mayfair na świecie musi być zaproszony. Beatrice sięgnęła po listę dostawców. Posiadłość może pomieścić tysiące osób, jeśli ustawić namioty wokół basenu i na trawniku. Niczym się nie martw. Dzieci pewnie będą szaleć w wodzie.

Wszystko mogłoby się odbyć jak za dawnych dobrych czasów, kiedy żyła jeszcze Mary Beth. Może Rowan chciałaby kilka starych fotografii z ostatnich przyjęć wydanych przed śmiercią Stelli?

– Przygotujemy wszystkie zdjęcia na wesele – powiedziała Rowan. – To ma być moje ponowne wejście do rodziny. Pokażemy je, by wszyscy mogli się nimi nacieszyć.

– Zapowiada się fantastycznie! – wykrzyknęła Beatrice. Nagle odwróciła się i wzięła Michaela za rękę.

– Czy mogę cię o coś zapytać, kochanie? Teraz, kiedy wszedłeś do rodziny? Dlaczego, na Boga, nosisz te potworne rękawiczki?

– Widzę różne rzeczy, kiedy dotykam ludzi – odpowiedział, zanim zastanowił się, co robi.

– Och, jakie to intrygujące! – Jej szare oczy pojaśniały. – Czy wiedziałeś, że Julien miał ten sam dar? W każdym razie tak mi zawsze mówiono. I Mary Beth również. Kochanie, pozwól, proszę.

Zaczęła odwijać czarną rękawiczkę, a jej długie, wypielęgnowane paznokcie lekko drapały jego skórę.

– Czy mogę? Nie masz nic przeciwko temu? – Zerwała mu ją z ręki i odrzuciła z triumfującym, ale niewinnym uśmiechem.

Nie zrobił nic. Stał w miejscu, z obnażoną dłonią o lekko pomarszczonych od wilgoci opuszkach palców. Patrzył jak Bea dotyka jego ręki i lekko ją ścisła. W okamgnieniu dotarł do niego natłok chaotycznych obrazów. Wszystko to napłynęło i oddaliło się tak szybko, że nie był w stanie zatrzymać żadnej wizji, pozostało mu tylko ogólne wrażenie, jakaś aura światła słonecznego, świeżego powietrza, zdrowia i bardzo wyraźny przekaz: *Niewinni. Nikt z nich.*

– Co zobaczyłeś? – spytała Bea.

Patrzył na jej usta przestające się poruszać, zanim słowa dotarły do niego wyraźnie.

– Nic szczególnego – odpowiedział, czując, że powraca skądś. – Można by to uznać za absolutne potwierdzenie dobra i pomyślności.

Nic. Żadnych cierpień, smutków, chorób, nic z tych rzeczy. – W pewnym sensie była to całkowita prawda.

– Och, jesteś kochany – powiedziała, z twarzą bez wyrazu, ale szczerze i rzuciła się, by go pocałować. – Gdzie ty znalazłaś takiego mężczyznę? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, wykrzyknęła: – Lubię was oboje! To coś więcej niż kochać – tego się można było spodziewać. Ale lubić was?! Co za niesamowita niespodzianka! Jesteście rzeczywiście wspaniałą parą: Michael z tymi swoimi niebieskimi oczami i Rowan z głosem słodszy niż miód. Mogłabym uściskać cię, chłopcze, za każdym razem, kiedy się do mnie uśmiechasz – nie rób tego teraz, jak śmiesz?! – i zawsze mam ochotę przytulić Rowan, kiedy wypowiada słowo! Każde, pojedyncze słowo!

– Czy mogę cię pocałować w policzek, Beatrice? – spytał Michael czule.

– Dla ciebie, młody człowieku: kuzynko Beatrice – odpowiedziała z nieco teatralnym westchnieniem. – Zrób to! – Zamknęła oczy i po chwili otworzyła je z

promiennym wyrazem twarzy.

Rowan uśmiechnęła się do nich lekko, trochę oszołomiona. Okazało się, że Beatrice zabiera ją do miasta, do biura Ryana. Nie cierpiące zwłoki formalności prawne. Obrzydliwość.

Kiedy wyszły, Michael zobaczył, że jego rękawiczka wciąż leży na trawie. Podniósł ją i nałożył.

Nikt z nich.

Ale kto to powiedział? Kto uporządkował i sformułował tę informację? Może staje się w tym coraz lepszy, umie już zadawać pytania, tak jak Aaron próbował go nauczyć.

Chociaż, prawdę mówiąc, wtedy nie przywiązywał specjalnej wagi do tego aspektu ich lekcji. Przede wszystkim chciał tę moc odsunąć od siebie. Cokolwiek by o tym myśleć, po raz pierwszy od czasu, kiedy zwałił się na niego ten potok wrażeń, otrzymał jasną, wyraźną wiadomość – nieskończenie bardziej klarowną i zwięzłą niż odbierane dotychczas obrzydliwe sygnały. Była na swój sposób tak przejrzysta jak przepowiednia Lashera.

Podniósł z wolna wzrok. Ktoś stał w głębokim cieniu od strony werandy i przyglądał mu się. Nie, nie było tam nikogo. Tylko malarze pracowali przy metalowych elementach domu. Po usunięciu starej moskitiery i prowizorycznych rusztowań, ganek wyglądał bardzo okazale. Stanowił pomost między długim, podwójnym salonem i pięknym trawnikiem.

Tutaj się pobierzemy, pomyślał rozmarzony. Jakby w odpowiedzi wielki mirt ugiął się łagodnie pod naporem bryzy i zaczął tańczyć w takt delikatnych podmuchów, a jego jasne, różowe kwiaty poruszały się z wdziękiem na tle błękitu nieba.

* * *

Kiedy wrócił tego popołudnia do hotelu, czekała tam na niego koperta

zostawiona przez Aarona. Rozerwał ją, zanim dotarł do swego apartamentu. Jednak zawartość wyjął dopiero wtedy, gdy zatrzasnął za sobą drzwi pokoju, odgradzając się od świata. Wewnątrz była lśniąca, kolorowa fotografia obrazu.

Z ciemnego, gęstego tła, po którym Michael rozpoznał rękę Rembrandta, spoglądała na niego piękna, ciemnowłosa kobieta – żywa, uśmiechająca się tym samym uśmiechem, który widział tylko na wargach Rowan. Szmaragd Mayfairów lśnił w mistrzowskim półcieniu. Iluzja była tak boleśnie doskonała, że papier odbitki mógłby rozplynieć się i pozostawić postać tej kobiety unoszącą się w powietrzu, pajęczko ulotną jak duch.

Czy była to Debora, kobieta, którą ujrzał kiedyś w swych wizjach? Nie wiedział. Wstrząs rozpoznania nie nadchodził, mimo że długo wpatrywał się w portret.

Ściągnął rękawiczki i dotknął zdjęcia, ale nie uzyskał niczego, poza irytująco bezsensownymi obrazami przypadkowych osób, przez których ręce przeszła fotografia. Usiadł na kanapie, trzymając zdjęcie. Miał pewność, że gdyby dotknął samego obrazu, skutek byłby podobny.

– Czego ode mnie chcesz? – wyszeptał.

Spoza niewinności i czaru ciemnowłosa dziewczyna uśmiechała się do niego. Nieznajoma. Zatrzymana na zawsze w swojej krótkiej i pełnej dramatu dziewczęcości. Początkująca czarownica i nic więcej.

Ale ktoś przesłał mu informację tego popołudnia, kiedy ręka Beatrice dotknęła jego dłoni! Ktoś użył tej mocy w jakimś celu. A może był to po prostu jego głos wewnętrzny?

Odłożył rękawiczki, przyzwyczał się to robić w dniach samotności. Wyjął pióro z notesem i zaczął pisać. „Tak, myślę, że była to mała próbka konstruktywnego użycia mocy. Wizje utworzyły wiadomość. Nie jestem pewien, czy coś takiego zdarzyło mi się już wcześniej, nawet tego dnia, kiedy dotykałem słójów. Wtedy Lasher zwracał się do mnie bezpośrednio, ale wszystko się na siebie nakładało: obrazy i wiadomości. To było trochę co

innego”.

A gdyby tak dziś wieczór dotknąć ręki Ryana przy stole na obiedzie w Sali Karaibskiej? Co wtedy powiedziałby mu głos wewnętrzny? Zdał sobie sprawę, iż po raz pierwszy pragnie użyć swojej mocy. Zapewne dlatego, że nieoczekiwany eksperyment z Beatrice poszedł tak dobrze.

Lubił ją zawsze, być może więc zobaczył to, co chciał zobaczyć. Zwykłą ludzką istotę, część tej falującej rzeczywistości, która tyle znaczyła dla niego i dla Rowan.

– Ożenię się pierwszego listopada. Boże, muszę zadzwonić do ciotki Viv! Byłaby rozczarowana, gdybym jej nie zawiadomił.

Podłożył fotografię na stoliku przy łóżku Rowan, aby ją obejrzała.

Znalazł tam piękny biały kwiat, który przypominał dobrze znane lilie, ale wyglądał jakoś inaczej. Podniósł go i badał, próbując uzmysłwić sobie, co w nim jest dziwnego, aż stwierdził, że roślina była dużo większa niż te, które dotąd widywał, a jej płatki wydawały się niezwykle delikatne.

Piękna. Musiała ją tu położyć Rowan. Wszedł do łazienki, napełnił wazon wodą, włożył do niego kwiat i odstawił na stolik.

* * *

W trakcie obiadu zapomniał o planie dotknięcia ręki Ryana. Przypomniał sobie o tym dopiero na górze, siedząc nad książką. Był zadowolony, że nie zrealizował swojego zamiaru. Obiad był taki udany, opowiadali z młodym Pierce’em stare, nowoorleańskie legendy. Michael pamiętał ich sporo, Rowan słyszała je po raz pierwszy. Potem Pierce, odgrywając zabawne scenki, opowiadał rozmaite anegdoty o kuzynach, wszystko to było lekkie i czarujące. Ale matka Pierce’a, Gifford – piękna, wypiełgnowana brunetka, również Mayfair z domu – przyglądała się Michaelowi i Rowan z obawą, przez cały wieczór prawie w ogóle się nie odzywając.

Obiad w Sali Karaibskiej był oczywiście jeszcze jednym z tych momentów, którymi cieszył się w duchu, znajdując w nich radość powrotu do marzeń z czasów dzieciństwa. Przypominał sobie, jak był tu z matką jako chłopiec, gdy ciotka Viv przyjechała w odwiedziny i po raz pierwszy w życiu jadł obiad w prawdziwej restauracji, w tej samej sali.

I pomyśleć, że spotka się tu z ciotką przed końcem następnego tygodnia. Zaproszenie na ślub wprawiło ją w lekkie zakłopotanie, ale obiecała, że przyjedzie. Dzięki Bogu!

Postanowił ulokować ją w luksusowej części miasta, przy Alei świętego Karola, w jednym z tych nowych domów z pięknymi mansardowymi dachami i francuskimi oknami. Coś w sam raz na okres karnawału – można z własnego balkonu obserwować paradę. W gruncie rzeczy teraz był w stanie spełnić jej wszystkie zachcianki. Mogłaby wziąć taksówkę, dokądkolwiek by zechciała. Kiedy tu przyjedzie, będzie musiał jej bardzo delikatnie dać do zrozumienia, że na stałe osiadł w Nowym Orleanie, że nie zamierza wracać do Kalifornii, a dom przy ulicy Wolności nie jest już jego domem i nigdy nie będzie.

Około północy odłożył książki i poszedł do sypialni. Rowan właśnie zapaliła światło.

– Kochanie – odezwał się – gdybyś zobaczyła tę rzecz, powiedziałaabyś mi, prawda?

– O czym mówisz?

– Gdybyś zobaczyła Lashera, powiedziałaabyś mi. Od razu.

– Oczywiście, że tak. Jak możesz nawet pytać? Chodź już do łóżka, Michael.

Zobaczył portret Debory oparty o lampę. Wspaniała biała lilia stała przed nim.

– Piękna, prawda? – odezwała się Rowan. – Nie sądzę, żeby istniał jakikolwiek sposób, by namówić Talamaskę na rozstanie się z oryginałem obrazu.

– Trudno powiedzieć, ale pewnie nie. Wiesz, ta lilia jest rzeczywiście

niesamowita. Mógłbym przysiąc, że kiedy wkładałem ją po południu do wody była pojedyncza, teraz spójrz, są trzy duże kwiaty na łodydze. Musiałem nie zauważyć pąków.

Rowan wyglądała na zaintrygowaną. Wyciągnęła rękę, ostrożnie wyjęła roślinę z wody i przyglądała jej się.

– Co to za gatunek lilii? – zapytała.

– Wygląda jak takie, które nazywają tu wielkanocnymi, ale one nie kwitną o tej porze. Skąd ją wzięłaś?

– Ja? Nigdy jej przedtem nie widziałam.

– Myślałem, że to ty ją gdzieś zerwałaś.

– Nie, to nie ja.

Ich oczy spotkały się. Rowan pierwsza odwróciła wzrok, lekko marszcząc brwi, i odłożyła lilię do wazonu, mówiąc:

– Może ktoś nam dał mały prezent.

– Dlaczego tego nie wyrzucisz?

– Nie złość się, Michael. To tylko kwiatek. A nasz tajemniczy nieznajomy ma mnóstwo takich sztuczek w zanadrzu, pamiętasz?

– Wcale się nie denerwuję, ale ona więdnie. Zobacz, brązowieje, wygląda dziwnie. Nie podoba mi się.

– W porządku, – powiedziała spokojnie. – Wyrzucę ją. Ale nie martw się niczym.

– Oczywiście, czym miałbym się martwić? Po prostu jakiś trzystuletni demon kombinuje po swojemu, sprawia, że kwiaty fruną w powietrzu. Dlaczego nie skaczę w górę z radości na widok lilii pojawiającej się zniemacka nie wiadomo skąd? Do diabła, może on to zrobił dla Debory? Jaki piękny gest!

Odwrócił się i spojrzał na fotografię raz jeszcze. Jak wiele postaci u Rembrandta, ciemnowłosa Debora zdawała się spoglądać dokładnie na patrzącego.

Cichy śmiech Rowan zaskoczył Michaela.

– Kiedy się wściekasz, wyglądasz jeszcze ładniej – powiedziała. – I to prawdopodobnie idealnie wyjaśnia, dlaczego ten kwiat się tu pojawił.

– Tak, to właśnie to, co zawsze w takich sytuacjach mówią w filmach. I widzowie już wiedzą, że bohaterowie są stuknięci.

Wyniósł lilię do łazienki i wyrzucił do śmieci. Rzeczywiście zwiędła. Żadna strata, bez względu na to skąd, u diabła, wziął się ten kwiat.

Czekała na niego i kiedy wrócił do sypialni otoczyła go ramionami, łagodna i zapraszająca. Zapomniał o wszystkich swoich książkach.

* * *

Następnego popołudnia samotnie przechadzał się ulicą Pierwszą. Rowan z Cecylią i Clancy Mayfair robiła rundę po najmodniejszych sklepach centrum.

Dom był cichy i pusty, kiedy do niego wszedł. Nawet Eugenia spędzała wieczór z synami i wnukami. Miał go wyłącznie dla siebie.

Chociaż prace postępowały w imponującym tempie, ciągle w każdym kącie poniewierały się jakieś ubrania robocze i narzędzia. Okna były jeszcze brudne i ogołoczone z okiennic, które leżały na zewnątrz na trawie, czekając na zeszlifowanie i pomalowanie.

Wszedł do salonu i przez długi czas wpatrywał się we własne mgliste odbicie w lustrze nad kominkiem. Żar palącego się papierosa wyglądał niczym błędny ognek.

W domach takich jak ten nigdy nie jest naprawdę cicho. Nawet teraz słyszał lekki trzask krokwi i skrzypienie podłóg. Mógłby przysiąc, że ktoś chodzi na górze, choć dobrze wiedział, że nikogo tam nie ma. Teraz zaś, gdzieś daleko, w kuchni stuknęły zamykane drzwi, a z oddali dobiegał dźwięk podobny do płaczu dziecka.

Ale nie było tu nikogo. To nie po raz pierwszy i zapewne nie po raz ostatni wślizgiwał się samotnie do opustoszałej rezydencji – sprawdzał dom i siebie

samego.

Wolno przeszedł przez jadalnię, zacienioną kuchnię, po czym wyszedł na zewnątrz francuskimi drzwiami. Latarnie przy odnawianym pawilonie i reflektorki podświetlające basen rozjaśniały łagodnie ciemność wieczoru. Oświetlały przystrzyżony żywopłot, drzewa oraz meble ogrodowe rozstawione malowniczo na wymytych płytach patio.

Basen był już całkowicie wyremontowany i gotowy do użytku. Wyglądał olśniewająco – ośmiokąt intensywnie niebieskiej wody wypełniającej wnętrze aż po brzegi, lekko falującej i błyszczącej w półmroku.

Ukląkł i zanurzył w niej rękę. Zdawała się odrobinę zbyt ciepła jak na początek września. Ale była świetna do pływania w ciemności.

Wpadł mu do głowy pomysł – czemu nie wskoczyć do basenu od razu? To trochę nie w porządku wobec Rowan. Pierwszy skok do basenu to coś, co powinno się robić wspólnie. Ale, do diabła! Bez wątpienia ona świetnie się bawi w towarzystwie Cecylii i Clancy, a woda jest taka kusząca. Nie pływał w basenie od wieków.

Odwrócił się i spojrzał na dom – kilka oświetlonych okien w ciemnofioletowej ścianie budynku. Nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Szybko zdjął ubranie, nawet slipy. Wskoczył do basenu i bez chwili namysłu zanurzył się w wodzie.

Boże! Wszystko wokół ożyło. Zanurkował i dotknął rękami niebieskiego dna, następnie obrócił się tak, że widział światła odbijające się w lustrze wody nad nim.

Wyłynął na powierzchnię. Otrząsnął włosy z wody i spojrzał w górę na gwiazdy. Wokół było hałaśliwie! Słyszał śmiechy, szmer rozmów, głośne dyskusje, ożywione głosy, a w tle zawodzenie orkiestry dixielandowej.

Odwrócił się zdziwiony i zobaczył trawnik wypełniony ludźmi, rozjaśniony blaskiem latarni. Młode pary tańczyły wszędzie – na płytach patio i wprost na trawie. Wszystkie okna w domu były oświetlone. Jakiś młody mężczyzna w

ciemnej wizytowej marynarce wskoczył właśnie do basenu, tuż przed nim, a fontanna wody zalała Michaelowi oczy i oślepiła na moment.

Woda nagle wypełniła mu usta. Gwar był teraz przygłuszony. Z odległego końca basenu jakiś mężczyzna we fraku i białym krawacie kiwał do niego.

– Michael! – krzyczał. – Wychodź natychmiast, chłopie, póki nie jest za późno!

Brytyjski akcent; to był Arthur Langtry. Michael rzucił się gwałtownie, płynąc szybko w jego stronę. Ale po kilku ostrych wyrzutach ramion stracił impet. Przeszywający ból ugodził go pod żebrami. Zatrzymał się i obrócił bezradnie w miejscu. Złapał za krawędź basenu i wynurzył się. Noc wokół niego była cicha i spokojna.

Przez sekundę nawet nie drgnął. Tkwił tak niemal całkowicie pozbawiony tchu, usiłując zapanować nad łomotem serca, czekając aż ostry ból minie. Jego wzrok przesuwiał się po pustych trawnikach i patio, po ciemnych dziurach okien.

Potem próbował wydzwignąć się z basenu. Jego ciało stało się nieprawdopodobnie ciężkie, było mu zimno nawet w upale. Stał tak przez moment drżąc, a później wszedł do pawilonu. Znalazł tam jeden z zabrudzonych ręczników, którego używał, gdy mył tu ostatnio ręce. Osuszył się nim i wrócił do ogrodu. Spojrzał na ciemny dom. Świeżo pomalowane fioletowe ściany budynku miały teraz dokładnie taki sam kolor jak niebo nad nim – zapadał zmierzch.

Jego głośny oddech był jedynym dźwiękiem, który rozlegał się w spokojnej ciszy. Ból ustąpił; próbował oddychać powoli i głęboko.

Był przestraszony? Zły? Naprawdę nie wiedział. Być może to szok. Trudno powiedzieć. Czuł się jakby przebiegł półtora kilometra w cztery minuty, zaczynała go boleć głowa. Zmuszając się do powolnych ruchów, włożył ubranie. Nie pozwolił sobie natychmiast wsiąść do samochodu i odjechać.

Usiadł na metalowej ławeczce i przez dłuższą chwilę palił papierosa, przyglądając się uważnie otoczeniu. Próbował dokładnie przypomnieć sobie to,

co widział. Ostatnie przyjęcie Stelli. Arthur Langtry.

Następna sztuczka Lashera?

Wydawało mu się, że daleko, za trawnikiem, wśród kamelii ktoś się poruszył. Słyszał odgłos kroków. Ale to tylko wieczorny przechodzień, ktoś podglądający wnętrze ogrodu przez liście.

Wsluchiwał się długo w milknące echo, aż ucichło zupełnie. Doszedł do niego dźwięk pociągu jadącego wzdłuż rzeki. Pamiętał, że słyszał go też na ulicy Wniebowzięcia, kiedy był chłopcem, i znowu ten głos, który brzmi jak płacz dziecka, a jest po prostu pogwizdywaniem parowozu.

Podniósł się, odrzucił papierosa i wrócił do domu.

– Nie przestraszysz mnie – rzucił za siebie. – Nie wierzę, że to był Arthur Langtry.

Czy ktoś westchnął w ciemności? Obejrzał się. Wokół nie było niczego poza pustą jadalnią. Niczego poza wysokimi drzwiami do holu. Wszedł do środka, nie starając się tłumić kroków.

Brzmiały głośno i natrętnie.

Jakiś słaby stuk. Zamykające się drzwi? I dźwięk wydawany przez otwierane okno – lekka wibracja szklanej tafli szyby.

Obrócił się i ruszył po schodach na górę. Obszedł najpierw frontowe pokoje, a potem pozostałe pomieszczenia. Nie zawracał sobie głowy zapalaniem światła. Znał drogę pomiędzy starymi meblami tkwiącymi pod plastikowymi pokrowcami niczym duchy. Nikły blask latarni ulicznych, dochodzący przez otwarte drzwi wejściowe, wystarczał mu całkowicie.

Zajrzał w każdy kąt. Zszedł na dół i w końcu opuścił rezydencję.

* * *

Kiedy wrócił do hotelu, zadzwonił z holu do Aarona i zaprosił go na drinka do baru na dole. Było to miłe, niewielkie, przytulne pomieszczenie z kilkoma

stolikami i intymnie przyćmionym światłem. Rzadko salę wypełniały tłumy gości...

Usiedli przy stoliku w rogu. Opróżniając butelkę piwa w rekordowym tempie, Michael opowiedział Aaronowi, co zaszło. Opisał mu swego mężczyznę.

– Wiesz, wolałbym nie mówić o tym Rowan.

– Dlaczego? – zapytał Aaron.

– Ona nie chce tego wiedzieć. Wścieka się, gdy widzi mnie wytrąconego z równowagi. Usiłuje być wyrozumiała, ale reaguje na te zdarzenia inaczej. Ja wariuję, a ona jest zła.

– Myślę, że musisz jej powiedzieć.

– Poradzi, żebym to zignorował i będzie starała się w jakiś przyjemny sposób odwieść od ponurych rozważań. Czasami zastanawiam się, Aaronie, czy nie powinniśmy rzucić tego wszystkiego w diabły i ruszyć gdzieś, jak najdalej stąd. Gdyby ktokolwiek próbował... – zamilkł.

– Co, Michaelu?

– Ach, to wariactwo. Zabiłbym każdego, kto próbowałby zniszczyć ten dom.

– Powiedz jej to. Po prostu spokojnie wyjaśnij, co się stało. Spróbuj nie okazywać emocji, które rozzłoszczą Rowan, dopóki oczywiście nie zapyta cię o nie. Ale nie miej przed nią żadnych tajemnic, szczególnie tego rodzaju.

Michael milczał długo. Aaron prawie skończył swego drinka.

– Aaronie – odezwał się wreszcie – ta moc, którą ona ma... Czy jest jakiś sposób, by poddać to testom, pracować nad tym, nauczyć się coś z tym robić?

Anglik skinął głową.

– Tak, ale ona czuje, że wykorzystywała ów dar przez całe życie, również w pracy lekarskiej. I ma rację, ale ponieważ jest w tym niezwykłym talencie również negatywna siła, nie chce go rozwijać. Pragnie panować nad tą nadprzyrodzoną umiejętnością.

– Tak, ale czy nie myślisz, że można by tego użyć w jakiejś laboratoryjnej

sytuacji?

– Z czasem, niewykluczone. Jednak teraz Rowan jest całkowicie skupiona na swoim pomysłach stworzenia centrum medycznego. Poza tym, jak mówisz, chce być z rodziną i zrealizować wymarzone projekty. Muszę przyznać, że bardzo podobają mi się plany Rowan. Myślę, że Mayfairowie zarządzający spółką również są pod wrażeniem, ale uznają to raczej niechętnie. – Aaron skończył swoje wino. – A co z tobą? – wskazał na rękę Michaela.

– Lepiej. Zdejmuję rękawiczki coraz częściej. Nie wiem...

– A przed wejściem do basenu?

– Zdjąłem je, chyba tak. Boże, nawet o tym nie pomyślałem! Ja... Uważasz, że ma to jakiś związek?

– Nie, nie wydaje mi się. Możesz mieć rację przypuszczając, że to nie Langtry. Po prostu nie sądzę, aby próbował w ten sposób się pojawić. Ale powiedz o tym Rowan. Chcesz, aby była wobec ciebie absolutnie uczciwa, a to zobowiązuje was oboje. Opowiedz jej o wszystkim.

* * *

Wiedział, że Aaron ma rację. Przebrał się do obiadu i czekał na Rowan w saloniku ich apartamentu. Kiedy wróciła, zrobił jej wodę sodową z lodem i opisał cały incydent najzwięźlejš, jak potrafił.

Zobaczył niepokój na jej twarzy. Było to niemal rozczarowanie, że coś ohydniejszego, ciemniejszego i przerażającego niż jeszcze niweczy jej poczucie, że wszystko toczy się pomyślnie. Nie była w stanie nic powiedzieć. Siedziała po prostu na kanapie, obok stosu paczek, które przyniosła. Nie dotknęła nawet szklanki wody.

– Myślę, że to jedna z jego sztuczek – powiedział Michael. – Tak to odczułem. Sądzę, że powinniśmy przejść nad tym do porządku dziennego.

Czyż nie to właśnie chciała usłyszeć?

– Tak, masz absolutną słuszość – powiedziała z lekką irytacją. – Czy... czy jesteś tym wstrząśnięty? – zapytała. – To znaczy wydaje mi się, że ja oszalałabym, widząc coś takiego.

– Przyznam, że całe zdarzenie było szokujące, ale też w jakiś sposób fascynujące. Chyba mnie trochę rozzłościło. Rodzaj... no więc, miałem jeden z tych ataków, rodzaj...

– Chryste, Michael!

– Nie, nie, doktor Mayfair, niech pani siada! Czuję się świetnie. Tylko wtedy, kiedy się to działo, nastąpił wstrząs, reakcja całego organizmu, czy coś w tym sensie. Może byłem przerażony, nie wiem. Pewnego razu, jeszcze jako dziecko, jeździłem kolejką w wesołym miasteczku na plaży Pontchartrain. Kiedy dojechałem do samego szczytu, uświadomiłem sobie, że nie zapiąłem się należycie, ten jeden raz. Zjechałem na dół kompletnie rozluźniony. I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Poczulem ucisk w piersiach i skurcz żołądka. Bardzo bolesne. To było tak, jakby ciało naprężyło się całe bez mojej zgody. Teraz miałem podobne objawy. W gruncie rzeczy dokładnie takie same.

Rowan czuła się przegrana. Siedziała z zaciśniętymi ustami, obejmując kolana ramionami. W końcu powiedziała niskim głosem:

– Ludzie umierają na atak serca w takich kolejkach. Tak jak na skutek innych rodzajów stresu.

– Nie martw się, nie umrę.

– Skąd ta pewność?

– Z doświadczenia – odpowiedział. – Wiem, że jeszcze nie czas.

Roześmiała się gorzko.

– Bardzo śmieszne – powiedziała.

– Mówię absolutnie serio.

– Nigdy nie chodź na Pierwszą sam. Nie prowokuj tego parszywego ducha!

– Do diabła, Rowan! Nie jestem przerażony tym cholernym draniem. Poza tym lubię tam chodzić. I...

– I co?

– Wiem, że on prędzej czy później się pokaże.

– Skąd pewność, że to Lasher? – spytała spokojnie. Jej twarz nagle złagodniała. – A jeśli to był Langtry, który chce, żebyś mnie zostawił?

– To się nie trzyma kupy.

– Wręcz przeciwnie.

– Dajmy temu spokój. Chciałem tylko być szczery, opowiedzieć ci o wszystkim, nie ukrywać takich historii. I oczekuję od ciebie tego samego.

– Nie chodź tam więcej – powiedziała zachmurzona. – Nie sam, nie w nocy. Szukasz kłopotów.

Zaśmiał się cicho, nieco drwiąco.

Rowan podniosła się i wyszła z pokoju. Nigdy nie widział jej zachowującej się w ten sposób. Kiedy się znów zjawiała, miała w ręku małą torebkę z czarnej skóry.

– Rozepnij koszulę, proszę cię. – Wyciągnęła stetoskop.

– Co? Co to jest? Chyba żartujesz.

Stała przed nim, trzymając słuchawki w dłoni, i wpatrywała się w sufit. Wreszcie spojrzała na niego z uśmiechem.

– Pobawimy się w doktora, chcesz? Czy teraz rozepniesz koszulę?

– Owszem, ale pod warunkiem, że ty zrobisz to samo.

– Dobrze, potem. Będziesz również mógł posłuchać mojego serca.

– Chętnie, ale odłóż słuchawki. Chryste, Rowan, jakie one zimne!

– Ocieplam je w dłoni tylko wtedy, gdy badam dzieci, kochanie.

– Do diabła, czy myślisz, że takie duże, dzielne chłopaki jak ja, nie odczuwają ciepła i zimna?

– Przestań mnie rozśmieszać. Weź głęboki oddech!

Nabrał powietrza w płuca.

– No, i co tam słyszysz?

Zabrała stetoskop i schowała do torby. Usiadła obok Michaela i wzięła go za

przegub.

– Więc?

– Wydaje się w porządku. Nie słyszę żadnych szmerów. Nie stwierdziłam też wad wrodzonych, żadnych dysfunkcji czy osłabienia.

– Oto stary, dobry Michael Curry! Co mówi ci twoich sześć zmysłów?

Wyciągnęła rękę i oparła ją na szyi Michaela, potem wśliznęła się palcami pod rozpięty kołnierzyk i zaczęła lekko pieścić jego skórę. Dotyk był delikatny, tak inny od wszystkich poprzednich, że lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. Obudziła w nim gwałtowną namiętność.

Niewiele brakowało, by rzucił się na Rowan z czysto zwierzęcą gwałtownością. Musiała to czuć, ale jej twarz była jak maska. Wpatrywała się w niego szklanym wzrokiem, choć wciąż go obejmowała. Wpadł prawie w panikę.

– Rowan? – wyszeptał.

Wolno cofnęła rękę. Wydawała się znowu sobą, palce przekornie i delikatnie oparła na jego kroczu. Lekko poskrobała wypukłość w dżinsach.

– A więc, co mówią twoje zmysły? – spytał znowu, opanowując pragnienie natychmiastowego rozerwania jej ubrania na strzępy.

– Mówią mi, że jesteś najprzystojniejszym i najbardziej pociągającym facetem, z jakim kiedykolwiek byłam w łóżku – odpowiedziała, wolno akcentując każde słowo. – Zakochanie się w tobie było zadziwiająco inteligentnym pomysłem. Nasze pierwsze dziecko będzie niesamowicie przystojne, piękne i silne.

– Drażnisz się ze mną. Nie widzisz tego, prawda?

– Nie, ale tak będzie – odpowiedziała, kładąc głowę na jego ramieniu. – Wspaniałe rzeczy się zdarzą – wyszeptała, kiedy przytulił ją do siebie – ponieważ sprawimy, żeby się zdarzyły. Chodźmy i postarajmy się w łóżku, by spotkało nas coś naprawdę niezwykłego.

* * *

Przed końcem tygodnia Mayfair & Mayfair zorganizowali pierwszą poważną naradę całkowicie poświęconą stworzeniu centrum medycznego. W porozumieniu z Rowan zdecydowano zbadać kilka kwestii: możliwość wykonania, optymalną wielkość i najlepszą lokalizację w Nowym Orleanie.

Ryan zaplanował podróże Anne Marie i Pierce'a do najważniejszych szpitali w Houston, Nowym Jorku i Cambridge. Mieli tam zebrać wszelkie możliwe informacje, przedyskutować ewentualność stworzenia przy nowym ośrodku filii uczelni i już istniejących instytucji.

Rowan ciężko pracowała – czytała historię amerykańskiego szpitalnictwa, odbywała wielogodzinne rozmowy telefoniczne z Larkinem, swoim dawnym szefem, i innymi lekarzami w kraju, prosząc o sugestie i szukając nowych pomysłów.

Stało się oczywiste, że jej najbardziej imponujące marzenie może być zrealizowane dzięki zaledwie ułamkowi kapitału, jeśli w ogóle trzeba będzie go ruszać. Przynajmniej tak to interpretowali Lauren i Ryan Mayfair. Poza tym najlepiej było pozwolić rzeczom toczyć się dalej.

– Ale co się stanie, jeśli pewnego dnia się okaże, że każdy grosz z wielkiej fortuny będzie wydawany na medycynę – powiedziała Rowan do Michaela, kiedy zostali już sami – na finansowanie badań nad nowymi szczepionkami i antybiotykami, na sale operacyjne i łóżka szpitalne?

* * *

Prace renowacyjne szły tak gładko, że Michael miał czas, żeby zająć się też innymi sprawami. Z myślą o „Wielkich Nadziejach”, w pierwszej połowie września kupił na ulicy Sklepowej duży brudny lokal mieszczący się zaledwie kilka domów od Pierwszej i miejsca, gdzie się urodził. Znajdowało się nad nim mieszkanie, a wzdłuż całego budynku, nad chodnikiem, biegła żelazna

galeryjka. Kolejna miła chwila powrotu do świata dziecięcych marzeń.

Tak, wszystko szło przepięknie i dostarczało tyle radości. Salon był prawie gotowy. Wróciły do niego niektóre chińskie tkaniny Julienu i francuskie fotele. Zegar dziadka działał bez zarzutu.

Oczywiście rodzina nalegała, żeby zostawili apartament w Pontchartrain i zamieszkali do czasu ślubu albo całkowitego wykończenia domu u kogoś z Mayfairów. Jednak w Alei świętego Karola było im bardzo wygodnie. Uwielbiali Salę Karaibską i obsługę tego małego, eleganckiego hotelu, wyłożoną boazerią windę z wymalowanymi na suficie kwiatkami, i małą kafejkę, do której wpadali czasem na śniadanie.

Aaron, z którym bardzo się polubili, ciągle zajmował apartament na górze. Nie było dnia bez wspólnej kawy, drinka albo przynajmniej małej pogawędki. I jeśli Aarona spotykały teraz jakieś niemiłe przygody, nic o tym nie wspominał.

Ostatnie tygodnie września były chłodne, ale wiele wieczorów spędzili zostając na Pierwszej, po odejściu robotników. Siadywali wtedy przy żelaznym stoliku, pili wino i obserwowali zachodzące za drzewami słońce.

Ostatnie promienie odbijały się w najwyższym oknie strychu, jakby pokrywając taflę szyby czystym złotem.

Było tak spokojnie. Bugenwille ogłosiły światu swoje istnienie oślepiającą obfitością purpurowych kwiatów. Każdy ukończony pokój, każdy pomalowany fragment metalowego gzymsu cieszył ich, napełniał poczuciem, że oto spełniają się marzenia.

Beatrice i Lily Mayfair namawiały Rowana na białą suknię ślubną, w której wystąpiłaby podczas uroczystości w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Oczywiście testament zawierał zastrzeżenie, iż ceremonia ma się odbyć zgodnie z obrządkiem kościoła katolickiego. I ten warunek był uważany za absolutnie niemożliwy do uchylenia – od tej pompy zależało szczęście i satysfakcja całego klanu. Rowan, przekonywana długo, uległa wreszcie. I Michael w duchu był tym zachwycony.

Robiło to na nim wrażenie dużo większe, niż skłonny byłby się przyznać. Nigdy w życiu nie marzyło mu się nic tak tradycyjnego i pełnego wdzięku. Oczywiście, decyzja należała do kobiety i nie chciał w żaden sposób naciskać na Rowan. Ale pomyśleć tylko – biała suknia, ślub w starym kościele, msza!

Dni stawały się coraz chłodniejsze. Nadszedł piękny, balsamiczny październik, a Michael uświadomił sobie nagle, jak blisko już do ich pierwszego wspólnego Bożego Narodzenia, które spędzą w nowym domu. Choinka mogłaby stać w ogromnym salonie. Będzie wspaniale, a ciotka Viv osiadłaby już na swoich nowych włościach. Ciągle zatrzymywały ją jakieś sprawy, ale obiecała mu, że przyleci z San Francisco na dniach. Wiedział, że polubi zarówno to miejsce, jak i Mayfairów.

Tak, już wkrótce nadejdą święta, o jakich zawsze marzył. We wspaniałym domu, z ładnym drzewkiem i ogniem buzującym na kominku.

Gwiazdka.

Nieuchronnie wróciło wspomnienie: Lasher w kościele. Jego niewątpliwa obecność, obraz wyryty w pamięci razem z zapachem igieł sosnowych, świec, widokiem Dzieciątka Jezus, uśmiechającego się w żłóbku.

Dlaczego Lasher z taką miłością patrzył wtedy na niego?

Dlaczego w ogóle doszło do ich spotkania? To było zasadnicze pytanie.

Może nigdy nie pozna odpowiedzi. Jednak miał nadzieję, że w końcu uda mu się jakoś zrekonstruować cel, dla którego życie zostało mu zwrócone. A jeśli tylko dlatego, aby powrócił tutaj, pokochał Rowan, doświadczył szczęścia w tym domu?

Ale przeczuwał, że to nie jest takie proste. Gdyby patrzeć jedynie z takiej perspektywy, nic nie trzymało się kupy. Byłby to cud, podobnie jak było nim, w pewnym sensie, tworzenie centrum medycznego, to, że Rowan chce dziecka, i że wkrótce zamieszkają razem w domu na ulicy Pierwszej... Jak cudem był duch, wynurzający się z wnętrza kościoła albo stojący pod ogołoconym drzewem w chłodną noc.

W porządku, oto jesteśmy, myślała Rowan. Cóż to się odbywało? Piąte przyjęcie na cześć narzeczonych? Była już herbatka u Lily, lunch u Beatrice, niewielki obiad wydany przez Cecylię u Antoine'a. I oczywiście małe przyjęcie u Laurena, w tym pięknym, starym domu przy Esplanadzie.

Tym razem znaleźli się w Metairie – w willi Cortlanda, jak ciągle nazywano ten dom, choć od lat mieszkali tu Gifford i Ryan ze swoim najmłodszym synem, Pierce'em. Pogodny październikowy dzień świetnie nadawał się na garden party dla jakichś dwustu osób.

Nie przejmując się zbytnio tym, że do ślubu wyznaczonego na pierwszego listopada – Dzień Wszystkich Świętych – zostało już tylko dziesięć dni, Mayfairowie zamierzali urządzić jeszcze dwa podwieczorki i lunch. Trzeba było tylko ustalić daty i miejsca owych zjazdów.

– Nie chcę słyszeć żadnych wymówek, żadnego wymigiwania się od rodzinnych spotkań – powiedziała stanowczo Claire Mayfair. – Kochanie, nie masz pojęcia, jak długo czekaliśmy na taką okazję.

Na trawniku przed przestronnym, zadbanym williamsburskim domem, pod niewielkimi, starannie przyciętymi magnoliami, kręcił się tłum gości. Ciemnowłosa Anne Marie, która wydawała się absolutnie zachwycona szpitalnymi pomysłami Rowan, przedstawiła jej tuziny ludzi, których ta widziała już na pogrzebie, i całe mnóstwo innych, zupełnie nieznanych.

Aaron nie mylił się, określając Metairie jako typowo amerykańską

posiadłość z przedmieścia. Zaiste, równie dobrze mogli się znajdować teraz w Beverly Hills lub Sherman Oaks w Houston. Tylko niebo wyglądało tak, jak nigdzie indziej poza Karaibami, a otaczające dom drzewa były równie sędziwe jak te w Dzielnicy Ogrodów.

Ale sama willa, ze swoimi osiemnastowiecznymi, filadelfijskimi antykami, ogromnymi dywanami pokrywającymi każdy centymetr podłogi, portretami rodzinnymi, starannie oprawionymi i podświetlonymi, była w stylu elitarnych, podmiejskich rezydencji. Całości dopełniały miękkie dźwięki łkającego saksofonu Kenny G, sączące się gdzieś z dyskretnie ukrytych w białych ścianach głośników.

Bardzo ciemnoskóry kelner, z okrągłą głową i śpiewnym haitańskim akcentem, nalewał do kryształowych kieliszków bourbona lub białe wino. Dwie śniade kucharki w wykrochmalonych fartuchach obracały na dymiącym grillu różowe, okazałe krewetki. Żony i córki Mayfairów w miękkich, pastelowych sukniach wyglądały wśród ubranych w ciemne garnitury mężczyzn jak kolorowe kwiaty. Kilkoro dzieci baraszkowało, opryskując się wodą z fontanny stojącej pośrodku trawnika.

Rowan usadowiła się wygodnie na białym krześle pod największą magnolią. Sączyła bourbona i wymieniała uściski rąk z całym mnóstwem kuzynów, przewijających się jeden za drugim. Zaczynało jej się podobać smakowanie tej trucizny. Przez chwilę nawet doznała lekkiego uczucia pychy.

Tego dnia, nieco wcześniej, kiedy przymierzała ślubną suknię i welon przed ostatecznym wykończeniem kreacji, stwierdziła, niespodziewanie dla samej siebie, że jest podniecona tą całą pompą, przygotowaniem. Była wdzięczna, że wymuszono je na niej.

„Królowa jednej nocy” – tak określiłaby swoją rolę w tym widowisku. Nawet założenie szmaragdu nie wydawało jej się zbyt ciężką próbą, tym bardziej, że do dnia ślubu będzie bezpiecznie leżał w szkatułce. Jakoś nie powiedziała do tej pory Michaelowi, że klejnot ma być nieproszonym gościem

weselnym. Wiedziała, że powinna to zrobić, kilka razy była już tego bliska, ale po prostu nie mogła.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo zachwycała Michaela myśl o ślubie kościelnym. W parafii Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny pobrali się jego rodzice, a przedtem dziadkowie. Tak, najwyraźniej cieszył go ten pomysł, chyba bardziej niż ją dopóki nic nowego nie zdarzy się z tym paskudnym naszyjnikiem, po co mu psuć nastrój? Po co psuć im obojgu? Zawsze będzie mogła wszystko wyjaśnić, kiedy szmaragd spocznie znowu bezpiecznie zamknięty w sejfie. Och, oczywiście to nie oszustwo, a tylko odłożenie na później rozmowy o konieczności założenia naszyjnika.

Poza tym jak dotąd nic więcej się przecież nie zdarzyło. Żadnych następnych monstrualnych kwiatów na stoliczku przy łóżku. Rzeczywiście, czas płynął spokojnie, remont szedł pełną parą, dom na Florydzie czekał na ich oficjalny miodowy miesiąc.

Innym powodem do zadowolenia było to, że Aaron został całkowicie zaakceptowany przez rodzinę i był teraz zawsze włączany w listę gości. Beatrice zapalała do niego gwałtownym uczuciem i dręczyła niemiłosiernie, nagabując o jego brytyjski kawalerski żywot i opinie o wszystkich wdowach wśród Mayfairów. Posunęła się nawet do tego, że wzięła Aarona na koncert symfoniczny, na który zaprosiła też Agnes Mayfair – piękną, starszą od niej kuzynkę, wdowę od roku.

Rowan była ciekawa, jak sprawy potoczą się dalej. Wiedziała, że Anglik umie wkraść się w łaski Pana Boga w niebie i diabła w piekle. Nawet Lauren, lodowato chłodny prawnik, wydawał się nim zachwycony. Na jakimś lunchu rozprawiali obaj wytrwale o historii Nowego Orleanu. Ryan go lubił, Isaac i Wheatfield również, Pierce natomiast wypytywał go dokładnie o jego podróże po Europie i Wschodzie.

Aaron był także niezawodnym kompanem ciotki Michaela. Wszyscy z przyjemnością widzieli Vivian u siebie, tę, jak ją określała Rowan, drobną i

kruchą niczym porcelanowa lalka kobietę, przepelnioną miłością i ciepłem, zapatrzoną w Michaela, wsłuchaną w każde jego słowo. Vivian przypominała Rowan ciocię Belle i Millie Dear z anegdot rodzinnych opowiadanych przez Aarona.

Jednak ruszenie ciotki z domu nie było łatwe. Chociaż Mayfairowie gościli ją z należyтым szacunkiem, nie najlepiej znosiła ich sposób bycia, frenetyczne gesty i energiczne szczebioty. Tego popołudnia uprosiła Michaela i Rowan, by nie brali jej na przyjęcie – zamierzała uporządkować jakieś rzeczy, które ze sobą przywiozła. Zaklinała przy tym Michaela, aby pojechał i spakował wszystko w domu przy ulicy Wolności, ale on ciągle to odkładał, choć oboje z Rowan wiedzieli, że taka wyprawa jest nieunikniona.

Kiedy Rowan widziała Michaela z ciotką Viv, czuła nowy przypływ miłości. Nikt nie mógł być czulszy i bardziej delikatny.

„Ona jest całą moją rodziną, Rowan – powiedział kiedyś. – Wszyscy inni odeszli. Wiesz, gdyby sprawy między nami nie potoczyły się tak dobrze, byłbym teraz w Talamasce. Oni staliby się moją rodziną”.

Jak dobrze to rozumiała; wstrząs, który te słowa wywołały, cofnął ją w przeszłość odległą zaledwie o kilka miesięcy, kiedy tak gorzko doświadczała samotności.

Boże, jak bardzo chciała, żeby wszystko się dobrze ułożyło! Wydawało się, jakby duch z ulicy Pierwszej również pragnął, by sprawy toczyły się właśnie takim torem. A być może to tylko jej gniew sprawiał, że trzymał się z daleka! Przez te wszystkie dni od czasu pojawienia się naszyjnika przeklinała go półgłosem.

Rodzina w zasadzie zaakceptowała Talamaskę. Wyjaśnienia Aarona dotyczące organizacji były dość tajemnicze, więc wszyscy rozumieli nie więcej ponad to, że Anglik jest badaczem, podróżnikiem, który zawsze interesował się dziejami Mayfairów, jako starej, szanowanej rodziny z Południa.

Przekonywał, że każdy uczoney, który wydobyłby z mroku dziejów tak

piękną ich antenatkę jak Debora, unieśmiertelnioną ze szmaragdowym naszyjnikiem na piersiach przez wielkiego Rembrandta, należały do ich ulubionego typu naukowców. Byli olśnieni fragmentami historii, które przed nimi odkrywał. Dobry Boże, a oni myśleli, że to Julien wyprodukował te wszystkie głupstwa o szkockich przodkach.

Bea kazała sporządzić olejną kopię rembrandtowskiego portretu Debory. Obraz miał zawisnąć na ścianie domu przy Pierwszej w dniu przyjęcia. Była rozwścieczona na Ryana, że nie kupił oryginału, ale Talamasca nie chciała rozstać się z drogocennym płótnem. Na szczęście po dyskretnej sugestii Ryana, że cena była nie do zaakceptowania, przestała wracać do tego tematu.

Tak, kochali Aarona, kochali Michaela i kochali Rowan.

Kochali też Deborę.

Jeżeli nawet wiedzieli cokolwiek o tym, co przed laty zaszło między Aaronem a Cortlandem i Carlottą, nikt nigdy nie wspomniał o tym słowem. Nie przypuszczali, że Stuart Townsend należał do Talamaski. W gruncie rzeczy byli bardzo zażenowani odkryciem ciała na strychu i wydawało się im oczywiste, że to Stella była odpowiedzialna za śmierć Townsenda.

– Być może przedawkował opium lub alkohol w czasie jednego z tych szaleńczych wieczorów i umarł, a ona zawięła go w dywan i o wszystkim zapomniała.

– Albo sama go udusiła. Pamiętacie te przyjęcia, które wydawała?

Rowan ubawiona słuchała rozmów, swobodnych wybuchów śmiechu. Nigdy swoim telepatycznym zmysłem nie wyłowiła nawet odcienia złości. Wyraźnie czuła ich dobre intencje, pogodę i wesołość.

Ale i oni mieli swoje tajemnice, szczególnie ci najstarsi. W gruncie rzeczy, im bliższy był dzień ślubu, tym wyraźniej czuła, że coś wisi w powietrzu.

Zagłądali na Pierwszą nie tylko po to, by składać życzenia albo podziwiać renowację. Byli zaciekawieni, a zarazem przestraszeni. Mieli sekrety, którymi chcieli się podzielić, przestrogi do zaoferowania i pytania nie dające im spokoju.

A być może sprawdzali siłę Rowan, ponieważ sami, na swój sposób, byli silni. Nigdy jeszcze nie otaczali jej ludzie tak kochający i zarazem tak wprawieni w ukrywaniu negatywnych uczuć. Fascynowało ją to.

Być może właśnie dzisiaj zdarzy się coś niezwykłego.

Wielu z najstarszych Mayfairów było tutaj, alkohol płynął obficie, a po kilku zimnych październikowych dniach zrobiło się znowu ciepło. Błękit nieba prześwitywał spod wielkich skłębionych chmur, które żeglowały szybko jak pełne wdzięku galeony gnane wiatrem.

Pociągnęła duży łyk bourbona, delektując się miłym ogniem przenikającym całe ciało, i rozejrzała się za Michaeliem.

Stał tam, gdzie widziała go przed godziną, uwięziony między gadatliwą Beatrice i uderzająco przystojną Gifford, której matka wywodziła się od Lestana Mayfaira, a ojciec od Claya Mayfaira, i która, oczywiście, poślubiła wnuka Cortlanda, Ryana. Być może i inne linie Mayfairów łączyły się w tym związku, ale Rowan porzuciła te rozmyślenia czując, że krew żywiej krąży w jej żyłach na widok bladych palców Gifford otaczających, bez wyraźnego powodu, ramię Michaela.

Co w nim jest takiego, że nie mogą trzymać łap przy sobie? I dlaczego ta neurotyczna Gifford zaczyna jakąś grę? Biedny Michael. Nie wie, co się wyprawia. Stoi tam, z dłońmi w rękawiczkach, potakując i śmiejąc się z drobnych żartów Beatrice i Gifford. W ogóle zdaje się nie wyczuwać, że gesty tych kobiet są na granicy zalotności, nie widzi błysku w ich oczach, kuszących wysokich tonów w śmiechu.

Musi się przyzwyczaić. Ten sukinsyn jest nieprzeparcie pociągający. Kręcą się wokół niego wszystkie baby, bo jest przystojniakiem czytającym Dickensa.

Wczoraj wspiął się na wysoką drabinę przy ścianie domu jak pirat, wdrapujący się po linie na maszt statku. Stał na parapecie, barczysty, wiatr rozwiewał mu włosy, podniósł rękę, aby pomachać do niej, jakby nieświadomy, że te drobne gesty sprawiają, iż ona z wolna traci głowę. Cecylia spojrzała

wtedy w górę i powiedziała:

– Kurczę, ale on jest przystojny.

– Wiem – wymamrotała Rowan.

Pożądała go w takich momentach aż do bólu. Był teraz wyjątkowo pociągający w tym swoim nowym lnianym, trzyczęściowym garniturze („To znaczy ubrany jak lodziarz”, zwykł mówić), którego kupno wymusiła na nim Beatrice. „Kochanie, jesteś teraz dżentelmenem z Południa!”

Seks. Czysty seks, oto czym był. Chodząca pornografia. Choćby na przykład jak zawija rękawy, miętosi papierosa w palcach, wkłada ołówek za ucho dyskutując z jakimś malarzem czy cieślą, stoi z jedną stopą wysuniętą do przodu i chwyta gwałtownie ręką swój chłopięcy podbródek, jakby miał zamiar przesunąć go na czubek głowy.

A potem jeszcze te wspólne kąpiele w basenie, gdy w domu nie było już nikogo (żadnych duchów tym razem) i weekend na Florydzie przy przejmowaniu domu, i widok śpiącego na pomoście Michaela, kiedy miał na sobie tylko zegarek i złoty łańcuszek. Całkowita nagość nie mogła być bardziej podniecająca.

I to, że był tak niesamowicie szczęśliwy! To jedyny człowiek na świecie, który kochał dom na ulicy Pierwszej bardziej niż Mayfairowie. Miał obsesję na jego punkcie. Wykorzystywał każdą okazję, żeby rzucać się do pracy razem ze swoimi robotnikami. I zdejmował rękawiczki coraz częściej, najwyraźniej potrafiąc już „oczyszczać” przedmioty z wizji, gdy naprawdę tego chciał, i trzymał je z dala od cudzych rąk, bezpieczne, jeśli można tak powiedzieć. Miał teraz całą skrzynkę narzędzi, którymi posługiwał się, nie wkładając rękawiczek.

Dzięki Bogu, duchy i duszki zostawiły ich w spokoju. Musiała przestać przejmować się tym otaczającym Michaela haremem.

Lepiej skoncentrować się na grupie osób obok siebie – oto pełna godności Felice i piękna, szczebiotliwa Margaret Ann siedząca na trawie oraz surowa Magdalena, która w milczeniu obserwuje innych. Wygląda niezwykle młodo

mimo swego wieku.

Co pewien czas ktoś z nich odwracał się i spoglądał na Rowan, a ona odbierała jakiś błysk ukrywanej wiedzy i być może mgliste pytanie, ale potem to wrażenie blakło. Zawsze jednak odnosiło się do jednej z najstarszych osób – siedemdziesięcioletniej Felice, najmłodszej córki Barclaya; Lily, mającej siedemdziesiąt osiem lat i, jak mówiono, wnuczki Vincenta; albo Petera Mayfaira, dobrze zbudowanego mężczyzny z wilgotnymi błyszczącymi oczyma, najmłodszego syna Garlanda, niewątpliwie ostrożnego i znającego ich wszystkich bardzo dobrze.

Był tam też Randall, starszy być może niż jego wuj Peter, mądry, z workami pod oczyma, siedzący na metalowej ławeczce w odległym kącie, przyglądający się Rowan wytrwale, mimo że od czasu do czasu ktoś mu ją przesłaniał. Wyglądał jakby chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, ale nie umiał zacząć.

Chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć wszystko.

Pierce spoglądał teraz na Rowan z nie ukrywanym podziwem, całkowicie zawojowany marzeniem o Mayfair Medical, niemal tak jak ona pragnący, by stało się rzeczywistością. Ostatnio odnosił się do niej nieco bałwochwalczo, przez co ich wzajemne relacje straciły trochę ze swobody i ciepła. Dało się to wyczuć, gdy przedstawiał jej kolejnych młodych krewnych, krótko objaśniając ich rodowód i stan posiadania. („Jesteśmy rodziną prawników” albo „Co robi dżentelmen, kiedy nie musi robić niczego?”). Było w Piersie coś bardzo uroczego. Chciała, by powrócił do poprzedniej swobody. Czuło się w nim tyle przyjaźni. Poza tym charakteryzował go absolutny brak egocentryzmu.

Zauważyła z przyjemnością, że po każdej prezentacji uprzejmie przedstawiał tego samego gościa Michaelowi. Wszyscy byli dla Michaela tacy życzliwi. Gifford przygotowała mu szklaneczkę bourbona, Anne Marie usiadła tuż obok i zaczęła jakąś konfidencką pogawędkę. Jej ramię ocierało się o niego.

Daj sobie z tym spokój, Rowan. Nie możesz zamknąć tej pięknej bestii na strychu.

Grupki gości tworzyły się wokół, rozpadały, powstawały na nowo w innej konfiguracji. Wszyscy rozmawiali niemal wyłącznie o domu na Pierwszej. Posuwające się naprzód prace przy renowacji sprawiały im wielką radość, której nawet nie zamierzali ukrywać.

Niewątpliwie to miejsce było dla nich bardzo ważne. Nie mogli patrzeć jak popada w ruinę, jakże nienawidzili Carlotty. Rowan wyczuwała to w ich gratulacjach – wyczytywała między wierszami, wyłapywała, kiedy patrzyła im w oczy. Dom był nareszcie wolny od tego nikczemnego zniewolenia. Zdumiewające, jak wiele wiedzieli o najświeższych zmianach i odkryciach. Znali nawet nowe kolory poszczególnych pokoi, choć ich jeszcze nie obejrzel.

Jak wspaniale, że Rowan zachowała stare meble w sypialni. Czy wie, że Stella spała raz w łóżku Carlotty? Czy słyszała, że łoże w pokoju Millie należało kiedyś do babki Katherine, a wuj Julien urodził się we frontowej sypialni, w tym samym łóżku, w którym oni teraz śpią?

Co kuzyni myślą o planach związanych z wielkim szpitalem? Z kilku krótkich rozmów przeprowadzonych poza firmą wynikało, że są życzliwie zainteresowani, zaś nazwa „Mayfair Medical” wprawia ich w zachwyt.

W całym przedsięwzięciu decydujące znaczenie przypisywała temu, że centrum miało działać na zupełnie nowych zasadach, wyjaśniała Bei i Cecylii tydzień temu. Spełni ono potrzeby, które do tej pory nie mogły być zaspokojone. Zgodnie z zasadniczym przeznaczeniem będzie idealnym zapleczem dla badań naukowych, ale oczywiście nie ma to być instytucja w rodzaju wieży z kości słoniowej, tylko prawdziwy szpital o dużej ilości bezpłatnych miejsc. Jeżeli udałoby się zgromadzić w nim najlepszych, a jednocześnie najbardziej twórczych neurochirurgów, stworzyć najnowocześniejsze laboratoria i połączyć to z komfortem – marzenie stałoby się rzeczywistością.

– Dla mnie ten pomysł jest absolutnie oszałamiający – powiedziała Cecylia.

– Najwyższy czas – odezwała się Carmen. – Mayfair & Mayfair zawsze wydawali na podobne cele miliony, ale po raz pierwszy ktoś zrealizuje tak

spektakularne przedsięwzięcie.

Oczywiście to był dopiero początek. Rowan nie opowiadała im o swoich planach urządzenia i organizacji oddziałów intensywnej terapii. Chciała wypróbować absolutnie nowy pomysł: przygotować specjalny program edukacyjny dla rodzin nieuleczalnie chorych lub upośledzonych pacjentów, dać im zakwaterowanie i włączyć w proces rehabilitacji.

Każdego dnia jej wizja wzbogacała się o kolejne elementy. Marzyła o humanizacyjnym systemie nauczania, korygującym wszystkie nadużycia współczesnej medycyny – ciągle powtarzane, czasami zupełnie przerażające błędy. Planowała zorganizowanie szkoły dla pielęgniarek, które w przyszłości mogłyby wziąć na siebie zupełnie nowy rodzaj zadań i odpowiedzialności, byłyby bardziej twórcze.

Słowa „Mayfair Medical” stałyby się synonimem doskonalszego, bardziej wrażliwego podejścia do powinności jej profesji.

Tak, wszyscy mogliby być dumni.

– Następnego drinka?

– Tak, proszę. Bourbon jest wyśmienity. Nawet za bardzo.

Roześmiali się.

Pociągnęła następny łyk, kiedy pojawił się Timmy Mayfair. Chciał uścisnąć jej rękę. Potem nadeszła Bernadette, z którą przez chwilę zetknęła się na pogrzebie, i śliczna, mała, rudowłosa dziewczyna o imieniu Mona – córka Cee Cee, z trzpiotowatą Jennifer Mayfair, swoją najlepszą przyjaciółką. Następnie nadciągnęło jeszcze czterech kuzynów, których, tak, oczywiście, spotkała już wcześniej. Jean, jak się Rowan wydawało, miała głos podobny do jej własnego – niski i matowy.

Bourbon był najlepszy mocno schłodzony. Ale wtedy był też bardziej podstępny i Rowan wiedziała, że tym razem wypila odrobinę za dużo. Cały czas dziękowała za życzenia i pociągała kolejne łyki drinka. Wznoszono jeden toast za drugim: za dom i ich małżeństwo! Czy ktokolwiek mówił o czymś innym?

– Rowan, mam dawne zdjęcia domu...

– ...moja matka zachowała wszystkie artykuły...

– Wiesz, on jest w książkach o Nowym Orleanie, ach tak, mogę wam kiedyś podrzucić do hotelu kilka bardzo starych albumów...

– ...rozumiesz, że nie zamierzamy kołatać do waszych drzwi we dnie i w nocy, jesteśmy tylko ciekawi...

– Rowan, twoi pradziadkowie urodzili się w tym domu... i wszyscy, których tu widzisz...

– Och, biedna Millie Dear nie dożyła tego dnia...

– ...paczka dagerotypów... Katherine i Darcy, Julien. Wiesz, Julięna zawsze fotografowano przed frontowymi drzwiami. Mam siedem różnych jego portretów na tle wejścia.

Frontowe drzwi?

Gromadziło się coraz więcej Mayfairów. Jednym z ostatnich był stary Fielding – syn Claya – całkowicie łysy, o pergaminowej skórze i zaczerwienionych oczach. Przywieziono go tutaj i posadzono obok Rowan.

Kiedy zasiadł w fotelu, młodzi zaczęli nadszkwierać mu tak samo jak jej.

Hercules, haitański służący, podał starszemu panu szklaneczkę bourbona.

– Czy to wszystko, panie Fielding?

– Tak, Herculesie, żadnego jedzenia! Jestem od tego chory. Najadłem się wystarczająco przez całe życie.

Miał niski, głęboki głos, jakby bez wieku.

– Nie ma już Carlotty – rzekł ponuro do Beatrice, która podeszła, by go pocałować. – Zostałem jako jedyny z najstarszego pokolenia.

– Nie mów o tym, będziesz z nami zawsze – powiedziała Bea, a jej perfumy owionęły wszystkich słodko i kwiatowe. Były zapewne równie drogie jak jej wspaniała suknia z czerwonego jedwabiu.

– Nie wiem, czy jestem dużo młodsza od ciebie – oświadczyła Lily siedząca za nim, i rzeczywiście przez moment wydawała się tak stara jak Fielding ze

swoimi cienkimi włosami, zapadniętymi policzkami i kościstą ręką, spoczywającą teraz na ramieniu seniora rodu.

Felding odwrócił się do Rowan.

– A więc odnawiasz rezydencję. Ty i twój mężczyzna zamierzacie tu zamieszkać. I jak dotąd sprawy toczą się dobrze?

– Czemu by nie miały? – zapytała Rowan z łagodnym uśmiechem.

Kiedy Fielding położył swoją dłoń na jej ręce w geście błogosławieństwa, poczuła ciepły przyływ sympatii.

– Wspaniałe nowiny, Rowan – powiedział, a niski głos odzyskał dźwięczność, gdy staruszkowi udało się uspokoić oddech po długiej wyprawie od drzwi wejściowych. Białka jego oczu były przyżółcone, a sztuczne zęby lśniły bielą. – Przez wszystkie te lata nie pozwoliła nikomu go tknąć – powiedział z odcieniem złości w głosie. – Stara czarownica, oto kim była!

W grupce kobiet, stojących z lewej strony, rozległ się szmer zaniepokojenia. Ach, ale to było to, czego Rowan chciała. Niech ta gładka skorupa zostanie strzaskana!

– Dziadziusiu, na litość Boską! – odezwała się Gifford. Podniosła z trawy laskę i zawiesiła ją ponownie na oparciu krzesła. Fielding zignorował napomnienie.

– Taka jest prawda – ciągnął. – Pozwoliła, by dom popadł w ruinę! To cud, że będzie w ogóle odnowiony.

– Dziadziusiu – powiedziała Gifford prawie w desperacji.

– Och, pozwól mu mówić, kochanie – odezwała się Lily, spoglądając ponad głowę Rowan, a jej palce zacisnęły się mocniej na szklaneczce bourbona.

– Uważasz, że ktoś powinien kazać mi się zamknąć – powiedział starszy pan.

– Carlotta mówiła, że *on* jej nie pozwala, całą winę zrzuciła na *niego*. Wierzyła w *niego* i wykorzystywała do własnych celów.

Zapadła martwa cisza. Wydawało się, że światła przygasły trochę, jakby pod wpływem ciężaru powstałej atmosfery. Kątem oka Rowan zauważyła, jak porusza się szara sylwetka Randalla.

– Dziadziusiu, może nie powinieneś... – zaczęła znowu Gifford.

A ja myślę, że powinieneś!

– To jej wina – mówił Fielding. – Chciała, aby wszystko wokół podupadło. Zastanawiam się czasami, czemu nie spaliła domu, jak ta niegodziwa gospodyni w „Rebecce”. Martwiłem się, że to zrobi. Że zniszczy stare obrazy. Oglądałaś je? Czy widziałaś Julię i jego synów, stojących przed drzwiami wejściowymi?

– Drzwi. Masz na myśli te frontowe drzwi z dziurką od klucza?

Czy Michael słyszy rozmowę? Tak, zbliża się z wyrazem oszołomienia na twarzy, usiłując uciszyć szepczącą mu do ucha Cecylię.

Aaron stał nie opodal, pod magnolią, nie zauważony, z oczami zwróconymi na grupkę wokół Fieldinga i Rowan. Gdyby tylko mogła rzucić urok, aby sobie o nim nie przypomnieli.

Ale wszyscy byli za bardzo zajęci sobą. Fielding opuścił głowę, głos zabrała Felice, a jej srebrne bransolety dźwięczały, kiedy wskazywała na starca.

– Opowiedz jej o tym! Powinieneś. Wiesz, jakie jest moje zdanie? Carlotta pragnęła tego domu. Chciała rządzić. Była tu panią, aż do dnia swojej śmierci, czyż nie tak?

– Ona nie chciała niczego – wymamrotał Fielding, wykonując miękki gest ręką, jakby odpychał słowa kuzynki. – To było jej przekleństwo. Chciała tylko niszczyć.

– A co z tymi drzwiami? – spytała Rowan.

– Dziadziusiu, zamierzam wziąć cię...

– Nigdzie nie pójdę, Gifford – odpowiedział z determinacją, a jego głos zabrzmiał prawie młodzieńczo. – Rowan wróciła do tego domu. Mam jej do powiedzenia kilka rzeczy.

– W takim razie zrób to na osobności! – wykrzyknęła Gifford.

– Pozwól mu mówić, kochanie, cóż w tym złego? – odezwała się Lily. – Właśnie tutaj są „na osobności”. Wszyscy jesteśmy Mayfairami.

– To piękny dom, ona go pokocha! – odezwała się ostro Magdalenę. – Co próbujecie zrobić, przestraszyć ją?

Randall stał za kuzynką, z uniesionymi brwiami i lekko zaciśniętymi ustami, a zmarszczki na jego starczej twarzy zdawały się pogłębiać, kiedy patrzył na Fieldinga.

– Ale co chciałeś mi powiedzieć? – spytała Rowan.

– To tylko stare opowieści – powiedział Ryan z odcieniem irytacji, którą najwyraźniej próbował powstrzymać, mówiąc wolno i dobitnie. – Głupie legendy o wrotach. Nic nie znaczą.

Michael zbliżył się, Aaron również podszedł kilka kroków. W dalszym ciągu nikt nie zwracał na Anglika uwagi.

– Ja jednak chciałbym je znać – powiedział Pierce, stając obok Randalla. Felice rzuciła Fieldingowi znaczące spojrzenie, jej głowa lekko drżała, wypła już trochę za dużo.

– Mój dziadek był malowany na tle drzwi – powiedział Pierce. – Ten portret wisi w domu. Oni zawsze ustawiali się przed drzwiami.

– A dlaczego nie mieliby pozować przed gankiem na froncie? – spytał Ryan.
– Mieszkali tam. Musimy pamiętać, że przed Carlottą to był dom naszego prapradziadka.

– To jest to – wymamrotał Michael. – Właśnie dlatego widziałem drzwi na obrazach. Boże, powinienem dokładniej im się przyjrzeć.

Ryan spojrzał na niego. Rowan wyciągnęła do Michaela rękę prosząc gestem, by podszedł do niej. Oczy Ryana podążały za nim, kiedy okrążał gości i w końcu stanął obok krzesła Rowan. Pierce mówił ponownie, a Michael przycupnął na trawie tak, że Rowan mogła oprzeć rękę na jego ramieniu. Aaron podszedł teraz bardzo blisko.

– Ale nawet na starych fotografiach – ciągnął Pierce – oni są przed

drzwiami. Zawsze przed drzwiami z dziurką od klucza. Przed frontowymi, albo którymiś z pozostałych.

– Tak, drzwi – powiedziała Lily. – I wrota grobowca. Te same drzwi z dziurką od klucza, rzeźbione, dokładnie nad kryptami. Nikt nie wie, na czyje polecenie zostały wykonane.

– Oczywiście Juliana – odezwał się Randall niskim, donośnym głosem. Wszyscy zwrócili się ku niemu. – Wiedział, co robi, miały one dla niego specjalne znaczenie, tak jak dla nich wszystkich.

– Jeżeli opowiesz Rowan te wasze brednie – powiedziała Anne Marie – to ona nigdy nie...

– Ale ja chcę wiedzieć – odezwała się dziewczyna. – A poza tym nic nie powstrzyma nas od wprowadzenia się do domu.

– Nie bądź tego taka pewna – wyszeptał Randall.

Lauren rzuciła mu pełne dezaprobaty spojrzenie. – Nie czas na przerażające bajki.

– Czy naprawdę musicie wyciągać wszystkie brudy?! – krzyknęła Gifford. Była najwyraźniej zupełnie wytrącona z równowagi. Rowan dostrzegła konsternację Pierce'a. Stał jednak zbyt daleko od matki, by jakoś bezpośrednio zareagować. Ryan był bliżej. Wziął ją za ramię i zaczął szeptać coś do ucha.

Ona usiłuje to przerwać, pomyślała Rowan. Głośno zapytała:

– Co znaczą te drzwi? Dlaczego zawsze stali przed nimi?

– Nie chcę o tym mówić – podniesionym głosem odezwała się Gifford. – Nie rozumiem, dlaczego mamy odgrzebywać przeszłość za każdym razem, kiedy się spotkamy. Powinniśmy myśleć o przyszłości.

– Ależ my mówimy o przyszłości – powiedział Randall. – Ta młoda dama powinna wiedzieć o pewnych rzeczach.

– Chcę dowiedzieć się o drzwiach – powtórzyła Rowan.

– No, dalej, ruszcie się, starzy dekonnicy – odezwała się Felice. – Jeśli zamierzacie przemówić w końcu po tych wszystkich latach, kiedy

zachowywaliście się jak kocięta, które dostały śmietanki...

– Drzwi wiązały się z paktem i obietnicą – powiedział Fielding, – To jest sekret przekazywany z pokolenia na pokolenie od najdawniejszych czasów.

Rowan zerknęła na Michaela, który siedział u jej stóp, opierając ręce na kolanach, prawie nie patrząc na seniora. Nie widziała go wyraźnie, ale kątem oka zauważyła strach i zakłopotanie na twarzy, ten sam cholerny wyraz oczu, który powracał zawsze, kiedy rozmawiali o wizjach. Był to grymas tak dziwny, że Michael wyglądał jak ktoś obcy.

– Nigdy nie słyszałam o żadnej obietnicy – odezwała się Cecylia – albo o pakcie czy drzwiach, jeżeli o to chodzi.

Do towarzystwa dołączył Peter, łysy tak jak Fielding, z tymi samymi przenikliwymi ostrymi oczami. Wszyscy skupili się teraz w kole. Isaac i Wheatfield stali za plecami Pierce’a.

– Nie rozmawiali o tym – powiedział Peter drżącym i nieco teatralnym głosem – bo to była ich tajemnica, nie chcieli, by ktokolwiek ją znał.

– Kogo masz na myśli? – zapytał Ryan. – Mówisz o moim dziadku? – Lekko plątał mu się język. Pociągnął spory łyk. – Chodzi o Cortlanda, prawda?

– Nie chcę... – wyszeptała Gifford, ale Ryan gestem nakazał kobiecie milczenie.

Fielding również ją uciszał. Spojrzenie, które jej rzucił, było pełne złości.

– Cortland był oczywiście jednym z nich – powiedział Fielding, zerkając na Petera – wszyscy wiedzieli, że był.

– Och, co za okropne rzeczy opowiadasz! – wykrzyknęła Magdalene ze złością. – Kochałam Cortlanda.

– Jak wielu z nas – odpowiedział Peter z irytacją. – Zrobiłbym dla niego wszystko, ale on był jednym z nich. Był! Twój ojciec również, Ryanie. Tak samo Duży Pierce i ojciec Randalla. No i co z tego?

Randall skinął ze znużeniem głową, pociągając łyk bourbona. Ciemnoskóry służący zjawił się bezszelestnie i napełnił jego szklankę. Inni także dostali

następną porcję złocistego trunku.

– Co masz na myśli, mówiąc „jednym z nich”? – domagał się odpowiedzi Pierce. – Słyszałem to przez całe życie: „Jeden z nich”, „nie jest jednym z nich”, ale co to znaczy?

– Nic szczególnego – powiedział Ryan. – Tworzyli rodzaj klubu towarzyskiego.

– Do diabła, niezły klub! – powiedział Randall.

– To wszystko umarło razem ze Stellą – odezwała się Magdalene. – Moja matka przyjaźniła się z nią, chodziła na te przyjęcia. Nie było tam żadnych trzynastu czarownic! To wszystko banialuki!

– Trzyście czarownic? – zapytała Rowan. Czuli napięcie Michaela. Przez małą przerwę w kole gości widziała Aarona, który odwrócił się tyłem do drzewa i spoglądał w niebo. Sprawiał wrażenie jakby nie słyszał ani jednego słowa, choć wiedziała, że tak nie było.

– To część legendy – powiedział Fielding chłodno i zdecydowanie, wyraźnie dystansując się od stojących wokół – fragment historii wrót i paktu.

– Jakiej historii? – zapytała Rowan.

– Oni wszyscy mogli być zbawieni dzięki tym wrotom i trzynastu czarownicom – powiedział, zerkając raz jeszcze na Petera. – Oto cała historia i obietnica.

Randall potrząsnął głową.

– To stanowiło dla nich zagadkę. Stellą nigdy nie była pewna, co ona oznacza.

– Zbawieni? – zapytał młody Wheatfield. – Masz na myśli chrześcijańskie zbawienie?

– Zbawieni! Alleluja! – wykrzyknęła Margaret Ann i opróżniła swój kieliszek, roniąc parę kropli na suknię. – Mayfairowie idą do nieba! Wiedziałam, że z takimi pieniędzmi ktoś to załatwi.

– Jesteś pijana, Margaret Ann – wyszeptała Cecylia. – Zupełnie jak ja!

Stuknęły się kieliszkami.

– Stella chciała zebrać trzynaście czarownic na tych przyjęciach? – zapytała Rowan.

– Tak – odpowiedział Fielding – dokładnie to próbowała zrobić. Nazywała siebie czarownicą, podobnie jak jej matka, Mary Beth. Nigdy nie krępowały się tym zbytnio. Mówiła, że posiada moc i że może widzieć tego mężczyznę.

– Nie mam zamiaru pozwolić... – zaczęła Gifford histerycznie podniesionym głosem.

– Dlaczego? Dlaczego to takie przerażające? – zapytała Rowan miękko. – Dlaczego nie brać tego po prostu za stare legendy? Kim jest ten mężczyzna?

Cisza. Wszyscy przyglądali się jej badawczo, każdy czekał, aż kto inny się odezwie. Lauren wyglądał na nieco rozzłoszczonego, kiedy wpatrywał się w Rowan. Lily spoglądała na dziewczynę z nieśmiałą podejrzliwością. Wiedzieli, że ich zwodzi.

– Ty wiesz, że to nie są stare legendy – wyszeptał półgłosem Fielding.

– Ponieważ oni wierzyli w to – powiedziała Gifford, jej podbródek drżał. – Ponieważ robili straszne rzeczy w imię wiary w te głupstwa.

– Ale jakie straszne rzeczy? – dopytywała Rowan. – Masz na myśli to, co Carlotta zrobiła mojej matce?

– Mam na myśli to, co zrobił Cortland. – Trzęsła się cała, była niemal na granicy hysterii. – Oto, co mam na myśli! – Spojrzała na Ryana, potem na syna, wreszcie znowu zwróciła się do Rowan. – Och, tak, Carlotta również. Oni wszyscy zdradzili twoją matkę. Jest tyle rzeczy, o których nie wiesz.

– Ciii, Gifford, za dużo drinków – wyszeptała Lily.

– Wejź do środka – powiedział Randall.

Ryan wziął żonę pod ramię i nachylony mówił jej coś do ucha. Pierce opuścił swoje miejsce i zjawił się obok niego. Odprowadzili Gifford z dala od reszty gości.

Felice szeptała gniewnie do Magdalene, a ktoś na obrzeżu koła usiłował

zebrać wszystkie dzieci i skłonić, by odeszły. Mała dziewczynka w fartuszkach odezwała się: „Chciałabym wiedzieć...”

– Chciałabym wiedzieć – powiedziała Rowan – co oni robili?

– Tak, opowiedz nam o Stelli – odezwała się Beatrice, zerkając niespokojnie na Gifford, która łąkała teraz na ramieniu Ryana, usiłującego odprowadzić ją jeszcze dalej.

– Wierzyli w czarną magię – odpowiedział Fielding. – Wierzyli w trzynaście wież i drzwi, ale nigdy dokładnie nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi.

– Więc co myśleli? – zapytała Beatrice. – Uważam, że to niesłychanie fascynujące. Opowiedz, proszę.

– A ty oczywiście powtórzysz to w klubie – oświadczył Randall. – To się zawsze tak kończy.

– Dlaczegoż nie miałabym tego robić? Czy ktoś przyjdzie i spali jedno z nas na stosie?

Gifford została zmuszona przez Ryana do wejścia do domu. Pierce zamknął za nimi drzwi.

– No, chciałabym się wreszcie dowiedzieć – nalegała Beatrice, wysuwając się o kilka kroków do przodu. – Stella nie miała pojęcia, co to znaczy? A więc kto miał?

– Julien – odpowiedział Peter – mój dziadek. Tuż przed śmiercią całą tę wiedzę przekazał Mary Beth. Ale ona spaliła wszystkie notatki, wtajemniczyła jednak Stellę, która tak naprawdę nigdy tego nie zrozumiała.

– Stella do niczego nie przywiązywała specjalnej wagi – powiedział Fielding.

– Nie, nigdy – potwierdziła ze smutkiem Lilly. – Biedna Stella. Myślała, że życie jest jednym wielkim przyjęciem ze zwariowanymi przyjaciółmi i dużą ilością alkoholu.

– Ona po prostu nie wierzyła w to, co jej powiedziała Mary Beth – ciągnął

Fielding. – Oto cały problem. Chciała bawić się tym, a kiedy coś poszło źle, była przestraszona i topiła swoje lęki w butelce szampana. Widziała rzeczy, które przekonałyby każdego, a ona ciągle nie wierzyła w drzwi, obietnicę i trzynaście czarownic, aż było za późno, Julienu i Mary Beth zabrakło.

– A więc to Stella przerwała łańcuch informacji? – zapytała Rowan. – To chcesz powiedzieć? Przekazywały sobie tę tajemnicę razem ze szmaragdem i całą resztą?

– Naszyjnik nigdy nie był tu najważniejszy – odezwała się Lily. – Carlotta zrobiła z tego wielkie halo. Nie możesz trzymać klejnotu od siebie z daleka. Wydaje się, że musi być blisko osoby, która go dziedziczy. To twój szmaragd. Carlotta uważała, że jeśli zamknie naszyjnik w szkatułce, położy kres dziwnym zjawiskom. Stoczyła o to jedną z tych swoich małych wojen.

– Carlotta wiedziała, co znaczą drzwi i trzynaście czarownic – powiedział Peter, zerkając lekko nadęty na Fieldinga.

– Skąd masz pewność? – To był głos Lauren, dochodzący z pewnego oddalenia. – Carlotta nigdy nie wspomniała o niczym podobnym.

– Oczywiście, niby dlaczego miałyby wspomnieć? – odpowiedział Peter. – Wiedziała jednak. Stella powiedziała to mojej matce. Ale Carlotta nigdy nie pomogłaby Stelli, bowiem ta próbowała sprawić, by spełniła się stara przepowiednia, która, nawiasem mówiąc, nie miała nic wspólnego ze zbawieniem i wniebowzięciem. To w ogóle nie o to chodziło.

– Kto tak powiedział? – odezwał się ostro Fielding.

– Ja tak mówię.

– A co ty o tym wiesz? – zapytał miękko Randall z lekkim odcieniem sarkazmu. – Sam Cortland powiedział mi, że kiedy zbierze się trzynaście czarownic, otworzy się przejście między światami.

– Między światami! – szydził Peter. – Chciałbym wiedzieć, jaki to ma związek ze zbawieniem. Cortland niczego nie rozumiał, a przynajmniej nie więcej niż Stella. Zorientował się post factum. Gdyby wiedział wcześniej, byłby

pomógł Stelli. On tam był. Tak jak ja.

– Gdzie? Kiedy? – spytał Fielding pogardliwie.

– Nie myślisz chyba o seansach u Stelli? – zapytała Lily.

– Stella, wydając swoje przyjęcia, próbowała odkryć znaczenie tego wszystkiego – powiedział Peter. – I ja w nich uczestniczyłem.

– Doprawdy? – wtrąciła Magdalene.

– Jak mogłeś tam być? – zapytała Margaret Ann. – Przecież to się działo sto lat temu.

– Och, nie. To było w 1928 roku – odpowiedział Peter. – Miałem dwanaście lat. Moi rodzice stawali na głowie, żeby mnie nie puścić. Ale poszedłem. I Lauren również. Miała wtedy cztery lata.

Lauren łagodnie skinęła głową. Jej oczy wydawały się lekko rozmarzone, jakby przypomniała sobie coś, nie uczestnicząc w dramatyczności chwili.

– Stella zgromadziła nas tam trzynaścioro – ciągnął Peter. – Chciała zebrać osoby posiadające moc, pewne właściwości psychiczne, takie jak: umiejętność czytania w myślach, zdolność widzenia duchów, przesuwania przedmiotów.

– I jak przypuszczam, potrafisz robić te wszystkie cuda – zadrwił Fielding. – To dlatego ogrywam cię zawsze w pokera.

Peter potrząsnął głową. – Nie było tam nikogo, kto umiałby dokonać choćby jednej z tych rzeczy. Oprócz Stelli i Cortlanda, oczywiście, ale nawet on był słabszy od niej. W przyjęciu uczestniczył jeszcze Duży Pierce, który też miał dar, naprawdę miał, ale był młody i całkowicie zdominowany przez Stellę. Pozostali wydawali jej się po prostu najlepsi ze wszystkich Mayfairów. Dlatego właśnie potrzebowała też Lauren. Dziewczyna miała silne właściwości tego rodzaju i Stella nie chciała zmarnować nawet tej niewielkiej szansy. Zebrała nas w rezydencji, aby otworzyć wrota. Uformowaliśmy krąg i skupiliśmy nasze myśli, on miał się wtedy pojawić, zostać wśród nas. Nie byłby już nigdy więcej duchem. Wkroczyłby do tego świata.

Zaległa cisza. Beatrice wpatrywała się w Petera tak, jakby to on sam był

zjawą. Fielding również przyglądał mu się badawczo z wyraźnym niedowierzaniem, a może nawet z szyderstwem.

Twarz Randalla pozostawała kamienna, jakby skryta w sieci zmarszczek.

– Rowan nie wie, o czym mówisz – odezwała się Lily.

– Powinniśmy już z tym skończyć – wtrąciła Anne Marie.

– Ona wie – powiedział Randall, patrząc wprost na Rowan. Dziewczyna spoglądała na Petera. – Co masz na myśli mówiąc, że on wkroczyłby do realnego świata? – spytała.

– Po prostu przestałby być duchem. Przybyłby nie po to, by się ukazać, ale by pozostać, być... materialnym.

Randall przyglądał się Rowan, jakby tkwiło w niej coś, czego nie mógł dokładnie określić.

Fielding roześmiał się krótko.

– Stella musiała sporo dołożyć od siebie w interpretacji rodowej tajemnicy. W wersji przekazanej mi przez ojca nie było żadnej wzmianki o materializowaniu się jakiegoś ducha. Zbawieni, tyle powiedział. Wszyscy ci, którzy stanowili część tego przymierza, musieli być zbawieni. Pamiętam, jak mówił to mojej matce.

– Co jeszcze ci przekazał? – zapytała Rowan.

– Dobry Boże, dziewczyno, chyba nie wierzysz w to wszystko! – wykrzyknęła Beatrice.

– Nie bierz tego serio! – zawtórowała jej Anne Marie.

– Stella była smutnym przypadkiem, moje drogie – powiedziała Lily.

Fielding potrząsnął głową. – Zbawieni, oto co powiedział ojciec. Oni wszyscy byliby zbawieni, gdyby wrota zostały otwarte. To była zagadka, i ani Mary Beth, ani nikt inny nie wiedział, jakie jest rozwiązanie. Carlotta przysięgała, że je znalazła, ale to nieprawda. Ona tylko chciała udręczyć Stellę. Może nawet Julien go nie znał.

– Czy słyszałeś słowa zagadki? – spytał Michael.

Fielding obrócił się w lewo i spojrzał na niego. I nagle wszyscy skupili na Michaelu swoją uwagę, jakby dopiero teraz go zauważyli. Rowan położyła mu rękę na karku, przysunęła bliżej nogi. Nawet jeśli był tym gestem trochę skrępowany, chciała podkreślić, że jest częścią niej samej.

– No właśnie, jakie były słowa zagadki? – zapytała.

Randall spojrzał na Petera, a potem obaj obrócili się ku Fieldingowi. Ten ponownie potrząsnął głową.

– Nigdy ich nie znałem. Nawet nie słyszałem o jakichś specjalnych słowach. Wiadomo było tylko, że jest trzynaście czarownic i są drzwi, które w końcu mają być otwarte. Tej nocy, kiedy umarł Julien, mój ojciec powiedział: „Teraz, bez Juliana, nigdy nie będzie ich trzynaście”.

– Ale kto w ogóle zadał im tę zagadkę – dopytywała się Rowan. – Czy to ten mężczyzna?

Znowu wszyscy na nią spojrzeli. Nawet Anne Marie objawiła zainteresowanie, a Beatrice miała minę, jakby ktoś przerażająco naruszył etykietę. Lauren przyglądała się dziewczynie intensywnie.

– Ona nawet nie wie, o co tu chodzi – orzekła Beatrice.

– Uważam, że powinniśmy dać sobie spokój – powiedziała Felice.

– Dlaczego? Dlaczego powinniśmy dać spokój? – protestował Fielding. – Czy nie uważasz, że on może przyjść do Rowan, jak do innych? Co się zmieniło?

– Przerażasz ją – wykrzyknęła Cecylia – a szczerze mówiąc, mnie również!

– Czy to ten mężczyzna dał im zagadkę? – spytała znowu Rowan.

Nikt się nie odezwał.

Co miała jeszcze powiedzieć, żeby ich skłonić do mówienia, żeby wydobyć z nich wiedzę, którą posiadali?

– Carlotta uprzedziła mnie – odezwała się. – Ale nie obawiam się żadnego tajemniczego mężczyzny.

Jak cichy wydawał się ogród. Skupili się w kręgu, byli wszyscy, oprócz

Ryana i Gifford. Nawet Pierce dołączył do nich i stał teraz za Peterem. Zapadał zmierzch. Służący zniknęli, jakby wiedząc, że przeszkadzają.

Anne Marie sama napełniła swoją szklankę. Ktoś inny sięgnął po butelkę. Ale wszystkie oczy pozostały skierowane na Rowan.

– Czy chcecie, żebym się bała? – spytała.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała Lauren.

– Pewnie, że nie – przytaknęła Cecylia.

– ...w wielkim, pełnym cieni domu jak ten.

– ...nonsens, gdyby się kto pytał.

Randall przecząco potrząsnął głową; Peter wymamrotał „nie”, ale Fielding odwrócił wzrok.

Znowu zapadło głucho milczenie. Szeleszcząca ciemność wydawała się gromadzić pod drzewami. Refleksy słonecznego światła zniknęły z trawnika, odbijały się już tylko w małych szybkach francuskich okien.

– Czy ktoś z was kiedykolwiek go widział? – zapytała Rowan.

Twarz Petera pozostała spokojna i nieprzenikniona. Nie zauważył nawet, że Lauren naląła mu bourbona.

– Boże, chciałbym go zobaczyć! – powiedział Pierce. – Chociaż raz!

– I ja – powiedziała Beatrice. – Pomyślałabym o sposobie zatrzymania go. Powiedziałabym mu...

– Och, zamknij się, Bea! – powiedział nagle Peter. – Nie wiesz, o czym mówisz. Jak zwykle zresztą.

– W przeciwieństwie do ciebie – powiedziała Lily ostro, najwyraźniej biorąc Beę w obronę. – Chodź tu, kochanie – zwróciła się do kuzynki – i usiądź z kobietami. Jeśli ma być wojna, bądź po właściwej stronie.

Beatrice przycupnęła na trawie, obok krzesła Lily.

– Ty stary idioto, nienawidzę cię! – odezwała się do Petera. – Ciekawa jestem, co ty byś zrobił, gdybyś go ujrzał.

Odpowiedział jej tylko lekceważącym uniesieniem brwi, po czym pociągnął

łyk bourbona.

Fielding mamrotał coś szyderczo półgłosem.

– Przychodziłem na Pierwszą – powiedział Pierce – i krążyłem godzinami wzdłuż ogrodzenia, próbując go zobaczyć. Gdyby ukazał mi się choć na ułamek sekundy...

– U Boga Ojca! – wykrzyknęła Anne Marie. – Czy naprawdę nie miałeś już nic lepszego do roboty?

– Nie pozwól, aby twoja matka to usłyszała – mruknął Isaac.

– Wszyscy w niego wierzą – odezwała się Rowan. – Na pewno kilkoro z was go widziało.

– Dlaczego tak myślisz? – zaśmiała się Felice.

– Mój ojciec mówi, że to wymysły, stara bajka – powiedział Pierce.

– Kochany, najlepszą rzeczą, jaką mógłbyś zrobić – powiedziała Lily – to przestać traktować każde słowo, które pada z ust twojego ojca, jak objawienie, po prostu dlatego, że nim nie jest.

– Czy widziałeś go, ciociu Lily? – zapytał Pierce.

– Owszem – odpowiedziała niskim głosem. – Widziałam.

Zaskoczyło to wszystkich, poza najstarszymi mężczyznami, którzy wymienili tylko znaczące spojrzenia. Fielding poruszył lewą ręką, jakby chciał wykonać jakiś gest, coś powiedzieć, ale nic takiego nie zrobił.

– On jest rzeczywisty – odezwał się Peter. – Równie realny jak słońce czy wiatr. – Odwrócił się i spojrzał na młodego Pierce'a, potem na Rowan, jakby domagając się całkowitej uwagi i wiary w to, co powiedział. Potem jego oczy spoczęły na Michaelu. – Widziałem tego mężczyznę. Po raz pierwszy tej nocy, kiedy Stella zebrała nas w rezydencji. Widywałem go od tamtej pory. Lily również. I Lauren, i Carmen. Ty także, Felice, wiem, że ty także. Dlaczego nie powiesz tego głośno, moja droga? A ty, Fielding? Zobaczyłeś go tej nocy, kiedy umarła Mary Beth. Czyż nie tak? Kto z nas nie widział owego mężczyzny? Tylko najmłodszy. – Spojrzał na Rowan. – Zapytaj, odpowiedzą ci.

Wśród stojących z tyłu młodych Mayfairów zrobiło się poruszenie. Wielu z nich – Polly, Clancy, Tim i inni, których Rowan nie знаła – nie ujrzało ducha i nie wiedzieli teraz, czy mają wierzyć w to, co słyszą. Mała Mona ze wstążką we włosach wepchnęła się nagle do środka kręgu, a wyższa od niej Jennifer stanęła tuż za nią.

– Co widziałeś? – zwróciła się Rowan wprost do Petera. – Nie powiedziales, czy on przybył przez drzwi tej nocy, kiedy Stella was zebrała.

Peter nie spieszył się z odpowiedzią. Rozejrzył się wokół, jego wzrok spoczął na Margaret Ann, na Michaelu, wreszcie na Rowan. Podniósł szklaneczkę, opróżnił ją, a potem powiedział:

– Był tam przez kilka chwil – połyskująca, migotliwa zjawia. Wówczas mógłbym przysiąc, że jest tak samo cielesny jak każdy mężczyzna z krwi i kości. Widziałem go materializującego się, czułem bijący wtedy od niego żar, słyszałem jak szedł. Tak, słyszałem odgłos kroków w holu, kiedy zbliżał się do nas. – Znowu podniósł szklanę, pociągnął łyk i opuścił ją, a jego wzrok przesunął się po małym zgromadzeniu. – A potem zniknął, tak jak zawsze. Znowu podmuch gorąca, zapach dymu, powiew poruszający zasłony w całym domu. Ale on odszedł. Nie był w stanie zachować tej postaci. A my nie mieliśmy wystarczająco dużo mocy, by go zatrzymać. Było nas trzynaścioro, trzynaście czarownic, według słów Stelli. I czteroletnia Lauren! Mała Lauren. Ale mimo wszystko brakowało nam nadprzyrodzonej energii, jaką posiadali Julien, Mary Beth i babka Marguerite w Riverband. Nie mogliśmy tego dokonać. Nawet Carlotta, która była silniejsza od Stelli – zapamiętaj moje słowa, bo to prawda – nie mogłaby pomóc. Leżała w swoim łóżku na górze, wpatrując się w sufit, i odmawiała głośno różaniec, a po każdej zdrowaśce mówiła: „Odeślij go, Panie, z powrotem do piekła, nie pozwól mu zostać tutaj!” A potem zaczynała następną modlitwę.

Zacisnął usta i zachmurzony obracał w rękach opróżnioną szklanę, obserwując wirujące w niej kostki lodu. Po chwili podniósł oczy na stojących w

kręgu, przyglądając się wszystkim, nawet małej, rudowłosej Monie.

– Tak! Ja, Peter Mayfair, widziałem go – oświadczył wstając. – Lauren i Lily mogą mówić za siebie. To samo Randall. Ale powtarzam: widziałem go i to możecie przekazać swoim wnukom.

Znowu zapadła cisza. Ciemność gęstniała, z oddali dochodziły zgrzytliwe dźwięki cykad. Żaden powiew nie poruszał powietrza. W domu było teraz jasno, światło paliło się we wszystkich oknach.

– Tak – powiedziała Lily z westchnieniem. – Dlaczego to ukrywać przed tobą, kochanie – jej oczy spoczęły na Rowan. – On tam jest. Od dnia przyjęcia u Stelli pojawił się nam wiele razy. Inaczej niż wtedy, nie tak długo i nie tak wyraźnie.

– Byłaś tam również? – zapytała Rowan.

– Byłam – odparła. – Potem widziałyśmy go na tej starej werandzie, razem z Deirdre – zerknęła na Lauren. – Czasami ukazywał się bez naszej woli.

– Nie bój się go, Rowan – odezwała się Lauren pogardliwie.

– Teraz jej to mówisz! – wykrzyknęła Beatrice. – Wy zabobonne potwory!

– Nie pozwól im wypędzić się z tego domu – dodała Magdalenę szybko.

– Nie, nie pozwól nam tego zrobić – zawtórowała Felice. – I radzę ci, zapomnij o tych legendach i głupstwach: trzynastu czarownicach, wrotach. Zapomnij o nim! To tylko duch, nic więcej.

– On nie może ci nic zrobić – odezwała się Lauren z szyderstwem w głosie.

– Nie, nie może – dodała Felice. – Jest jak bryza.

– To duch – powiedziała Lily. – Tym jest i tym zawsze pozostanie.

– Kto wie? – odezwała się Cecylia. – Może go już tam nie ma. Wszyscy spojrzeli na nią.

– Przecież nikt go nie widział od śmierci Deirdre.

Trzasnęły drzwi. Rozległ się głośny dźwięk upadającej szklanki, zrobiło się zamieszanie. Ludzie się rozstępowali – Gifford przepychała się do środka. Jej twarz była mokra, makijaż rozmazany.

– Nic nikomu nie może zrobić! Nie skrzywdzi nikogo! To jej mówicie? Nic nie może zrobić?! Zabił Cortlanda. Oto co zrobił, po tym, jak Cortland zgwałcił Deirdre! Teraz wiesz, Rowan!

– Cicho, Gifford! – wrzasnął Fielding.

– Cortland był twoim ojcem – krzyczała Gifford. – Diabła tam, nie może nic zrobić! Wypędź go, Rowan! Obróć swą siłę przeciwko niemu i zniszcz go! Dokonaj egzorcyzmów! Spal dom, jeśli będziesz musiała... Spal go!

Okrzyki protestu rozległy się ze wszystkich stron, mieszanina szyderstwa i urazy. Pojawił się Ryan i próbował raz jeszcze zapanować nad Gifford, ale ta odwróciła się i wymierzyła mu policzek. Wszyscy wokół wstrzymali oddech. Pierce był najwyraźniej upokorzony i bezradny.

Lily podniosła się i odeszła. Felice również, choć mało nie upadła z pośpiechu. Anne Marie podtrzymała ją i pomogła utrzymać równowagę. Ale inni pozostali nieporuszeni, włącznie z Ryanem, który po prostu otarł twarz chusteczką, starając się odzyskać zimną krew, podczas gdy Gifford stała z zaciśniętymi pięściami i drżącymi wargami. Beatrice najwyraźniej desperacko chciała zaradzić powstałej sytuacji, ale nie wiedziała jak.

Rowan wstała i podeszła do Gifford.

– Posłuchaj – powiedziała do niej. – Nie bój się. Troszczymy się o przyszłość, nie o przeszłość – obiema rękami trzymała kuzynkę, a ta niechętnie podniosła wzrok na twarz dziewczyny. – Zrobię to, co dobre – mówiła Rowan – to, co dobre i słuszne dla rodziny. Rozumiesz, o czym mówię?

Gifford zaczęła szlochać, bardzo gwałtownie schyliła głowę, jakby nie miała siły utrzymać jej w pionie. Włosy opadły na oczy.

– Tylko źli ludzie mogą być szczęśliwi w tym domu – powiedziała. – A oni byli źli. Cortland także.

Pierce i Ryan otoczyli ją ramionami. Ryan najwyraźniej zaczął się już irytować, ale Rowan nie pozwoliła nieszczęsnej kobiecie odejść.

– Zbyt dużo drinków – powiedziała Cecylia. Ktoś zapalił światła w ogrodzie.

Wydawało się, że Gifford upadnie, ale Rowan ciągle ją trzymała.

– Proszę. Gifford, posłuchaj – powiedziała, choć tak naprawdę mówiła do innych. Widziała Lily stojącą o parę kroków dalej i Felice tuż obok. Czuła na sobie wzrok Beatrice, nie opodal krzesła Fieldinga dostrzegła wpatrzonego w nią Michaela.

– Słuchałam was wszystkich, wiele się dowiedziałam i mam coś do powiedzenia. Żeby poradzić sobie z owym dziwnym zjawiskiem i wszystkim, co się z nim wiąże, trzeba zobaczyć całą sprawę w szerszej perspektywie, której częścią jest rodzina i życie w ogóle. Nie wolno pozwolić temu duchowi, by nas osaczył, ograniczył możliwości niesione przez los. Jeżeli istnieje, tak jak twierdzicie, należy do ciemności.

Randall i Peter obserwowali ją bacznie, Lauren również. Aaron stał bardzo blisko Michaela i słuchał. Tylko Fielding wydawał się chłodny, szydrczy i nie patrzył na Rowan. Gifford spoglądała na dziewczynę oszołomiona.

– Myślę, że Mary Beth i Julien wiedzieli to. Powinam pójść ich śladem. Jeżeli coś wynurzy się z cienia na Pierwszej, bez względu na to jak będzie tajemnicze, nie zdoła zaćmić prawdziwego światła, wyższego porządku. Oczywiście rozumiecie, o co mi chodzi.

Gifford wydawała się prawie zahipnotyzowana. A Rowan z wolna uświadomiła sobie niezwykłą osobliwość tego momentu. Jak dziwnie zabrzmiały jej słowa, jak dziwaczna musiała im się wydać, gdy wygłaszała swoją przemowę, trzymając obiema rękami tę kruchą, rozhisteryzowaną kobietę!

Rzeczywiście, wszyscy wpatrywali się w nią jakby zaczarowani.

Delikatnie uwolniła Gifford z uścisku, a ta zrobiła krok do tyłu i osunęła się w ramiona Ryana, ale jej oczy pozostały rozszerzone, puste, wpatrzony w Rowan.

– Przeraziłam was, prawda? – zapytała Rowan.

– Nie, nie, już dobrze – powiedział Ryan.

– Tak, w porządku – dodał Pierce.

Ale Gifford milczała. Wszyscy byli zbici z tropu. Kiedy Rowan spojrzała na Michaela, zobaczyła na jego twarzy ten sam dobrze znany wyraz oszołomienia i niespokojnego strapienia.

Beatrice wymamrotała parę zdań przeprosin za to, co się stało, potem podeszła i odprowadziła Gifford. Ryan ruszył za nimi, ale Pierce tkwił oniemiały w bezruchu.

Lily rozglądała się wokół przez chwilę, najwyraźniej zdezorientowana, potem poprosiła Herculesa, by odszukał jej płaszcz.

Randall, Fielding i Peter zostali w milczeniu. Inni powoli zbierali się do odejścia. Mała dziewczynka ze wstążką we włosach przypatrywała się Rowan z daleka, jej okrągła, słodka twarzyczka wyglądała jak płomyk w ciemności. Wyższe dziecko, Jenn, najwyraźniej zamierzało się rozplakać.

Nagle Peter uścisnął rękę Rowan.

– To, co powiedziałaś, było mądre. Zmarnowałabyś życie, gdybyś dała temu sobą zawładnąć.

– Tak właśnie. To przydarzyło się Stelli i Carlotcie. Zmarnowały swoje życie – powiedział Randall miarowym głosem, ale był niespokojny i wyraźnie chciał odejść. Odwrócił się i wymknął bez pożegnania.

– Chodź tu, młody człowieku, pomóż mi wstać – powiedział Fielding do Michaela. – Przyjęcie się skończyło, a nawiasem mówiąc, moje gratulacje z okazji małżeństwa. Być może pożyję wystarczająco długo, by zobaczyć wasz ślub. I błagam, nie zapraszajcie ducha.

Michael wyglądał na zdezorientowanego. Zerknął na Rowan, potem na starszego pana, a później delikatnie pomógł mu wstać. Potem znowu spojrzał na nią. Zakłopotanie i lęk ciągle odbijały się na jego twarzy.

Kilkoro młodszych kuzynów zbliżyło się, aby powiedzieć Rowan, żeby nie zniechęcała się tymi wszystkimi szaleństwami Mayfairów. Anne Marie nalegała, by Rowan rozwijała dalej swoje plany. Zawiał wreszcie lekki wiatr, przynosząc

odrobinę chłodu.

– Wszyscy byliby niepokieszeni, gdybyś nie wprowadziła się do domu – powiedziała Margaret Ann.

– Nie zamierzasz z tego rezygnować? – domagał się odpowiedzi Clancy.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Rowan z uśmiechem. – Co za absurdalny pomysł!

Aaron stał i przyglądał się dziewczynie z kamienną twarzą. Po chwili wróciła Beatrice, zalewając ich potokiem przeprosin w imieniu Gifford i namawiając Rowan, by się niczym nie przejmowała.

Inni podchodzili jeszcze na chwilę. Trzymali już swoje płaszcze, torebki i cokolwiek tam mieli do zabrania. Zapadła całkowita ciemność, a powietrze stało się chłodne. Przyjęcie było skończone.

* * *

Przez pół godziny kuzyni zegnali się z nimi. Wszyscy mówili to samo. Zostań, nie odchodź. Odnawiaj dom. Zapomnij o starych gadkach.

Ryan przeproszał za Gifford i za te okropne rzeczy, które naopowiadała. To oczywiste, że Rowan nie powinna wierzyć w ani jedno jej słowo. Dziewczyna machnęła tylko ręką.

– Dziękuję, dziękuję bardzo za wszystko – powiedziała – i nie martw się. Chciałam poznać stare opowieści, wiedzieć, co mówi moja rodzina. I teraz wiem.

– Nie ma tam na górze żadnego ducha – powiedział Ryan, patrząc jej prosto w oczy.

Rowan nie pofatygowała się, by odpowiedzieć.

– Będziecie szczęśliwi na Pierwszej – mówił dalej – zmienicie jej wizerunek.

– Michael pojawił się u boku Rowan, obaj mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

Obróciwszy się by odejść, Rowan zobaczyła Aarona, który przy frontowej

furtce rozmawiał z Gifford i Beatrice. Gifford wydawała się całkowicie podniesiona na duchu.

Ryan czekał cierpliwie, jego profil rysował się jak wycięty z ciemnego papieru na jasnym tle.

– Nie martw się niczym – mówił Aaron do Gifford ze swym zniewalającym brytyjskim akcentem.

Gifford otoczyła go ramionami. Z wdziękiem odwzajemnił jej uścisk i pocałował w rękę na pożegnanie. Beatrice była tylko odrobinę mniej wylewna. Potem obie odsunęły się, kiedy czarna limuzyna Aarona podjechała wolno.

– Nie przejmuj się, Rowan – powiedziała Beatrice serdecznie. – Lunch jutro, nie zapomnij. I to będzie najpiękniejszy ślub!

Rowan uśmiechnęła się.

– Wszystko w porządku, Bea.

Potem oboje z Michaeliem wsunęli się na siedzenie z tyłu, a Aaron zajął swoje ulubione miejsce – tyłem do kierowcy. Samochód ruszył wolno.

Strumień zimnego powietrza świetnie robił Rowan. Wilgoć i atmosfera tonącego w zmroku ogrodu przyłgnęły do jej ciała. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

Kiedy ponownie otworzyła powieki, zobaczyła, że są na ulicy Metairie i mijają szybko nowe cmentarze miejskie, które przedstawiały się ponuro i mało romantycznie przez ciemną szybę. Świat zawsze wygląda tak upiornie przez przydymione szyby limuzyn, myślała. Najgorszy z możliwych odcień ciemności. Nagle zaczęło ją to denerwować.

Odwróciła się do Michaela. Ten okropny wyraz jego twarzy zirytował Rowan już na dobre. Ona sama była tylko podekscytowana tym, co odkryła. Jej przypuszczenia się potwierdziły. W rzeczywistości uważała całe to doświadczenie za fascynujące.

– Nic się nie zmieniło – powiedziała. – Wcześniej czy później on przyjdzie, by dostać to, czego chce, zmierzy się ze mną i przegra. Udało nam się zdobyć

więcej informacji o liczbie i drzwiach, a tego przecież chcieliśmy. – Michael nie odpowiadał. – Ale nic się nie zmieniło – podkreśliła. – Zupełnie nic.

Ciągle się nie odzywał.

– Nie rozmyślaj nad tym – powiedziała ostro. – Możesz być pewny, że nigdy nie urządzę sabatu, nie zwołam trzynastu czarownic. Mam ważniejsze rzeczy do roboty. Nie zamierzam nikogo nastraszyć. Myślę, że źle dobrałam słowa, niedobrze to wyraziłam.

– Oni nie zrozumieli – wymamrotał Michael. Wpatrywał się w Aarona, który spokojnie obserwował ich oboje. Rowan wyczuła w głosie Michaela, że jest całkowicie wytracony z równowagi.

– Co masz na myśli?

– Nikt nie musi zbierać trzynastu wiedźm – powiedział. W jego niebieskich oczach odbijały się światła mijających ich samochodów. – To nie ma nic wspólnego z tą zagadką. Źle to pojęli, bo nie znają swojej własnej historii.

– O czym ty mówisz?

Nigdy jeszcze nie widziała Michaela tak niespokojnym od dnia, kiedy stłukł słoje. Wiedziała, że gdyby wzięła go za rękę, wyczułaby przyspieszony puls. Nienawidziła jego obaw. Zobaczyła, jak krew napływa mu do twarzy.

– Michael, na miłość boską!

– Rowan, policz swoje poprzedniczki. To coś czekało na trzynaście czarownic, od czasów Zuzanny do dziś, i ty jesteś trzynasta. Policz je! Zuzanna, Debora i Carlotta; Jeanne Luise, Angelique i Marie Claudette; po nich, w Luizjanie, Marguerite, Katherine i Mary Beth. Potem przyszły: Stella, Antha, Deirdre. I na koniec ty, Rowan! Trzynasta jest oczywiście najsilniejsza, ona może być wrotami, przez które to coś wkroczy. Ty stanowisz owo przejście, Rowan. Oto dlaczego w grobowcu było dwanaście krypt, nie trzynaście. Trzynaste są wrota.

– W porządku – powiedziała, zmuszając się do spokoju. – Ale wiedzieliśmy o tym już wcześniej, prawda? Nasz tajemniczy demon przewidział to. Jego

wzrok sięga daleko, a jak ci powiedział, widzi trzynastkę. Ale nie jest w stanie zobaczyć wszystkiego. Nie wie, kim jestem.

– To nie jego słowa. On powiedział, że widzi do końca. Wyznał też, że nie zdołam powstrzymać ani ciebie, ani jego. W tych słowach była cierpliwość równa cierpliwości Wszechmogącego.

– Michael – przerwał mu Aaron. – To stworzenie nie jest zobowiązane mówić ci prawdy. Nie pakuj się w tę pułapkę. Ono igra słowami. Jest kłamcą.

– Wiem, Aaronie. Diabeł kłamie. Wiem! Słyszałem o tym. Ale na co on czeka, do cholery? Dlaczego pozwala, by wszystko toczyło się dzień za dniem, podczas gdy on cierpliwie wyczekuje stosownej chwili? Doprowadza mnie to do szaleństwa!

Rowan położyła Michaelowi dłoń na przegubie, ale kiedy zorientował się, że mierzy mu puls, cofnął rękę. – Jeśli będę potrzebował doktora, powiem ci, dobrze?

Urażona, odsunęła się od niego. Była na siebie zła, że nie potrafi się opanować. Nie znosiła, gdy był wytrącony z równowagi, nienawidziła siebie za to, że czuje się wtedy udręczona i przestraszona.

Przyszło jej namyśl, że ilekroć Michael reaguje w ten sposób, jest to na rękę tym niewidzialnym siłom, które próbują nimi manipulować, że być może został wybrany do tej gry, ponieważ tak łatwo go kontrolować. Byłoby jednak obrzydliwe powiedzieć mu to. Poczulby się obrażony, zraniony, a ona nie mogła znieść, kiedy widziała Michaela w takim stanie. Nie chciała oglądać jego słabości.

Siedziała pokonana, patrzyła na swoje ręce bezsilnie spoczywające na kolanach. Duch powiedział: „Stanę się ciałem, kiedy ty umrzesz”. Słyszała bicie serca Michaela. Mimo że nie widziała jego twarzy, wiedziała, że jest oszołomiony, nawet chory. Kiedy ty będziesz martwy. Zmysły mówiły jej, że jest zdrowy, silny, żywotny, jakby był o połowę młodszy, ale wyczuwała też nieomylnie objawy stresu, siejącego w nim spustoszenie.

Boże, jak odrażające stało się to wszystko. Straszne, mroczne sekrety przeszłości zatruwały wszelkie doświadczenia. Nie tego chciała, absolutnie nie. Może byłoby lepiej, gdyby w ogóle się nie odezwała? Gdyby Gifford i oni wszyscy pozostali w kręgu swoich beztroskich rozmów, marzeń o domu i ślubie.

– Michaelu – powiedział Aaron spokojnym tonem – on szydzi i łże. Jakież ma prawo do przepowiadania przyszłości? I jaki cel może mieć poza jednym: próbować, by dzięki jego kłamstwom te proroctwa się spełniły?

– Gdzie on jest, na Boga? – dopytywał się Michael. – Niewykluczone, że chwytam się jak tonący brzytwy, ale tej pierwszej nocy, kiedy poszedłem do domu, może powiedziałby coś do mnie, gdyby ciebie tam nie było? Dlaczego pokazał się tylko i zniknął natychmiast jak rozwiany dym?

– Michael, mógłbym na kilka sposobów wyjaśnić ci przyczyny każdego pojawienia się ducha. Ale nie wiem, czy mam rację. Najważniejsze, aby nie tracić zdrowego rozsądku i zdać sobie sprawę, że on jest wielkim oszustem.

– Właśnie – powiedziała Rowan.

– Boże, o co chodzi w tej grze? – wyszeptał Michael. – Dali mi wszystko, czego kiedykolwiek chciałem: kobietę, którą kocham, dom, wyjęty prosto z moich chłopięcych marzeń. Ja i Rowan pragniemy mieć dziecko. A teraz milczą. Teraz mówi on. Cóż to za gra? Boże, gdybym tylko mógł pozbyć się uczucia, że wszystko jest z góry zaplanowane, tak jak twierdził Townsend w twoim śnie. Ale przez kogo?

– Michael, musisz wziąć się w garść – powiedziała Rowan. – Nasze plany i marzenia realizują się i to wyłącznie dzięki nam samym. Wszystko idzie świetnie od pierwszego dnia po śmierci Carlotty. Wiesz, chwilami myślę, że postępuję tak, jakby chciała tego moja matka. Czy to brzmi idiotycznie? Wydaje mi się, że robię to, o czym Deirdre marzyła przez całe życie. Nie odpowiedział.

– Michael, czy nie słyszałeś, co mówiłam do innych? Nie wierzysz mi?

– Po prostu obiecaj – Michael wziął Rowan za rękę i splótł palce z jej palcami – przyrzeknij, że jeśli zobaczysz tę zjawę, nie będziesz trzymała tego w

tajemnicy, że mi powiesz.

– O rany, Michael, zachowujesz się jak zazdrosny mąż.

– Czy wiesz, co usłyszałem od tego starca, kiedy pomagałem mu wsiąść do samochodu?

– Mówisz o Fieldingu?

– Tak. Powiedział: „Uważaj, młody człowieku”. Co on, u diabła, miał na myśli?

– Niech go szlag trafi! – wyszeptała. Nagle ogarnął ją gniew. Uwolniła swoją rękę z dłoni Michaela. – Co on sobie, do cholery, wyobraża, że kim jest? Stary idiota! Jak śmie mówić ci coś takiego. On nie przyjdzie na nasz ślub. Nie wejdzie za próg. – Zamilkła, dławiąc się słowami. Gniew mieszał się z goryczą. Wszystko, co Mayfairowie jej ofiarowali, przyjęła za dobrą monetę. Wierzyła w całą tę miłość. Jej zaufanie do rodziny było tak całkowite, że teraz słowa Fieldinga odebrała jako cios zadany w plecy. Płakała. W cholere z nimi! Na dodatek nie miała chusteczki. Czowała się... jakby spoliczkowano Michaela. I kto się do tego przyczynił? Ten starszy pan, którego chciała uściskać! Jak on mógł?

Michael próbował ponownie wziąć ją za rękę, ale odsunęła go. Przez chwilę była tak wściekła, że nie mogła myśleć, tak rozzłoszczona, że znowu zaczęła płakać.

– Proszę, weź – Aaron podał Rowan chusteczkę do nosa. Z trudem wybąkała podziękowanie i ukryła w niej twarz.

– Przepraszam cię, Rowan – wyszeptał Michael.

– Ty też idź do diabła! – wyrzuciła z siebie. – Lepiej byś zrobił stawiając im czoło, zamiast zamieniać się w cholerny słup soli za każdym razem, kiedy jakiś kolejny kawałek układanki wyłania się na horyzoncie. To nie Błogosławiona Dziewica Maryja pojawiła się w tych twoich wizjach! To byli po prostu oni i ich sztuczki.

– Nieprawda. – W jego głosie brzmiał smutek z odcieniem skruchy.

Poruszyło to Rowan do głębi, ale nie mogła mu ulec. Obawiała się

powiedzieć, co naprawdę myśli. – Posłuchaj, kocham cię, ale czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że ty masz jedynie patrzeć jak wracam tu, zostaję i mam dziecko, które przejmie po mnie dziedzictwo? Ten duch mógł stworzyć scenariusz: twój wypadek, ocalenie, wizje, wszystko, co się zdarzyło. I dlatego Arthur Langtry przybył do ciebie, dlatego ostrzegł, namawiał byś oszczędł, zanim będzie za późno.

Siedziała pochłonięta tą myślą, porażona nią, przestraszona. Mogła mieć tylko nadzieję, że to nieprawda.

– Proszę, przestań, Rowan – powiedział spokojnie Aaron. – Ten starzec mówił głupstwa. – Jego głos brzmiał jak łagodna muzyka, przynosił odprężenie. – Fielding chciał się czuć ważny. To był pojedynek na przechwałki między nimi trzema: Randallem, Peterem i Fieldingiem. Nie bądź wobec niego taka surowa. On jest po prostu... zbyt stary. Uwierz mi, ja to znam z własnego doświadczenia.

Wytarła nos i spojrzała na Aarona. Uśmiechał się, odpowiedziała mu tym samym.

– Czy to dobrzy ludzie? Jak myślisz? – zapytała Aarona, celowo ignorując Michaela.

– Wspaniali, Rowan. Dużo lepsi niż większość, moja droga. I kochają cię. Fielding również. Ty i wszystko, co z tobą związane, ekscytuje go tak, jak nie przez ostatnich dziesięć lat. Reszta kuzynów nie zaprasza staruszka zbyt często. On rozkoszował się tym, że był w centrum zainteresowania. I oczywiście, co do tych ich tajemnic – oni nie wiedzą tego, co ty wiesz.

– Masz rację – wyszeptała. Czowała się wyczerpana i przygnębiona. Emocjonalne wybuchy nigdy nie działały na nią odświeżająco. Zawsze, kiedy mijały, była roztrzęsiona i nieszczęśliwa.

– W porządku – powiedziała. – Poprosiłabym go, żeby mnie prowadził do ołtarza w dniu ślubu, gdybym nie miała już innego serdecznego przyjaciela na myśli. – Ponownie wytarła oczy chusteczką. – Mówię o tobie, Aaronie. Wiem, że trochę późno na takie prośby. Ale czy nie poszedłbyś ze mną główną nawą?

– Kochanie, będę zaszczycony. Nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło – uściskał mocno jej rękę. – A teraz, proszę, nie myśl już więcej o tym starym głupcu.

– Dziękuję, Aaronie. – Wyprostowała się i wzięła głęboki oddech, zanim zwróciła się do Michaela. W rzeczywistości z premedytacją pominęła go w rozmowie, ale nagle zrobiło jej się okropnie przykro. Wyglądał na tak zasmuconego, tak przygnębitego. – W porządku – powiedziała. – Uspokoileś się, czy miałeś atak serca? Siedzisz tak niepokojąco cicho.

Roześmiał się lekko, z odprężeniem. Jego oczy robiły się wspaniale błękitne, kiedy twarz rozjaśniał mu uśmiech. – Wiesz, jeszcze jako dziecko – odezwał się, biorąc Rowan znowu za rękę – myślałem sobie, że cudownie byłoby mieć rodzinnego ducha. Z całego serca pragnąłem zobaczyć jakiegoś, żyć w nawiedzonym domu!

Był znowu sobą, pogodny i silny, nawet jeśli nie całkiem jeszcze odzyskał równowagę. Pochyliła się i pocałowała go w niedokładnie wygolony policzek. – Przykro mi, że cię rozzłościłam.

– Mnie też przykro, kochanie. Naprawdę. Ten staruszek nie miał na myśli nic złego. Jest po prostu zwariowany. Oni wszyscy są odrobinę szaleni. Irlandzka krew! Znam się na tym bardzo dobrze. Myślę, że są tak samo stuknięci, jak każdy Irlandczyk.

Aaron spojrzał na nich z lekkim uśmiechem. Czuli się poruszeni i zmęczeni, a ta konwersacja wycisnęła z nich resztki sił.

Rowan wydawało się, że mrok zgęstniał. Gdyby tylko te szyby nie były takie ciemne.

Usiadła wygodniej, kładąc głowę na oparciu. Spoglądała na przesuwane się za oknami ponure, nędzne miasto, na widoczne w dali uliczki. Stały na nich drewniane domki z licznymi ozdobami i długimi okiennicami, niskie murowane budynki ze sztukaterią, które wydawały się jakoś niestosowne między zakurzonymi dębami i wysokimi chwastami. Wspaniale, po prostu wspaniale.

Cienka otoczka jej doskonałego kalifornijskiego świata była zniszczona, a ona sama została przywrócona w końcu swojemu prawdziwemu życiu.

Jak miała przekonać Michaela, pozostałych Mayfairów, że wszystko idzie dobrze, że wie, iż ostatecznie zwycięży, i że nie ma takiej pokusy na świecie, która zdołałaby ją odciągnąć od jej miłości, marzeń, planów?

Niech się zjawia tajemniczy duch, niech próbuje ją oczarować jak diabeł starą wiejską kobietę, oczekując, że ulegnie, ale ona się oprze, a moc, która jest w niej, wykształcona przez dwanaście pokoleń czarownic, będzie dostateczna, by go zniszczyć. Trzynastka to pechowa liczba, demonie. A wrota są wrotami piekieł.

Tak, właśnie tak. Te wrota prowadziły do piekła.

Ale dopiero gdy będzie już po wszystkim, Michael w to uwierzy.

Nie odezwała się więcej.

Przypomniała sobie znowu te róże w wazonie na stoliku w holu. Obrzydliwe, jak irys z ciemnymi, drżącymi ustami. Przerazające. I gorszy niż cała reszta – szmaragdowy naszyjnik wokół jej szyi, w ciemności, ciężki i zimny na nagiej skórze. Nie, nie mów mu nigdy o tym. Ani słowa.

Był tak dzielny i dobry jak nikt, kogo znała do tej pory. Ale musiała go teraz chronić, ponieważ on nie mógł chronić jej, to stało się dla Rowan zupełnie oczywiste. I uświadomiła sobie po raz pierwszy, że kiedy rzeczywiście zacznie się coś dziać, na polu walki stanie prawdopodobnie całkowicie sama. Zawsze wiedziała, że to nieuchronne, nieprawdaz?

CZEŚĆ DRUGA

Czy po latach będzie wspominała ten dzień, zastanawiała się Rowan, jako jeden z najszczęśliwszych w życiu? Atmosfera ślubu oddziaływała na wszystkich swoją magią. A ona była na to bardziej niż inni podatna, ponieważ, jak sama sobie uświadomiła, przybyła do tej tradycyjnej, staromodnej krainy ze świata chłodu i samotności, i znalazła to, czego tak bardzo pragnęła!

W wieczór przed ślubem poszła do kościoła, aby się pomodlić. Michael był zdziwiony. Czy ona rzeczywiście zanosila modły do kogokolwiek?

– Sama nie wiem – odpowiedziała, gdy ją o to zapytał. Pragnęła posiedzieć w tej ciemnej świątyni, która była już przygotowana na jutrzejszą uroczystość, udekorowana białymi wstęgami i kokardami, z czerwonym dywanem ciągnącym się środkiem. Chciała tam być i mówić do Ellie, próbować jej wytłumaczyć, dlaczego złamała obietnicę, dlaczego to wszystko robi i jak to się potoczy.

Wyjaśniła Ellie, jak to było z białą, weselną suknią, że rodzina tak tego chciała, i ile radości sprawiają jej te metry jedwabnych koronek i długi, lśniący welon. Opowiedziała o druhnach – Mayfairach, oczywiście – i o Beatrice spełniającej honory matki panny młodej, i o Aaronie, który poprowadzi ją do ołtarza.

Wyjaśniała i wyjaśniała. Tłumaczyła się nawet z konieczności założenia szmaragdowego naszyjnika. – Bądź ze mną, Ellie – powiedziała. I wybacz mi. Tak bardzo tego potrzebuję.

Potem toczyła rozmowę ze swą matką. Była to rozmowa bez słów, po prostu

poczucie bliskości Deirdre. I starała się odepchnąć wspomnienia o Carolcie.

Myślała o swoich przyjaciółkach z Kalifornii, do których telefonowała przez ostatnie tygodnie. Rozmawiało im się tak wspaniale. Były szczęśliwe słysząc, co ją spotkało, choć nie zdawały sobie w pełni sprawy z piękna, bogactwa i wigoru tego staromodnego świata. Barbara chciała przyjechać, ale właśnie rozpoczął się semestr w Princeton, Janie planowała w tym czasie podróż do Europy, a Mattie lada dzień spodziewała się dziecka. Wszystkie przysłały tak wspaniałe prezenty, że oczywiście im wybaczyła. Miała przeczucie, że zobaczy się z każdą z nich niedługo, jeszcze zanim rozpocznie prawdziwą pracę, by urzeczywistnić marzenia o medycznym centrum Mayfairów.

Wreszcie zakończyła swoją modlitwę dość dziwnie. Zapaliła świece dla swoich dwóch matek i jedną dla Anthy, a nawet dla Stelli. Był to prawdziwy rytuał – patrzyła, jak małe płomyki rozżarzają się, tańczą przed posągiem Dziewicy. Nic dziwnego, że ci starzy, mądrzy katolicy to robią. Możesz prawie uwierzyć, że te wdzięczne płomyki są żywą modlitwą.

Potem wyszła, by odszukać Michaela, który, jak się okazało, spędził wspaniałe chwile w zakrystii, rozmawiając z uprzejmym starym księdzem o przeszłości parafii.

Następnego dnia ślub miał się zacząć o pierwszej.

Rowan stała wyprostowana sztywno w swoim ślubnym stroju. Cicha, trochę rozmarzona. Na koronkowym gorsecie opinającym piersi spoczywał szmaragd – płonący odblask zieleni, jedyny kolorowy element stroju. Nawet złociste włosy i zielone oczy Rowan wyglądały przy nim blado. Klejnot dziwnie przypominał jej figury Jezusa i Matki Boskiej z odkrytymi sercami, dewocjonalia, które stłukła ze złością w pokoju matki.

Ale wszystkie przykre myśli opuściły ją teraz. Obszerna nawa kościoła Zwiastowania Najświętszej Marii Panny była zapchana ludźmi. Przyjechali Mayfairowie z Nowego Jorku, Los Angeles, Atlanty i Dallas. Było ich ponad dwa tysiące. Druhny – Clancy, Cecylia, Marianne, Polly i Regina Mayfair –

jedna za drugą kroczyły środkiem kościoła przy wtórze ciężkich akordów muzyki organowej. Beatrice wyglądała wspaniale – lepiej niż niejedna z młodszych kuzynek. Mistrzowie ceremonii, oczywiście również członkowie rodu – wszyscy świetnie się prezentujący – stali czekając, by wziąć druhny pod rękę. Ale oto nadeszła chwila...

Rowan wydawało się, że nie zdoła zrobić kroku. Jednak trwało to tylko moment. Szybko poprawiła długi welon i uśmiechnęła się do Mony, która miała iść przed nią i sypać kwiaty. Mała wyglądała uroczo, jej rude włosy były jak zwykle przepasane wstążką. Rowan wsparła się na ramieniu Aarona i razem ruszyli za dziewczynką w rytm powolnych dźwięków organów. Po obu stronach przesuwali się setki twarzy, a Rowan wpatrywała się przez mgiełkę bieli w rząd olśniewających świateł i świec na ołtarzu przed nią.

Czy będzie zawsze to wspominać? Bukiet białych kwiatów w rękach, łagodny, promienny uśmiech Aarona, kiedy spoglądał na nią i uczucie, że jest piękna, tak jak piękne są wszystkie panny młode?

I kiedy w końcu zobaczyła Michaela, cudownie wyglądającego w szarym żakiecie, z fularem pod szyją, poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Doprawdy był tak wspaniały – jej kochanek, jak anioł – rozpromieniony, czekający na nią przy ołtarzu, z dłońmi uwolnionymi od tych okropnych rękawiczek. Stał z lekko pochyloną głową, jakby chronił się przed nadmiarem jaskrawego światła, choć to jego niebieskie oczy płonęły najpiękniejszym blaskiem.

Gdy Aaron i Rowan dotarli już do ołtarza, Michael przybliżył się do nich. Na Rowan spłynęło wspaniałe uczucie spokoju, kiedy odwróciła się ku Aaronowi, a on uniósł welon i delikatnie odrzucił na jej ramiona. Tkanina łagodnie spłynęła w dół. Dziewczynę przeszył dreszcz. Jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła tak uświęconego tradycją gestu. Nie był to welon symbolizujący dziewictwo czy skromność, ale znak dotychczasowej samotności, która teraz została odrzucona. Aaron wziął dłoń Rowan i wsunął w rękę Michaela.

– Bądź zawsze dobry dla niej – wyszeptał przyjaciel. Zamknęła oczy, chcąc

aby ten moment trwał wiecznie, a potem wolno spojrzała na oślepiająco jasny ołtarz, na którym szeregiem stały wspaniałe figury świętych.

Kiedy ksiądz rozpoczął uroczystość tradycyjną formułą, zobaczyła, że w oczach Michaela również lśnią łzy. Gdy jego ręka zacisnęła się na jej dłoni, czuła jak drży.

Bała się, że głos ją zawiedzie. Rano miała lekkie mdłości, prawdopodobnie z przejęcia, ale teraz była tak olśniona, że nie pamiętała już o tym.

W tej chwili całkowitego spokoju i uwolnienia od wszystkiego, co ją dręczyło, odczuła potęgę ceremonii, chroniącą ich niewidzialną mocą rytuału. Jak starzy, kalifornijscy przyjaciele mogli kpić z takich sytuacji? Teraz, w trakcie uroczystości, stojąc w samym centrum, cieszyła się nią i otworzyła serce, aby przyjąć łaskę, którą mogła otrzymać.

W końcu słowa testamentu Mayfairów nadały kształt ceremonii i usłyszała je wypowiedziane głośno:

– ...teraz i na zawsze, publicznie i w zaciszu domowym, przed rodziną i innymi ludźmi, bez wyjątków, na dobre i złe, ty – Rowan Mayfair, córka Deirdre Mayfair, wnuczka Anthy Mayfair – będziesz nadal nosiła rodowe nazwisko, choć twój prawowity małżonek pozostanie przy własnym...

– Przysięgam.

– ...czy bierzesz tego mężczyznę, Michaela Jamesa Curry'ego...

– Przysięgam.

Wreszcie dokonano się. Ostatnie zdania wybrzmiały echem u wysokiego sklepienia kościoła. Michael odwrócił się i wziął ją w ramiona. Robił to tyle razy przedtem, ale jak wspaniały był ten gest teraz – uroczysty pocałunek w obecności wszystkich zgromadzonych. Poddała mu się całkowicie, kościół pogrążył się w ciszy. I wtedy usłyszała jego szept:

– Kocham cię, Rowan Mayfair.

– Kocham cię, Michaelu Curry, mój aniele – przytuliła się mocno do niego w tym swoim sztywnym, ozdobnym stroju i pocałowała raz jeszcze.

Zabrzmiały pierwsze dźwięki marsza weselnego: ostre, donośne i triumfalne. Głośny szum przetoczył się przez kościół. Odwróciła się od ołtarza, stając twarzą do tłumu gości wypełniającego świątynię. W blasku słońca, który wlewał się przez witrażowe okna, wzięła Michaela za rękę i wolno poszli nawą ku wyjściu.

Wszędzie wokół widziała uśmiechy, ukłony, gwałtownie objawione podniecenie, jakby cały kościół ogarnięty został tym samym prostym i nieprzepartym uczuciem szczęścia, które czuła.

Zanim dotarli do czekającej na nich limuzyny, obsypani zostali ryżem, a wokół nich rozległ się wielogłosowy chór serdecznych życzeń. Rowan przypomniała się msza żałobna Deirdre, odprawiana w tym samym kościele, stanęła jej przed oczami inna kawalkada lśniących czernią samochodów, sunąca na cmentarz.

A teraz jedzie, myślała, tymi samymi ulicami, w potokach białego jedwabiu, obok Michaela całującego jej oczy, policzki, szepczącego wszystkie te głupie, wspaniałe słowa, które mężowie zawsze mówią swoim świeżo poślubionym żonom. Że jest piękna, że ją uwielbia, i że nie mógłby sobie wyobrazić cudowniejszego dnia w życiu. A najważniejsze było nie to, co mówił, ale to, jak bardzo był szczęśliwy.

Uśmiechnęła się, jeszcze mocniej wtuliła w ramiona Michaela i zamknąwszy oczy, zaczęła spokojnie i niespiesznie myśleć o wszystkich przełomowych momentach swojego życia. O skończeniu studiów w Berkeley, pierwszym dniu stażu na internie, pierwszym, kiedy pozwolono jej wejść na salę operacyjną i o słowach, które usłyszała wtedy przy końcu zabiegu: „Dobra robota, doktor Mayfair, może pani zaszywać”.

– Tak, dziś jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu – wyszeptała. – A to dopiero początek.

* * *

Setki gości krążyły po ogrodzie pod ogromnymi białymi baldachimami, które umieszczono na trawniku z tyłu domu. Stoły rozstawione na zewnątrz, przykryte śnieżnobiałymi obrusami, ugięły się od obfitości dań południowej kuchni: duszonej langusty, krewetek po kreolsku, jambalayi, zapiekanych ostryg, ryb, a nawet ukochanej czerwonej fasoli i ryżu. Kelnerzy w liberiach nalewali szampana do smukłych kieliszków; barmani serwowali koktajle w salonie, jadalni i przy basenie. Odświętnie wystrojone dzieci w różnym wieku bawiły się w berka między dorosłymi, chowały za palmami rozstawionymi na parterze, i całymi watahami wbiegały i zbiegały po schodach wrzeszcząc, że właśnie widziały „ducha”, wprawiając tym w stan skrajnego zakłopotania swoich rodziców.

Orkiestra dixielendowa radośnie i z pasją grała pod białym baldachimem rozpiętym przed domem. Muzyka przedzierała się przez głośnie, ożywione rozmowy toczące się wszędzie.

Michael i Rowan dobre kilka godzin stali tyłem do wielkiego lustra w bawialni i przyjmowali Mayfairów, jednego za drugim, ściskając ręce, składając podziękowania, słuchając cierpliwie wywodów o pokrewieństwach i skomplikowanych koligacjach rodzinnych.

Dzięki nieustrudzonym wysiłkom Rity Mae Lonigan, przyszło sporo znajomych Michaela ze studiów, którzy utworzyli swój własny, hałaśliwy i radosny krąg. Rita odnalazła nawet parę jego długo nie widzianych krewnych: miłą starszą panią – Amandę Curry, którą Michael wspominał ciepło, i Franklina Curry, szkolnego kolegę jego ojca.

Jeśli wśród obecnych znajdował się ktokolwiek, kto mocniej się przejmował i cieszył bardziej niż Rowan, to był to Michael. Beatrice ściskała pana młodego co najmniej dwukrotnie w ciągu każdej półgodziny, roniąc przy tym łzy. On sam był najwyraźniej poruszony serdecznością, z jaką Lily i Gifford wzięły pod swoje skrzydła ciocię Vivian.

Wszyscy odczuwali głębokie, silne wzruszenie. Mayfairowie spoza Nowego Orleanu wymieniali uściski z kuzynami, których nie widzieli przez lata, przyrzekając przyjeżdżać tu częściej. Kilkoro z nich umawiało się na tygodniowe lub dłuższe wizyty u krewnych z tej czy innej linii rodziny. Bezustannie błyskały flesze; duże, czarne i ciężkie kamery wideo z wolna torowały sobie drogę w tłumie gości.

W końcu rytuał przyjmowania życzeń mieli za sobą; Rowan uwolniona od tego obowiązku przechadzała się wśród kuzynów, przystając to tu, to tam, przyłączając się do różnych grup. Czowała, że przyjęcie jest udane, prawdziwy pokaz talentu organizacyjnego.

Dzięki łagodnej bryzie skwar dnia ustąpił całkowicie. Parę osób zbierało się do wyjścia; basen był pełen na wpół rozebranych dzieci, krzyczących i rozbawionych; także kilku dorosłych mężczyzn, nieco zawianych, wskoczyło do wody, tyle że w pełnych strojach wieczorowych.

W podgrzewanych naczyniach wniesiono nowe stopy jedzenia. Otworzono następne skrzynki szampana. Grupa ponad pięciuset kuzynów, których Rowan właśnie poznała osobiście, krążyła po domu. Siedzieli na schodach i gadali, przechadzali się po sypialniach, patrząc z uznaniem na imponujące zmiany lub rozprawiali o wielkości i okazałości kosztownych prezentów, które zostały wyłożone na wielki stół.

Wszędzie podziwiano wygląd rezydencji, zachwycano się efektami renowacji: miękkim brzoskwiniowym kolorem ścian bawialni, beżowymi, jedwabnymi zasłonami, ciemną zielenią biblioteki i lśnieniem bieli drewnianych wykończeń. Oglądano stare portrety, oczyszczone i oprawione na nowo, starannie rozwieszane w holu i pokojach na parterze. Zgromadzono się przed portretem Debory, umieszczonym nad kominkiem w bibliotece, i studiowano go uważnie. W wyprawie po domu Fieldingowi towarzyszyły Lily i Beatrice. Zawiozły go starą windą na górę, aby mógł obejrzeć dokładnie wszystkie pokoje.

Peter i Randall zasiedli ze swymi fajkami w bibliotece, dyskutując o różnych portretach, ich autorach i przybliżonych datach powstania dzieł. Rozważali, jaki mógłby być koszt, gdyby Ryan próbował nabyć tego „rzekomego” Rembrandta?

Z pierwszymi kroplami deszczu orkiestra przeniosła się do wnętrza, lokując się w rogu bawialni; zwinięto chińskie dywany pod ścianę, a kilka młodych par zaczęło tańczyć, pozbywając się dla wygody butów.

Grano charlestona. Lustra drżały od pełnych impetu dźwięków trąbek i rytmicznego tupotu tańczących.

Otoczona przez coraz to nowe grupy rozentuzjasmowanych i pełnych zapału gości, Rowan zgubiła gdzieś Michaela. Wyśliznęła się na moment z tłumu i czmychnęła do damskiej garderoby za biblioteką, mijając po drodze siedzącego samotnie, wpół śpiącego Petera.

Stała teraz w ciszy, serce biło jej mocno. Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze.

Wydała się sobie poszarzała, przywiędła, tak jak ta wiązanka, którą będzie musiała niedługo rzucić ze schodów. Na wargach zostały jej tylko resztki szminki, policzki wyglądały blado, ale oczy błyszczały jak szmaragdy. Mimochodem dotknęła naszyjnika, poprawiając go na koronkowej sukni. Pomyślała o portrecie Debory. Tak, słusznie nalegano, aby założyła klejnot. Słuszne było robić wszystko tak, jak chciała rodzina. Wpatrzyła się w siebie znowu, chwytając ten obraz, pragnąc go zachować na zawsze jak cenne zdjęcie wetknięte między kartki dziennika.

Ten dzień, między nimi, wszyscy tutaj.

Szczęścia tej chwili nie zmąciło jej nawet nadejście Rity Mae Lonigan, łagodnie krzyczącej coś do Petera z otwartych drzwi biblioteki. Była więcej niż zadowolona, ściskając rękę Rity i mówiąc: „Tak, ja sama myślałam dziś często o Deirdre”. To prawda, lubiła myśleć o Deirdre i Ellie, nawet o Ancie, jakby wyławiając ich postacie z mrocznych tragedii, w które były uwikłane, i znajdować dla nich ciepłe miejsce w sercu.

Być może w jakiejś chłodno myślącej, zdroworozsądkowej części swojego umysłu rozumiała, dlaczego ludzie uciekają od rodziny i tradycji, aby szukać kruchej, eleganckiego świata, takiego jak Kalifornia, w którym ona sama wyrosła. Ale było jej ich żal, tych wszystkich, którzy nie zaznali owej dziwnej wspólnoty z ludźmi noszącymi jedno nazwisko, należącymi do tego samego klanu. Ellie zrozumiałaby te odczucia.

Wróciła do salonu, zgiełku orkiestry, gwaru rozmów i tańczących par. Szukała Michaela i nagle zobaczyła go stojącego samotnie przy kominku i wpatrującego się intensywnie w coś ponad głowami tłumu. Znała ten wyraz jego twarzy, te wypieki, to podniecenie – zrozumiała, że jakiś odległy, najwyraźniej nieistotny punkt w przestrzeni przykuł jego wzrok.

Ledwie zauważył, kiedy podeszła i stanęła obok. Nie usłyszał swego imienia, które wyszeptała. Podążyła za jego spojrzeniem. Wszystko, co zobaczyła, to tańczące pary i lśniące krople deszczu na szybach.

– Michael, co jest?

Nie poruszył się. Szarpnęła go za ramię, a potem, podnosząc prawą rękę, delikatnie obróciła twarz męża w swoją stronę i patrząc mu w oczy, powtórzyła raz jeszcze jego imię. Gwałtownie odwrócił się od niej i znowu wbił wzrok w ten sam punkt. Tym razem najwyraźniej nie ujrzał już nic. Odeszło, cokolwiek to było. Dzięki Bogu.

Widziała pot na jego czole i górnej wardze. Włosy miał wilgotne, jak gdyby wcześniej wychodził na deszcz, choć wiedziała, że tego nie robił. Przysunęła się blisko i oparła głowę na jego piersi.

– Co to było?

– Nic, naprawdę – wymamrotał. Nie mógł złapać oddechu. – Wydawało mi się, że widzę... nieważne. Minęło.

– Ale co?

– Nic – chwycił ją za ramiona i pocałował nieco szorstko. – Nic nie zdoła nam zepsuć tego wielkiego święta, Rowan – głos trochę wiał mu w gardle. –

Nie zdarzy się nic zwariowanego i dziwnego w takim dniu.

– Zostań ze mną – powiedziała – nie opuszczaj mnie znowu. Wyprowadziła go z salonu do biblioteki, a potem do garderoby.

Tam mogli być sami. Gwar i muzyka dochodziły przytłumione gdzieś z oddali.

– Wszystko w porządku, kochanie – powiedział w końcu, a jego oddech był już spokojniejszy – naprawdę. Rzeczy, które widziałem, nic nie znaczą. Nie martw się, proszę. To były tylko fantazje; wyłapałem odbicie jakichś wydarzeń, które miały miejsce dawno temu, to wszystko. No już, kotku, spójrz mi w oczy. Pocałuj mnie. Kocham cię i to jest nasz dzień.

* * *

Ożywione i szalone przyjęcie trwało do wieczora. W końcu młoda para pokroiła tort weselny przy wtórze głośnych śmiechów i błysków fleszy. Wniesiono tace ze słodyczami i podano kawę. Mayfairowie pogrążeni w długich, intymnych rozmowach obsiedli różne kąty, kanapy, gromadzili się w grupkach dookoła stołów. Kelnerzy mieli pełne ręce roboty, goście raczyli się różnymi napojami. Burza przetaczała się raz z większą, raz z mniejszą gwałtownością.

W końcu, ponieważ Rowan i Michael jechali na Florydę następnego dnia, zdecydowano, że panna młoda powinna rzucić ślubną wiązanek „teraz”. Rowan wspięła się do połowy schodów i spojrzała w dół na morze twarzy zwróconych ku niej, potem zamknęła oczy i wyrzuciła bukiet wysoko w powietrze. Rozległy się okrzyki. Było sporo przepychanek, a nawet potyczek, zanim piękna młoda Clancy Mayfair chwyciła bukiet. Wszyscy zakrzyknęli z serdeczną, przyjacielską aprobatą, a Pierce otoczył szczęśliwą dziewczynę ramionami, najwyraźniej demonstrując całemu światu swoje szczególne i egoistyczne zadowolenie z jej powodzenia.

Ach, to tak – Pierce i Clancy? – myślała Rowan, spokojnie schodząc po schodach. Jakoś wcześniej nie zauważyła ich wzajemnej sympatii. Nawet się nie domyślała. Nie miała jednak wątpliwości, widząc jak wymykają się na chwilę. W oddali, obok kominka stał Peter uśmiechając się, podczas gdy Randall bardzo gorąco, wydawało się, dyskutował z Fieldingiem, którego tam posadzono na ozdobnym krześle.

Przybył nowy zespół muzyczny. Rozpoczął od walca i wszystkich ucieszyła ta słodka, staromodna melodia. Ktoś przygasił lampy tak, że dawały miękkie, przymgłone światło. Starsze pary podniosły się do tańca. Michael natychmiast wziął Rowan za rękę i poprowadził na środek salonu. To był następny niezapomniany moment, tak intensywny w doznania i czuły niczym muzyka, która unosiła ich teraz. Cała przestrzeń wokół nich szybko zapełniła się wirującymi parami. Beatrice tańczyła z Randallem, a ciotka Vivian z Aaronem. Wszyscy starsi byli na parkiecie, nawet niektórzy młodzi dołączyli do nich, tak jak mała Mona ze starszym od niej Peterem, czy Clancy z Piercem.

Jeżeli nawet Michael zobaczył kolejnych obrzydliwych, nieproszonych gości, zupełnie nie dawał tego po sobie poznać. Jego pełen miłości wzrok był ciągle skierowany na Rowan.

Kiedy wybiła dziewiąta, niektórzy Mayfairówie byli już na etapie składania zasadniczych wyznań i głębokiego porozumienia z długo nie widzianymi kuzynami. Część z nich po prostu wypła za dużo, tańczyła zbyt wiele i odczuwała teraz nieprzewartą potrzebę płaczu. Rowan nie bardzo znała się na rytmie rodzinnych przyjęć, ale Beatrice wydawało się to widocznie naturalne, skoro siedziała na kanapie wykrzykując coś do Aarona, trzymającego ją w uścisku. Podobnie było z Gifford, która od czterech godzin tłumaczyła coś bardzo ważnego cierplivej ciotce Viv. Lily zaś wdała się w głośną kłótnię z Peterem i Randallem, wyśmiewając ich jako klub seniorów wspominających bezustannie „dobre czasy Stelli”.

Rita Mae Lonigan płakała, kiedy wychodziła ze swym mężem Jerryem.

Amanda Curry również pożegnała się ze szlochem.

Do dziesiątej tłum stopniał – zostało jakieś dwieście osób. Rowan zdjęła swoje wysokie, białe szpilki i usiadła przy pierwszym kominku w salonie. Podciągnęła rękawy sukni i zwinięta wygodnie w fotelu zapaliła papierosa. Przysłuchiwała się opowieści Pierce'a o jego ostatniej podróży po Europie. Nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy i gdzie zdjęła welon. Być może Bea go wzięła, kiedy razem z Lily poszła przygotować „komnatę ślubną”. Rowan miała stopy obolałe bardziej, niż gdyby przez osiem godzin stała przy stole operacyjnym. Była głodna, a zostały tylko desery. Wyrzuciła papierosa, bo zrobiło jej się niedobrze od dymu.

W drugim końcu pokoju Michael i starszy, siwy ksiądz z parafii pogrążeni byli w ożywionej konwersacji. Orkiestra porzuciła Straussa na rzecz nieco nowszych, lecz równie sentymentalnych melodii. To tu, to tam rozmaite głosy wtórowały dźwiękom „Blue moon” albo walca Tennessee. Tort weselny, poza jednym kawałkiem zostawionym na pamiątkę, pochłonięto co do okruszka.

W pewnym momencie w drzwiach pojawiła się grupka gości ze spokrewnionej z Cortlandem rodziny Gradych. Przyjechali z Nowego Jorku spóźnieni i teraz głośno przepraszaali i tłumaczyli się. Inni pospieszyli ich przywitać. Rowan usprawiedliwiała się, że przyjmuje ich bez butów i nieco po domowemu. W jadalni, gdzie całe przyjęcie rozpoczęło się serią wspólnych zdjęć, śpiewano teraz chórem „Moją dziką irlandzką różę”.

O jedenastej Aaron ucałował Rowan na pożegnanie i wyszedł, by odwiedzić ciotkę Vivian do domu. Życzył im przedtem bezpiecznej podróży do Destin i przypominał, że jest w każdej chwili do dyspozycji.

Michael odprowadził Aarona i ciotkę do drzwi. Grono starych przyjaciół Michaela zbierało się już do wyjścia, zamierzając kontynuować miły wieczór w jednym z barów Dzielnicy Irlandzkiej. Wymogli wcześniej na Michaelu obietnicę spotkania w najbliższym czasie. Schody były wciąż zablokowane przez pogrążone w ożywionych rozmowach pary. Służba udała się do kuchni, by

zorganizować coś naprędce dla Gradych z Nowego Jorku.

W końcu Ryan podniósł się, poprosił o ciszę i ogłosił, że przyjęcie jest skończone. Wszyscy mają znaleźć swoje buty, płaszcze, torebki i inne swoje rzeczy, porozsiewane po całym domu i wynieść się – trzeba zostawić młodą parę samą. Biorąc nowy kieliszek szampana z tacy, którą właśnie niósł służący, zwrócił się ku Rowan.

– Za młodą parę – wzniósł toast, bez trudu pokonując panujący wokół gwar – za ich pierwszą noc w tym domu.

Weselnicy ostatni raz sięgnęli po szampana i zewsząd posypały się życzenia szczęścia. Trącano się kieliszkami. – Niech Bóg błogosławi temu domowi i wszystkim tu zgromadzonym – odezwał się proboszcz, który już zamierzał wyjść i teraz cofnął się od drzwi. Tuziny głosów odbiły echem słowa księdza.

– Za Darcy’ego Monahana i Katherine! – ktoś krzyczał.

– Za Julię i Mary Beth... za Stellę...

Wychodzenie gości, jak to było w zwyczaju rodzinnym, trwało dobre pół godziny. Całowano się, składano obietnice spotkań. W drodze z garderoby, na werandzie, nawet już przy furtce ożywały prowadzone wcześniej rozmowy.

W tym czasie służba bezszelestnie przeczesywała dom, odnajdując i zbierając pozostawione kieliszki, serwetki, poprawiając poduszki, rozkładając w wazonach kwiaty i wycierając stoły.

W końcu wszystko było sprzątnięte. Ryan wyszedł jako ostatni, wypłaciwszy wynagrodzenie organizatorom przyjęcia i podziękowawszy za znakomicie wypełnione zadanie. Dom był prawie pusty!

– Dobranoc, moi drodzy – powiedział, a drzwi frontowe zamknęły się za nim wolno.

Przez długi czas Rowan i Michael stali, patrząc na siebie, a potem roześmiali się. Michael wziął żonę na rękę, obrócił się w koło i postawił delikatnie na ziemi. Stała tak, obejmując go i przytulając głowę do jego piersi. Czowała się osłabiona tym wybuchem radości.

– Zrobiliśmy to, Rowan! Tak, jak wszyscy tego chcieli. Zrobione. Mamy to za sobą.

Śmiała się ciągle cichutko, wspaniale zmęczona i podniecona zarazem. Zegar zaczął wybijać godzinę dwunastą. – Posłuchaj – wyszeptała – jest północ.

Wziął ją za rękę, zgasił w salonie światło i oboje weszli na górę po schodach.

Tylko w jednym pokoju na piętrze było jasno – w ich sypialni. Cicho przestąpili próg.

– Zobacz, jak to wygląda – powiedział Michael.

Pokój był wspaniale przygotowany przez Beę i Lily. Wielki bukiet jasnoczerwonych, pachnących róż stał na obramowaniu kominka między dwoma srebrnymi świecznikami.

Na toalecie czekała butelka szampana w wiaderku z lodem, a obok na srebrnej tacy lśniły dwa kieliszki.

Koronkowa kapa została odsunięta do końca łoża, poduszki poprawione, białe miękkie zasłonki rozsunięte i przywiązane do kolumnienek u wezgowia.

Na jednej połowie leżała nocna koszula i jedwabny peniuar, na drugiej również biała, męska piżama. Na poduszce ułożono róże z maleńką wstążką, a na niewielkim nocnym stoliku stał świecznik.

– Jak uroczko z ich strony, że o tym pomyślały – powiedziała Rowan.

– Przecież to nasza noc poślubna, kochanie, a zegar właśnie wybił północ. Jest godzina czarownic, cały dom należy do nas.

Spojrzeli na siebie i oboje zaczęli się śmiać, pobudzając się nawzajem do takiej wesołości, że z trudem się uspokoili. Oboje wiedzieli, że są zbyt zmęczeni, by było ich stać na cokolwiek więcej, poza wskoczeniem pod kołdrę.

– Wiesz, zanim padniemy, powinniśmy przynajmniej napić się szampana.

Przytaknął, zrzucając z siebie zakiet i mocując się z krawatem.

– Mówię ci, Rowan, trzeba być bardzo w kimś zakochanym, żeby pozwolić się ubrać w coś takiego!

– Chodź do mnie, każdy tutaj dokonuje podobnych wyczynów. Pomóż mi,

proszę, tu jest zamek błyskawiczny. – Odwróciła się do niego plecami i poczuła ulgę, kiedy uwolniła się od skorupy gorsetu, a suknia opadła luźno wokół jej stóp. Ostrożnie odpięła szmaragdowy naszyjnik i położyła na końcu obramowania kominka.

Wreszcie wszystko zostało zdjęte i powieszzone. Siedzieli oboje w łóżku, delektując się szampanem, schłodzonym, wytrawnym, znakomitym i musującym, dokładnie takim, jakim być powinien. Michael był nagi, ona miała na sobie jedwabną koszulkę, bo uwielbiał pieścić jej ciało przez delikatną tkaninę. W końcu, mimo że czuli ogromne zmęczenie, porwała ich wspaniałość tego łoża, intymny nastrój łagodnego światła świec i ostatecznie ich namiętność doszła do wrzenia.

Kochali się szybko i gwałtownie, tak jak lubiła, a gigantyczne mahoniowe łoże okazało się niesłychanie mocne.

Później Rowan leżała przytulona do Michaela, zadowolona, trochę drzemiąc, wsłuchiwała się w silne bicie jego serca. W końcu wstała i sięgnęła po odrzuconą, zmiętą koszulkę. Pociągnęła też duży łyk zimnego szampana.

Michael usiadł obok niej, nagi, z jedną nogą podwiniętą, przechylił głowę na oparcie łoża i zapalił papierosa.

– Rowan, to był wspaniały dzień. Boże, że też dni mogą być tak rewelacyjne. Nic złego się nie zdarzyło. Absolutnie nic.

Oprócz tego, że zobaczyłeś coś, co cię przeraziło! Ale nie powiedziała ani słowa, ponieważ rzeczywiście było wspaniale, nawet z tym dziwnym momentem. Wspaniale. Nic tego nie zepsuje.

Pociągnęła następny łyk szampana, delektując się jego smakiem i swoim własnym zmęczeniem. Wiedziała, że jest ciągle zbyt podniecona, by zasnąć.

Zawrót głowy przyszedł niespodziewanie, razem z lekkim uczuciem mdłości podobnym do porannego. Zamachała ręką, jakby chciała uwolnić się od dymu papierosowego.

– Co się dzieje?

– Nic, po prostu nerwy. Idąc nawą czułam się jak wtedy, gdy pierwszy raz wzięłam skalpel do ręki.

– Rozumiem, zgaszę papierosa.

– Nie, to nie to, dym mi właściwie nie przeszkadza. Sama przecież palę. – Ale to musiał być papieros, bo cóż innego? Zdarzało jej się to już wcześniej. Wstała i, czując się prawie naga w lekkiej jedwabnej koszuli, poszła do łazienki.

Nie znalazła tabletek alka-seltzer ani niczego, co mogło jej pomóc. Przypomniała sobie, że wyniosła lekarstwo stamtąd i włożyła do szafki w kuchni razem z plastrami, aspiryną i innymi podręcznymi medykamentami. Wróciła do sypialni, aby włożyć pantofle i szlafrok.

– Gdzie idziesz? – spytał.

– Na dół, po alka-seltzer. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Poczekaj, ja pójdę.

– Zostań, jesteś rozebrany. Wrócę za sekundę. Może pojedę windą, do diabła.

Dom nie był całkowicie ciemny. Błady poblask dochodził przez okna z ogrodu, kładąc się poświata na wypolerowanych parkietach holu, jadalni, a nawet pokoju obok kuchni, gdzie przechowywano naczynia. Rowan, nie zapalając światła, bez trudu trafiła do szafki.

Znalazła pastylki i wzięła jedną z nowych kryształowych szklanek, które kupiła w czasie szaleńczych rajdów po sklepach z Lily i Beą. Napelniła ją wodą i stała, pijąc rozpuszczone lekarstwo. Zamknęła oczy. Tak, lepiej. To prawdopodobnie efekt psychologiczny, ale lepiej.

– Cieszę się, że już dobrze.

– Dziękuję – powiedziała, myśląc: co za uroczy, miękki głos, z lekkim szkockim akcentem. Piękny, melodyjny.

Otworzyła oczy, gwałtownie się cofnęła i oparła o drzwi lodówki.

Stał po drugiej stronie kuchennego blatu. Około metra od niej. Jego szept był czuły i serdeczny, twarz całkowicie ludzka, bez cienia tego błagalnego wyrazu,

który widziała u niego owej pamiętnej nocy w Tiburon. Wydawał się lekko urażony.

Mogłaby przysiąc, że widzi prawdziwego człowieka. To jakiś żart. Oto mężczyzna z krwi i kości, wpatrzony w nią, wysoki, o brązowych włosach, dużych czarnych oczach i pięknych, zmysłowych ustach.

Światło dochodzące przez francuskie drzwi wydobywało z mroku szczegóły jego stroju: koszulę, zamszową kamizelkę. Staroświeckie ubranie było najwyraźniej uszyte ręcznie, o nierównych szwach i szerokich rękawach.

– No i jak? Nadal chcesz mnie zniszczyć, moja piękna? – wyszeptał tym samym niskim, wibrującym i poruszającym do głębi głosem. – Gdzie twoja moc, dzięki której miałaś mnie odesłać do piekła?

Drżała, nie mogła tego powstrzymać. Szklanka wyśliznęła się jej ze zwilgotniałych palców i uderzyła o podłogę z głuchym dźwiękiem, potem potoczyła się gdzieś. Resztką zdolności trzeźwego myślenia zanotowała, że ma ponad metr osiemdziesiąt, mocno umięśnione ramiona i silne ręce. Jego twarz zachowywała doskonale proporcje, a włosy pozostawały lekko wzburzone, jakby poruszone powiewem wiatru. Nie było w nim nic z tego kobieco delikatnego dżentelmena, którego widziała na pomoście.

– Pragnąłbym cię kochać doskonale, Rowan! – wyszeptał. – Jaką postać mam dla ciebie przybrać? On nie jest doskonały, Rowan, jest człowiekiem, ale nie jest doskonały! Nie.

Przez moment jej strach był tak ogromny, że czuła bolesny skurcz, jakby miała zaraz umrzeć. Chciała to z siebie strząsnąć. Zbuntowana i rozzłoszczona, zrobiła kilka kroków naprzód, nogi się pod nią uginały, ale wyciągnęła rękę nad białym i dotknęła jego policzka.

Szorstki jak u Michaela. Miękkie usta, Boże! Znowu cofnęła się gwałtownie, sparaliżowana strachem, niezdolna poruszyć się, wydusić słowa. Drżała spazmatycznie.

– Boisz się mnie, Rowan – wpatrywała się w jego usta, które ledwie się

poruszały – dlaczego? Zostaw swojego przyjaciela Aarona samemu sobie, to ty mi rozkazujesz, a ja spełniam twe żądania, czyż nie?

– Czego chcesz?

– Och, odpowiedź byłaby bardzo długa – znowu ten szkocki akcent – ale on na ciebie czeka, twój kochanek, twój mąż, a to wasza noc poślubna. Niepokoi się coraz bardziej, że nie nadchodzisz.

Jego twarz złagodniała, jakby poruszona nagłym bólem. Jak iluzja mogłaby być tak żywa?

– Idź, Rowan, wracaj do niego – powiedział ze smutkiem – ale jeśli mu powiesz o naszym spotkaniu, uczynisz go bardziej nieszczęśliwym, niż możesz sobie wyobrazić. Ja znowu się przed tobą ukryję, a jego będzie trawił strach i podejrzliwość. Zjawiam się tylko wtedy, kiedy chcę.

– W porządku, nie powiem Michaelowi o niczym, ale nie rób mu krzywdy. Nie strasz go ani nie zasmucaj, nawet w najmniejszym stopniu. Nie dręcz swymi sztuczkami albo – przysięgam – nigdy się do ciebie nie odezwę. Odrączę cię.

Piękna twarz powlekła się bezbrzeżnym smutkiem.

– Nigdy też nie krzywdź Aarona. Nigdy! Nigdy nikomu nie rób; nic złego, słyszysz?

– Niech tak będzie, Rowan – jego słowa płynęły jak muzyka, pełna nostalgii i spokojnej siły. – Co innego może dla mnie istnieć na świecie, poza sprawianiem ci przyjemności, Rowan? Przychodź do mnie, gdy on śpi. Dziś, jutro, kiedy zechcesz. Ta noc nie jest dla mnie. Jak wypowiesz moje imię, będę tu, ale uwierz we mnie, Rowan. Przychodź do mnie sama, w tajemnicy, inaczej nie odpowiem. Kocham cię, moja śliczna Rowan. Ale mam własną wolę. Naprawdę mam.

Postać nagle zamigotała, jakby uderzył w nią strumień światła, pojaśniała i widać było setki jej drobnych detali. Potem stała się przezroczysta, a Rowan poczuła gwałtowny podmuch gorącego powietrza. Przestraszona, została nagle sama w ciemności. O mało nie krzyknęła.

Położyła rękę na ustach. Fala mdłości powróciła. Stała, czekając aż minie, drżąc na całym ciele, kiedy usłyszała ciche, ale dobrze znane kroki Michaela zmierzającego do kuchni. Zmusiła się do otwarcia oczu.

Wciągnął tylko dżinsy, był na bosaka.

– Coś nie tak, kochanie? – wyszeptał. Zobaczył szklanekę lśniąca w ciemności koło lodówki. Schylił się i podniósł ją, a potem wstawił do zlewu. – Co się stało, Rowan?

– Nic, Michael – odpowiedziała słabo, usiłując zapanować nad dreszczami i powstrzymać łzy, napływające do oczu. – Mdli mnie, po prostu trochę mi niedobrze. Czułam się tak już rano i po południu, a prawdę mówiąc, wczoraj też. Nie mam pojęcia, dlaczego. Najprawdopodobniej zaszkodził mi nadmiar dymu papierosowego. Wszystko będzie w porządku, przyrzekam.

– Nie wiesz, co to może być?...

– Nie, ja po prostu... Myślę, że... ale papierosy nigdy przedtem nie wywoływały u mnie takiej reakcji.

– Doktor Mayfair. Czy jest pani pewna, że nie wie pani, co to może być?

Poczuła rękę Michaela na swoich ramionach, nieco rozwichrzona czupryna łaskotała ją po policzkach, kiedy pochylił się, by pocałować jej piersi. Zaczęła płakać, objęła jego głowę, czując miękkość włosów.

– Doktor Mayfair, nawet ja wiem, co pani dolega.

– O czym ty mówisz? – wyszeptała. – Po prostu potrzebuję trochę snu, odpoczynku.

– Jesteś w ciąży, kochanie. Spójrz w lustro. – Bardzo delikatnie dotknął ponownie jej piersi, ona sama czuła, że są obrzmiałe, lekko bolesne i wiedziała, była zupełnie pewna, że Michael ma rację. Absolutną rację.

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Pozwoliła Michaelowi podnieść się, przytuliła się do niego mocno, a on niósł ją wolno przez pokoje. Całe ciało miała obolałe od napięcia, wywołanego tym okropnym spotkaniem w kuchni, z jej gardła wydobywał się suchy, rozdzierający szloch. Nie przypuszczała, że

Michael zdoła wnieść ją po schodach, ale uczynił to bez wysiłku. Płakała na piersiach ukochanego, z rękoma splecionymi wokół jego szyi.

Posadził ją na łóżku i pocałował. Oszołomiona patrzyła jak gasi świece i siada obok.

– Bardzo cię kocham, Rowan. – On też płakał. – Tak bardzo cię kocham. Nigdy nie byłem równie szczęśliwy... to nadchodzi falami, za każdym razem myślisz, że to już apogeum, a potem nadchodzi następna. Ale akurat tej nocy... Boże, co za wspaniały prezent ślubny! Co ja takiego zrobiłem, żeby zasłużyć na tak wielkie szczęście, na Boga, nie wiem.

– Ja cię również kocham, najdroższy. Tak... taka jestem szczęśliwa. – Wsunął się obok niej pod kołdrę. Leżeli przytuleni, ona odwrócona do niego plecami, czując jego kolana pod swoimi. Płakała w poduszkę. Położyła dłonie Michaela na swoich piersiach.

– Wszystko jest nieprawdopodobnie wspaniałe – wyszeptał.

– I nic tego nie zmąci – odpowiedziała – nic, nawet najmniejsza rzecz.

Obudziła się przed nim. Kiedy pierwsza fala mdłości minęła, zapakowała szybko do walizek wcześniej przygotowane rzeczy. Potem zeszła na dół, do kuchni. W porannym świetle wszystko lśniło czystością. Panował niczym nie zmacony spokój. Ani śladu tego, co zaszło ostatniej nocy. Promienie słońca przefiltrowane przez okiennice rzucały smugi blasku na białe, wiklinowe meble.

Obejrzała dokładnie blat, spenetrowała podłogę. Niczego nie znalazła. Potem, pełna obrzydzenia i gniewu, chcąc wreszcie wyjść z kuchni, zrobiła szybko kawę. Zniosła kubki na górę. Michael właśnie otworzył oczy.

– Wyjedźmy od razu – powiedziała.

– Myślałem, że wybierzemy się dopiero po południu – wymamrotał zaspany – ale oczywiście możemy ruszać zaraz, jeżeli chcesz. – Jak zawsze gotowy do ustępstw. Pocałowała go delikatnie w policzek, rozkosznie drapiący świeżym zarostem. – Jak się czujesz? – wyszeptał.

– Teraz dobrze – wyciągnęła rękę i dotknęła małego złotego krzyżyka, wpłatanego w ciemne włosy na jego piersiach. – Kiepsko się czułam przez jakieś pół godziny. Mdłości mogą się powtórzyć. Prześpię się, jeżeli wrócą. Byłoby świetnie, gdybyśmy dotarli do Destin na tyle wcześnie, by zdążyć jeszcze pójść na spacer plażą skąpaną w słońcu.

– Czy nie powinien cię zobaczyć jakiś lekarz, zanim wyjedziemy?

– Ja jestem lekarzem – odpowiedziała z uśmiechem. – Czy pamiętasz o moim wyjątkowym zmyśle diagnostycznym? Mówi mi, że wszystko w

porządku.

– A co mówi o tym, czy on jest chłopcem czy dziewczynką?

– Czy on jest chłopcem czy dziewczynką? – śmiała się. – Myślę, że mógłby coś powiedzieć, ale chyba wolałabym mieć niespodziankę. A ty?

– Czy nie byłoby wspaniale, gdyby urodziły się bliźniaki?

– Tak, fantastycznie.

– Rowan, ty nie jesteś... nieszczęśliwa z powodu tego dziecka, prawda?

– Nie, na Boga, oczywiście, że nie. Chcę je mieć. Po prostu ciągle czuję lekkie mdłości. To przychodzi i odchodzi. Wiesz, może na razie nie mówmy o tym kuzynom. Nie przed powrotem z Florydy. Jeśli im powiemy, będziemy mieć z głowy miodowy miesiąc.

– Zgoda. – Delikatnie położył ciepłą rękę na jej brzuchu. – Już jakiś czas temu poczułaś to w środku, prawda?

– Ono ma teraz sześć milimetrów – powiedziała, uśmiechając się znowu – nie waży nawet trzydziestu gramów. Ale ja je wyczuwam. Pływa sobie w stanie błogości, a wszystkie jego malusieńkie komórki mnożą się.

– Jak wygląda?

– Jak maleńkie stworzonko morskie. Jest nie większe od twojego paznokcia. Ma oczy, nawet małe rączki, ale jeszcze bez prawdziwych palców a nawet ramion. Ma już mózg, a przynajmniej jego zawiązek, który właśnie podzielił się na dwie półkule. Wszystkie komórki wiedzą, co mają robić, choć nikt na świecie nie jest w stanie do końca wyjaśnić skąd. Znają dokładnie miejsce swojej właściwej lokalizacji, gdzie dalej będą formować poszczególne organy, które już tam są i tylko muszą się udoskonalić. Jego malusieńkie serce bije we mnie od jakiegoś miesiąca.

Westchnął głęboko, z satysfakcją.

– Jakie damy mu imię?

– Co myślisz o małym Chrisie? Czy nie będzie to... zbyt ciężkie dla ciebie?

– Nie, wspaniale. Mały Chris. A więc Christopher, jeżeli będzie chłopiec i

Christine, jeżeli dziewczynka. Ile ono będzie miało w Boże Narodzenie? – zaczął obliczać.

– Dziś ma w przybliżeniu jakieś sześć, siedem tygodni. Może osiem. W gruncie rzeczy równie dobrze może mieć osiem. To znaczy... dwa miesiące. Do końca grudnia ukształtują się już wszystkie części ciała, choć jego oczy pozostaną jeszcze zamknięte. Ale dlaczego pytasz? Zastanawiasz się, czy będzie wołało czerwony wóz strażacki, czy kij baseballowy?

Zachichotał.

– Nie, ono jest po prostu najwspanialszym prezentem gwiazdkowym, o jakim mógłbym marzyć. Święta Bożego Narodzenia zawsze były dla mnie czymś wyjątkowym. A te będą najwspanialsze w moim życiu, oczywiście, dopóki nie nadejdą przyszłoroczne, kiedy ono zacznie biegać wokół choinki ze swoim małym wozem strażackim i kijem baseballowym.

Wyglądał tak bezbrinnie, niewinnie, tak całkowicie jej ufał. Kiedy patrzyła na Michaela, zapomniała niemal o tym, co zdarzyło się ostatniej nocy. Mogła zapomnieć prawie wszystko. Pocałowała go prędko, wśliznęła się do łazienki i stojąc z czołem opartym o zamknięte drzwi, przymknęła oczy.

Ty diable, wyszeptała, wszystko to świetnie wyliczyłeś, prawda? Lubisz moją nienawiść? Czy to właśnie to, o czym marzyłeś?

Potem przypomniała sobie twarz w mroku kuchni, łagodny, poruszający głos, który dotykał jej jak delikatne palce.

Co innego może dla mnie istnieć na świecie, poza sprawieniem ci przyjemności, Rowan?

* * *

Wyruszyli około dziesiątej. Prowadził Michael. Rowan poczuła się lepiej i udało jej się przespać kilka godzin. Kiedy otworzyła oczy, byli już na Florydzie i zjeżdżali z autostrady w dół przez sosnowy las, do drogi ciągnącej się wzdłuż

plaży. Czowała się odświeżona, widziała wszystko jaśniej, a kiedy dostrzegła pierwsze błyski wody w Zatoce, poczuła się tak bezpieczna, jakby zjawy i ciemna kuchnia w Nowym Orleanie już nie istniały.

* * *

Było chłodno, ale nie bardziej niż w orzeźwiający letnie dni w północnej Kalifornii. Nałożyli grubsze swetry i usadowili się na swojej odludnej plaży. O zachodzie słońca zjedli kolację przy kominku, a przez otwarte okna wpadała bryza z Zatoki.

Około ósmej Rowan zasiadła do pracy nad planami centrum medycznego, kontynuując swoje studia nad siecią „dochodowych” szpitali w zestawieniu z „niedochodowym modelem”, który żywiej ją interesował.

Ale jej myśli gdzieś błądziły. Nie mogła się solidnie skupić nad fachowymi artykułami o plusach i minusach tych różnych systemów.

W końcu zrobiła kilka notatek i poszła do łóżka. Leżała kilka godzin w ciemnej sypialni, a w tym czasie w pokoju obok Michael pracował nad swoim planem restauracji domu. Wsłuchiwała się w szum fal, dochodzący od strony Zatoki przez otwarte drzwi. Czowała powiew morskiej bryzy.

Co ma robić? Powiedzieć o wszystkim Michaelowi i Aaronowi, tak jak im przyrzekła? Ale wtedy on mógłby się wycofać, być może dalej uprawiać te swoje gierki, a napięcie rosłoby z każdym mijającym dniem.

Pomyślała znowu o dziecku, położyła dłoń na brzuchu. Prawdopodobnie zostało poczęte krótko potem, jak Michael poprosił ją o rękę. Jej comiesięczne niedyspozycje były zawsze bardzo nieregularne, ale czowała, że wie, której nocy się to stało. Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, ale chyba właśnie wtedy śniła o dziecku.

Czy ten sen był w niej? Wyobraziła sobie maleńki system rozwijającego się mózgu. Już nie zarodka, ale płodu. Zamknęła oczy, słuchała, czuła. *Wszystko w*

porządku! Ale potem ten silny zmysł telepatyczny zaczął ją przerażać.

Czy miała w sobie siłę, by skrzywdzić własne dziecko?

Ta możliwość przeraziła Rowan. A kiedy na myśl przyszedł jej znowu Lasher, uświadomiła sobie, że on też jest niebezpieczny dla tego kruchego, ruchliwego istnienia, ponieważ stanowi zagrożenie dla niej, a ona była dla maleństwa całym światem.

Jak mogła chronić je przed swoimi mrocznymi mocami, ponurą przeszłością rodu, ciążyącą nad nim? Mały Chrisie! Nie będziesz rósł z klątwami, duchami i rzeczami, które nagle uderzają w nocy. Uwolniła się od niepokojących myśli. Wyobraziła sobie morze na zewnątrz uderzające o brzeg, każda fala inna, a wszystkie są częścią tej samej monotonnej siły, pełnej słodkich i usypiających brzmień i nieskończonej różnorodności.

Zniszcz Lashera! Uwiedz go, tak jak on próbuje uwieść ciebie. Odkryj czym jest i zniszcz go! Tylko ty możesz to zrobić, Jeśli powiesz Michaelowi lub Aaronowi, on się wycofa. Musisz ich zwodzić i zrób to.

Była czwarta nad ranem. Najwyraźniej zasnęła. Dziwny ciężar legł na jej piersiach. Nie mogła się od niego uwolnić. Wielkie ramię kołysało ją, a jakaś ręka trzymała w uścisku. I wynurzył się męczący sen. Holendrzy w wielkich czarnych kapeluszach, na zewnątrz motłoch krzyczący, że chce głowy Jana van Abla.

– Opisuję, co widzę – mówił – nie jestem heretykiem. Jak mamy się uczyć, jeśli nie odrzucimy dogmatów Arystotelesa i Galena?

Masz rację, ale to już minęło, razem z tym rozłożonym na stole ciałem, którego maleńkie organy były jak kwiaty.

Nienawidziła tego snu!

Wstała, przeszła po grubym dywanie, i już znalazła się na drewnianym pomoście. Czy kiedykolwiek niebo było bardziej rozległe, czyste i błyszczące od gwiazd? W dole pieniały się ciemne fale, a biały piasek lśnił w świetle księżyca.

Daleko na plaży stała samotna postać, wysoki mężczyzna spoglądający ku niej. *Niech cię cholera.* Zobaczyła, że sylwetka w mroku wolno rozwiewa się i znika.

Z pochyloną głową, drżąc, stała oparta o drewnianą poręcz.

Przyjdiesz, kiedy ja cię wezwę.

Kocham cię, Rowan!

Z przerażeniem stwierdziła, że głos nie dochodzi z żadnej konkretnej strony. Był to szept w jej wnętrzu, wokół niej, intymny i słyszalny jedynie dla niej.

Czekam tylko na ciebie, Rowan.

Zostaw mnie. Nie mów ani słowa więcej, nie pokazuj się, albo już nigdy cię nie wezwę!

Wściekła i rozgoryczona odwróciła się i weszła do ciemnej sypialni. Ciepły, miękki dywan pod stopami. Wśliznęła się do niskiego łóżka obok Michaela. Przyłgnęła do niego kurczowo, jej palce oplótły silne ramię śpiącego. Zdesperowana chciała go obudzić, powiedzieć, co się stało.

Ale to, co miała zrobić, musiała zrobić sama. Wiedziała o tym. Zawsze.

Przecucie straszliwej nieuchronności chwyciło ją w swoje szpony.

Po prostu daj mi tych kilka dni przed bitwą, modliła się. Ellie, Deirdre, pomóżcie mi!

* * *

Przez siedem kolejnych poranków czuła się fatalnie. Potem mdłości ustąpiły i następne dni były wspaniałe – odkryła na nowo radość budzenia się z jasnym umysłem. Był to dar bogów.

Lasher nie przemówił do niej ponownie ani nie pokazał się. Kiedy myślała o nim, wyobrażała sobie swój gniew jako morderczy żar, który uderzy w jego postać, obracając w pył te tajemnicze i nieznane komórki. Ale przede wszystkim była przestraszona.

Poza tym wszystko toczyło się swoim rytmem. Sekret zachowywała dla siebie.

Telefonicznie umówiła się na wizytę u położnika w Nowym Orleanie. Zażyczył sobie wyników badań krwi, które zrobiła w Destin. Wszystko było w normie, tak jak się spodziewała.

Nikt przecież nie mógł wiedzieć, że zmysł diagnostyczny ostrzegłby ją, gdyby malec miał jakiegokolwiek kłopoty.

Rzadko zdarzały się już ciepłe dni. Ona i Michael mieli swoją wymarzoną plażę tylko dla siebie. W niczym nie zmaconej ciszy odosobnionego domu nad wydmami była jakaś magia. Podczas łagodnej pogody Rowan siedziała całymi godzinami na plaży pod białym parasolem, czytając czasopisma medyczne i różne materiały, które Ryan przysłał jej przez gońca.

Przeglądała też książki o dzieciach, te które znalazła w miejscowych księgarniach. Określała je jako sentymentalne i mało fachowe, ale zabawne. Szczególnie urocze były zdjęcia niemowlaków z twarzyczkami o żywej ekspresji, pulchnymi szyjkami, całych w fałdkach i ze wzruszająco maleńkimi stopkami i rączkami. Umierała z chęci podzielenia się nowiną z resztą rodziny. Rozmawiała z Beatrice prawie każdego dnia, ale lepiej było utrzymać wszystko w tajemnicy. Myślała, że gdyby zdarzyło się coś niedobrego, strata byłaby boleśniejsza i dla niej, i dla Michaela, jeśli inni by o tym wiedzieli.

W dni, które były za zimne by się kąpać, spacerowali po plaży całymi godzinami. Chodzili po sklepach i robili różne drobne zakupy do domu. Uwielbiali białe, puste ściany swej nadmorskiej willi i jej skąpe umeblowanie. To jak plac zabaw, wobec statecznej powagi domu przy ulicy Pierwszej, jak mawiał Michael. Lubili wspólnie gotować – kroili, siekali, smażyli zawzięcie, robili też steki na grillu. Wszystko to było miłe i dawało dużo radości.

Jadali też w dobrych restauracjach, jeździli na spacerzy do sosnowego lasu, odwiedzali pobliskie korty tenisowe i pola golfowe. Ale najszczęśliwsi byli wtedy, gdy siedzieli w domu i patrzyli na bezkresne morze, rozpościerające się

tak blisko nich.

Michael był radośnie podniecony swoimi interesami w Nowym Orleanie – jego ekipa remontowała mały, stylowy domek przy ulicy Zwiastowania, a ponadto firma „Wielkie Nadzieje” na Sklepowej już została otwarta. Michaelowi udawało się czuwać nad wszystkim na odległość i telefonicznie interweniować w drobnych sprawach. Poza tym malowanie rezydencji jeszcze trwało, wykańczano dawny pokój Julienu, a reperacja dachu z tyłu domu przeciągała się. Również brukowany mały parking za budynkiem nie był jeszcze gotowy, trwał nadal remont pawilonu – znakomitego domku dla dozorca, jak sobie to wyobrażali. Michaela czasami trochę niepokoiła własna nieobecność w Nowym Orleanie.

Nie był mu teraz potrzebny długi miodowy miesiąc, szczególnie taki, który Rowan przeciągała ciągle z dnia na dzień.

Ale jakże łatwo ulegał prośbom. Nie tylko robił to, czego ona chciała, ale wydawało się, że ma nieograniczoną umiejętność cieszenia się chwilą. Spacerowali więc po plaży, trzymając się za ręce, jadali w małych, nadmorskich tawernach, oglądali łodzie wystawione na sprzedaż, czytali w ulubionych zakątkach przestronnego domu.

Michael z natury był pogodny, zadowolony z życia. Wiedziała o tym od pierwszego spotkania, więc rozumiała, dlaczego niepokój jest dla niego czymś okropnym. Czowała do Michaela ogromne przywiązanie, kiedy widziała go zatopionego w stosach projektów, rysunków technicznych, szkiców związanych z renowacją małego domku na ulicy Zwiastowania, przerzucającego zdjęcia w rozlicznych magazynach, dobierającego drobiazgi, które zamierzał wykorzystać.

Powrót Vivian do Nowego Orleanu był bardzo udany. Lily i Bea zasypywały ją rozlicznymi zaproszeniami i Michael czuł, że jest to dla ciotki najlepsza rzecz na świecie.

– Jej głos brzmi dużo młodziej, kiedy z nią teraz rozmawiam – mówił. – Została członkiem jakiegoś klubu czy komitetu, który ma chronić dęby. Sprawia

jej to dużo radości.

Był taki kochający, wyrozumiały. Nawet wtedy, kiedy Rowan nie chciała wrócić do miasta na Dzień Dziękczynienia, nie nalegał. Ciocia Viv była oczywiście na obiedzie u Bei, a wszyscy wybaczyli nowożeńcom, że zostali na Florydzie, przecież to ich miesiąc miodowy, mogą więc go przeciągać niemal w nieskończoność.

Oni również przygotowali uroczysty obiad w ten dzień. Zjedli go na pomoście przy plaży. Noc była zimna, a lekki sztorm uderzał w wybrzeże Destin. Wiatr wprawiał w drżenie szyby w drzwiach i oknach. Wichura gnała to tu, to tam, wreszcie jej siła osłabła. Zapadła głęboka ciemność.

Siedzieli parę godzin przy kominku, rozmawiając o małym Chrisie i zastanawiając się, który pokój urządzić dla niego. Mówili też o tym, że Rowan nie powinna dopuścić, by centrum medyczne zdominowało ich życie rodzinne. Mogłaby spędzać ranki w domu, z dzieckiem, a do pracy chodzić dopiero koło południa. Oczywiście zapewnią sobie pomoc, która sprawi, że wszystko się będzie toczyło gładko.

Dzięki Bogu, Michael nie zapytał Rowan wprost, czy nie widziała ostatnio „tej przeklętej zjawy”. Nie była pewna, czy zmusiłaby się do świadomego kłamstwa. Tajemnica tkwiła w niej głęboko, zamknięta jak w srebrnej komnacie, a klucz wrzucono w głąb studni.

Robiło się coraz zimniej. Wkrótce nie znajdzie już żadnej wymówki, by tu zostać. Wiedziała, że powinni wracać.

Dlaczego nic nie mówiła Michaelowi i Aaronowi? Czy miała nadal uciekać, kryć się jak teraz?

Ale im dłużej tu była, tym lepiej rozumiała swoje uwikłania i motywacje.

Chciała z nim rozmawiać, z tą dziwną istotą. Wspomnienie o spotkaniu w kuchni nappełniało ją silnym przeświadczeniem, że wyczuwa nastroje demona, szczególnie dlatego, że słyszała ciepły ton w jego głosie. Tak, chciała go poznać! A więc sprawdziło się to, co przewidział Michael w tę pierwszą noc,

kiedy umarła Carlotta. Czym był Lasher? Skąd się wziął? Jakie tajemnice kryła ta gładka, tragiczna twarz? Co mógłby powiedzieć o wrotach i trzynastu czarownicach?

Musiała go tylko przywołać, tak jak Prospero Ariela. Zachować tajemnicę i wypowiedzieć jego imię.

Jesteś czarownicą, mówiła sobie i jej poczucie winy narastało.

I każdy o tym wie. Stało się to jasne już owego wieczoru, kiedy rozmawiałaś z Gifford; wszyscy zdawali sobie sprawę z tkwiącej w tobie mocy, o której myśleli, że jest chłodem i przebiegłością, a nie była niczym innym jak niepożądaną siłą. Ten starzec. Fielding, miał rację ze swymi ostrzeżeniami. Aaron też wiedział, prawda? Oczywiście, że tak.

Wszyscy, tylko nie Michael. Tak łatwo go zwieść.

Ale co się stanie, jeśli zdecyduje, że nie będzie już nikogo oszukiwać, że nie będzie grać na zwłokę? Może szuka w sobie odwagi, by podjąć taką decyzję. A może to tylko chęć przeciwstawienia się, skazania demona na czekanie tak, jak on kazał czekać jej.

Niezależnie od tego, nie budził już w Rowan niechęci, potwornego wstrętu, który przyszedł po incydencie w samolocie. Ciągle czuła gniew, ale ciekawość, a nawet rosnąca fascynacja były większe...

* * *

Pierwszego naprawdę zimnego dnia Michael przyszedł na plażę, stanął obok i powiedział, że musi wracać. Cieszyła się właśnie orzeźwiającym powietrzem, siedząc na słońcu w grubym swetrze i rajtuzach, podobnie jak to robiła w Kalifornii.

– Posłuchaj, to wygląda tak – powiedział. – Ciocia Viv chce mieć swoje rzeczy z San Francisco i dobrze wiesz, jacy starsi ludzie potrafią być uparci. Wiadomo, że nikt poza mną nie może zlikwidować na dobre domu przy ulicy

Wolności. Ludzie czekają również, abym podjął kilka decyzji dotyczących mojego starego sklepu. Księgowy dzwonił właśnie, że ktoś chce ten lokal wynająć, więc muszę tam wrócić i uporać się z tym.

Mówił o konieczności sprzedania części własności w Kalifornii, wysłaniu pewnych rzeczy statkiem, wynajęciu domu i tego typu sprawach. Ale prawda była taka, że potrzebowano go w Nowym Orleanie. Firma przy ulicy Sklepowej wzywała swego szefa. Jeżeli to wszystko ma funkcjonować...

– Poza tym wiadomo, że powinienem lecieć do San Francisco raczej wcześniej niż później. Już prawie grudzień, Rowan. Zbliżają się święta. Czy pomyślałaś o tym?

– Jasne, rozumiem, Wyjeżdżamy dziś wieczorem.

– Ale ty nie musisz, mała. Możesz zostać na Florydzie, dopóki nie wrócę, albo tak długo jak zechcesz.

– Nie, pojedę z tobą. Pójdę na górę i szybko nas spakuję. Poza tym najwyższy czas, żeby wyjechać. Teraz jest ciepło, ale kiedy wyszłam z domu rano, było naprawdę lodowato.

Kiwnął głową.

– Nie lubisz zimna?

Roześmiała się.

– Ciągłe nie jest tak chłodno jak w letnie dni w Kalifornii.

– Muszę cię ostrzec – odrzekł. – Może się zrobić jeszcze zimniej. Mówi się, że tegoroczna zima może być ciężka we wszystkich południowych stanach. Właściwie ja uwielbiam to – najpierw oślepiający żar, a potem mróz na szybach.

– Wiem, o czym myślisz. – *I kocham cię. Kocham cię.*

Bardziej niż kogokolwiek przedtem.

Kiedy odszedł, siadła na drewnianym krześle plażowym i wygodnie ułożyła głowę na oparciu. Zatoka przed nią wyglądała jak przyćmiony srebrny płomień – częsty widok, gdy słońce jest w zenicie. Opuściła rękę i podniosła garść piasku, pozwalając mu przesypywać się przez palce.

„Prawdziwy”, wyszeptała. „Taki prawdziwy”.

Dziwne, że Michael musiał wyjechać właśnie teraz, pozostawiając ją samą w domu na Pierwszej. Czy nie wyglądało to tak, jakby ktoś wszystko zaaranżował? A przez cały ten czas wydawało jej się, że to ona rozdaje karty.

– Nie podchodź do mnie, przyjacielu – wyszeptała w zimny wiatr Zatoki. – Nie rań mojej miłości, bo nigdy ci tego nie wybaczę. Dopilnuj, żeby Michael wrócił cały i zdrowy.

Wyruszyli następnego ranka.

Kiedy wracali, czuła lekkie podniecenie. W przebłysku pamięci wyobraziła sobie jego twarz znowu taką, jaką widziała w ciemności kuchni; słyszała słowa rozbrzmiewające łagodnie. Pieszczota. Nie mogła jednak znieść myśli o tej części swoich doznań. Dopiero wtedy, kiedy Michael wylądował bezpiecznie w Kalifornii, dopiero wtedy, kiedy zostanie sama w domu...

Północ. Dlaczego wydawało się, że to odpowiednia pora? Może dlatego, że Pierce i Clancy zasiedzieli się i potrzebowała tej godziny spokoju. W Kalifornii jest dopiero dziesiąta, ale Michael, który już dzwonił, na pewno wyczerpany lotem poszedł spać.

Jego głos w słuchawce dźwięczał podekscytowaniem: wszystko w mieszkaniu przy ulicy Wolności wygląda tak mało pociągająco i bardzo pragnie wrócić do domu. Tęsknota za nim była niezmiernie dręcząca, kiedy leżała sama w ogromnym, pustym łóżu.

Ale kto inny czekał.

Kiedy wybrzmiał kurant, wstała, nałożyła jedwabny szlafrok na koszulę nocną, wsunęła stopy w pantofle i zeszła po długich schodach.

A więc, gdzie się spotkamy, mój demoniczny kochanku?

W salonie z gigantycznymi lustrami i zasłonami nie przepuszczającymi światła z ulicy? Tak, to chyba najlepsze miejsce.

Przeszła cicho po lśniącej sosnowej podłodze, jej stopy zatoneły w chińskim dywanie, kiedy skierowała się ku kominkowi. Papierosy Michaela na stoliku. Na wpół opróżniona szklanka piwa, popiół na palenisku – ślad rozpalonego po raz pierwszy ognia. Noc była już prawie chłodna.

Tak, pierwszy grudnia, dziecko w jej wnętrzu ma już małe powieki, małe uszka zaczynają się kształtować.

Żadnych problemów, powiedział lekarz. Zdrowi, silni rodzice, brak obciążeń

chorobami dziedzicznymi, a ciało matki jest w doskonałej kondycji. Jeść rozsądnie. A nawiasem mówiąc, z czego się pani utrzymuje?

Mów kłamstwa.

Dzisiaj podsłuchała, jak Michael rozmawiał z Aaronem przez telefon:

– Świetnie. Nadspodziewanie dobrze, jak mi się wydaje. Całkowity spokój. Oprócz oczywiście tej obrzydliwej wizji Stelli w dzień naszego ślubu. Ale moja wyobraźnia mogła sobie sama wytworzyć obraz. Byłem nieco wstawiony szampanem. (Pauza). Nie. Absolutnie nic.

Aaron potrafił przejrzeć wszystkie kłamstwa, prawda? On wiedział. Ale kłopot z tymi wszystkimi ciemnymi, nieludzkimi siłami polegał na tym, że nigdy się nie wiedziało, kiedy zadziałają. Mogą zawieść cię, gdy najbardziej będziesz na nie liczył. Ponadto takie ułamkowe, przypadkowe, stanowczo niemile widziane „podsłuchiwanie” cudzych myśli powoduje niekiedy, że nagle świat wypełnia się obcymi twarzami i nieznanymi, bezbarwnymi głosami. I jesteś sam.

Może Aaron był osamotniony. Nie znalazł niczego użytecznego ani w notatkach Julienu, ani w rejestrach, poza, jak się należało spodziewać, zapiskami dotyczącymi finansów plantacji. Nie odkrył też żadnej interesującej wzmianki w demonologicznym księgozborze gromadzonym przez lata, niczego oprócz publikowanych informacji o umiejętnościach czarownic, bardzo potocznych i stereotypowych.

Teraz we wspaniale wykończonym domu nie było już ciemnych kątów i nie odkrytych zakamarków. Poddasze lśniło czystością. Zanim Michael pojechał na lotnisko, oboje obejrzelі ostatnio wykonane prace. Wszystko w porządku. Pokój Julienu stanowił teraz miły gabinet do pracy dla Michaela, z deską kreślarską, pojemnikami na plany i półkami zapełnionymi książkami.

Stała pośrodku chińskiego dywanu, twarzą do kominka. Skłoniła głowę i przycisnęła palce do ust. Na co czekała? Dlaczego nie powiedzieć tego: *Lasher*. Wolno podniosła wzrok i spojrzała w lustro.

Stał za nią, w progu salonu, wpatrując się w Rowan uważnie, a światło z ulicy odbite w szklanej tafli drzwi wystarczało, by mogła go widzieć.

Jej serce łomotało, ale nie mogła się ruszyć ani odwrócić. Przyglądała się jego lustrzanemu odbiciu. Używając całej swojej mocy ludzkiej i nadprzyrodzonej, próbowała określić rodzaj materii, z jakiej jest stworzony.

– Daj mi twarz, Rowan! – Głos niczym pocałunek w ciemności. Nie brzmiało to jak nakaz ani jak wymówka. Wyrażało raczej jakąś zażyłość, prośbę kochanka, którego serce zranimy odmową.

Odwróciła się. Stał w obramowaniu drzwi, z założonymi rękami. Był ubrany w staroświecki ciemny garnitur, podobny do tego, który ma na sobie Julien na portrecie z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Identyczny wysoki, biały kołnierzyk i jedwabny krawat. I ten uroczy kontrast – silne ręce, tak jak Michaela, i zdecydowane rysy twarzy. Jego włosy nabrały jasnego połysku, a skóra stała się ciemniejsza. Kiedy na niego patrzyła, pomyślała o Chasie, swoim dawnym kochanku, policjancie.

– Zmień, co chcesz – powiedział łagodnie.

I zanim zdążyła odpowiedzieć, zobaczyła jak jego postać się przekształca, jakby bezgłośnie wrzenie przechodziło przez cień. Włosy mężczyzny stały się jeszcze jaśniejsze, całkowicie jasne, a skóra zbrązowiała, do złudzenia przypominając teraz karnację Chase'a. Oczy zrobiły się zielone; w tym momencie dostrzegła doskonale odtworzonego przyjaciela sprzed lat; potem włączony został do tego obrazu nowy zestaw cech ludzkich, które znowu zmieniły postać. W końcu stał przed nią ponownie mężczyzna, zapamiętany ze spotkania w kuchni – prawdopodobnie ten sam, który ukazywał się im wszystkim przez wieki – tyle, że ten był wyższy i ciągle miał ów nieprawdopodobny odcień skóry Chase'a.

Zdała sobie sprawę, że przysunęła się bliżej niego. Teraz dzieliły ich tylko jakieś cztery metry. Czuła się nie tyle przestraszona, co silnie podekscytowana. Serce ciągle biło szybko, ale już nie drżała. Wyciągnęła rękę, tak jak wtedy w

kuchni, i dotknęła jego twarzy.

Szorstkość zarostu, skóra... Nie, to nie skóra, podpowiadał jej precyzyjny zmysł diagnostyczny. Wiedziała również, że we wnętrzu tego ciała nie ma kości ani żadnych narządów. To była skorupa dla pola energetycznego.

– Ale z czasem pojawią się też kości, Rowan, z czasem wszystkie te cuda się dokonają.

Wargi ducha ledwie się poruszały, kiedy mówił; postać zaczęła tracić swe kształty. Siły, zebrane do ukazania się, zostały wyczerpane.

Wpatrywała się w niego intensywnie, usiłując je podtrzymać i po chwili zobaczyła, że kształty powracają.

– Pomóż mi się uśmiechnąć, moja piękna – powiedział głos, ale tym razem usta mężczyzny się nie poruszyły. – Uśmiechnąłbym się do ciebie i twojej mocy, gdybym mógł.

Zaczęła drżeć. Każda cząstka jej ciała była skoncentrowana na tchnięciu w tę twarz życia. Czowała energię, która z niej płynęła, wiążąc i kształtując tę dziwną substancję. Było to zjawisko klarowniejsze i lepsze, niż jej wyobrażenie o energii elektrycznej. Rowan przeszedł prąd, kiedy zobaczyła, że usta zaczynają się uśmiechać.

Spokojny, lekki uśmiech, jak na fotografiach Juliena. Duże zielone oczy napełniły się światłem. Ręce wyciągnęły się ku niej i poczuła delikatne ciepło, kiedy podszedł bliżej, prawie dotykając jej twarzy.

Potem obraz zamigotał i nagle rozpadł się, a uderzenie fali żaru było tak wielkie, że cofnęła się, zakrywając oczy dłońmi.

Pokój był na pozór pusty. Zasłony poruszyły się w bezgłośnym tańcu. Stopniowo temperatura w pokoju spadała.

Nagle zrobiło jej się zimno. Poczowała się wyczerpana. Kiedy spojrzała na swoje ręce, zdała sobie sprawę, że ciągle drżą. Podeszła do kominka i opadła na kolana.

Jej umysł był wciąż rozhuśtany. Czowała zawroty głowy i niemożność

określenia siebie w relacji do tego, co się stało. Z wolna zaczynała myśleć jaśniej.

Położyła parę drzazg na małym palenisku, wzięła kilka szczap i umieściwszy mały pniak na szczycie, zapaliła długą zapalną. Po chwili drewno zaczęło syczeć i trzaskać, a języki ognia otaczały wysuszony pień.

– Jesteś tu, prawda? – wyszeptała, wpatrując się w ogień, który potężniał i rozjaśniał mrok.

– Tak, jestem.

– Gdzie?

– Blisko ciebie, wokół ciebie.

– Skąd dochodzi twój głos? Nikt nas nie może słyszeć. Ty rzeczywiście mówisz.

– Zrozumiesz, jak to jest, lepiej niż ja.

– Czy tego właśnie ode mnie chcesz?

Doszło ją westchnienie. Nasłuchiwała. Żadnego oddechu, ledwie znak obecności. Myślała o tych wszystkich momentach, kiedy wiedziała, że ktoś jest blisko niej, wcale nie dlatego, że docierał do niej odgłos bicia serca czy stawianych kroków. Słyszała coś cichszego, bardziej subtelnego. To ten dźwięk.

– Kocham cię – powiedział.

– Dlaczego?

– Ponieważ jesteś dla mnie piękna. Ponieważ możesz mnie widzieć. Ponieważ jesteś tym wszystkim, czego pożądam w istotach ludzkich. Ponieważ jesteś człowiekiem. Czuję ciepło i miękkość twego ciała. I znam cię, tak jak wszystkie inne przed tobą.

Nie odpowiedziała. Mówił dalej:

– Ponieważ jesteś dzieckiem Zuzanny, Debory, Carlotty i pozostałych, których imiona znasz. Nawet gdybyś nie wzięła szmaragdu ofiarowanego przeze mnie drogiej Deborze, kocham cię. Kocham cię i bez tego. Kochałem od momentu, kiedy wiedziałem o twoim nadejściu. Widziałem cię nadchodzącą z

daleka. Kocham cię jako możliwość.

Ogień był teraz mocniejszy, oślepiający, wspaniały zapach dymu sprawiał jej przyjemność. Patrzyła, jak pomarańczowe płomienie pochłaniają grubą kłodę. Czowała, że jest w stanie oszołomienia. Nawet własny oddech wydawał jej się wolniejszy i dziwny. Straciła pewność, że ktokolwiek inny mógłby usłyszeć teraz jego głos.

Dla niej był jednak wyraźny i bardzo kuszący.

Usiadła na ciepłej podłodze w pobliżu kominka, na rozgrzanym marmurze, wpatrując się w cienie na sklepieniu pokoju.

– Twój głos sprawia mi przyjemność, jest piękny – westchnęła.

– Pragnąłbym być piękny dla ciebie. Chcę dawać ci radość. Gdy mnie nienawidziłaś, byłem zasmucony.

– Kiedy?

– Kiedy cię dotknąłem.

– Wyjaśnij mi to wszystko.

– Ale istnieje wiele możliwych wyjaśnień. Kształtujesz je, zadając pytanie. Mogę mówić do ciebie z własnej woli, ale wszystko, co powiem, będzie ukształtowane przez to, czego się nauczyłem przez wieki dzięki pytaniom innych. Mam ustalony pewien schemat odpowiedzi. Jeśli chcesz nowej formy, pytaj.

– Od kiedy istniejesz?

– Nie wiem.

– Kto pierwszy nazwał cię Lasher?

– Zuzanna.

– Kochałeś ją?

– Kocham ją.

– Ona ciągle istnieje?

– Ona odeszła.

– Zaczynam pojmować. Nie ma fizycznych praw w twoim świecie, a zatem

nie ma i czasu. Umysł bez ciała.

– Dokładnie. Mądra. Bystra.

– Jedno z tych słów wystarczyłoby.

– Tak, ale które?

– Bawisz się ze mną.

– Nie.

– Chcę dotrzeć do sedna tego wszystkiego, zrozumieć cię, poznać twoje motywy, pragnienia.

– Wiem. Wiedziałem, zanim to sformułowałaś – powiedział w ten sam uprzejmy, uwodzicielski sposób. – Ale jesteś wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że w rzeczywistości, w której istnieję, nie ma żadnego sedna. – Przerwał, a potem kontynuował tym samym tonem: – Jeżeli zmuszasz mnie, abym mówił do ciebie pełnymi złożonymi zdaniami, zarazem zgadzając się na ciągle błędne pojęcia, pomyłki, niejasne rozróżnienia, mogę mówić. Ale to, co powiem, nie będzie ocierało się tak blisko o prawdę, jakbyś tego oczekiwała.

– Ale jak to zrobisz?

– Posłużę się oczywiście tym wszystkim, czego dowiedziałem się o ludzkim sposobie myślenia od innych istot żyjących na tej ziemi. Musisz wybrać, jak mam do ciebie mówić: możesz towarzyszyć mi w moich początkach, jeśli pragniesz czystej prawdy, ale wtedy otrzymasz odpowiedzi niejasne i zaszyfrowane. Mogą być bezużyteczne, ale mogą być też prawdziwe. Jeśli zechcesz zacząć od środka, otrzymasz „uczone” i złożone odpowiedzi. Pamiętaj, że w każdym wypadku uczę się siebie – od ciebie.

– Czy jesteś duchem?

– W tym znaczeniu, w jakim ty używasz tego słowa, jestem.

– Jak siebie nazywasz?

– Nie robię tego.

– Rozumiem. W twoim świecie nie potrzebujesz imienia.

- Nawet pojęcia imienia. Ale tak naprawdę po prostu go nie mam.
- Ale masz pragnienie. Chcesz być człowiekiem.
- Chcę. – Coś jak smutne westchnienie towarzyszyło temu krótkiemu wyznaniu.
- Dlaczego?
- Czy nie chciałabyś być człowiekiem, gdybyś była mną, Rowan?
- Nie wiem, Lasher. Mogłabym chcieć być wolna.
- Pragnę ludzkiej postaci aż do bólu – powiedział głos, wolno i ze smutkiem.
- Czuć żar i chłód; doświadczać przyjemności. Śmiać się – ach, cóż by to było: móc roześmiać się? Tańczyć, śpiewać, widzieć dokładnie waszymi oczami. Dotykać rzeczy. Istnieć w koniecznościach, emocjach i czasie. Zaspokajać swoje ambicje, mieć różne marzenia, pomysły.
- Ach, tak. Rozumiem to dobrze.
- Nie bądź tego zbyt pewna.
- Ty nie widzisz wyraźnie?
- To nie to samo.
- Kiedy spoglądałeś poprzez oczy zmarłego, widziałeś wyraźnie?
- Lepiej, ale nie wyraźnie, śmierć była obok, nie puszczała mnie, pospieszała. W końcu ślepelem.
- Mogę to sobie wyobrazić. Przychodziłeś w ciele teścia Charlotty, kiedy jeszcze żył.
- On wiedział, że tam jestem. Był słaby, ale szczęśliwy, że może spacerować, podnosić znowu przedmioty swymi własnymi rękami.
- Interesujące. To coś, co nazywamy opętaniem.
- Właśnie. Spoglądałem na różne rzeczy jego oczami. Rozróżniałem wspaniałe kolory, wąchałem kwiaty, widziałem ptaki. Słyszałem je. Dotykałem Charlotty ręką. Znałem Charlotte.
- Czy teraz nie słyszysz? Czy nie możesz zobaczyć blasku tego ognia?
- Wiem o nim wszystko. Ale ani nie widzę, ani nie słyszę, ani nie czuję tak

jak ty. Chociaż, kiedy zbliżam się do ciebie, widzę to, co ty widzisz, znam ciebie i twoje myśli.

Poczuła ostre ukłucie strachu.

– Wiem coś o tym.

– Tylko ci się tak wydaje. To cię przerasta.

– Wiem. Naprawdę.

– My wiemy. My jesteśmy. Ale od ciebie nauczyliśmy się myśleć linearnie i poznaliśmy czas. Dowiedzieliśmy się też, co to ambicja, a dzięki temu, co znaczą pojęcia: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Musisz planować. Mówię tylko o tych z nas, którzy chcą uczyć się ludzkiego życia. Niektórzy bowiem nie chcą, więc po co mieliby to robić? Ale określenie „my” jest tylko przybliżeniem. Dla mnie nie ma „nas”, ponieważ jestem samotny i odwrócony od innych. Widzę jedynie ciebie, i tobie podobnych.

– Rozumiem. Kiedy byłeś w martwych ciałach... te głowy na strychu...

– Tak.

– Czy zmieniłeś ich tkankę?

– Tak – pasma włosów, kolor oczu na brązowy, odcień skóry. To kosztowało mnie dużo energii i koncentracji. Koncentracja, proces skupienia jest kluczem do wszystkiego, co robię.

– A twój naturalny stan?

– Wielki, nieskończony.

– Jak zmieniałeś pigment?

– Wszedłem w cząstki ciała, przekształciłem je. Ale ty lepiej to rozumiesz niż ja. Możesz użyć słowa „mutacja”. Nie wiem czy jest właściwsze określenie. Ty znasz język naukowy, pojęcia.

– Co cię zatrzymało przed wzięciem całego organizmu?

– Martwota. Stopniowo wygasał, stał się ciężki, a ja byłem ślepy i niemy. Nie mogłem dać mu iskry życia.

– Rozumiem. Czy w przypadku teścia Charlotty również zmieniałeś jego

ciało?

– Nie. Nie wiedziałem, w jaki sposób to zrobić. I nie mogę tego dokonać teraz, gdybym był tam później. Rozumiesz?

– Tak. Jesteś czymś stałym, ciągłym, wciąż jeszcze ograniczony czasem. Rozumiem. Ale mówisz, że nie możesz zmieniać żywych tkanek?

– Nie tego mężczyzny. I nie Aarona, kiedy w nim jestem.

– Kiedy w nim jesteś?

– Gdy śpi. To jedyna możliwość wniknięcia w jego ciało.

– Dlaczego to robisz?

– Żeby być człowiekiem. Być żywym. Ale on jest dla mnie zbyt silny; Aaron organizuje tkanki Aarona i rozkazuje im. Tak jak i Michael. Tak jak i prawie wszystko. Nawet kwiaty.

– Ach tak, kwiaty. Zmieniłeś róże.

– Dla ciebie, Rowan. Aby pokazać swą miłość i siłę.

– I swoje ambicje?

– Tak

– Nie chcę, abyś kiedykolwiek wchodził w Aarona. Nie chcę, byś kiedykolwiek skrzywdził jego czy Michaela.

– Będę ci posłuszny, ale... chcę zabić Aarona.

– Dlaczego?

– Ponieważ on jest skończony, a ma ogromną wiedzę i okłamuje cię.

– Jak to: skończony?

– Wiedziałem, co mógłby zrobić i chciałem tego. Zrobił to, więc mówię: skończony. Potrafię przewidzieć jego zamysły, lecz ich realizacja jest sprzeczna z moimi ambicjami. Zabiłbym go, gdyby nie świadomość, że sprawi ci to przykrość i napełni nienawiścią do mnie.

– Możesz odczuwać mój gniew, prawda?

– Rani mnie głęboko, Rowan.

– Byłabym oszalała z bólu i gniewu, gdybyś skrzywdził Aarona. Ale

porozmawiajmy o nim obszerniej. Wyjaśnij mi, słowo po słowie, czego chciałeś od Aarona? Co on zrobił?

– Dał ci swą wiedzę. Słowa spisane w prostej linii czasu.

– Mówisz o dziejach Mayfairów?

– Tak. Historia. Powiedziałaś „słowo po słowie”, więc nie użyłem terminu „dzieje”.

Roześmiała się cicho.

– Nie musisz używać aż tylu tych „słów po słowie”. Mów dalej.

– Chciałem, abys przeczytała tę historię. Petyr widział spalenie Debory, mojej ukochanej Debory. Aaron widział Deirdre płaczącą w ogrodzie, moją piękną Deirdre. Twoje reakcje i decyzje są bardzo ściśle powiązane z tą historią. Ale zadanie Aarona zostało wypełnione.

– Tak, rozumiem.

– Strzeż się.

– Myślenia, że rozumiem?

– Właśnie. Pytaj. Słowa „reakcje”, „ściśle” – są niejasne. Nie ukryję przed tobą niczego.

Znowu usłyszała jego westchnienie, ale tym razem przeciągłe, ciche i przerażające się powoli w inny dźwięk. Brzmiał jak powiew wiatru. Ciągle odpoczywała przy kominku, wygrzewając się przy żarze ognia, jej oczy rozszerzały się, kiedy wpatrywała się w cienie.

Odniosła wrażenie, jakby zawsze rozmawiała z tym wciąż jeszcze bezcielesnym mężczyzną o łagodnie brzmiącym głósie. To westchnienie otaczało ją, dotykało jak lekka bryza. Zadowolona, roześmiała się cicho. Mogłaby go zobaczyć, gdyby spróbowała – falowanie powietrza, coś pęczniącego i wypełniającego pokój.

– Tak... – powiedział. – Kocham twój śmiech. Nie umiem się śmiać.

– Mogę ci pomóc nauczyć się.

– Wiem.

– Czy jestem przejściem?

– Jesteś.

– Czy jestem trzynastą czarownicą?

– Jesteś.

– A zatem Michael miał rację w swoich interpretacjach.

– On rzadko się myli. Widzi jasno.

– Czy chcesz zabić Michaela?

– Nie. Kocham go. Mógłbym spacerować i rozmawiać z nim.

– Dlaczego, dlaczego akurat Michael spośród innych ludzi?

– Nie wiem.

– Och, musisz wiedzieć.

– Kochać znaczy kochać. Dlaczego kochasz Michaela? Czy w ogóle istnieje na to odpowiedź? Kochać znaczy kochać. Michael jest jasny i piękny. Michael się śmieje. Jest w nim dużo niewidzialnego ducha, który napelnia jego ręce, nogi, oczy, głos. Rozumiesz?

– Myślę, że tak. Nazywamy to witalnością.

– Dokładnie.

Ale czy kiedykolwiek to słowo zostało użyte w takim znaczeniu? Mówił dalej:

– Widziałem Michaela od początku. Był niespodzianką. Dostrzega mnie. Podszedł do ogrodzenia. Również on ma ambicje i jest silny. Kochał mnie. Teraz się boi. Weszłaś pomiędzy niego i mnie, a on obawia się, że ja wejdem między was.

– Ale nie skrzywdzisz go?

Nie odpowiedział.

– Nie skrzywdzisz go.

– Rozkaż mi, abym tego nie robił, a nie wyrządę mu żadnej krzywdy.

– Ale ty przecież sam nie chcesz tego! Dlaczego ta rozmowa przypomina błędne koło?

– Nie rozumiem. Powiedziałem, że nie chciałem zabić Michaela. Michael może zostać skrzywdzony. Co mam zrobić? Kłamać? Ja nie kłamię. Aaron kłamie. Ja nie. Nie wiem – jak.

– Nie wierzę ci. Ale może ty sam w to wierzysz.

– Ranisz mnie.

– Powiedz mi, jak to się skończy?

– Co?

– Moje życie z tobą?

Cisza.

– Nie powiesz.

– Ty jesteś przejściem.

Siedziała nieruchomo. Czowała, jak pracuje jej umysł. Ogień trzaskał, płomienie tańczyły na palenisku, a ich ruch wydawał się zbyt spowolniony, aby był naturalny. Powietrze zamigotało ponownie. Rowan wydawało się, że zamiast kryształków zwisających z kandelabru zobaczyła długie krople łez poruszające się, obracające, gromadzące odpryski światła.

– Co to znaczy być przejściem?

– Ty wiesz, co to znaczy.

– Nie.

– Potrafisz przekształcać materię, doktor Mayfair.

– To nie takie pewne. Jestem chirurgiem. Pracuję używając precyzyjnych narzędzi.

– Ach, ale twój umysł jest bardziej precyzyjny. Zmarszczyła brwi, te słowa przeniosły ją w świat tego dziwnego snu ukazującego operację na lejdejskim uniwersytecie.

– W swoim czasie skutecznie hamowałaś krwawienia – powiedział niespiesznie ściszoneg głosem. – Zamykałaś rany. Sprawiałaś, że materia była ci posłuszna.

Kryształowy świecznik zadźwięczał w ciszy. Zaśnił w nim odblask

tańczących płomieni.

– Szybko bijące serca twoich pacjentów zwalniały; odblokowywałaś uszkodzone naczynia krwionośne w ich mózgu.

– Nie zawsze byłam świadoma...

– Robiłaś to. Obawiasz się swojej siły, ale ją posiadasz. Wyjdź do ogrodu nocą. Możesz sprawić, by kwiaty się otworzyły. Możesz wpłynąć na nie, by urosły, tak jak i ja to robię.

– Ach, ty robisz to tylko z martwymi roślinami.

– Nie. Próbowałem też z żywymi. Z irysem, którego widziałaś, chociaż to wyczerpało mnie i sprawiło ból.

– Potem irys obumarł i opadł z łodygi.

– Tak. Nie miałem zamiaru go zabić.

– Pchnąłeś go do granic biologicznych możliwości, wiesz o tym. Dlatego obumarł.

– Tak. Nie znałem jego ograniczeń.

Rowan czuła się, jakby była w transie; jakże doskonale czysto brzmiał jego głos, jak precyzyjnie.

– Zatem nie zmuszasz po prostu molekuł do przesuwania się w tym czy innym kierunku.

– Nie. Wnikam w chemiczną strukturę komórek, tak jak ty. Jesteś przejściem. Masz wgląd w istotę życia.

– Nie, przeceniasz moją wiedzę. Nie potrafię tego robić. Atmosfera ze snu wróciła. Wszyscy zgromadzeni w oknach uniwersytetu w Lejdzie. Co to za tłum na ulicy? Myślę, że Jan van Abel jest heretykiem.

– Nie wiesz, o czym mówisz – powiedziała.

– Wiem. Widzę dalej. Dałaś mi metafory i terminy. Poprzez twoje książki przyswoiłem sobie również pojęcia. Widzę do końca. Wiem. Rowan może przekształcać materię. Rowan potrafi wziąć tysiące maleńkich komórek i rozpoznać je.

– Ale jaki jest koniec? Czy zrobię to, czego chcesz? Znowu westchnienie.

Coś zaszeleściło w rogu pokoju. Zasłony poruszyły się gwałtownie. Świecznik zadzwieczał ponownie, szkło uderzyło o szkło. Czy to warstwa mgły podniosła się ku sufitowi, płynąc ku jasnobrzoskwiniowym ścianom? A może to tylko odbłask ognia tańczący, odbijający się w jej oczach.

– Przyszłość jest materią utkaną z możliwości – powiedział. – Niektóre z nich stopniowo stają się prawdopodobieństwem, niewiele – nieuchronnością. Jednak pojawiają się niespodzianki i wplatając się w osnowę i wątek mogą je rozerwać.

– Bogu dzięki – powiedziała. – Więc nie możesz widzieć końca.

– I tak, i nie. Zachowanie wielu ludzi jest całkowicie do przewidzenia. Twoje nie. Jesteś za silna. Możesz być przejściem, jeśli dokonasz takiego wyboru.

– Jak?

Cisza.

– Czy zepchnąłeś Michaela do morza?

– Nie.

– Czy ktoś to zrobił?

– Michael spadł ze skały, ponieważ był nieuważny, jego dusza obolała, a życie – bez sensu. Mówił o tym jego wyraz twarzy, każdy gest. Nie trzeba było być duchem, żeby to dostrzec.

– Ale ty widziałeś.

– Tak, na długo przedtem, ale nie miałem z tym nic wspólnego. Uśmiechnąłem się. Widziałem ciebie i Michaela razem. Zobaczyłem to już wtedy, kiedy Michael był mały i spoglądał na mnie przez ogrodzenie. Widziałem jego śmierć i ocalenie przez Rowan.

– Co Michael widział, kiedy wpadł do morza?

– Nie wiem. On nie był żywy.

– Co masz na myśli?

– Był martwy, doktor Mayfair. Wiesz, czym jest śmierć. Komórki przestają się dzielić. Organizm nie podlega już jednej organizującej sile lub centralnemu układowi poleceń. Umiera. Wszedłem w ciało Michaela. A ponieważ było jeszcze świeże, mogłem podnosić jego kończyny, słyszeć jego uszami. Ale on już nie żył. Michael opuścił swoją cielesną powłokę.

– Wiesz to?

– Wiem to teraz. Wiedziałem, zanim się to stało. Wiedziałem wtedy, kiedy się to działo.

– Gdzie wówczas byłeś?

– Obok Deirdre. By była szczęśliwa, aby spełnić jej marzenia.

– Ach, więc rzeczywiście widzisz daleko.

– Rowan, to nie ma znaczenia. Miałem na myśli, że widzę rzeczy odległe w czasie. Przestrzeni także nie postrzegam jako linii prostej.

Znowu cicho się roześmiała.

– Twój głos jest taki piękny, że chce się go objąć.

– Ja jestem piękny, Rowan. Mój głos jest moją duszą. Oczywiście mam duszę. Inaczej świat byłby zbyt okrutny.

Poczuła się tak smutna, kiedy to usłyszała, że zachciało jej się płakać. Wpatrywała się w kryształ świecznika i zamknięte w nim maleńkie błyski płomieni. Pokój zdawał się tonąć w upale.

– Kochaj mnie, Rowan – powiedział po prostu. – Jestem najsilniejszą istotą możliwą do wyobrażenia w twojej rzeczywistości i jestem jedyny dla ciebie, moja ukochana.

Słowa te brzmiały niczym pieśń bez melodii, tak jakby głos był zrobiony i z ciszy, i z pieśni, jeśli to w ogóle wyobrażalne.

– Kiedy uzyskam cielesną formę, będę więcej niż człowiekiem. Będę czymś nowym pod słońcem. Dużo ważniejszym dla ciebie niż Michael. Jestem nieskończoną tajemnicą. Michael daje ci wszystko, co może. Nie ma już więcej tajemnicy w twoim Michaelu.

– Nie, to nie może być prawda – wyszeptała. Zdała sobie sprawę, że zamknęła oczy; czuła się taka śpiąca. Zmusiła się do spojrzenia na świecznik. – Jest nieskończona tajemnica miłości.

– Miłość trzeba czymś karmić, Rowan.

– Mówisz, że muszę wybrać pomiędzy tobą i Michael'em?

Cisza.

– Czy kazałeś innym wybierać? – Myślała szczególnie o Mary Beth i jej mężczyznach.

– Widzę daleko, mówiłem ci. Kiedy Michael stał przy furtce wiele lat temu, według twojego czasu, zobaczyłem, że dokonujesz wyboru.

– Nie mów mi nigdy, co zobaczyłeś.

– Świetnie. Rozmowa o przyszłości zawsze przynosi nieszczęście ludziom. Ich rozmach bierze się z tego, że nie widzą daleko. Porozmawiajmy o przeszłości. Wy lubicie rozumieć przeszłość.

– Masz jeszcze inny ton głosu oprócz tego pięknego, łagodnego brzmienia? Tych kilka ostatnich słów wypowiedziałeś sarkastycznie? Czy tak należy rozumieć ten ton?

– Mogę nadawać swojemu głosowi brzmienie jakie chcę, Rowan. Słyszysz, co czuję. Czuję w moich myślach, w tym czym jestem: bólem, miłością. To emocje.

– Mówisz trochę za szybko.

– Cierpię.

– Dlaczego?

– Bo nadal tkwisz w błędzie.

– Chcesz, abym sprawiła, żebyś stał się człowiekiem?

– Chcę mieć ciało.

– I ja ci je mogę dać?

– Ty masz moc. Jeśli raz coś zostanie osiągnięte, i inne podobne rzeczy mogą być dokonane. Jesteś trzynasta, jesteś przejściem.

– Co masz na myśli, mówiąc: „inne rzeczy”?

– Rowan, rozmawiamy o fuzji, chemicznej zmianie, strukturalnej przebudowie komórek, materii i energii w nowych relacjach.

– Wiem, o czym mówisz.

– Więc wiesz, że to jest jak z rozszczepieniem – jeżeli jest możliwe raz, możliwe jest i drugi.

– Dlaczego nie zrobił tego nikt przede mną? Julien miał moc.

– Wiedza, Rowan. Julien urodził się za wcześnie. Pozwól, że ponownie użyję słowa „fuzja”, ale w nieco inny sposób. Mówiliśmy do tej pory o fuzji w obrębie komórek, ale teraz chcę powiedzieć o połączeniu się twojej wiedzy o życiu z wrodzoną mocą, którą posiadasz. To jest klucz; to pozwala ci być przejściem. Wiedza twojej epoki byłaby niewyobrażalna nawet dla Juliana, widzącego w swoich czasach wynalazki wydające się czystą magią. Czy Julien mógł przewidzieć operacje na otwartym sercu? Dzieci z probówek? Nie. Po tobie zaś przyjdą tacy, których wiedza będzie wystarczająco duża, by określić, czym jestem.

– Czy potrafiłbyś sam się określić dla mnie?

– Nie, ale oczywiście moją istotę da się zdefiniować. Najpierw jednak muszą to zrobić śmiertelnicy. Uczę się od was rzeczy, które są konieczne do zrozumienia.

– Ale wiesz o sobie coś, co mógłbyś mi powiedzieć teraz, używając precyzyjnego języka.

– To, że jestem bezgraniczny; własną siłę czuję dopiero wtedy, gdy się skoncentruję; mogę używać swej mocy; potrafię doświadczać bólu myśląc częścią siebie.

– Co jest tą częścią? Skąd pochodzi siła, którą się posługujesz? Te pytania się ze sobą wiążą.

– Nie wiem. Kiedy Zuzanna wezwała mnie, zjawiłem się skupiony, jakbym przebywał tunel. Czułem mój kształt, rozciągłość podobną do pięcioramiennej

gwiazdy, którą narysowała, a każde z ramion pentagramu wydłużało się. Sprawiałem, że drzewa szeleściły, liście opadały i dlatego Zuzanna nazwała mnie swoim Lasherem.

– Podobało ci się to, co robiłeś.

– Tak, ponieważ Zuzanna widziała moje dzieło i jej się to podobało. Inaczej nigdy nie zrobiłbym tego ponownie, nawet nie pamiętałbym.

– Co jest w tobie fizycznego, oprócz energii?

– Nie wiem! – Głos był teraz pełen desperacji. – Powiedz mi, Rowan! Poznaj mnie! Przerwij moją samotność!

Ogień przygasał w kominku, ale ciepło rozchodziło się po pokoju, otulało ją jak płaszcz. Poczula się senna, ale nagle bardzo czujna.

– Wróćmy do Julienu. On miał tyle samo siły co ja.

– Prawie, ale nie całkiem. Duch Julienu był swawolny i bluźnierczy, bawił się to tu, to tam. Tak samo lubił niszczyć, jak i budować. Ty jesteś bardziej logiczna, Rowan.

– Czy to zaleta?

– Masz nieugiętą wolę, Rowan.

– Wiem. I nie złamię jej nastroje i humory, tak jak u Julienu.

– Dokładnie tak, Rowan!

Roześmiała się półgłosem. Potem poczuła znów spokój, wpatrując się w lśnienie powietrza.

– Czy istnieje Bóg, Lasher?

– Nie wiem, Rowan. W czasach, w których się nad tym zastanawiałem, odpowiedziałem sobie twierdząco, ale to napełniło mnie gniewem.

– Dlaczego?

– Ponieważ cierpię i jeżeli jest Bóg, to on stworzył to cierpienie.

– Tak, rozumiem cię doskonale, Lasher. Ale jeżeli on istnieje, to stworzył też miłość.

– Tak, miłość. Miłość stanowi źródło mojego cierpienia, moich działań w

czasie, ambicji i planów. Wszystkie pragnienia, jakie posiadam, biorą się z miłości. Można powiedzieć, że to, kim byłem – kiedy byłem tylko tym, czym jestem – było zatrute miłością, a kiedy zostałem przywołany przez Zuzannę, przebudziłem się do miłości i zmory niespełnienia. Ale widziałem. I kochałem. I przybyłem.

– Zasmucasz mnie – powiedziała nagle.

– Miłość zmieniła moją egzystencję, Rowan. Sprawiała, że po raz pierwszy poczułem niezadowolenie.

– Tak.

– A teraz chcę przekształcić się w istotę z krwi i kości, aby spełnić moją miłość. Tak długo na ciebie czekałem. Widziałem tyle cierpień, zanim się zjawiałaś, że gdybym potrafił ronić łzy, płakałbym. Bóg wie, że dla Langtry’ego stworzyłem iluzję siebie płaczącego. To był prawdziwy obraz mojego bólu. Rozpacziałem nie po Stelli, ale po śmierci ich wszystkich – moich czarownic. Kiedy Julien umarł, byłem w agonii. Przepętniał mnie tak wielki ból, że gdybym mógł się cofnąć, wróciłbym do królestwa księżycy, gwiazd i ciszy. Ale było już za późno. Nie zniósłbym samotności. Kiedy wezwała mnie Mary Beth, wróciłem do niej ożywiony. Spojrzałem w przyszłość. Zobaczyłem znów tę trzynastą. Widziałem rosnącą bardziej niż kiedykolwiek siłę moich czarownic.

Znowu zamknęła oczy. Ogień wygasł. Pokój był pełen ducha Lashera. Czująca go na skórze, chociaż się nie poruszał, lekki jak samo powietrze.

– Kiedy uzyskam prawdziwe ciało – powiedział – moje łzy i śmiech będą tak naturalnym moim odbiciem, jak to jest u ciebie czy Michaela. Stanę się pełnym organizmem.

– Ale nie ludzkim.

– Lepszym niż ludzki.

– Ale nie ludzkim,.

– Silniejszym, bardziej wytrzymałym, ponieważ będę zorganizowaną inteligencją i mam ogromną siłę, większą niż ta, którą posiada jakikolwiek

człowiek. Będę czymś nowym, mówiłem ci. Zaistnieję jako nie znany dotąd gatunek.

– Czy zabiłeś Arthura Langtry’ego?

– Niezupełnie. On umierał. To, co zobaczył, przyspieszyło jego śmierć.

– Ale dlaczego mu się pokazałeś?

– Ponieważ był silny i miał wystarczająco dużo mocy, by mnie zobaczyć. Chciałem, żeby uratował Stellę, bo mógł to zrobić. Wiedziałem, że ona jest w niebezpieczeństwie. Carlotta była jej wrogiem. Zostałem pokonany przez równoczesność, bo działałem w czasie.

– Dlaczego Arthur nie pomógł Stelli?

– Znasz tę historię. Było za późno. Jestem bezradny jak dziecko w takich chwilach.

– Nie rozumiem.

– Kiedy ukazałem się Langtry’emu, strzały zostały oddane w mózg Stelli i spowodowały jej natychmiastową śmierć. Widzę daleko, ale nie mogę zobaczyć wszystkich niespodziewanych zdarzeń.

– Nie wiedziałeś.

– Carlotta oszukała mnie, wprowadziła w błąd. Nie jestem nieomylny. W rzeczywistości z zadziwiającą łatwością można sprawić, że stracę orientację.

– Jak?

– Dlaczego miałbym ci powiedzieć? Po to, abyś mnie lepiej kontrolowała? Ty wiesz jak. Jesteś czarownicą tak samo silną jak Carlotta. Emocjami. Carlotta uczyniła z tego morderstwa akt miłości. Wyuczyła Lionela, co myśleć, kiedy brał broń i strzelał do Stelli. Nie zaalarmowała mnie nienawiść czy złośliwość. Nie zwróciłem uwagi na pełne miłości myśli Lionela. Potem Stella umierała leżąc, przyzywając mnie cicho, z otwartymi oczami, zraniona, bez nadziei na ratunek. A Lionel wystrzelił po raz drugi i dusza Stelli opuściła jej ciało na zawsze.

– Ale ty zgładziłeś Lionela. Doprowadziłeś do jego śmierci.

– Tak.

– A Cortland? Zabiłeś go.

– Nie. Walczyłem z nim. Chciał użyć swojej siły przeciwko mnie, ale przegrał. Padł – we własnych zmaganiach. Nie zabiłem twojego ojca.

– Dlaczego walczyłeś?

– Ostrzegałem go. Wierzył, że może mnie sobie podporządkować. Ale on nie był moją czarownicą. Deirdre nią była. Ty nią jesteś. Ale Cortland – nigdy.

– Jednak on stanął w obronie pragnień Deirdre, by nie oddawać mnie nikomu.

– Dla swoich własnych celów.

– Jakich?

– To dawne dzieje, teraz nieważne. Wyrwałaś się na wolność i mogłaś wrócić silna. Zostałaś uwolniona od Carlotty.

– Znałeś plan ciotki, zrobiłeś wbrew życzeniom Deirdre i Cortlanda.

– Postąpiłem tak ze względu na ciebie, Rowan. Kocham cię.

– Ach, ale wiesz, że w tym jest prawidłowość, prawda? I nie chcesz, żebym to zrozumiała. Kiedy rodzi się dziecko, służysz jemu, nie matce. Przyznaj, tak samo było z Deborą i Charlottą?

– Źle mnie osądzasz. Kiedy działałam w czasie, czynię nieraz zło.

– Znowu wróciliśmy do pragnień Deirdre. Upewniłeś się co do tego, że zostanę jej zabrana. Realizowałaś swój plan trzynastu czarownic, więc wszystko poszło zgodnie z twoimi zamierzeniami.

– Jesteś trzynasta i najsilniejsza. Ty byłaś moim celem i będę ci służył. Twoje zamierzenia i moje są identyczne.

– Nie sędzę.

Odczuła jego ból, zawirowanie powietrza, emocje, jakby ktoś nagle szarpnął ostro strunę harfy. Pieśń cierpienia. Zaslony załopotwały w gorącym powiewie, a świeczniki zatańczyły w rozblasku białego światła, choć ogień wygasł, a z nim jego kolory.

- Czy byłeś kiedykolwiek istotą ludzką?
- Nie wiem.
- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś ludzi?
- Tak.
- Co wtedy pomyślałeś?
- Że nie jest możliwe, by duch powstał z materii, że to żart, coś, co mogłabyś nazwać niedorzecznością lub gafą.
- Jednak tak się stało.
- Rzeczywiście. Pojawił się wtedy, kiedy organizacja materii osiągnęła odpowiedni stopień, aby mógł się ukazać duch. Zaskoczyła nas taka mutacja.
- Ciebie i innych – was, którzy byliście już tam.
- W wieczności.
- Przyciągnęło to twoją uwagę?
- Tak, ponieważ stanowiło całkowicie odmienną formę bytu. A ponadto zostaliśmy przyzwani, aby obserwować.
- Jak?
- Nowo objawiona inteligencja człowieka, choć zamknięta w materii, uświadomiła sobie nasze istnienie, a wtedy my zauważyliśmy siebie. I znowu, to złożone zdanie, dlatego częściowo nieprawdziwe. Przez stulecia ta ludzka, duchowa inteligencja udoskonalała się. Człowiek stawał się coraz silniejszy, rozwijał swoje zdolności telepatyczne, wyczuwał nasze istnienie, nazywał nas, rozmawiał z nami, pociągał nas. Zauważyliśmy, że się zmieniamy, myśleliśmy o sobie.
- A więc nauczyliście się od nas samoświadomości.
- Wszystkiego. Samoświadomości, pożądania, ambicji. Jesteście niebezpiecznymi nauczycielami.
- Są też inni spośród was, którzy teraz mają ambicje.
- Julien mówił: „Materia stworzyła człowieka, a człowiek stworzył bogów”. Częściowo miał rację.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z innymi istotami ludzkimi przed Zuzanną?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po raz pierwszy widziałem i słyszałem tylko Zuzannę. Kochałem ją.

– Chciałabym wrócić do Aarona. Dlaczego uważasz, że mnie okłamuje?

– Nie odkrywa całej prawdy o celach Talamaski.

– Jesteś tego pewien?

– Oczywiście. Jak mógłby zataić coś przede mną? Wiedziałem, że się pojawi, zanim w ogóle zaistniał. Przestrogi Arthura Langtry'ego przeznaczone były dla Aarona, choć Arthur nic o nim nie wiedział.

– Ale kiedy i w odniesieniu do czego Aaron kłamie?

– On ma misję do spełnienia, tak jak wszyscy bracia w Talamasce. Trzymają to w sekrecie. Nie ujawniają swojej wiedzy okultystycznej, żeby użyć słowa, które zrozumiesz.

– Co to za tajemnicza wiedza? Co za misja?

– Chronienie ludzi przed nami. Zdobycie pewności, że nie będzie już więcej przejść.

– Czy to znaczy, że przedtem były już jakieś?

– Tak. Pewne mutacje. Ale ty jesteś najwspanialszym przejściem. Nic nie będzie równe temu, co ty możesz osiągnąć.

– Zaczekaj. Czy to znaczy, że inne bezcielesne istoty przedostały się do świata materialnego?

– Tak.

– Ale kto? Czym one są?

– Śmiech. Ukrywają się bardzo dobrze.

– Śmiech? Dlaczego to powiedziałeś?

– Ponieważ śmieję się z twoich pytań, ale nie wiem, jak naśladować taki

dźwięk, więc swoją reakcję wyraziłem słowem. Śmieję się z tego, że nie pomyślałaś, iż zdarzyło się to już wcześniej. Ty, śmiertelnik, jak wszyscy inni znający historie o duchach i potworach, nocnych zjawach i różnych strachach. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że w tych waszych bajkach kryje się jakieś ziarno prawdy? Zresztą, nieważne. To, czego my dokonamy, będzie tak doskonale, że nie dorówna temu nic, co się zdarzyło w przeszłości.

– Aaron wie, o czym mówisz i o innych, którzy tu przybywali?

– Tak.

– Dlaczego on chce mnie powstrzymać, bym nie stała się przejściem?

– A jak myślisz?

– Ponieważ wierzy, że jesteś zły.

– Nienaturalny, oto co mówi, ale to głupie, ponieważ jestem tak samo naturalny jak elektryczność, gwiazdy czy ogień.

– Nienaturalny. Boi się twojej siły.

– Tak, ale jest głupcem.

– Dlaczego?

– Rowan, mówiłem ci już, że jeśli ta fuzja będzie dokonana raz, będzie możliwa znowu. Rozumiesz?

– Tak. Jest dwanaście krypt w grobowcu i jedne drzwi.

– Teraz zaczynasz myśleć. Kiedy pierwszy raz czytałaś podręcznik do neurologii, kiedy weszłaś po raz pierwszy do laboratorium, to o co ci chodziło? Człowiek dopiero zaczął zdawać sobie sprawę z możliwości współczesnej nauki, nowe istoty mogłyby być tworzone przez przeszczepy, transplantacje, dzięki laboratoryjnym eksperymentom z komórkami i genami. Zobaczyłaś zasięg tych możliwości. Twój umysł był młody, a wyobraźnia ogromna; byłaś tym, kogo ludzie się boją – lekarzem z wizjami poety. I odwróciłaś się od tych wizji, Rowan. W laboratorium Lemlego miałaś szansę tworzyć nowe istnienia z części ciał żywych istot. Sięgnęłaś po brutalne narzędzia, bo bałaś się tego, co możesz zrobić. Ukryłaś się za chirurgicznym mikroskopem i zastąpiłaś swoją

siłę stalowymi narzędziami, którymi raczej kaleczyłaś tkanki, niż je stwarzałaś. Nawet teraz działasz pod wpływem strachu. Wybudujesz szpital, w którym będzie się leczyć ludzie, a mogłabyś kreować nowe istoty, Rowan.

Siedziała milcząca i spokojna. Nigdy jeszcze nikt nie mówił o jej najbardziej ukrytych myślach z taką precyzją. Poczula się rozgorączkowana, uświadomiła sobie rozmiar własnych ambicji. Zrozumiała, że w głębi duszy jest jak amoralne dziecko, które marzy o przeszczepach mózgu, sztucznych istotach, póki dorośli nie zapalą światła.

– Czy nie rozumiesz, dlaczego?

– Widzę dalej, Rowan. Dostrzegam tak wiele cierpienia w świecie. Widzę możliwość przypadków i pomyłek, i wiem, do czego mogą doprowadzić. Nie jestem zaślepiony mrzonkami. Ale słyszę wszędzie płacz, czuję ból i znam swoją własną samotność i pożądanie.

– A co z tym, z czego zrezygnujesz, stając się istotą z krwi i kości? Jaką cenę zapłacisz?

– Nie cofnę się. Ból cielesny nie może być gorszy od tego, co wycierpiałem przez trzy wieki. Czy chciałabyś być tym, czym ja jestem? Wieczny, samotny w nieskończoności, słuchający zmysłowych głosów świata, osobny, spragniony miłości i zrozumienia?

Nie mogła odpowiedzieć.

– Czekałem całą wieczność na możliwość wcielenia się. Czekałem dłużej niż sięga pamięć. Czekałem, by kruchy duch ludzki w końcu zyskał taką wiedzę, by runęły bariery, bym mógł osiągnąć formę prawdziwego człowieka, stać się doskonały.

Zapadła cisza.

– Rozumiem teraz, czemu Aaron się ciebie boi – powiedziała.

– Aaron jest mały. Talamasca jest mała. Są niczym! – W głosie brzmiał gniew. Powietrze w pokoju było rozgrzane i wrzało jak gotująca się woda. Żyrandole poruszały się, ale nie wydały żadnego dźwięku, tak jakby strumienie

powietrza poniosły gdzieś ich odgłosy.

– Talamasca ma wiedzę – powiedział – siłę, by otworzyć wrota, ale nie zrobią tego ze względu na nas. Są naszymi wrogami. Oddają losy świata w ręce cierpiących i ślepych. I kłamią. Oni wszyscy kłamią. Interesują się historią czarownic z rodu Mayfairów, ponieważ są to dzieje Lashera, z którym właśnie walczą. Oto prawdziwy cel organizacji. Oszukują cię. To imię Lashera powinno się znaleźć na okładkach tych cennych, oprawnych w skórę, zaszyfrowanych dokumentów, które tak naprawdę są świadectwem rosnącej siły Lashera. Czy nie widzisz tego?

– Nie rób krzywdy Aaronowi.

– Twoja miłość jest niemądra, Rowan.

– Nie lubisz mojej dobroci, prawda? Jesteś złem.

– Co to jest zło, Rowan? Czy twoja ciekawość jest złem? Mogłabyś poznawać mnie, tak jak studiowałaś mózgi ludzi. Mogłabyś uczyć się na moich komórkach i medycyna zrobiłaby wtedy ogromny postęp. Nie jestem wrogiem świata, Rowan. Ja tylko chcę się do niego dostać!

– Jesteś teraz rozzłoszczony.

– Cierpię. Kocham cię, Rowan.

– Chcieć to jeszcze nie kochać. Potrzebować to nie to samo, co kochać.

– Nie mów do mnie w ten sposób. Krzywdzisz mnie. Ranisz.

– Jeżeli zabijesz Aarona, nigdy nie będę twoim przejściem.

– Zbyttno przejmujesz się takim drobiazgiem.

– Lasher, zabijesz go, a nie będę twoimi wrotami.

– Rowan, możesz mi rozkazywać. Zabiłbym go, ale już tego nie zrobię.

– To samo z Michaeliem.

– Tak jest, Rowan.

– Dlaczego powiedziałeś mu, że nie może mnie powstrzymać?

– Ponieważ miałem taką nadzieję i chciałem go przestraszyć. On jest pod wpływem Aarona.

– Lasher, jak mam ci pomóc przejść?

– Będę wiedział, kiedy ty to będziesz wiedziała. A ty wiesz. I Aaron wie.

– Lasher, my tak do końca nie znamy tajemnicy życia. Z całą wiedzą i wypracowanymi definicjami, nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czym ono jest i jaki miało początek. Moment, w którym martwa materia ożywiła się, jest dla nas absolutnie niepojęty.

– Ja już jestem żywy.

– Ale jak mogę ci stworzyć ciało? Byłeś już i w żywych, i w martwych. Nie potrafisz się w nich utrzymać.

– Dokonamy tego – zniżył głos do szeptu – wspólnymi siłami. Z moją wiarą, że muszę to osiągnąć i że właśnie ty trzymasz w rękach klucz do pełnej przemiany. Wcielenie jest możliwe.

Zmrużyła oczy, próbując w mroku rozpoznać jakieś kształty.

– Kocham cię, Rowan – powiedział. – Jesteś teraz zmęczona. Pozwól mi ukoić cię. Pozwól mi dotknąć twojego ciała. – Jego głos mocniej wibrował.

– Chcę... chcę wieść szczęśliwe życie z Michaeliem i naszym dzieckiem.

Powietrze zawirowało, zgęstniało. Poczła potężniejszy żar.

– Moja cierpliwość jest nieskończona. Widzę daleko. Mogę czekać. Ale stracisz przyjemność obcowania z innymi, odkąd widziałas mnie i rozmawiałaś ze mną.

– Nie bądź tego taki pewny, Lasher. Jestem silniejsza od innych. Wiem dużo więcej.

– Tak, Rowan. – Powietrze ciągle gęstniało, wirując wokół świeczników jak wielka spirala dymu, jak strzępy pajęczyny.

– Czy mogę cię zniszczyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Rowan, dręczysz mnie.

– Dlaczego nie mogę cię zniszczyć?

– Posłuchaj: dar, który posiadasz, polega na zdolności przekształcania materii. Nie ma jej we mnie, więc nie masz czego atakować. Możesz zniszczyć materię, którą skupiam w celu stworzenia widzialnego obrazu, ale on sam ulega rozpadowi. Byłaś tego świadkiem. Możesz zniszczyć ten wizerunek w trakcie materializacji i zrobiłaś już coś takiego, kiedy po raz pierwszy ci się ukazałem. Ale nie możesz zniszczyć mnie. Zawsze tu byłem. Jestem nieśmiertelny, Rowan.

– A gdybym ci powiedziała, że wszystko skończone, że nie będę cię już nigdy rozpoznawać, że nie będę twoim przejściem. Gdybym zdecydowała, że jestem nim dla Mayfairów, że jestem przejściem do przyszłych wieków, bramą dla mojego nie narodzonego dziecka, dla rzeczy, o których marzę.

– To drobiazgi, Rowan. Nic, co dałoby się porównać z tajemnicami i możliwościami, które ja ci proponuję. Wyobraź sobie, Rowan, ile się nauczysz, kiedy mutacja zostanie zakończona i będę miał ciało połączone z moim niczym nie ograniczonym duchem.

– Jeśli to zostanie dokonane, jeśli przejście otworzy się, połączenie się powiedzie i zaczniesz żyć jako istota z krwi i kości, to... jak mnie będziesz traktował?

– Będę cię kochał jak żaden z ludzi, Rowan, bo staniesz się moją matką, stwórcą i nauczycielem. Czy mógłbym nie kochać istoty tak bardzo mi potrzebnej? Nie odstąpię cię na krok, byś pokazała mi, jak poruszać rękami, nogami, nauczyła mnie patrzeć, mówić, śmiać się. Będę zdany wyłącznie na ciebie, bezradny niczym dziecko. Nie rozumiesz? Tobie oddam całe uwielbienie i cześć, moja ukochana. Spełnię każde twoje żądanie i będę dużo silniejszy niż teraz. Dlaczego płaczesz? Skąd te łzy?

– To tylko triki, efektowne gry światłem i dźwiękiem, które wywołujesz.

– Nie. Jestem czym jestem, Rowan. To w tobie tkwią przyczyny, dla których teraz czujesz się słaba. Widzisz daleko. Zawsze tak było. Dwanaście krypt i wrota, Rowan.

– Nie rozumiem. Bawisz się ze mną. Chcesz mnie wytrącić z równowagi.

Nie mów już ani słowa więcej.

Zapadła cisza i znowu rozległ się ten dźwięk, jakby całe powietrze wokół niej wydało westchnienie. Smutek spowił ją jak chmura, a warstwa dymnego cienia unosiła się w pokoju, falując wokół świeczników, wypełniając lustra gęstniejącą ciemnością.

– Jesteś wokół mnie, prawda?

– Kocham cię – odpowiedział, a jego głos, znowu znizony do szeptu, zabrzmiał tuż przy Rowan. Poczula wargi dotykające jej policzka. Zesztywniała, ale nagle stała się senna.

– Odsuń się ode mnie – powiedziała. – Chcę być teraz sama. Nie mam obowiązku cię kochać.

– Rowan, co mógłbym ci dać, co ofiarować?

Znowu poczuła na twarzy jakieś muśnięcie. Po jej ciele przebiegł zimny dreszcz, sutki stwardniały pod jedwabną koszulą i w Rowan zrodziło się pragnienie. Próbowwała zobaczyć coś w ciemności. Ogień wygasł, choć jeszcze przed chwilą strzelił płomieniem.

– Wypróbujesz na mnie swoje sztuczki. – Powietrze wokół zdawało się dotykać jej ciała. – Tak, jak zabawiałeś się z Michaelem.

– Nie. – Poczula delikatny pocałunek w ucho.

– Kiedy tonął, te wizje... ty je stworzyłeś?

– Nie, Rowan. Nie było mnie tam. Gdy odszedł, nie mogłem już podążyć za nim tam, dokąd odszedł. Należę tylko do świata żywych.

– Czy to ty wywołałeś zjawy, które zobaczył tego wieczoru, gdy kąpał się w basenie?

– Nie.

Zadrzała. Podniosła ręce, by odsunąć od siebie coś, co oplątywało ją jak pajęczyna.

– A widziałeś je?

– Tak, jego oczami.

– Czym były?

– Nie wiem.

– Dlaczego?

– Bo były obrazami ludzi, którzy odeszli już dawno temu, Rowan, a ja jestem ze świata żywych. Nie znam zmarłych. Niemów mi o nich. Nie wiem nic o Bogu ani o niczym, co jest pozaziemskie.

– Boże! Ale czym jest ten świat? – Coś dotknęło jej pleców, lekko zmierzwiło włosy.

– Rowan, jest królestwo, w którym ty żyjesz, i to, w którym ja istnieję – obydwaj, równoległe, choć oddzielone, tworzą razem fizyczny świat. Ja też jestem czymś fizycznym, naturalnym jak wszystko na tej ziemi. W tym naszym świecie płonę z miłości do ciebie, Rowan, spalam się w ogniu, który nie ma końca.

– Te duchy, które Michael widział wieczorem, w dniu naszego ślubu, w tym właśnie pokoju. Ty sprawiłaś, że je zobaczył.

– Nie.

– Widziałeś je? – Na policzku poczuła dotyk czegoś miękkiego jak piórko.

– Jego oczami. Nie znam wszystkich odpowiedzi, których żądasz ode mnie.

Coś dotknęło jej piersi, głaskało je, zsunęło się ku udom. Podkuliła nogi pod siebie. Palenisko wygasło całkowicie.

– Odejdź ode mnie. Jesteś złem.

– Nie.

– Przybywasz z piekła?

– Bawisz się mną. Ja tkwię w piekle pożądania, chcąc dać ci rozkosz.

– Przestań. Chcę teraz odejść. Jestem senna. Nie zostanę tu. Odwróciła się i spojrzała na okopcony kominek. Powieki jej ciążyły, ręce i nogi miała jak z kamienia. Usiłowała wstać, choć wiedziała, że nie zdoła zrobić kroku. Opadła na kolana, a potem wyciągnęła się wygodnie na miękkim chińskim dywanie. Chłodne, rześkie powietrze dobrze jej robiło. Już niemal zaczynała drzemać, gdy

spojrzała na białą sztukaterię na suficie i odniosła wrażenie, że wyrzeźbione liście poruszają się.

Nagle wróciły do niej szczegóły zakończonej przed chwilą rozmowy. Coś dotknęło jej twarzy, wywołując nagły dreszcz. Pomyślała o Michaelu oddalonym o setki kilometrów i poczuła ból. Myliła się, nie doceniając tej istoty.

– Kocham cię, Rowan.

– Jesteś nade mną, prawda? – Przyglądała się ceniom na suficie. Cieszyła się chłodem, bo sama płonęła, jakby przeniknął ją cały żar ognia. Czowała wilgoć pomiędzy udami i delikatne głaskanie po ich wewnętrznej stronie. Jej ciało było otwarte jak kwiat, nogi rozsunęte niczym płatki.

– Przestań, bo cię znienawidzę.

– Kocham cię. – Pocałunki na wargach, uszach, piersiach. Usta ssające jej sutki, delikatnie je gryzące.

– Nie mogę tego znieść – wyszeptała, ale w gruncie rzeczy oszalałaby, gdyby przestał.

Ramiona miała rozrzucone. Usłyszała trzask pękającego jedwabiu, nocna koszula została zdarta. Leżała wspaniale naga, a jakieś ręce pieściły jej łono, choć nie było żadnych rąk. To był Lasher, Lasher głaszczący ją, dotykający, ssący. Czowała jego intensywną obecność, usta na powiekach, uszach, palce na plecach, palce rozwierające jej pośladki, pieszczące wargi sromu.

Tak, otwarta jak ciemnopurpurowy irys w ogrodzie. Jak róże eksplodujące na swoich pociemniałych łodygach i liście pokryte siecią żyłek. Kręciła się i miotła na dywanie.

I kiedy wiała się jak kotka w marcu... Odejdź, starucho, nie ma cię tutaj! Teraz to mój czas.

– Tak, twój czas, nasz wspólny.

Język lizający sutki, wargi zwierające się na nich, pieszczące je. Zęby kłapiące piersi.

– Mocniej, ostrzej. Zadaj mi ból, zrób to! Użyj swojej siły. Uniósł

dziewczynę tak, że głowa poleciała jej do tyłu. Zamknęła oczy. Rozwierał dłońmi jej uda, potem srom.

– Wejź we mnie, mocno, stań się dla mnie mężczyzną, twardym mężczyzną!

Usta mocniej zacisnęły się na jej sutkach. Język pieścił piersi i brzuch, palce gniotły gorączkowo pośladki i uda. – Członek – wyszeptała i poczuła go. Był ogromny i twardy, wchodził w nią. – Tak, zrób to, rozedrzyj mnie, zrób to! Jej zmysły wchłonęły zapach jego ciała i włosów, poczuła na sobie ciężar i członek wszedł w nią mocno, gwałtownie. Mignął jej zarys twarzy, czoło, nos, ciemnozielone oczy. Potem obraz rozmazał się, kiedy jego wargi rozwarły jej usta.

Rozpalone ciało Rowan zostało przygwożdżone do dywanu, gdy członek wchodził w nią, drażnił lechtaczkę i zagłębiał się mocno w pochwie. Nie mogę wytrzymać. Rozerwij mnie, tak. Orgazm eksplodował w niej, zalał ją potok kolorów, podobny do fali rozkoszy przetaczającej się przez łono, piersi, twarz i w dół ku udom i mięśniom stóp. Usłyszała swój krzyk, ale jakiś odległy, nieważny, wypływający z jej ust, wyzwolony. Była wyczerpana, bezradna, odarta z myśli i woli.

Potem wszystko powtórzyło się raz jeszcze, znowu i znowu, dopóki czas, świadomość i poczucie winy nie wypaliły się w niej do końca.

* * *

Ranek. Czy słyszy płacz dziecka? Nie. To tylko dzwoni telefon. Nieważne. Leżała w łóżku naga. Słońce wlewało się przez frontowe okna. Kiedy wróciła pamięć, jej ciało przebiegł bolesny dreszcz. Czy to telefon, czy płacz dziecka? Nie, jednak dziecko gdzieś daleko poza domem. Na wpół śpiąca zobaczyła nóżki, kolanka, pulchne małe stopy.

– Moja kochana – wyszeptał.

– Lasher.

Dźwięk płaczu zamarł. Otworzyła oczy. Szyby lśniły, a za oknem, na tle błękitu nieba, rysował się konar dębu.

Kiedy ponownie się przebudziła, ujrzała nad sobą znajome zielone oczy w doskonale uformowanej, ciemnej twarzy. Dotknęła palcem jego jedwabście miękkich warg, ciało mężczyzny napierało na nią, znów czuła twarde członek między udami.

– Boże, tak. Jesteś taki silny.

– Z tobą, moja piękna. – Kiedy mówił, widziała biel jego zębów. – Z tobą, moja jedyna – powtórzył.

Poczuła uderzenie żaru, gorący wiatr odrzucił jej włosy. I w nie zmaconej ciszy poranka, w promieniach słońca sączących się przez szyby, wszystko to zdarzyło się raz jeszcze.

* * *

Około południa Rowan siedziała przy basenie. Nad taflą wody, w chłodnych promieniach słońca, unosiła się mgła. Upały się skończyły, zima nadchodziła wielkimi krokami.

Jednak było jej ciepło w wełnianej sukience. Zaczęła szczotkować włosy.

Czuła go blisko siebie. Zmrużyła oczy. Tak, widziała bardzo wyraźne drganie powietrza. Otaczał ją teraz jakby welonem, otulając ramiona i ręce.

– Odejdź – wyszeptwała. Coś niewidzialnego przylgnęło do niej. Usiadła gwałtownie. – Odejdź, powiedziałam ci! – wysyczała.

To, co zobaczyła, było jak odbłask ognia. Potem powietrze odzyskało swoją chłodną intensywność, delikatne zapachy ogrodu powróciły.

– Powiem ci, kiedy masz przyjść. Nie będę na łasce twoich kaprysów albo pragnień.

– Jak sobie życzysz, Rowan. – To był głos, który słyszała w swoim wnętrzu,

tak jak to zdarzyło się już w Destin.

– Widzisz i słyszysz wszystko, prawda? – spytała.

– Nawet twoje myśli.

Uśmiechnęła się, a jej uśmiech wyrażał upór. Przestała się czesać i odrzuciła włosy do tyłu. – A o czym teraz myślę? – zapytała.

– O tym, że chciałabyś, bym znowu cię dotknął, abym otoczył cię swoimi obrazami. Pragnęłabyś wiedzieć, jak to jest być mężczyzną, co ja bym czuł, gdybym cię brał jak mężczyzna...

Poczuła jak krew napływa jej do policzków. Zdjęła pukiel włosów ze szczytki i rzuciła w gęste paprocie, gdzie zniknął między suchymi liśćmi.

– Możesz tego dokonać? – zapytała.

– Możemy to zrobić razem, Rowan. Potrafisz dostrzec i wyczuć wiele rzeczy.

– Najpierw rozmawiaj ze mną.

– Jak sobie życzysz. Pożądasz mnie, Rowan.

– Czy możesz zobaczyć Michaela? Czy wiesz, gdzie jest?

– Tak, Rowan, widzę go. Jest w domu, porządkuje swoje rzeczy. Oddaje się wspomnieniom, marzeniom o przyszłości. Zżera go pragnienie, by tu wrócić, do ciebie. Myśli tylko o tobie. A ty myślisz o tym, by mnie zdradzić, Rowan. Chcesz powiedzieć twojemu przyjacielowi, Aaronowi, że mnie widziałaś. Marzysz o zdradzie.

– A co mnie powstrzyma, jeśli zechcę porozmawiać z Aaronem? Co możesz zrobić?

– Kocham cię.

– Nie potrafisz być teraz z dala ode mnie i wiesz o tym. Przyjdiesz, kiedy cię wezwę.

– Chcę być twoim niewolnikiem, nie wrogiem, Rowan. Wstała, wpatrując się w miękkie liście małego drzewka oliwnego na tle bladego nieba. Basen był wielkim ośmiokątem parującego błękitu. Rosnący na przeciwległym brzegu dąb

poruszał się kołysany wiatrem i raz jeszcze poczuła, jak powietrze wokół niej się zmienia.

– Odsuń się – powiedziała.

Usłyszała pełne bólu westchnienie. Zamknęła oczy. Gdzieś bardzo daleko jednak płakało dziecko. Ten płacz musiał dochodzić z jednej z tych dużych willi, które wydawały się opustoszałe w środku dnia.

Wróciła do domu, pozwalając, by odgłos jej kroków rozlegał się donośnie. Wzięła płaszcz z szafy we frontowym holu, ubrała się ciepło i wyszła.

Przez godzinę chodziła cichymi, pustymi ulicami. Przechodnie od czasu do czasu witali ją skinieniem głowy. Czyjś pies podbiegł do ogrodzenia i łasił się. Jakiś samochód minął ją hałaśliwie.

Starła się widzieć jedynie przedmioty, skupić wzrok na kępkach mchu porastającego ściany, na krzewach jaśminu oplatającego ogrodzenie. Usiłowała nie myśleć i nie wpadać w panikę. Próbowwała opanować chęć powrotu do domu, ale w końcu nogi same ją tam zanosły i stanęła przed furką.

Ręce jej drżały, kiedy wkładała klucz w zamek. W odległym końcu holu, w drzwiach jadalni, stał on i przyglądał się jej.

– Nie! Dopóki sama nie powiem! – krzyknęła, a nienawiść brzmiąca w tych słowach była wyrazista jak promień światła.

Obraz zniknął. Nagle dotarł do niej drażniący zapach róż. Zakryła usta dłonią. Powietrze wokół zafalowało łagodnie. Potem już żadnego ruchu, dom był cichy. I wreszcie ten sam dźwięk, płacz dziecka.

– Ty to robisz – wyszeptała. Wszystko umilkło. Weszła na górę, do swojego pokoju. Łóżko było starannie zaścielone, bielizna schowana, zasłony odsunięte.

Zamknęła drzwi. Zrzuciła buty i położyła się na przykrytym kapą łożu, pod białym baldachimem. Zamknęła oczy. Nie mogła już dłużej walczyć. Myśl o rozkoszy, której doświadczyła ostatniej nocy, wywołała bolesną gorączkę. Wtuliła twarz w poduszkę, starając się równocześnie zapomnieć i pamiętać. Jej mięśnie naprężyły się.

– Przyjdź – wyszeptała. Natychmiast otoczyła ją dziwna, miękka substancja. Próbowwała rozpoznać to, co czuje, zrozumieć. Coś jak pajęczyna, coś ogromnego, luźno zorganizowanego – jeśli użyć jej własnych słów – skupiło się, zintensyfikowało jak para zagęszczająca się przed skropleniem w wodę, jak woda, kiedy zamienia się w lód...:....

– Czy mam przybrać dla ciebie jakiś kształt? Czy stworzyć jakiś obraz?

– Nie, jeszcze nie – wyszeptała. – Bądź taki, jak jesteś, jaki byłeś przedtem, z całą twoją siłą. – Poczowała dotknięcie na stopach i pod kolanami. Miękkie dłonie ześliznęły się w dół i zaczęły łagodnie pieścić jej palce. Pończochy zostały ściągnięte, powietrze owijało się i okręcało wokół obnażonych nóg.

Poczowała, że sukienka rozpina się, guziki wyślizgują z dziurek.

– Tak, zrób to raz jeszcze – powiedziała. – Zrób to ostro, brutalnie i wolno.

Nagle leżała na plecach, jej twarz przyciśnięta była mocno policzkiem do poduszki, sukienka rozerwana; niewidzialne ręce zsuwały się w dół ku łonu. Jakieś zęby gryzły jej nagi srom, paznokcie drapały łydki.

– Tak! – krzyknęła, szczękając zębami. – Bądź okrutny!

Ile dni i nocy minęło? Uczciwie mówiąc, nie miała pojęcia. Stos nie otwartych listów leżał na stoliku w holu. Telefon dzwonił co pewien czas – daremnie.

– Tak, ale kim jesteś? W swej istocie, u podstaw. Co tam jest?

– Mówiłem ci już, że takie pytania nie mają sensu. Mogę być tym, kim zechcesz.

– To mi nie wystarcza.

– Czym byłem? Widmem. Bezgranicznie zadowolonym. Nie wiem, jak to się stało, że pokochałem Zuzannę. Kiedy ją spalono, nauczyłem się, czym jest śmierć. Szlochała, gdy wlekli ją na stos; nie potrafiła uwierzyć, że są zdolni to zrobić. Moja Zuzanna, była jak dziecko, nie rozumiała, że w ludziach jest zło. Małą Deborę zmuszono, by patrzyła na egzekucję. Gdybym wtedy rozpętał burzę, spaliliby je obie.

Nawet w agonii Zuzanna powstrzymywała mój gniew, ze względu na Deborę. Szalała, miotała się na stosie, waliła głową w pal. Wieśniacy byli przestraszeni. Okrutni, głupi śmiertelnicy, którzy przyszli tam, by pić wino i śmiać się, kiedy ona płonęła. Nawet oni nie mogli znieść jej przeraźliwego krzyku. Widziałem to piękne ciało, którym obdarzyła ją natura, pustoszone przez ogień, dymiące jak chwasty palone na polu. Krew spływała na trzeszczące drwa. Moja Zuzanna. W rozkwicie młodości i siły spalona jak woskowa świeczka dla bandy głupich wieśniaków zgromadzonych tam w upalne

popołudnie. Kim jestem? Jedynym, który ją oplakiwał. Jedynym, który czuł to umieranie bez końca. Nawet Debora stała kamienna, niemo wpatrzona w ciało swej matki wijące się w ogniu.

Jestem jedynym, który widział, jak dusza Zuzanny opuszcza zmalretowane bólem ciało. Widziałem, jak się wznosi, wolna, wyzbyta trosk. Czy ja mam duszę, że doznałem radości, iż Zuzanna nie będzie cierpiała już więcej? Dotarłem do jej ducha, uformowanego jeszcze w dawny kształt ciała, choć ta forma nie była już potrzebna. Próbowałem go poznać, skupić, wziąć coś, co było teraz takie samo jak ja. Ale dusza Zuzanny przeleciała obok. Zwróciła na mnie nie więcej uwagi niż na płonące plewy. Była daleko, poza mną i nie było już Zuzanny. Kim jestem? Jestem Lasher, ten który rozpostarł się nad całym światem, gnany bólem po stracie Zuzanny. Jestem Lasher, który skupił się na nowo i użył swej siły, by uderzyć w wioskę. Przerażeni wieśniacy biegali, szukając schronienia. Wtedy moja ukochana Debora została stamtąd zabrana w bezpieczne miejsce. Potem spustoszyłem Donnelaith. Sędziego czarownic pogoniłem po polach, waląc w niego kamieniami. Kiedy przestałem, nie został tam nikt, kto mógłby opowiedzieć, co się stało. A moja Debora odeszła z Petyrem van Ablem do pięknych strojów, szmaragdów i ludzi, którzy mieli malować jej portret. Jestem Lasher – ten, który oplakał tę niewinną istotę i rozrzucił jej prochy na cztery strony świata.

To było dla mnie przebudzenie do istnienia, samoświadomości, życia i śmierci, bacznej uwagi. Przez te dwadzieścia dni nauczyłem się więcej, niż przez eony przyglądania się, jak śmiertelni mnożą się niby rój owadów. Ich umysł wyrósł z materii, ale został uwięziony w niej; bezradny i bezużyteczny jak motyl przyszpilony do ściany. Kim jestem? Jestem Lasher, który siadywał u stóp Debory, aby dowiadywać się, co to jest cel i jak go osiągnąć. Uczyłem się spełniać wolę Debory tak doskonale, by nigdy nie cierpiała. Jestem Lasher, który ciągle podejmował próby i zawsze ponosił klęskę.

Odwróć się ode mnie. Zrób to. Czas jest niczym. Poczekam na inną, która

przyjdzie i będzie tak silna jak ty. Ludzie się zmieniają. W ich pragnieniach jest wiele zapowiedzi tych zmian. Śmiertelnicy marzą bezustannie o nieśmiertelności i czas ich życia jest coraz dłuższy. Marzą o swobodnym locie. I wreszcie zjawi się ktoś, kto usunie bariery między tym, co cielesne i bezcielesne. Wtedy wkroczę do świata materii, bowiem zbyt mocno tego pragnę, by ponieść klęskę. Jestem bardzo silny, nieskończenie cierpliwy i szybko się uczę.

Ta wiedza już istnieje. Pełne wyjaśnienie pochodzenia materialnego życia jest na wyciągnięcie ręki. Odpowiedź jest możliwa. Jeśli chcesz, wróc ze mną do wspomnień z tej nocy, kiedy zabrałem Marguerite w ciało zmarłego i sprawilem, że włosy zmieniły kolor. Ten eksperyment jest bliższy czasom jaskiniowców z wymalowanymi twarzami, polujących na mamuty, niż twojemu szpitalowi i laboratorium.

Wiedza potęguje twoją moc. Rozumiesz, co to jądro komórki, protoplazma. Wiesz, czym są chromosomy, geny i DNA.

Julien był silny. Charlotte również. Petyr van Abel był gigantem, nie miał sobie równych wśród ludzi. Ale w tobie jest inny rodzaj mocy. Odwaga, nienasyconie i samotność. Ten głód i samotność znam dobrze, i dlatego całuję ustami, których nie mam; tulę w nie istniejących ramionach i przyciskam do serca, które nie bije w ciepłym wnętrzu ciała.

Możesz trzymać się z dala, obawiać się mnie, ja poczekam. Nie skrzywdzę twego cennego Michaela. Ale on nie może cię kochać jak ja, bo nie może cię znać tak, jak ja cię znam.

Twoje ciało, mózg nie jest dla mnie żadną tajemnicą, Rowan. Mając prawdziwie cielesną formę, stałbym się nadczołowiekiem. I kiedyś to się dokona. Jaka będzie wtedy twoja metamorfoza, Rowan? Pomyśl o tym, co powiedziałem.

Trzynasta z was będzie miała moc, która otworzy przejście – to wiem. Nie wiem tylko, jak istnieć bez twojej miłości.

Kochałem cię bowiem zawsze, miłowałem cząstkę ciebie żyjącą w twoich przodkach. Uwielbiałem cię w Petyrze van Ablu, którego najbardziej przypominasz. Kochałem cię nawet w mojej słodkiej, okaleczonej Deirdre, bezsilnej, śniącej o tobie.

Zapadła cisza.

* * *

Przez godzinę żaden dźwięk ani ruch nie zmały powietrza. Dom zdawał się pusty, a na zewnątrz panował zimowy chłód, świeży, przejrzysty i bezwietrzny.

Eugenia wyszła. Telefon zadzwonił znowu.

Rowan siedziała w jadalni z rękami opartymi o błyszczący blat stołu i patrzyła na bezlistny mirt, skrzący się w słońcu na tle błękitu nieba.

W końcu podniosła się, włożyła ciepły płaszcz z czerwonej wełny i wyszła. Zamknęła za sobą drzwi, potem furtkę, i znalazła się na ulicy.

Mroźne powietrze dobrze jej robiło, czuła się jakby oczyszczona. Liście dębu pociemniały, skurczyły się, ale mimo zimna wciąż jeszcze były zielone.

Skierowała się ku Alei świętego Karola i poszła do hotelu Pontchartrain.

W małym barze na dole, przy stoliku, siedział Aaron. W ręku trzymał pióro, a otwarty notes leżał przed nim obok kieliszka wina.

Stanąła naprzeciwko Anglika, świadoma zaskoczenia, jakie wywołał jej widok. Czy była potargana? Czy wyglądała na zmęczoną?

– On wie wszystko: co myślę, co czuję, co mam powiedzieć.

– To niemożliwe – odezwał się. – Usiądź i opowiedz mi.

– Nie mogę go kontrolować. Nie jestem w stanie odepchnąć od siebie. Myślę... Myślę, że go kocham – wyszeptwała. – Grozi, że odejdzie, jeśli porozmawiam z tobą albo Michaellem. Ale nie zrobi tego. Potrzebuje mnie, żebym go widziała i była blisko niego. Jest bystry, ale nie aż tak. Tylko dzięki mnie może zrealizować swoje plany, przybliżyć się do życia.

Wpatrzyła się w głąb baru. W końcu sali siedział niski, łysy mężczyzna o mięsistej twarzy, przeciętej szczeliną ust. Za ladą blady i anemiczny barman coś polerował, jak ludzie jego profesji mają w zwyczaju. Rzędy butelek pełnych trucizny. Spokój. Przyćmione światła.

Usiadła i spojrzała na Aarona.

– Dlaczego mnie okłamywałeś? Dlaczego nie powiedziałeś, że przysłano cię z misją powstrzymania go.

– Nie po to tu jestem. Nigdy nie kłamałem.

– Wiesz, że on może przejść do świata materii, że do tego właśnie zmierza i zobowiązałeś się przeszkodzić mu. Zawsze o to ci chodziło.

– Wiem tylko tyle, ile wyczytałem z dziejów Mayfairów, czyli dokładnie tyle samo co i ty. Pokazałem ci wszystko.

– Ukryłeś jednak fakt, że takie przejścia zdarzały się już wcześniej.

Nie odpowiedział.

– Nie pomagaj mu – odezwał się wreszcie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Czy uwierzyłabyś? Nie przybyłem, by opowiadać bajki, ani by wprowadzić cię do Talamaski. Przekazałem ci wiedzę, którą posiadałem, o twoim życiu, rodzinie, a więc coś, co było dla ciebie ważne.

Milczała. To co mówił, było pewną wersją prawdy, taką jaką znał. Ale ukrywał niektóre rzeczy. Każdy to robi, nawet kwiaty na stole. Życie jest bezlitosnym procesem. Lasher też.

– Ten duch jest gigantyczną kolonią mikroskopijnych komórek, które czerpią pokarm z powietrza, jak gąbka z wody. Pożywienie stanowią tak drobne cząsteczki, że przyswajanie ich następuje niezauważalnie dla samej tej kolonii i środowiska, w którym żyje. Ale posiada ona wszystkie podstawowe składniki żywego organizmu: strukturę komórkową, aminokwasy i DNA. Siła, wiążąca wszystko w całość, tworzy świadomość tej istoty i sprawia, że może ona przybierać taki kształt, jaki zechce.

Przerwała, szukała w twarzy Aarona potwierdzenia lub zaprzeczenia. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Ona sama wreszcie zrozumiała, czym jest Lasher i to było najważniejsze.

– On nie jest niewidzialny; po prostu nie można go zobaczyć. Teoretycznie nie ma w nim nic nadnaturalnego. Może przenikać przez gęstą materię, ponieważ jego cząstki są dużo mniejsze. Ale to eukariontyczne komórki – takie same jak te, które tworzą twoje lub moje ciało. Tylko skąd się wzięła jego inteligencja? Jak to jest, że on myśli? Mogę jedynie dodać to, że podobnie komórki embriona „wiedzą”, jak mają tworzyć oczy, palce, wątrobę, serce i mózg. Nie ma w tej chwili na świecie naukowca, który odpowie na pytanie, dlaczego z zapłodnionego jajka tworzy się kurczak. Albo dlaczego gąbka rozbita na proch odtwarza się idealnie – każda komórka robi dokładnie to, co powinna – nawet po kilku dniach. Kiedy się o tym pamięta, można odpowiedzieć, dlaczego Lasher ma intelekt – dlatego, że istnieje w nim podobna, organizująca całość siła, choć nie ma mózgu, który można by zobaczyć. To wystarczy, aby stwierdzić jego całkowitą samowystarczalność i nawet jeżeli nie jest nieśmiertelny, to w każdym razie może żyć miliardy lat. Niewykluczone, że wchłania świadomość ludzkości, że to ona daje mu energię, a wszelkie mutacje wiedzy człowieka wykreowały jego umysł. Potem żywił się, w pewnym sensie, świadomością czarownic Mayfairów i wszystkim, co było z nimi związane. Stąd bierze się jego znajomość świata, osobowość i wola.

Możliwe również, że on zaczął już proces podstawowej symbiozy z wyższymi formami materii, że jest w stanie przyciągnąć bardziej złożone struktury molekularne. Materializuje się. Potem rozprasza te cięższe cząsteczki, zanim na stałe zwiążą się z jego własnymi. Znajduje się wtedy na granicy paniki, ponieważ boi się niedoskonałej formy, z której nie będzie się mógł uwolnić.

Ale tak bardzo chce mieć ciało, że jest w stanie podjąć każde ryzyko, by przyjąć postać prawdziwego człowieka, by w jego żyłach zaczęła krążyć krew.

Znowu przerwała. – Może wszystko, co żyje, ma umysł – powiedziała, a jej wzrok powędrował ku wnętrzu baru i pustym stolikom. – Może kwiaty obserwują nas; a drzewa nienawidzą, bo potrafimy się poruszać, stawiać kroki. A może po prostu nie interesują się nami. Ten cały koszmar z Lasherem polega na tym, że zaczęliśmy go obchodzić!

– Powstrzymaj go – powiedział Aaron. – Wiesz teraz, czym jest. Powstrzymaj go! Nie pozwól, by ostatecznie przybrał ludzką formę.

Milczała. Spojrzała na czerwień swojego płaszcza i nagle zaskoczył ją ten kolor. Nie pamiętała nawet, kiedy wyjęła okrycie z szafy. W zaciśniętej dłoni trzymała klucz, nie wzięła ze sobą torebki. Tylko ta rozmowa się dla niej liczyła, choć czuła straszne zmęczenie, miała spoconą twarz i ręce.

– To, co mówisz, jest olśniewające – powiedział Aaron. – Dotknęłaś tego i zrozumiałaś. Teraz użyj tej samej wiedzy, by odstraszyć tę istotę.

– On zamierza cię zabić – powiedziała, nie patrząc na przyjaciela. – Sam mi to wyznał. Mogę go powstrzymać, ale jak mam się z nim targować? On wie, że tu siedzę z tobą. – Roześmiała się cicho, zerkając na sufit. – Jest z nami. Zna każdą moją sztuczkę. Jest wszędzie. Jak Bóg. Tylko, że on Nim nie jest!

– Nie. On nie wie wszystkiego. Nie pozwól mu się ogłupiać. Przyjrzyj się przeszłości. Popełniał zbyt wiele pomyłek. Dysponujesz mocnym argumentem przetargowym – swoją miłością i wolą. Poza tym dlaczego miałby mnie zabić? Co ja mogę zrobić Lasherowi? Przekonać cię, żebyś mu nie pomagała? Twój kodeks moralny jest surowszy i doskonalszy nawet od mojego.

– Co, na Boga, pozwala ci tak myśleć? Jaki kodeks moralny? – To, co powiedział, uderzyło ją tak, że była bliska omdlenia, chciała czym prędzej wrócić do domu. Ale on tam czekał na nią. Będzie wszędzie, dokąd ona pójdzie. A poza tym przyszła tu w jakimś celu – aby ostrzec Aarona, dać mu ostatnią szansę.

Byłoby tak wspaniale pójść do domu i zasnąć, gdyby nie ten płacz dziecka, który się rozlegał po pokojach. Czuła niezliczone ramiona Lashera, owijające się

wokół niej, otulające ją w powiewach ciepła.

– Rowan, posłuchaj.

Ocknęła się, jakby z jakiegoś snu.

– Na całym świecie są ludzie obdarzeni wyjątkową mocą – mówił Aaron – ale ty należysz do nielicznych, którzy znaleźli drogę, by użyć swojej siły dla dobra. Nie zaglądasz w kryształową kulę po to, by zbić forszę. Leczysz. Czy chcesz go tu sprowadzić, udzielić mu własnej mocy? Czy też odesłać stąd jak najdalej, na zawsze? Chcesz, aby użył twej siły do stworzenia innych mutantów, potworów, których świat ani nie pragnie, ani nie będzie mógł znieść? Zniszcz go, Rowan! Nie dla mojego, ale dla twojego własnego dobra. Zniszcz Lashera w imię tego, co jest słuszne.

– Oto powód, dla którego on cię zabije, Aaronie. Nie mogę powstrzymać demona, jeśli go prowokujesz. Ale dlaczego to, czego on chce, jest takie złe? W imię czego występujesz przeciwko tej istocie? Dlaczego mnie okłamywałeś?

– Nigdy nie kłamałem. I dobrze wiesz, że nie wolno dopuścić, by zyskał ciało. Nie miałby ludzkiej duszy.

– To religia, Aaronie.

– Rowan, on byłby czymś nienaturalnym. Nie potrzebujemy więcej potworów. Sami jesteśmy wystarczająco potworni.

– On istnieje zgodnie z prawami natury, tak jak my. To właśnie przez cały czas usiłuję ci powiedzieć.

– Jest nam równie obcy jak gigantyczny owad, Rowan. Chciałabyś stworzyć coś podobnego? To nie do pomyślenia.

– Mylisz się. Czy mutacja jest do wyobrażenia? A z każdą sekundą, minutą, dniem, komórki ulegają zmianom.

– W pewnych granicach. W przewidywalnych ramach. Kot nie potrafi latać. Człowiekowi nie wyrastają rogi. Istnieje porządek wszystkich rzeczy i można spędzić całe życie na odkrywaniu, jaki jest zachwycający, bo to rzeczywiście wspaniały ład. On nie jest jego częścią.

– To ty tak twierdzisz. A jeśli nie ma żadnego porządku? Jeśli wszystko stanowi jedynie proces, jak rozmnażanie się komórek, i jego przemiana jest tak samo naturalna jak to, że rzeka zmienia swoje koryto, niszcząc pola uprawne, domy, bydło i ludzi? Tak naturalna, jak zderzenie komety z Ziemią?

– Czy nie starałabyś się ocalić ludzi przed taką katastrofą? Czy nie usiłowałabyś ochronić ich od ognia komety? Dobrze, niech będzie, że on jest czymś naturalnym. Przyjmijmy nawet, że czymś lepszym. Jednak nasze cele są wyższe, są czymś więcej niż ten proces. Nasza moralność, współczucie, zdolność do miłości i tworzenia wspólnoty, porządku społecznego czyni z nas coś więcej niż tylko fragment natury. On nie ma dla tych wartości żadnego szacunku, Rowan. Zobacz, co zrobił z rodziną Mayfairów.

– Stworzył ją!

– Nie, nie zgadzam się. Absolutnie nie.

– Ciągłe mówisz do mnie językiem religii, Aaronie. Wypowiadasz się w kategoriach twardej etyki. A to nie jest niezawodna logicznie podstawa. Nie wystarczy, by skazać go na potępienie.

– Jest niezawodna. Musi być. Zaraza to również naturalne zjawisko, ale nie pozwoliłabyś uwolnić wirusów z próbówki, by zabiły miliony ludzi. Rowan, na miłość Boską, nasza świadomość kształtowała się pod wpływem doznań płynących z ciała, z którego się wzięła. Czym byśmy byli bez zdolności odczuwania fizycznego bólu? Ta istota, Lasher, nigdy nie krwawiła, choćby z najmniejszej ranki. Nigdy nie dręczył jej głód, nie zna chęci przetrwania. Jest amoralną inteligencją, Rowan, i ty o tym wiesz. Właśnie to nazywam, z braku lepszego słowa, czymś nienaturalnym.

– Piękny, poetycki wywód moralny – powiedziała. – Rozczarowujesz mnie. Miałam nadzieję, że dasz mi rzeczowe argumenty w zamian za ostrzeżenie. Sądziłam, że podtrzymasz mnie na duchu.

– Nie potrzebujesz moich argumentów. Wejrzyj w głąb swojej duszy. Wiesz, co ci próbuję powiedzieć. On jest jak promień lasera z ambicjami. Jak bomba

zdolna do myślenia o samej sobie. Pozwól mu zjawić się tu, a świat za to zapłaci. Możesz stać się matką klęski.

– Klęska – wyszeptala – jakie urocze słowo.

Wyglądał tak krucho. Po raz pierwszy zobaczyła na jego twarzy znamiona wieku – zmęczenie, worki pod oczami, bladą skórę. Patrzył na nią błagalnie. Pozbawiony swego zwykłego wdzięku i elokwencji, wydał się jej nagle słaby. Po prostu miała przed sobą siwowłosego starca, wpatrującego się w nią badawczo jak dziecko pełne oczekiwaniami. Nie było w nim żadnego czaru.

– Ty wiesz, co to może znaczyć, prawda? – zapytała znużona. – Kiedy wyzbędziesz się strachu?

– On cię okłamuje, wpływa na myśli, zmienia sumienie.

– Nie mów tak do mnie! – wyszczała. – To nie odwaga z twojej strony, ale głupota. – Usiadła ponownie, usiłując się uspokoić. Był czas, kiedy kochała Aarona. Nawet teraz nie chciała go skrzywdzić. – Czy nie widzisz nieuchronnego końca tego wszystkiego? – zapytała. – Jeżeli mutacja się powiedzie, on może się rozmnożyć. Jeśli te komórki dadzą się przeszczepić i powielić, przyszłość ludzkości zostanie odmieniona. Mówimy o nieśmiertelności.

– Rojenia starości – odparł z goryczą. – Kłamstwa.

Uśmiechnęła się, widząc jego opanowanie.

– Twoja świętoszkowatość męczy mnie – powiedziała. – Nauka zawsze była kluczem, a czarownice nigdy nie były niczym innym jak uczonymi. Czarna magia usiłowała stać się nauką. Mary Shelley widziała przyszłość, poeci zawsze ją widzą. I wszystkie dzieciaki w trzecim rzędzie to wiedzą, kiedy patrzą w kinie, jak doktor Frankenstein zszywa monstrum z kawałków ciał i ożywia podczas burzy.

– To horror, literatura, Rowan. On wpływa na twoje sumienie.

– Znów mnie obrażasz – powiedziała, pochylając się nad stolikiem. – Jesteś już stary, masz niewiele lat przed sobą. Kocham cię za to, co mi dałeś, i nie chcę

cię skrzywdzić. Ale nie kuś ani mnie, ani jego. Wszystko, co mówię, to prawda.

Nie odpowiedział – nagle zaskakująco spokojny i opanowany. Rowan zobaczyła, że wyraz piwnych oczu Aarona stał się nieodgadniony. Zachwyciła ją jego siła, uśmiechnęła się.

– Nie wierzysz mi? Nie chcesz zapisać tego w swoich archiwach? Uwierzyłam w możliwość mutacji tkanek ludzkich, kiedy w laboratorium Letniego zobaczyłam embriona podłączonego do niezliczonej liczby przewodów i urządzeń. Nigdy nie dowiedziałeś się, dlaczego zabiłam Lemlego, prawda? Wiedziałeś, że to zrobiłam, ale nie znałeś powodu. Otóż Lemle kierował projektem w Instytucie. Hodował embriony, używał ich komórek do przeszczepów. Tego samego dokonuje się i w innych miejscach. Pomyśl o możliwościach, które dałoby użycie komórek Lashera do takich eksperymentów, wykorzystania organicznych cząstek zdolnych przetrwać i przenosić swoją świadomość przez miliardy lat.

– Chce, żebyś zadzwoniła do Michaela i poprosiła go, aby wrócił do domu.

– Michael nie jest w stanie powstrzymać Lashera. Tylko ja mogę to zrobić. Pozwól mu zostać tam, gdzie jest, poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Czy chcesz, żeby on także zginął?

– Posłuchaj. Możesz zamknąć swój umysł przed tą istotą, osłonić myśli prostym aktem woli. Istnieją techniki, tak stare jak najstarsze religie na świecie, stworzone, by chronić się przed demonami. On czyta w twoim umyśle tylko to, co kierujesz do niego. Czysta telepatia. Spróbuj, a przekonasz się.

– Dlaczego miałabym to robić?

– Aby dać sobie czas, zapewnić bezpieczne miejsce do dokonania moralnego wyboru.

– Nie rozumiesz, jaki on jest silny. Nigdy nie rozumiałeś. I nie wiesz, jak dobrze mnie zna. Jego wiedza o Rowan jest problemem kluczowym. – Potrząsnęła głową. – Nie chcę tego samego co on. Naprawdę. Ale to porywające, nie pojmujesz?

– A co z Michałem? Co z twoimi marzeniami o centrum medycznym?

– Ellie miała rację – powiedziała. Oparła się o ścianę i spojrzała raz jeszcze na lekko rozmazane światła w barze. – Ona wiedziała. Płynęła w niej krew Cortlanda i mogła widzieć przyszłość, choć może były to tylko niewyraźne kształty i wrażenia. Nigdy nie powinnam była opuszczać Kalifornii. On użył Michaela, pewny, że podążę za ukochanym. Michael wyjechał do Nowego Orleanu i dlatego, jak pożądliva dziwka, wróciłam!

– To nieprawda, chcę, żebyś poszła na górę i została ze mną.

– Jesteś takim głupcem! On mógłby cię zabić i nikt nigdy nie dowiedziałby się o tym. Nikt. Nawet twoje bractwo, ani twój przyjaciel Michael Curry. A poza tym cóż mogliby działać? Skończyła się wasza rola, Aaronie. To ja mogę walczyć, zrobić kilka kroków w tym tańcu, wykorzystać przypadkową przewagę. Nikt inny. Michael miał sprawić, żebym wróciła i została tutaj. I zrobił to.

Zaczęła się podnosić, ale chwycił ją za nadgarstek. Spojrzała na jego dłonie. Ręce starego człowieka. Nic tak nie zdradza wieku. Czy ludzie im się przyglądają? Nieważne. Nic nie jest ważne w tym małym pomieszczeniu. Chciała uwolnić rękę z uścisku.

– Co z twoim dzieckiem, Rowan?

– Michael ci powiedział?

– Nie musiał. Został postawiony na twojej drodze, abyście się kochali, dlatego odepchniesz tę istotę teraz i na zawsze. Więc nie jest nieuchronne, byś staczała tę bitwę samotnie.

– Tego też nikt nie musiał ci mówić?

– Nie. Tak jak i tobie.

Uwolniła swoją rękę z jego dłoni.

– Odejdź, Aaronie. Odejdź daleko stąd. Ukryj się gdzieś w waszym domu w Amsterdamie czy w Londynie. W przeciwnym razie umrzesz. A jeżeli zadzwonisz do Michaela i powiesz mu, żeby wracał, przysięgam, zabiję cię

sama.

Absolutnie wszystko szło źle. Kiedy Michael przyjechał na ulicę Wolności, okazało się, że dach przecieka, a do sklepu na Castro było włamanie – z kasy ukradziono jakąś śmiesznie małą sumę. Również lokal przy Diamentowej został zdewastowany i doprowadzenie go do takiego stanu, by mógł być wystawiony na sprzedaż, zajęło cztery dni. Do tego tydzień trwało wysyłanie wszystkich antyków cioci Viv. Starannie pakował jej bibeloty tak, aby nic się nie stłukło. Obawiał się o te cenne rupiecie i nie bardzo ufał firmie transportowej, która miała je dostarczyć do Nowego Orleanu. Potem przez trzy dni musiał siedzieć ze swoim księgowym, by doprowadzić do porządku zaległe sprawy podatkowe. Był już czternasty grudnia, a ciągle jeszcze pozostało mnóstwo do zrobienia.

Jedyną pomyślną wiadomością było to, że dwie pierwsze paki dotarły do ciotki szczęśliwie. Telefonowała zachwycona, że ma już swoje ukochane drobiazgi wokół siebie. Czy wie, że razem z Lily wstąpiła do kółka pań, które szyciem zarabiają pieniądze na cele dobroczynne? Pracują tam, słuchają Bacha – czyż to nie eleganckie zajęcie? Teraz, skoro już niedługo dotrą jej meble, będzie mogła wreszcie zaprosić wszystkie te urocze panie Mayfair do siebie. Michael jest kochany. Po prostu kochany.

– Widziałam w niedzielę Rowan – ciągnęła ciotka – wybrała się na spacer w tę mroźną pogodę i wiesz, odniosłam wrażenie, że w końcu nabrała nieco ciała. Nie chciałam przedtem tego mówić, ale zawsze była taka blada i szczuplutka. To wspaniale widzieć ją z rumieńcami na policzkach.

Musiał się rozeźmiać, mimo że tęsknota za Rowan była nie do zniesienia. Nigdy nie planował tak długiego wyjazdu. Każdy telefon pogarszał sytuację, jej głos w słuchawce doprowadzał go prawie do szaleństwa.

Rozumiała, że niespodziewane wypadki nie pozwalają mu wracać, ale czuł zatroskanie i obawę kryjące się za jej pytaniami. Nie mógł spać po tych rozmowach, palił jednego papierosa za drugim, pił za dużo piwa i słuchał szumu nie kończącego się zimowego deszczu.

W San Francisco była najbardziej mokra pora roku i nie przestawało lać od jego przyjazdu. Niebo zakrywały ciemne chmury, nawet nad wzgórzami na ulicy Wolności, a kiedy Michael wychodził z domu, wiatr przenikał przez ubranie. Znow na stałe nosił rękawiczki, po prostu dlatego, że było mu zimno.

W końcu stary dom został prawie całkowicie opróżniony. Tylko na strychu stały dwie paczki, wypełnione drobnymi skarbami. Michael chciał je wziąć ze sobą do Nowego Orleanu.

Jak obco wyglądał teraz dom, pokoje były mniejsze niż pamiętał, a chodnik pod oknami taki zaśmiecony. Małe drzewko pieprzowe, które kiedyś zasadził, najwyraźniej dobiegało kresu swego żywota. To nieprawdopodobne, że mógł spędzić tu tyle lat, uważając, że jest szczęśliwy.

Nie wyobrażał sobie, że miałby kolejny tydzień oklejać taśmą i pokrywać nalepkami pudła, przeglądać przepisy podatkowe i wypełniać stosy formularzy. Oczywiście mógł do tego kogoś wynająć, ale niektóre z zajęć były tak drobne, że po prostu zdecydował uporać się ze wszystkim samodzielnie. A jeszcze to porządkowanie rzeczy, koszmar podejmowania tysięcy małych decyzji, co z nimi zrobić.

– Lepiej teraz niż później – powiedziała przez telefon Rowan, kiedy zadzwonił do niej po południu. – Ledwo mogę wytrzymać twoją nieobecność. Powiedz, czy ty przypadkiem nie wpadłeś na jakiś nowy pomysł? To znaczy, czy nie masz ochoty na generalną zmianę? Może są chwile, że chcesz po prostu odzyskać wszystko, co tam zostawiłeś, tak jakby Nowy Orlean nigdy się nie

zdarzył?

– Czyś ty oszalała? Nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wrócić do ciebie. Wyjadę stąd jeszcze przed świętami, bez względu na to, co się tu będzie działo.

– Kocham cię, Michael – wyznała, jak zwykle w sposób naturalny i spontaniczny. Umierał z chęci wzięcia Rowan w ramiona. Ale... czyżby brzmiała w jej głosie jakaś ciemniejsza nuta, coś, czego wcześniej nie słyszał?

– Michael, spal wszystko, co jeszcze zostało. Na litość boską, po prostu zrób sobie przed domem ognisko. Spiesz się!

Obiecał, że skończy do wieczora, nawet gdyby miał paść.

– Nic się nie wydarzyło, prawda? To znaczy, nie jesteś przerażona, Rowan?

– Nie. Nie jestem. To ten sam piękny dom, który zostawiłeś. Ryan przysłał choinkę. Szkoda, że jej nie widzisz – sięga do sufitu. Stoi teraz w salonie i czeka, aż ją razem ubierzemy. Czuję zapach jodłowych igieł.

– Wspaniale. Mam niespodziankę dla ciebie i... dla choinki.

– Wszystko czego chcę, to ciebie, Michael. Wracaj do domu.

Była czwarta. W pustych pokojach, teraz już całkowicie opróżnionych, rozlegał się pogłos. Michael stał w oknie swojej dawnej sypialni i spoglądał ponad lśniącymi dachami na rozpostartą na zboczu dzielnicę Castro i dalej w dół, na stalowoszare drapacze chmur w śródmieściu.

Wspaniałe miasto. Tak, jak mógłby nie być wdzięczny za te wszystkie cudowne chwile, które mu dało? Miasto, które być może nie ma sobie podobnych, ale nie jest już jego i w pewnym sensie nigdy nie było.

Powrót do domu.

Znowu o tym zapomniał – pudełka na górze, niespodzianka, rzeczy najbardziej dla niego istotne.

Wziął folię do pakowania, pusty karton, wszedł na drabinę, dostał się na strych. Zapalił światło. Od kiedy dach został załatany, wszędzie było sucho i czysto. Zza okna w szczycie domu prześwitywało szare niebo. W kącie stały

paczki z czerwonym napisem „Boże Narodzenie”. W jednej z nich zostawił lampki choinkowe dla facetów, którzy wynajęli dom, i oczywiście mogli ich używać. Ale pozostałe ozdoby chciał teraz ostrożnie przepakować. Nie zniósłby, gdyby stłukła się chociaż jedna. I pomyśleć, że choinka już czekała.

Przyciągnął pudła pod żarówkę wiszącą u sufitu, otworzył pakunki i zaczął wyłuskiwać z bibulek ich zawartość. Przez lata zbierał te małe porcelanowe cacka, skupując je w różnych sklepach całego miasta. Potem sam sprzedawał podobne w „Wielkich Nadziejach”. Były tam aniołki, święci Mikołajowie, malutkie domki, karuzele i inne delikatne drobiazgi z pięknie malowanej porcelany. Autentyczne wiktoriańskie ozdoby nie mogły być staranniej zaprojektowane ani delikatniejsze. Te wszystkie malutkie ptaszki zrobione z prawdziwych piór, drewniane kulki zręcznie malowane w cudowne róże, chińskie cukierki z trzciny i srebrne gwiazdki.

Wróciły wspomnienia świąt Bożego Narodzenia, które spędził z Judith i Elizabeth, a nawet te znacznie wcześniejsze, kiedy mama jeszcze żyła. Ale najlepiej pamiętał kilka ostatnich lat i święta spędzane samotnie. Zmuszał się wtedy, żeby przebrnąć jakoś przez wszystkie okolicznościowe uroczystości. Kiedy ciotka Viv szła spać, siedział długo przy choince, z kieliszkiem wina w ręce, i zastanawiał się, jak potoczy się jego życie.

Tak, tegoroczne święta będą zupełnie, absolutnie inne. Te przepiękne ozdoby przestaną być tylko kolekcją, pierwszy raz choinka będzie tak duża, że pomieści je wszystkie. Nareszcie znajdą się tam, gdzie ich miejsce.

Zaczął przepakowywanie. Wolno wyjmował każde cacko z bibułki, owijał folią i wkładał do małych torebek plastikowych. Wyobraź sobie dom na Pierwszej w Wigilię, z choinką stojącą w salonie. Wyobraź sobie kolejne lata, kiedy będzie dziecko.

Naraz wydało mu się niemożliwe, że mogła wydarzyć się w jego życiu tak wspaniała i zachwycająca zmiana. Powinienem był przecież umrzeć tam w oceanie, pomyślał.

I nagle zobaczył oczyma wyobraźni nie morze, ale kościół w czasie Bożego Narodzenia, kiedy był dzieckiem. Żłóbek koło ołtarza i Lashera tam stojącego, patrzącego na niego, Lashera, który był wtedy po prostu ciemnowłosym, arystokratycznie bladym mężczyzną z ulicy Pierwszej.

Michaelem wstrząsnął dreszcz. *Co ja tu robię? Rowan jest tam sama. Niemożliwe, aby on się jej nie pokazał.*

Poczuł się przygnębiony. Poraziła go niespodziewana, całkowita pewność dotychczasowych przypuszczeń. Gwałtownie przyspieszył pakowanie. Kiedy wreszcie skończył, uporządkował wszystko, zrzucił śmieci w dół ze schodów, wziął pudła z ozdobami i zamknął strych po raz ostatni.

Gdy jechał na pocztę przy Osiemnastej, deszcz mżył przez cały czas. Zapomniał już, co to znaczy przedzierać się w gęstym ruchu ulicznym, posuwając się wolno wąskimi, ponurymi i bezdrzewnymi ulicami. Nawet Castro, którą zawsze uwielbiał, wydawała mu się smętna w późnopołudniowym tłoku.

Czekał w kolejce, by nadać paczkę, i stwierdził, że odwykł od pełnej obojętności rutyny urzędników – z taką oschłością nie spotykał się na Południu. Potem wyszedł szybko na lodowaty wiatr. Zamierzał jeszcze wpaść do swego sklepu firmowego.

Nie okłamywałyby go. Nie zrobiłaby tego. Znów ta istota zaczyna stare gierki. Dlaczego złożył wizytę w kościele podczas owych pamiętnych świąt? Dlaczego twarz Lashera mignęła mu wtedy koło żłóbka? Do diabła, może to nic nie znaczy.

Poza tym ujrzał go jeszcze w ten niezapomniany wieczór, kiedy po raz pierwszy usłyszał muzykę Isaaca Sterna. Setki razy widywał tajemniczego mężczyznę, gdy spacerował Pierwszą.

Nie mógł znieść swojej paniki. Kiedy dotarł do sklepu i zamknął za sobą drzwi, natychmiast złapał za telefon i wykręcił numer Rowan. Bez rezultatu. W Nowym Orleanie było popołudnie i równie jak tu chłodno. Może postanowiła

się zdrzemnąć. Kilkanaście razy próbował dodzwonić się, zanim zrezygnował.

Rozejrzał się wokół. Tyle pracy pozostawało jeszcze do wykonania. Trzeba zadecydować, co zrobić z całym zbiorem mosiężnych urządzeń do łazienek i piętrzącymi się pod ścianą oknami z przyćmionymi szybami. Czemu, do cholery, nie zabrali tego ci złodzieje?

W końcu postanowił, że spakuje wszystko jak leci: dokumenty z biurka, jakieś szpargały i całą resztę. Nie miał czasu na dokonywanie nawet pobieżnej selekcji. Podwinął rękawy i zabrał się za zgarnianie folderów do pudeł. Zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jak szybko będzie pracował, uda mu się wyjechać najwcześniej w przyszłym tygodniu.

Skończył o ósmej i wyszedł na ulicę, wciąż moką od deszczu. Wszędzie było tłoczno – rzecz nieunikniona w piątkowy wieczór. Oświetlone witryny sklepów wyglądały pogodnie i stwierdził, że właściwie nawet lubi tę hałaśliwą muzykę dochodzącą z gejowskich barów. Tak, będzie mu brakowało wielkomiejskiego zgiełku, do którego się przyzwyczał. Będzie mu brakowało wspólnoty gejów z ulicy Castro i tej tolerancji, jakiej ich obecność dowiodła.

Niewiele o tym jednak myślał, bo czuł się zbyt zmęczony. Szedł z pochyloną głową, opierając się wiatrowi. Z trudem pokonywał stromizną uliczki prowadzącej do miejsca, gdzie zostawił samochód. Kiedy tam dotarł, przez moment nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył: ktoś ukradł oba przednie koła i rozwalił bagażnik, zapewne by wydobyć ten cholerny lewarek, który tkwił teraz pod przednim zderzakiem.

– Pieprzone skurwiele – wyszeptał, schodząc z przejścia dla pieszych na chodnik. – Nie mogło być gorzej.

Zaplanowane.

Ktoś musnął jego ramię. – *Eh, bien, monsieur*, następne drobne nieszczęście.

– Mnie pan to mówi – wymamrotał półgłosem, nie patrząc nawet na mówiącego, ledwie zauważając jego francuski akcent.

– Pech, *monsieur*, ma pan rację. Być może ktoś to zaplanował.

– Tak, właśnie przed chwilą pomyślałem o tym samym – powiedział i drgnął lekko.

– Proszę wracać do domu, *monsieur*. To tam jest pan potrzebny.

– Hej!

Odwrócił się, ale postać już się oddalała, znikwała w tłumie. Wszystko, co Michael zdołał zauważyć to tył głowy, siwe włosy i ciemne palto.

Pobiegł za mężczyzną.

– Hej! – krzyknął znowu. Ale kiedy dotarł do rogu Osiemnastej i Castro, nigdzie nie zobaczył już faceta.

Strumień przechodniów przelewał się przez skrzyżowanie. Deszcz znowu zaczął padać. Autobus ruszał właśnie z przystanku, wyrzucając z siebie kłęb spalin.

Michael w desperacji odwrócił się, chcąc już wracać. Powiódł wzrokiem po autobusie i wtedy, całkiem przypadkowo, wyłowił kątem oka znajomą twarz wpatrującą się w niego spoza tylnej szyby. Czarne oczy, siwe włosy.

...Używając najprostszycch i najstarszycch narzędzi, którymi potrafisz się posłużyć, możesz przejść przez to zwycięsko, nawet jeśli wydaje ci się, że twoje szanse są zatrważająco małe...

Julien!

...Nie wierz swoim zmysłom, ale temu, co uważasz za prawdę i o czym wiesz, że jest słuszne. Zaufaj swojej sile, zwykłej ludzkiej sile, która jest w tobie...

„Tak, zaufam. Rozumiem”.

Poczuł gwałtowne szarpnięcie. Stracił równowagę. Jakieś ramię chwyciło go za bark i został energicznie odciągnięty do tyłu. Zanim zrozumiał, co się stało, jaskrawoczerwony błotnik samochodu uderzył w krawężnik i z ogłuszającym trzaskiem rąbnął w sygnalizator światła. Ktoś krzyczał.

Przednia szyba auta eksplodowała, srebrne kryształki rozleciały się na wszystkie strony.

– Cholera! – Nie mógł odzyskać równowagi. Zwalił się na wysokiego faceta

– swojego wybawcę. Ludzie biegli w kierunku samochodu, w którym poruszał się jakiś człowiek.

– W porządku?

– Jasne. Tam jest ktoś uwięziony.

Nagle oślepiły go błyskające światła radiowozu. Parę osób naraz krzyczało do policjantów, żeby wezwali karetkę.

– Chłopie, prawie cię dopadł – powiedział mężczyzna, który go odciągnął, wysoki, barczysty Murzyn w skórzanym płaszczu. Potrząsał posiwiałą głową. – Nie widziałeś tego wozu jadącego prosto na ciebie?

– Nie. Uratowałeś mi życie, wiesz?

– Do diabła, tylko cię odsunąłem. To nic takiego. Działąłem instynktownie.

– Machnął lekceważąco ręką. Rzucił okiem na samochód, z którego dwóch mężczyzn usiłowało wyciągnąć uwięzioną, krzyzącą kobietę. Zbiegowisko rosło, policjantka próbowała nakłonić gapiów do odejścia.

Autobus blokował teraz skrzyżowanie; nadjechał następny wóz policyjny. Wokół na chodniku leżały rozrzucone gazety z rozbitej skrzynki, a rozsypane odłamki szkła lśniły w deszczu jak diamenty.

– Nie wiem, jak ci dziękować! – krzyknął Michael, ale Murzyn był już daleko i szedł w górę Castro. Spojrzał raz jeszcze na niego i zamachał ręką.

Tłum gapiów wokół miejsca wypadku został stopniowo rozproszony przez strumień przechodniów. Michael stał oparty o ścianę domu; drżał, czuł ucisk w piersiach, nie ból, ale właśnie skurcz. Serce mu łomotało, a palce lewej ręki drętwiały.

Chryste, co się właściwie zdarzyło? Nie mógł tu zostać w takim stanie, musiał wracać do hotelu.

Ruszył ciężko w głąb ulicy. Kiedy mijał policjantkę, ta zapytała nagle, czy widział, jak samochód uderzał w sygnalizator. Nie, musi przyznać, że nie widział. Taksówka. Złapać taksówkę.

Kierowca mógł go stąd wywieźć, zawracając na Osiemnastej, a potem

skręcając na Castro.

– Chcę się dostać do świętego Franciszka, na Plac Unii – powiedział Michael wsiadając.

– Dobrze się pan czuje?

– Jako tako.

To Julien rozmawiał z nim, nie było co do tego wątpliwości! To jego widział spoglądającego przez okno autobusu. Ale co z tym cholernym samochodem?

* * *

Ryan nie mógł być już bardziej uprzejmy. – Oczywiście – powiedział – szkoda, że nie dałeś znać wcześniej, zajęlibyśmy się tym. Po to jesteśmy, Michael. Przyślę tam kogoś jutro rano, zrobi inwentaryzację i spakuje wszystko. Znajdę też dobrego pośrednika handlu nieruchomościami i będzie można ustalić cenę wywoławczą, kiedy przyjedziesz do Nowego Orleanu.

– Wybacz, że zawracam ci głowę, ale nie mogę złapać telefonicznie Rowan i czuję, że muszę wracać.

– Jesteśmy tu, by czuwać za tobą nad różnymi sprawami, i ważnymi, i mniej istotnymi. Czy masz już zarezerwowany samolot? Pozwolisz, że się tym zajmę? Zostań tam, gdzie jesteś, i czekaj na mój telefon.

Potem Michael leżał na łóżku, palił ostatniego camela i wpatrywał się w sufit. Drętwienie palców lewej ręki ustąpiło i czuł się całkiem dobrze. Nie miał też mdłości ani innych niepokojących objawów. Zresztą nie zastanawiał się nad swoim samopoczuciem. Nie było to teraz ważne.

Istotne znaczenie miała twarz Juliana za szybą autobusu. Ten fragment wizji wcisnął się w umysł Michaela z niezwykłą siłą.

Czy wszystko zostało po prostu zaplanowane tak, by zjawił się w tym niebezpiecznym miejscu? By został oślepiiony i unieruchomiony na drodze rozpędzonego samochodu? W taki sam sposób, w jaki znalazł się przed łodzią

Rowan.

Jakże porywająca była ta część jego wspomnień. Zamknął oczy i zobaczył znowu ich twarze. Debora i Julien. Słyszał ich głosy.

...Masz siłę, zwykłą ludzką siłę...

Tak. Mam ją. Wierzę w ciebie! To wojna między tobą a nim. W decydującym momencie, gdy jego przebiegłość osiągnie szczyt, zjawisz się raz jeszcze i staniesz przy mnie. To będzie chwila ostatecznej klęski tej potwornej istoty. Muszę w to wierzyć, bo inaczej zwariuję. *Wracaj do domu, monsieur. To tam jesteś potrzebny.*

Kiedy zadzwonił telefon, drzemał, leżąc z zamkniętymi oczami.

– Michael? – odezwał się głos Ryana.

– Tak.

– Załatwiłem ci powrót prywatnym samolotem. To dużo prostsze. Maszyna należy do sieci hoteli Markhama Harrisa; właściciele są zachwyceni, że mogą ci pomóc. Mam też kogoś, kto podrzuci cię na lotnisko. Jeżeli potrzebujesz pomocy przy bagażach...

– Nie, dziękuję. Po prostu powiedz, kiedy mam być gotowy. – Co to za zapach? Czy zostawił gdzieś tlącego się papierosa?

– Za godzinę, pasuje? Zadzwonią do ciebie z hallu. I Michael – nigdy nie krępuj się, kiedy będziesz musiał poprosić nas o przysługę. To może być cokolwiek, pamiętaj.

– Dzięki, Ryan. Naprawdę to doceniam. – Wpatrywał się w dziurę wypaloną w pościeli papierosem, który wypadł mu z ręki, kiedy zasnął. Boże! Pierwszy raz w życiu przytrafiło mu się coś takiego. Cały pokój był pełen dymu. – Dzięki, Ryan. Jestem ci wdzięczny za wszystko.

Odłożył słuchawkę, pobiegł do łazienki, napełnił wodą wiaderko do lodu i chlusnął na tlącą się pościel. Potem ściągnął nadpaloną kapę, prześcieradło i polał następną porcją wody ciemną, śmierdzącą dziurę w materacu. Serce znowu biło mu szybko. Podeszedł do okna i zaczął się z nim mocować, ale nie dał rady

go otworzyć. Usiadł ciężko na fotelu i patrzył na stopniowo wywiewany z pokoju dym.

Spakował się, a potem znów usiłował dodzwonić się do Rowan. Ciągłe nikt nie odpowiadał. Odczekał kilkanaście sygnałów, bez rezultatu. Miał właśnie zrezygnować, gdy w słuchawce rozległ się słaby głos.

– Michael? Spałam, przepraszam.

– Posłuchaj, kochanie! Jestem Irlandczykiem i bardzo przesądnym facetem.

– O czym ty mówisz?

– Przydarzył mi się cały ciąg pechowych wypadków, bardzo pechowych. Użyj dla mnie mocy czarownic z rodu Mayfairów, otocz białym światłem. Możesz? Czy słyszałaś kiedyś o tym?

– Nie. Michael, co się stało?

– Jestem w drodze do domu, Rowan. Teraz po prostu wyobraź sobie, kochanie, krąg białego światła wokół mnie, dla ochrony przed wszystkim, co złe na tym świecie. Chroń mnie, póki nie wrócę do ciebie. Rozumiesz? Ryan załatwił mi samolot. Wyjeżdżam za godzinę.

– Michael, co się dzieje?

Płakała?

– Zrób to, Rowan. Zaufaj mi w tej sprawie. Chroń mnie białym kręgiem.

– Białe światło – wyszeptała – wszędzie wokół ciebie.

– Tak. Dobrze. Kocham cię, maleńka. Wracam do domu.

To naprawdę sroga zima – powiedziała Beatrice. – Mówi się nawet, że może spaść śnieg. – Wstała i odstawiła swój kieliszek. – Długo nie dawałaś znaku życia, kochanie. Tak się martwiłam. Teraz widzę, że wszystko w porządku. Ten ogromny dom jest wspaniały – ciepły i czarujący. No, na mnie już czas.

– Nic się nie stało, Bea – odezwała się Rowan. Powtórzyła to, co dokładnie przed chwilą wyjaśniała: wpadła w małą depresję z powodu długiej nieobecności Michaela.

– O której się go spodziewasz?

– Ryan powiedział, że dotrze przed świtem. Powinien wylecieć godzinę temu, ale na lotnisku panuje mgła.

– Zima. Nienawidzę jej.

Rowan nie próbowała tłumaczyć, że port lotniczy w San Francisco często jest zamglony także latem. Patrzyła tylko, jak Beatrice zakłada kaszmirową pelerynę i wdzięcznie naciąga kaptur na piękne włosy.

Odprowadziła ją do drzwi.

– Nie zamykaj się tak w sobie, to nas martwi. Jeśli będziesz w dołku, skontaktuj się ze mną, dodam ci otuchy.

– Jesteś wspaniała.

– Po prostu nie chcemy, żebyś się bała. Dlaczego też nie przyszedł wcześniej?

– Nie boję się. Uwielbiam to miejsce. Nie martw się, zadzwonię do ciebie

jutro. Jak Michael przyjedzie, wszystko wróci do normy. Ubierzemy razem choinkę. Musisz koniecznie przyjść zobaczyć.

Patrzyła jak Beatrice schodzi na dół po marmurowych stopniach i przez bramę opuszcza rezydencję. Zimne powietrze gwałtownie wtargnęło do holu, zatrzasnęła więc szybko frontowe drzwi.

Stała cicho przez dłuższy czas, z pochyloną głową, pozwalając otoczyć się ciepłu. Potem wróciła do salonu i spojrzała na ogromne, zielone drzewko. Choinka sięgała do sufitu, zasłaniała całe okno na werandę. Równie gęstej i kształtnej Rowan nigdy dotąd nie widziała. Parę igieł leżało na wypolerowanej podłodze. Dzikie i pierwotne drzewo wyglądało jak kawałek lasu we wnętrzu domu.

Rowan podeszła do kominka, uklękła i dorzuciła małą szczapę do ognia.

– Dlaczego próbowałeś skrzywdzić Michaela? – wyszeptała, wpatrując się w płomienie.

– Nie próbowałem.

– Kłamiesz. Usiłowałeś także zranić Aarona.

– Robię to, co mi każesz, Rowan. – Głos był miękki i głęboki jak zawsze. – Uwielbiam sprawiać ci przyjemność.

Przysiadła na piętach i splotła ramiona. Oczy zaszły jej mgłą, tak że płomienie rozmywały się w wielką, migocącą plamę.

– On nie może niczego podejrzewać, słyszysz? – wyszeptała.

– Zawsze cię słyszę, Rowan.

– Musi wierzyć, że wszystko jest, jak było.

– To też moje pragnienie. Zgadzam się z tobą. Boję się jego wrogości, ponieważ ona uczyni cię nieszczęśliwą. Zrobię to, co będziesz chciała.

Ale to nie mogło przecież trwać w nieskończoność. Nagle zdjął ją tak wszechogarniający strach, że nie była w stanie się ruszyć ani powiedzieć słowa. Nie potrafiła ukryć swoich uczuć, schować się w bezpiecznym wnętrzu własnego umysłu, jak radził jej Aaron, i siedziała drżąca, wpatrując się w

płomienie.

– Jak to się skończy, Lasher? Nie wiem, jak dokonać tego, czego chcesz ode mnie.

– Wiesz, Rowan.

– Potrzebne byłyby mi lata studiów. Nie mogę zacząć, dopóki nie zrozumie cię głębiej.

– Ale ty doskonale znasz moją naturę. I chcesz mnie oszukać. Kochasz mnie, ale tak naprawdę nie kochasz. Gdybyś wiedziała jak, dałabyś mi ciało, żeby mnie zabić.

– Naprawdę?

– Tak. Cierpię śmiertelne katusze, czując twój strach i nienawiść, a jednocześnie wiedząc, jakie szczęście czeka na nas oboje. Pamiętaj, że widzę daleko.

– Czy miałbyś ciało mężczyzny już żyjącego? Powaliłbyś go ciosem, żeby zacząć swoją przemianę od wchłonięcia jego mózgu? To jest morderstwo, Lasher.

Nie odpowiadał.

– Czy tego chcesz? Żebym zabiła człowieka? Oboje wiemy, że przejścia można dokonać tylko w ten sposób.

Nie odzywał się.

– Nie popełnię dla ciebie zbrodni. Nie zgładzę żadnej żyjącej istoty, żebyś ty mógł żyć.

Zamknęła oczy. Mogła teraz go słyszeć: skrzypienie podłogi, szelest dotykanych przez niego zasłon, które falowały jakby wypełniając pokój wokół niej, muskając jej policzki i włosy.

– Nie. Zostaw mnie w spokoju – westchnęła. – Chcę czekać na Michaela.

– On ci już teraz nie wystarczy, Rowan. Twój płacz sprawia mi ból, ale taka jest prawda.

– Nienawidzę cię – szepnęła. Przetarła oczy wierzchem dłoni. Przez mgłę łez

patrzyła na ogromną, zieloną choinkę.

– Nie mówisz tego, co czujesz, Rowan – powiedział. Szczupłe palce głaskały jej włosy, odgarniając je z czoła, gładziły szyję.

– Zostaw mnie teraz samą, Lasher – błagała. – Jeśli mnie kochasz, odejść natychmiast.

* * *

Lejda.

Wiedziała, że to znowu sen, i chciała się obudzić. Słyszała płacz. Kwilące dziecko potrzebowało jej. Nie chcę tego śnić. Wszyscy tłoczyli się przy oknach przerażeni tym, co się zdarzyło Janowi van Ablowi – tłum rozerwał go na strzępy.

– Zdradzono sekret – powiedział Lemle. – To niemożliwe, by ignoranci zrozumieli znaczenie eksperymentu. Co zrobić, jeśli utrzymanie tajemnicy jest po prostu wzięciem na siebie odpowiedzialności?

– Inaczej mówiąc, ochranianiem ich – odezwał się Larkin. Wskazał na ciało na stole. Jak cierpliwie leży ten człowiek, z otwartymi oczami i drobnymi, jakby załączkowymi organami. Takie małe ręce i nogi.

Nie mogę myśleć, kiedy dziecko płacze.

– Musisz spojrzeć na to z szerszej perspektywy.

– Gdzie jest Petyr? Pewnie szaleje po tym, co się zdarzyło Janowi van Ablowi.

– Talamasca troszczy się o niego. Czekamy na ciebie, żeby zacząć.

To niemożliwe. Wpatrywała się w małego człowieka o skróconych rękach i nogach, w jego drobne organy. Tylko głowa była normalna, naturalnej wielkości.

– Jedna czwarta typowego rozmiaru ciała, żeby być dokładnym.

Tak, znana proporcja – pomyślała. Gdy patrzyła na nie rozwinięte do końca

narządy leżącego człowieka, ogarniało ją przerażenie. A oni wybijali już okna. Tłum wlał się na korytarze uniwersytetu w Lejdzie. Petyr biegł w jej kierunku.

– Nie, Rowan. Nie rób tego.

Obudziła się z drżeniem. Kroki na schodach. Wyskoczyła z łóżka.

– Michael?

– Jestem, kochanie.

Po prostu duży cień w ciemności, pachnący zimowym chłodem, a potem dotyk ciepłych, szorstkich i czułych rąk na jej ciele. Jego twarz przyciśnięta do niej.

– O Boże, Michael, chcę, żeby tak było zawsze. Dlaczego wyjechałeś?

– Rowan, kochanie...

– Dlaczego? – szlochała. – Nie pozwól mi odejść, Michael. Proszę, nie pozwól mi!

Kołysał ją w ramionach.

– Nie powinieneś być wyjeżdżać. Nie powinieneś. – Płakała i wiedziała, że on nie może zrozumieć jej słów, i że w ogóle niepotrzebnie to mówi. Na koniec po prostu okryła go pocałunkami, rozkoszując się słonym smakiem i szorstkością jego skóry, niezgrabną delikatnością rąk.

– Powiedz, o co chodzi, tak naprawdę?

– O to, że cię Kocham. Że kiedy nie ma cię tutaj, jest tak... jakbyś nie był realny.

* * *

Gdy wyslizgiwał się z łóżka, była na wpół przebudzona. Nie chciała, żeby sen wrócił. Wcześniej leżała przytulona do jego piersi, trzymając mocno za ramię, teraz obserwowała go ukradkiem. Założył dzinsy i wciągał przez głowę koszulkę do rugby, wąską, z długimi rękawami.

– Zostań tu – wyszeptała.

– Ktoś dzwoni do drzwi – powiedział. – Moja mała niespodzianka. Nie wstawaj. To naprawdę drobiazg. Coś, co przywiozłem ze sobą z San Francisco. Śpij dalej.

Nachylił się, żeby ją pocałować. Pociągnęła go za włosy. Nagłym gestem przyciągnęła blisko do siebie, aż mogła poczuć ciepło jego czoła. Pocałowała gładką skórę i wyczuła pod spodem twardą jak kamień kość. Nie wiedziała, dlaczego sprawia jej to taką przyjemność – jego skóra wilgotna i ciepła, taka realna. Mocno przywarła wargami do ust Michaela.

Jeszcze zanim odszedł, sen powrócił.

Nie chcę widzieć tego manekina na stole. – Co to jest? To nie może być żywe.

Lemle był w chirurgicznym stroju, w masce i rękawiczkach. Spoglądał na nią spod krzaczastych brwi. – Nawet się nie przygotowałaś do zabiegu. Wyszoruj ręce, potrzebuję cię. Światła lampy bezcieniowej przypominały dwoje bezlitosnych oczu skierowanych na stół.

Ta rzecz z załączkami wewnętrznych organów.

Lemle trzymał coś w szczypcach. Małe ciało, drzemiące w inkubatorze obok stołu, było płodem z otwartą klatką piersiową. Czyż to nie serce tkwiło w szczypcach? Ty potworze, mógłbyś to zrobić? – Musimy pracować szybko, wykorzystać szczytową formę tkanki...

– To bardzo trudne dla nas, ale trzeba przez to przejść – powiedziała kobieta.

– Kim jesteście? – zapytała Rowan.

Rembrandt siedział przy stole, stary, bardzo zmęczony, z zakrzywionym nosem i pozlepianymi w kosmyki włosami. Sennie podniósł na nią oczy, gdy zapytała, co myśli. Wziął jej dłoń w swoją rękę i położył jej na piersi. – Znam ten portret młodej oblubienicy – powiedziała.

Obudziła się. Zegar wybił dwa razy. Drzemiąc czekała na kolejne uderzenia. Gdyby usłyszała ich dziesięć, znaczyłoby to, że długo spała. Ale dwa? Było bardzo późno.

Z oddali dobiegały odgłosy muzyki. Ktoś grał na klawikordzie, miękki głos śpiewał powolną, mroczną kolędę, starą celtycką pieśń o dzieciątku położonym w żłobie. Zapach choinki i płonącego na kominku drewna. Zachwycające ciepło domu.

Leżała na boku i patrzyła na fantastyczne desenie, które mróz malował na szybach. Z wolna wzór zaczął przybierać kształt mężczyzny z założonymi ramionami, stojącego tyłem do okna.

Zmrużyła oczy i obserwowała ten proces – w centrum powstawała złożona z bilionów maleńkich komórek ciemniejsza, brązowiejąca twarz z błyszczącymi, zielonymi oczami. Wyłaniała się doskonała kopia dzinsów i koszuli. Obraz tak szczegółowy jak fotografie Richarda Avedona, na których każdy włos jest wyraźny. Mężczyzna opuścił ręce i podszedł do niej. Widziała detale stroju. Kiedy pochylił się nad nią, zobaczyła pory skóry.

A więc jest zazdrosny. Dotknęła jego policzka i szyi, w taki sposób, w jaki dotykała Michaela. Wyczuła pulsowanie, jakby to ciało istniało naprawdę.

– Okłamuj go – powiedział niskim głosem, ledwie poruszając ustami. – Jeśli go kochasz, okłamuj.

Czuła oddech na swojej twarzy. Uświadomiła sobie wtedy, że postać Lashera jest przezroczysta, widziała okno, które jest za nim.

– Nie, nie odchodź – powiedziała. – Nie bój się zostać.

Cały obraz drżał jak papierowa wycinanka. Poczowała podmuch żaru. A więc był w panice.

Wyciągnęła rękę, by złapać go za nadgarstek, ale jej dłoń schwytała pustkę. Gorący strumień powietrza przesunął się nad łóżkiem, zasłony łopotały przez chwilę, szron na szybach zrózowiał i przeszedł w biel.

– Pocałuj mnie – wyszeptała, zamykając oczy. Coś jak kosmyk włosów musnęło jej twarz. – Nie, to nie wystarczy. Pocałuj mnie! – Powietrze przed nią powoli zgęstniało i dotknięcie stało się bardziej wyraziste. Był zmęczony materializowaniem się. Zmęczony i lekko przestraszony. Obce komórki niemal

zwały się z jego własnymi. Musi gdzieś istnieć materia rozrzedzona tak bardzo, że jej drobiny mogą podobnie jak on przenikać ściany. – Pocałuj mnie, zażądała raz jeszcze. Wyczuwała jego zmaganie się. I wtedy właśnie dotknął ją niewidzialnymi wargami, wsuwając język głęboko w jej usta.

Oklamuj go.

Tak, przecież obu was kocham, prawda?

Nie słyszał, jak schodziła na dół. Wszystkie zasłony były zaciągnięte, w korytarzu panowała ciemność, cisza i ciepło. Ogień płonął w kominku. Choinka była obsypana niezliczonymi małymi światełkami. Rowan stała w drzwiach, patrząc na Michaela. Siedział na szczycie drabiny, robił ostatnie poprawki i gwizdząc cicho, wtórował płycie z nagraniem starej irlandzkiej kolędy.

Pod wpływem tej mrocznej melodii pomyślała o gęstej, pierwotnej puszczy przykrytej śniegiem. Znała tę kolędę. Powróciło jakieś niewyraźne wspomnienie chwili, gdy słuchały jej z Ellie, wzruszone do łez.

Patrzyła na ogromne drzewo, wsparta o framugę. Usiane było światłami jak rozgwieżdżone niebo. Wdychała intensywny leśny zapach, który wypełniał pokój.

– Jesteś tu, moja Śpiąca Królowno – odezwał się i przesłał jej jeden z tych absolutnie czarujących, nieśmiałych uśmiechów, które sprawiały, że miała ochotę natychmiast rzucić mu się w ramiona. Ale nie poruszyła się. Patrzyła, jak szybko schodzi z drabiny i zbliża się do niej.

– Czujesz się lepiej, księżniczko? – zapytał.

– Jakie to piękne! A ta pieśń jest taka smutna.

Patrząc na choinkę, objęła Michaela ramionami i położyła głowę na jego ramieniu. – Dobra robota.

– A teraz najprzyjemniejsza część programu – powiedział, muskając wargami jej policzek i ciągnąc ją w kierunku małego stolika pod oknem. Stało tam otwarte tekturowe pudełko. Zachęcił Rowan gestem, by do niego zajrzała.

– Czyż nie są cudowne? – zapytał. Rowan wyjęła małego, białego

porcelanowego aniołka ze wspaniałym rumieńcem na policzkach i z połączanymi skrzydłami. Był tam też przepiękny święty Mikołaj – maleńka chińska lalka ubrana w prawdziwy czerwony aksamit.

– Śliczne. Skąd je wzięłeś? – podniosła złote jabłko i wspaniałą pięcioramienną gwiazdkę.

– Mam je od lat. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedy zacząłem zbierać te cacka. Nie wiedziałem, że przydadzą się, by ubrać właśnie to drzewko, w tym domu. Wspaniale, że są. Wybierz pierwszą. Czekałem na ciebie. Chciałem, byśmy wieszali je razem.

– Aniołek – powiedziała. Wyjęła go za drucik i podsunęła do choinki, aby lepiej obejrzeć w łagodnym świetle. W rękach trzymał niemal mikroskopijną, połączaną harfę, nawet jego maleńka twarz była starannie pomalowana – miał czerwone usta i niebieskie oczy. Podniosła go tak wysoko, jak mogła, i zawiesiła cienki haczyk na drżącej gałęzi. Drucik był prawie niewidoczny w ciemności. Aniołek poruszył się. Zawisł, kołysząc się w powietrzu jak zastygający w locie koliber.

– Myślisz, że one to umieją? Tak zatrzymać się w locie? – zapytała szeptem.

– Być może – powiedział. – Znasz anioły. Pewnie popisują się, że mogą zrobić, co zechcą. – Stał z tyłu i całował włosy Rowan.

– Co ja bym tu robiła bez ciebie? – Kiedy jego ramiona otoczyły jej talię, położyła na nich dłonie. Kochała te silne ręce, mocne palce, które trzymały ją tak pewnie.

Przez moment bogactwo drzewka i cudowna gra błyszczących świateł w gęstych, cieniście zielonych gałęziach całkowicie wypełniały jej wyobraźnię. Smutna melodia kolędy rozbrzmiewała w uszach. Chwila zatrzymała się jak delikatny anioł. Nie było przeszłości ani przyszłości.

– Tak się cieszę, że wróciłeś – wyszeptała, przymykając oczy. – Nie mogłam już wytrzymać. Nic nie ma sensu bez ciebie. Nie chcę być znowu sama...

Głęboki, potworny dreszcz bólu wstrząsnął ciałem Rowan. Stłumiła go w

sobie i odwróciła się, by raz jeszcze położyć głowę na piersi Michaela.

Dwudziestego trzeciego grudnia wieczorem ścisnął silny mróz. Wszyscy Mayfairowie czekali na rodzinne spotkania i śpiewanie kolęd. Po oblodzonych ulicach ślizgały się samochody. Cudownie mieć taką pogodę na Gwiazdkę. Zapowiadano śnieg.

– Białe Boże Narodzenie, wyobrażasz sobie? – powiedział Michael.

Zakładał sweter i skórzaną marynarkę, wyglądając przez okno frontowej sypialni. – Śnieg może spaść nawet dziś w nocy.

– Byłoby wspaniale ze względu na przyjęcie – powiedziała. – I cudownie ze względu na samo Boże Narodzenie.

Zagłębiła się w fotelu przy gazowym kominku, ramiona otuliła kocem. Policzki miała zaróżowione. Jej kształty zaokrągliły się, stały się bardziej miękkie. Cóż za piękny widok – kobieta z dzieckiem w łonie, pogodna, promienna, chłonna ciepła ognia.

Nigdy nie wydawała się bardziej odprężona i czarująca.

– To jeszcze jeden podarunek dla nas, Michael – powiedziała.

– Tak, jeszcze jeden dar – odezwał się, patrząc przez okno. – Będzie śnieg, Rowan, tak jak w czasie mojej ostatniej Gwiazdki w tym mieście.

Wziął szalik z szuflady na ubrania i włożył go pod kołnierz płaszcza. Wyciągnął też wełniane rękawiczki.

– Nigdy tego nie zapomnę – powiedział. – Pierwszy raz wtedy widziałem śnieg. Spacerowałem po Pierwszej, a kiedy wróciłem do domu, dowiedziałem

się, że mój ojciec nie żyje.

– Jak to się stało? – patrzyła na niego współczująco, lekko mrużąc oczy. Twarz miała tak pogodną, że kiedy przychodziło nawet najmniejsze strapienie, kładło na niej cień.

– Pożar magazynów na Tchoupitoulas – powiedział. – Nigdy nie poznałem szczegółów. Wydaje się, że szef kazał mu ewakuować ludzi przez dach, więc poszedł to zrobić. Ktoś spadał na dół i ojciec zgiął się w pałąk, żeby go dosięgnąć, i wtedy właśnie podłoże zaczęło się wyginać. Mówią, że dach zwinął się jak fala oceanu, a potem zawalił. Cały budynek eksplodował. Zginęło tego dnia trzech strażaków, a ja, wyobraź sobie, spacerowałem po Dzielnicy Ogrodów i cieszyłem się śniegiem. Dlatego wyjechaliśmy do Kalifornii. Dalszej rodziny już nie mieliśmy – wszystkie ciotki i wujkowie leżą na cmentarzu świętego Józefa. Wszyscy pochowani przez firmę Lonigan i Synowie.

– To musiało być dla ciebie straszne.

Potrząsnął głową. – Straszna była radość z powodu wyjazdu do San Francisco i świadomość, że nigdy nie pojechalibyśmy tam, gdyby nie jego śmierć.

– Chodź tu teraz, usiądź i wypij czekoladę, stygnie. Bea i Cecylia przyjdą tu za chwilę.

– Niestety, nie mogę zostać. Mam zbyt wiele spraw do załatwienia. Muszę iść do sklepu, zobaczyć czy przywieziono pudełka, potwierdzić zamówienia na artykuły spożywcze – zapomniałem zadzwonić do dostawców.

– Nie ma potrzeby. Ryan się tym zajął. Mówi, że wzięłeś na siebie zbyt wiele obowiązków. Wezwał też hydraulika, żeby ocieplić rury.

– Lubię swoje zajęcie – powiedział. – Do diabła, te rury zamarzną tak czy tak. To będzie pewnie zima stulecia.

– Ryan chciałby, żebyś traktował go jako osobistego menedżera. Kazał przyjść dostawcom o szóstej. Więc jeśli ktoś zjawi się wcześniej...

– Świetnie, wrócę na czas. Zadzwonię do ciebie później. Chcesz, żebym coś

kupił?

– Hej, nie możesz wyjść z tego pokoju, dopóki mnie nie pocałujesz.

– Jasne. – Schylił się i zasypał ją pocałunkami, szorstko i pospiesznie. Śmiała się cicho i wtedy pocałował jej brzuch. – Do widzenia, mały Chrisie – wyszeptał – już prawie Boże Narodzenie, dziecinko.

W drzwiach zatrzymał się, żeby założyć rękawiczki, i przesłał żonie jeszcze jednego całusa.

Na krześle z wysokim oparciem, z podwiniętymi nogami, wyglądała jak na obrazie. Usta Rowan miały miękką, soczystą barwę. Kiedy się uśmiechnęła, zobaczył dołeczki w jej policzkach.

* * *

Gdy wyszedł na zewnątrz, jego oddech zamieniał się w parę. Od wielu lat nie czuł takiego zimna, takiej świeżości. Niebo było błyszczące i niebieskie. Bananowce w ogrodzie pewnie zmarzną. Trochę się tym martwił. Ale piękne kamelie i azalie broniły się dzielnie.

Patrzył przez chwilę na żałobny mirt. Znow miał w uszach to dudnienie karnawałowych bębnów.

Rozgrzewał przez chwilę silnik ciężarówki, zanim ruszył. Skierował się prosto na most. Jeśli pojedzie wzdłuż rzeki, droga do Dębowego Ustronia zabierze mu czterdzieści pięć minut.

Co to za pakt i obietnica?

Stała w sypialni na poddaszu, tak czystej i sterylnej z białymi ścianami i oknami wychodzącymi na szczyt dachu. Nie było już żadnych śladów po Julenie. Wszystkie stare książki przepadły.

– To nie jest teraz ważne – odpowiedział. – Przepowiednia jest na progu spełnienia i ty jesteś wrotami do niego.

– Chcę wiedzieć. Jaki był pakt?

– Jego słowa przekazywane są przez ludzi z pokolenia na pokolenie.

– Tak, ale chcę znać treść.

– To jest układ między mną a moją czarownicą – powinienem spełniać każde jej żądanie, a ona za to urodzi dziewczynkę, której przekaże swą siłę, moc rozkazywania i zdolność widzenia mnie. Powinienem dawać wszelkie bogactwa, obdarowywać łaską. Powinienem patrzeć w przyszłość, żeby mogła ją poznać. Powinienem pomścić wszystkie zniewagi i krzywdy. W zamian czarownica postara się urodzić dziewczynkę, którą mógłbym kochać i której bym służył. To dziecko będzie mnie kochało i widziało.

– I powinno być silniejsze niż matka, zmierzać w kierunku trzynastki.

– W pewnym momencie zobaczyłem trzynastkę.

– Nie na samym początku?

– Nie, dopiero kiedy przyszedł czas. Widziałem narastającą i samodoskonalącą się siłę. Widziałem ją karmiącą się mocą ludzi należących do

rodziny. Widziałem Julię tak silną, że zaćmiewał pod tym względem swoją siostrę, Katherine. Widziałem też Cortlanda i ścieżkę do przejścia. A teraz ty tu jesteś.

– Kiedy powiedziałaś swoim czarownicom o trzynastce?

– W czasach Angelique. Musisz zdać sobie sprawę, jak jasno odbierałem obraz przyszłości. Ale to nie wystarczało. Słowa były czymś nowym dla mnie. Myślenie w kategoriach czasu również. Dlatego proroctwo pozostawało w mroku, choć nie było ukryte rozmyślnie. Teraz jednak jest na granicy spełnienia.

– Obiecywałaś tylko swoją służbę przez stulecia?

– Czy to nie dość? Nie widzisz, co dzięki niej działo się? Jesteś w domu stworzonym przeze mnie i moją tu obecnością przez wieki. Marzysz o szpitalach, które zbudujesz dzięki bogactwu otrzymanemu od Lashera. Sama powiedziałaś Aaronowi, że stworzyłem czarownice Mayfair. To prawda. Spójrz na liczne gałęzie tej rodziny. Całą pomyślność zawdzięczają mi. Moja szczodrość karmiła i ubierała mężczyzn i kobiety o tym nazwisku. Nic o mnie nie wiedzieli. Wystarczy, że ty mnie znasz.

– Nie przyrzekałeś niczego więcej?

– Co więcej mogę dać? Kiedy stanę się człowiekiem, będę twoim sługą tak jak teraz. Będę twoim kochankiem i powiernikiem, pilnym uczniem. Nikt nie jest w stanie cię pokonać, kiedy masz mnie.

– Zbawienie. Co ma z tym wspólnego zbawienie? Starzy Mayfairowie mówią, że kiedy wrota zostaną otwarte, czarownice będą zbawione.

– I znów powtarzasz legendy, strzępy przepowiedni.

– Pamiętaj wszystko. Wyjaśnij, co to znaczy, że czarownice dostąpią łaski zbawienia.

Cisza.

– Trzyście wieków będzie współuczestniczyć w momencie mojego ostatecznego tryumfu. W nagrodę Lasher, ich oddany sługa, pomści prześladowanie Debory i Zuzanny. Kiedy przekroczę przejście, ich śmierć nie

będzie daremna.

– Tak brzmi pełne znaczenie słowa „zbawienie”?

– Tak, teraz masz całkowite wyjaśnienie.

– A jak to się stanie? Mówisz, że ponieważ ja wiem i ty będziesz wiedział, ale ja nie wiem.

– Pamiętasz swoją rozmowę z Aaronem? Żyję i, dzięki mutacji, moje komórki mogą się wiązać z komórkami innych organizmów.

– To jest klucz – tego powiązania się boisz. Lękasz się zamknięcia w formie, z której nie ma już ucieczki. Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy być cielesnym, prawda? Straciłbyś swoją nieśmiertelność. Nawet w czasie przeobrażania się możesz ulec zniszczeniu.

– Nic nie stracę. A kiedy powstanę w ludzkiej postaci, otworzę dla ciebie drogę do nowej formy. Zawsze to wiedziałaś. Pojęłaś tę prawdę już wtedy, kiedy usłyszałaś od krewnych starą legendę. Zrozumiałaś, dlaczego jest dwanaście krypt i jedne drzwi.

– Mówisz, że mogę być nieśmiertelna.

– Tak.

– Czy to właśnie widzisz?

– Widziałem to zawsze. Jesteś dla mnie doskonałym partnerem, czarownicą nad czarownicami. Masz moc Julienu i Mary Beth, piękno Debory i Zuzanny. Wszystkie dusze zmarłych są w twojej duszy. Wędrując przez tajemnicę komórek doszły do ciebie, nadając ci kształt i doskonaląc cię. Lśniesz takim blaskiem jak Charlotte, jesteś piękniejsza niż Marie Claudette czy Angelique, masz w sobie ogień gorętszy niż ten, który płonął w Marguerite czy w biednej, skazanej na zatracenie Stelli. Wyobraźnię przewyższasz moją cudowną Anthę i Deirdre. Jesteś jedyna.

– Czy dusze zmarłych są w tym domu?

– Dusze zmarłych opuściły ziemię.

– Więc co Michael widział w salonie?

– Wrażenia pozostawione przez tych, którzy odeszli. Rodzą się one dla niego z przedmiotów, których dotyka. Są jak rowki na płycie gramofonowej. Połóż igłę – rozlegnie się głos, a przecież śpiewaka tam nie ma.

– Dlaczego widział ich tyle, kiedy dotykał lalek?

– Powiedziałem – to wrażenia. Wyobraźnia Michaela ożywiła je, jakby były marionetkami. Tak naprawdę to on sprawił, że się poruszały.

– Więc dlaczego czarownice trzymają lalki?

– Żeby bawić się nimi w ten sam sposób. To tak jak wtedy, gdy zdjęcie swojej matki przybliżasz do ognia i wydaje ci się, że widzisz blask życia w jej oczach. Ludzie chcą wierzyć, że można dotrzeć do dusz zmarłych, że gdzieś poza ziemią istnieje królestwo wieczności. Mój wzrok sięga daleko, ale nie dostrzega go. Widzę tylko gwiazdy.

– Myślę, że poprzez te lalki one wzywały dusze zmarłych.

– Mówiłem ci, że w grę wchodziły jedynie pobożne życzenia. Nic więcej nie jest możliwe. Nie ma tutaj dusz zmarłych. Dusza mojej Debory minęła mnie. Gdy jej piękne ciało spadało z wieży kościoła, dusza uniosła się jak na skrzydłach. Lalki są pamiątkami, niczym więcej. Czy nie rozumiesz? Żadna z nich nie ma teraz znaczenia. Lalki, szmaragdy – to tylko znaki. Opuśćmy królestwo symboli, pamiątek, przepowiedni. Pójdźmy ku nowej egzystencji. Jeżeli otworzysz wrota, powinniśmy przez nie przejść, porzucić ten dom i wkroczyć w świat.

– Chcesz, żebym uwierzyła, że przeobrażenie może być powtarzane?

– Ty wiesz o tym, Rowan. Czytałem ci przez ramię księgę życia. Żywe komórki reprodukują się. Będę powielony w ludzkiej postaci. Moje komórki przenikną do twoich. Są możliwości, o których jeszcze nie zaczęliśmy nawet marzyć.

– Stanę się nieśmiertelna.

– Tak, będziesz moim partnerem i moją kochanką. Nieśmiertelna jak ja.

– Kiedy to ma się stać?

– Będę wiedział, kiedy ty będziesz wiedziała. A to może nastąpić już wkrótce.

– Jesteś mnie zupełnie pewien, prawda? Powtarzam ci, nie wiem jak tego dokonać.

– Co mówią twoje sny?

– To są koszmary pełne obrazów, których nie rozumiem. Skąd wzięło się ciało na stole operacyjnym? Dlaczego Lemle tam jest? Nie wiem, czego oczekują ode mnie, nie chcę znów oglądać powalonego Jana van Abła. Nie umiem odnaleźć w tym sensu.

– Uspokój się, Rowan. Pozwól, że ja cię uspokoję. Sny przemawiają do ciebie. Ale tak naprawdę w końcu przemówisz do siebie sama. Objawi ci się prawda.

– Nie zbliżaj się. Nie rób niczego innego, tylko mów. Zapanowała cisza.

– Jesteś dojściem, moja ukochana. Pragnę ciała. Nuży mnie samotność. Nie wiesz, że czas nadchodzi? Moja matko, moja piękna... To jest dla mnie czas ponownych narodzin.

Zamknęła oczy. Czowała jego usta na szyi, delikatne dłonie przesuwały się wzdłuż jej ciała. Ciepła ręka przycisnęła łono, palce zaczęły wsuwać się do wnętrza. Usta przy ustach. Ścisnął jej piersi, mocno, zachwycająco...

– Pozwól mi objąć cię – wyszeptał. – Przyjdą inni i godzinami będziesz należała do nich, a ja, trawiony ogniem pożądania, będę krążył wokół i tylko z daleka przyglądał się i łowił słowa, spływające z twych ust jak krople, które mogą ugasić pragnienie. Pozwól wziąć się teraz w objęcia. Ofiaruj mi najbliższe chwile, moja piękna Rowan...

Poczuła, że się unosi, że jej stopy nie dotykają już podłogi. Ciemność zawirowała wokół, a silne ręce oplótły ją i podniosły. Nie było grawitacji, otaczający ją żar wzrastał, gdy siła Lashera potężniała.

Zimny wiatr z głośnym łoskotem uderzał w szyby. Wielki, pusty dom wydawał się pełen czarownic. Płynęła w powietrzu. Obróciła się, przesuając

po omacku ręce po oplatających ją ramionach. Czują, że jej nogi rozchylają się, usta otwierają. Tak, zrób to.

- Kiedy nadejdzie czas? – wyszeptała.
- Wkrótce, kochanie.
- Nie mogę tego uczynić.
- Ależ możesz, moja piękna. Ty wiesz. Zobaczysz...

Gdy wysiadał z samochodu, robiło się już ciemno i wiał ostry wiatr. Ciepłe, żółte światło w oknach sprawiało, że kolonialny dom wyglądał uroczo i tak, jakby zapraszał do swego wnętrza.

Aaron czekał na niego przy drzwiach. Ubrany był w szary bezrękawnik, pod spodem miał wełniany sweter, a na szyi kaszmirowy szalik.

– To dla ciebie – powiedział Michael. – Wesółych świąt. – Podał Aaronowi małą butelkę owiniętą w zielony, gwiazdkowy papier. – Obawiam się, że nie zrobiłem ci wielkiej niespodzianki. Ale przynajmniej jest to najlepsza brandy, jaką mogłem znaleźć.

– To bardzo miłe z twojej strony – podziękował Aaron, uśmiechając się. – Będę się nią delektował. Każdą kroplą. Chodźmy z tego zimna. Ja też mam mały prezent dla ciebie. Pokażę ci później. Wejdz do środka.

W domu było ciepło, przyjemnie. W saloniku stała dość duża, gęsta choinka, przybrana złotymi i srebrnymi ozdobami. Michael nie potrafił ukryć zaskoczenia – nie wiedział, jak w Talamasce obchodzi się Boże Narodzenie, jeśli oni w ogóle celebrują jakiegokolwiek święta kościelne. Nawet kominek był przyozdobiony. Płonął w nim teraz duży ogień.

Aaron położył prezent na stole i z lekkim uśmiechem, wyprzedzając pytanie Michaela, odezwał się: – To bardzo stara uroczystość, jeszcze sprzed czasów Chrystusa. Zimowe przesilenie dnia i nocy – pora, kiedy wszystkie siły ziemi są najmocniejsze. Dlatego pewnie Syn Boży wybrał ten czas na swoje narodziny

– Tak, mogę teraz odwołać się do mojej maleńkiej wiary w Syna Bożego, właśnie teraz – powiedział Michael. – Maleńkiej wiary w siły ziemi.

Było mu tu naprawdę dobrze. Miły, przytulny wiejski dom, tak inny od tego z ulicy Pierwszej – niskie sufity, proste gzymsy i ogromne, głębokie kominki, na których paliły się rozhukanym ogniem wielkie, drewniane kloce.

Michael zdjął skórzany płaszcz i rękawiczki, podał je Aaronowi i z rozkoszą wyciągnął ręce, żeby je rozgrzać przy ogniu. We frontowych pokojach nie było nikogo więcej, jak mu się zdawało, ale z tylnej kuchni dochodziły jakieś słabe dźwięki. Wiatr uderzał w okna. Ich szyby pokrywał szron, jednak spoza niego widać było bladą zieleń krajobrazu.

Taca z kawą czekała. Aaron zachęcił przyjaciela gestem, by przysunął sobie krzesło bliżej kominka.

Michael usiadł. Poczul, że jego napięcie ustępuje. Wziął głęboki oddech, powiódł wzrokiem po pokoju i od razu przeszedł do rzeczy.

– Zaczęło się – powiedział drżącym głosem. – Okłamuje mnie. – Nie mógł uwierzyć, że mówi o Rowan w ten sposób, a jednak ciągnął dalej. – On jest tam z nią, a ona kłamie. Oszukuje mnie przez cały czas, odkąd wróciłem do domu.

– Opowiedz, co się stało – powiedział Aaron. Jego twarz była spokojna i pełna głębokiego współczucia.

– Nie zapytała nawet, dlaczego przyspieszyłem powrót z San Francisco. Ani razu nie wspomniała o tym. Jak gdyby wiedziała. Kiedy dzwoniłem do niej z hotelu, byłem bliski szaleństwa. Do cholery, mówiłem ci już, co się stało. Myślałem, że to coś próbuje mnie zabić, a Rowan nawet nie zapytała, co się wydarzyło.

– Opowiedz mi wszystko raz jeszcze.

– Chryste, teraz wiem, że to Julien i Debora ukazali się w moich wizjach. Nie mam już żadnych wątpliwości. Nie znam treści paktu, nie wiem, co obiecuje, ale wiem, że Julien i Debora są po mojej stronie. Widziałem Juliana. Patrzył na mnie przez okno autobusu i najstraszniejsze było to, Aaronie, że on

jakby chciał coś powiedzieć i uczynić, ale dokonanie tego przerastało jego siły.

Aaron nie mówił nic. Siedział z łokciami na oparciach krzesła i skubał dolną wargę. Widać było, że słucha uważnie i wszystko głęboko rozważa.

– Mów dalej – powiedział.

– Nie chodzi o to, że pamiętam dokładnie, co mi powiedzieli, ale o to, że ten pojedynczy błysk wystarczył, by wróciła świadomość ich obecności. Mam znów wrażenie, że oni chcą, bym interweniowałam. Mówili coś o „odwiecznych ludzkich narzędziach”, które mam do dyspozycji. Ponownie usłyszałam te słowa. Przemawiała do mnie Debora. Mogę udowodnić, że to była ona, choć wyglądała inaczej niż na obrazie.

– Tak...

– Pamiętasz, co Llewellyn ci powiedział? Mówił, że widział Julię we śnie i że on nie był taki sam jak za życia. Pamiętasz? Widzisz, to jest klucz. W wizji Debora była inną istotą. I na tym przekłętym skrzyżowaniu w San Francisco czułam obecność ich obojga – takich, jakich pamiętam – mądrych, dobrych i wiele rozumiejących. Wiedzieli, że Rowan jest w strasznym niebezpieczeństwie i że muszę interweniować. Boże, kiedy myślę o twarzy Julię za szybą... To było takie... niespodziewane, a równocześnie pełne spokoju. Nie umiem tego opisać. Niepokoiło, ale w jakiś sposób oczyszczało.

– Chyba rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Wracaj do domu – mówili – wracaj do domu. To tam jesteś potrzebny. Aaronie, dlaczego on nie patrzył prosto na mnie?

– Może być wiele powodów. Wiąże się z tym, o czym mówiłaś. Jeśli oni istnieją gdzieś indziej, to jest im trudno tu przychodzić. Lasher zaś może to czynić z łatwością. Wrócę do tego jeszcze. I co dalej?

– Nie domyślasz się? Przyjeżdżam do domu – prywatny samolot, limuzyna, wszystko zorganizowane przez Ryana, jakbym był cholernie wielką gwiazdą rocka – a ona nawet nie pyta, co się stało. Nie jest już moją Rowan. Jest Rowan złapaną w jakąś sieć, udającą coś. Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi,

smutnymi, szarymi oczami i uśmiecha się. Najgorsze jest to, że...

– Mów Michael, mów.

– Ona mnie kocha, Aaronie. Ale zachowuje się tak, jakby błagała, by nie pytać o nic. Wie, że ją przejrzałem. Boże, kiedy jej dotykam, czuję to. Zdaje sobie sprawę, że mogę to czuć. I milcząco prosi, niemal żebrze by nie przypierać jej do muru, nie kazać kłamać. Jest zdesperowana, Aaronie. Mogę przysiąc, że się boi.

– Tak, znalazła się w kręgu oddziaływania tej istoty. Mówiła mi o tym. Kiedy wyjechałeś, najwyraźniej rozpoczął się jakiś rodzaj kontaktu. Może nawet stało się to wcześniej.

– Wiedziałeś o tym? Dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś mi?

– Michael, mamy do czynienia z czymś, co kontroluje każdą naszą rozmowę. Nawet teraz.

– O Boże!

– Na całej Ziemi nie znaleźlibyśmy przed tym bezpiecznej kryjówki. Chyba że jedynie we wnętrzu naszych własnych umysłów. Rowan wiele mi opowiedziała. Największy kłopot polega na tym, że losy tej bitwy są wyłącznie w jej rękach.

– Musi być coś, co możemy zrobić. Wiedzieliśmy, że to się zdarzy. Jeszcze zanim pierwszy raz mnie spotkałeś, wiedziałeś, że do tego dojdzie.

– Problem polega na tym, Michael, że jedynie ona może coś zrobić. Kochając ją, będąc blisko niej, używasz odwiecznych narzędzi, jakie masz do dyspozycji.

– Niemożliwe, żeby na tym kończyła się moja rola. – Ledwie mógł to znieść. Wstał, pochodził przez chwilę, a potem oparłszy ręce na obramowaniu kominka, patrzył w ogień. – Powinieneś był zadzwonić, powiedzieć mi o wszystkim.

– Wyładuj na mnie swój gniew, niech ci ulży, ale prawda wygląda tak, że to ona zabroniła mi rozmawiać z tobą na ten temat. Groziła, czasem w formie ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem. Mówiła, że jej niewidzialny kompan

chce mnie zabić.

– Chryste, kiedy to było?

– Nieważne. Powiedziała, bym wracał do Anglii, dopóki mogę.

– Naprawdę? I co dalej?

– Zdecydowałem, że nie pojedę. Co więcej mogę zrobić – wierz mi, nie wiem. Chciała, żebyś został w Kalifornii, bo czuła, że tam jesteś bezpieczny. Ale widzisz, sytuacja stała się zbyt skomplikowana, by dosłownie rozumieć jej słowa.

– Co masz na myśli? Jaki jest ten dosłowny sens? Nie umiem go znaleźć. Jaki inny jest jeszcze możliwy?

– Mówiła zagadkami. Między mną a Rowan toczyła się nie rozmowa, a bitwa. Przypominam ci, że to coś może być teraz z nami, tutaj – w tym pokoju. Nie ma takiego miejsca, w którym moglibyśmy bezpiecznie przeciw niemu spiskować. Wyobraź sobie mecz bokserski, w którym zawodnicy czytają nawzajem w swoich myślach, albo wojnę, gdzie obie strony, dzięki telepatii, znają od początku przyjmowaną strategię wroga.

– To zwiększa ryzyko, wymaga determinacji, ale mimo wszystko walka jest możliwa.

– Słusznie. Nie ma powodu, by powtarzać całą rozmowę, wystarczy powiedzieć, że Rowan jest najsilniejszym przeciwnikiem, jakiego ta istota kiedykolwiek miała.

– Ostrzegałeś Rowan już dawno, że Lasher będzie chciał odsunąć ją od tych, których kocha. Błagałeś, by na to nie pozwoliła.

– Tak i jestem pewien, że ona pamięta moje przestrogi, Michael. Rowan uważa, że nie ma nic do stracenia. Nie zgadzam się z tym. Starłem się jak najprościej jej wytłumaczyć, dlaczego nie może pozwolić na przeobrazenie się tej istoty. Ale decyzja należy do niej.

– Mówisz więc, że musimy po prostu czekać i pozwolić Rowan walczyć samotnie.

– Powiedziałem, że robisz to, co miałeś robić. Kochaj ją. Bądź przy niej. Przypominaj jej samą swoją obecnością, co naturalne, właściwe, dobre. Michael, nieważne, czym jest ta istota, skąd pochodzi – to walka między życiem zgodnym z prawami natury i anormalnością, między ewolucją z jednej strony a zgubną interwencją z drugiej. Oba zjawiska mają swoje tajemnice i cuda. Nikt nie wie tego lepiej niż Rowan.

Wstał i położył ręce na ramionach Michaela.

– Usiądź i posłuchaj, co mówię – powiedział.

– Cały czas słucham – odezwał się Michael z niezadowoleniem, ale usiadł na brzegu krzesła. Prawą rękę zaciśniętą w pięść nerwowo wciskał w lewą dłoń.

– Przez całe życie Rowan była świadoma tego podziału na naturalne i anormalne – powiedział Aaron. – Rowan jest człowiekiem, a takie stworzenia jak Lasher nie są w stanie naruszyć niczyjej istoty, mogą tylko próbować zmienić niektóre ludzkie cechy. Nikt bardziej niż Rowan nie chciał tego cudownego ślubu w białej sukni. Nikt goręcej nie pragnie mieć rodziny. Nikt bardziej od niej samej nie chce tego dziecka, które nosi w sobie.

– Ona wcale nie mówi o dziecku. Odkąd wróciłem do domu nie wspomniała nawet o jego istnieniu. Zamierzałem dzisiaj na wieczornym przyjęciu obwieścić tę nowinę rodzinie, ale Rowan nie chce, bym to zrobił. Mówi, że nie jest gotowa. Samo zaś przyjęcie traktuje jako zło konieczne. Urządza je, bo tego, zgodnie ze słowami Beatrice, oczekują od niej krewni.

– Wiem.

– Mówię o dziecku przez cały czas. Całuję ją i nazywam malca Chrisem – takie imię mu dałem – a ona się tylko uśmiecha i zachowuje tak, jakby nie była sobą. Jeśli przegra tę walkę, stracę i ją, i dziecko. Nic nie wiem o mutacjach, potworach... i o duchach, które chcą żyć.

– Idź do domu i zostań z Rowan. Bądź przy niej. Właśnie taką misję ci powierzyli.

– I nie pytać o nic?

– Jeśli to zrobisz, zmusisz ją tylko do kłamstwa. Lub do czegoś jeszcze gorszego.

– A co ty na to, żebyśmy pojechali razem i wspólnie spróbowali namówić Rowan, by zawróciła z tej drogi.

Aaron potrząsnął głową.

– Zagrałem z nią w otwarte karty, Michael. Dlatego wymówiłem się od wzięcia udziału w kolacji u Bei. Gdybym tam się pojawił, byłoby to jak wyzwanie dla Rowan i jej mrocznego kompana. Jeśli moja obecność miałaby w czymkolwiek pomóc, poszedłbym. Zaryzykowałbym wszystko. Ale nie mogę nic zrobić.

– Skąd wiesz?

– Nie jestem jednym z graczy. Nie miewam wizji. To ty je masz, z tobą rozmawiali Julien i Debora, ciebie kocha Rowan.

– Nie wiem, czy wytrzymam.

– Myślę, że tak. Rób wszystko, co możesz, by dać sobie radę. Przede wszystkim pozostań blisko Rowan. Daj jej odczuć, obojętnie jak, że jesteś tam dla niej.

Michael kiwnął potakująco głową.

– W porządku – powiedział. – Wiesz, czuję się tak, jakby mnie zdradziła.

– Nie wolno ci na to patrzeć w ten sposób. Nie możesz się wściekać.

– Ciągłe to sobie powtarzam.

– Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć. To, być może, bez znaczenia, ale na wszelki wypadek, gdyby mi się coś stało, chcę żebyś wiedział.

– Chyba nie myślisz, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

– Nie wiem, ale posłuchaj. Od wieków łamiemy sobie głowę nad naturą tych bezcielesnych istot. Nie ma takiej kultury na świecie, która nie rozważałaby ich istnienia, ale nikt nie potrafi odpowiedzieć, czym są naprawdę. Kościół katolicki uważa je za demony. Ma swoją szczegółową, teologiczną wykładnię tego zjawiska. Określa owe byty jako zło i uważa, że powinny być zniszczone.

Można by, bez trudu, nie brać pod uwagę tej koncepcji, gdyby nie fakt, że kościół wie bardzo dużo o ich zachowaniu i słabych stronach. Ale odchodzę od tematu. Sedno sprawy jest takie: w Talamasce zawsze przypuszczaliśmy, że te istoty są bardzo podobne do dusz zmarłych. Zakładaliśmy więc, że i jedne, i drugie są bezcielesne, posiadają inteligencję i pozostają zamknięte w swego rodzaju królestwie wokół żyjących.

– Uważasz, że Lasher jest duchem?

– Tak. Ale Rowan chyba dokonała przełomu w badaniach nad tymi istotami. Uważa, że Lasher ma strukturę komórkową i posiada wszystkie podstawowe składniki żywego organizmu.

– To znaczy, że jest jakimś dziwnym stworem?

– Nie wiem, ale przychodzi mi do głowy, że może tak zwane duchy zmarłych mają podobne cechy. Może jakaś obdarzona inteligencją cząstka nas zabiera ze sobą pewien element życia, kiedy opuszcza ciało. Może raczej przechodzimy metamorfozę, a nie fizyczną śmierć. I wszystkie te stare słowa – ciało eteryczne, ciało astralne, duch – są po prostu określeniami tej oczyszczonej struktury komórkowej, która trwa po odejściu ciała.

– To dla mnie zbyt skomplikowane.

– Tak, trochę teoretyzuję. Przypuszczam, że najistotniejsze jest... że cokolwiek te istoty są w stanie robić, mogą to robić także dusze zmarłych. A co jeszcze ważniejsze – nawet jeśli Lasher posiada taką strukturę, to nie wyklucza prawdopodobieństwa, że jest wrogo nastawionym duchem kogoś, kto kiedyś żył.

– Te rozważania nadają się do twojej biblioteki w Londynie, Aaronie. I być może, któregoś dnia usiądziemy przy kominku i porozmawiamy o tym. Ale teraz zamierzam pójść do domu i być przy Rowan, tak jak ty mi radziłeś i także oni mi mówili. To jest najlepsze, co mogę dla niej zrobić. I dla ciebie. Trudno mi uwierzyć, że Rowan zamierza pozwolić temu czemuś zranić nas lub kogokolwiek innego. Masz rację – przede wszystkim muszę być blisko niej, pod ręką.

– Właśnie tak – powiedział Aaron. – Ale nie mogę przestać myśleć o tym, co ci starzy ludzie mówili, o zbawieniu. Taka dziwna legenda.

– Oni mieli trochę racji. Rowan jest przejściem. W jakiś sposób to wiedziałem, gdy zobaczyłem rodzinny grób.

Aaron westchnął tylko i pokręcił głową. Michael widział, że przyjacielowi takie stwierdzenie nie wystarczyło, że jest jeszcze wiele rzeczy, które chciał rozważyć. Ale jakie to teraz miało znaczenie? Rowan była w domu sam na sam z tą istotą, która sprawiała, że Michael tracił swoją ukochaną. Rowan poznała odpowiedzi, zrozumiała wszystko. Michael musiał iść do domu, do niej.

Patrzył niespokojnie jak Aaron podniósł się, nieco sztywno, i poszedł po jego płaszcz i rękawiczki.

Michael stał w drzwiach i przyglądał się choince i lampkom palącym się jasno nawet w świetle dnia.

– Dlaczego to musiało zacząć się tak szybko? – wyszeptał. – Dlaczego teraz, o tej porze roku? – Ale znał odpowiedź. Wszystko, co się działo, miało ze sobą pewien związek. Każdy z tych darów służył jakiemuś ostatecznemu celowi, nawet jego bezsilność z tym się wiązała.

– Proszę, uważaj na siebie – rzekł Aaron.

– Będę myślał o tobie jutrzejszej nocy. Wiesz, dla mnie wieczór wigilijny miał zawsze w sobie coś z sylwestra. Trudno wytłumaczyć ten związek. To musi być sprawa irlandzkiej krwi.

– Katolickiej krwi – poprawił Aaron. – Ale rozumiem.

– Jeśli otworzysz te brandy jutro wieczorem, wypij za mnie.

– Zrobię to, bądź pewien. I Michael... jeśli z jakiegokolwiek powodu ty i Rowan zapragniecie tu przyjść, wiesz, że drzwi są dla was otwarte, dzień i noc. Pamiętaj, że w Dębowym Ustroniu zawsze możecie znaleźć schronienie.

– Dziękuję, Aaronie.

– I jeszcze jedno. Gdybyś mnie potrzebował, gdybyś chciał, żebym przyszedł, daj mi znać. Zrobię to.

Michael niemal zaczął już protestować, mówić, że tu jest najlepsze miejsce dla Aarona, ale ten odwrócił wzrok. Wyraz jego twarzy ożywił się, gdy wskazywał na półkoliste okno nad frontowymi drzwiami.

– Spójrz, śnieg! Nie mogę uwierzyć. Nie pada nawet w Londynie, a tutaj tak.

Otworzył drzwi i wyszli razem na obszerną frontową werandę. Duże płatki spadały na ziemię powoli, z niewiarygodnym wdziękiem. Gromadziły się na czarnych gałęziach dębów, okrywając je grubą warstwą lśniącego puchu. Między rzędami drzew rosnących wzdłuż drogi utworzyła się szeroka, biała ścieżka. Pola były już lekko zaśnieżone, a niebo nad nimi, połyskliwe i bezbarwne, wydawało się ginąć wśród padających płatków.

– Na dzień przed Wigilią – powiedział Michael. Dostrzegał cały urok tego spektaklu – sędziwą, znaną aleję starych drzew wznoszących swoje ciemne, pokryte węzłami ramiona ku lecącym z góry, łagodnie wirującym śnieżynkom. – To taki mały cud, że spadł właśnie teraz. O Boże, jakże wszystko byłoby piękne, gdyby...

– Może nasze ziemskie cudy są małe, Michael.

– Tak, ale te małe są najlepsze, prawda? Spójrz, płatki śniegu nie topnieją, kiedy spadają na ziemię. Zostają tam. W Święta będzie białe, nie ma wątpliwości.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Aaron. – Byłbym zapomniał, twój prezent gwiazdkowy, mam go tutaj. Sięgnął do kieszeni swetra i wyjął bardzo małą, płaską paczuszkę, nie większą niż półdolarówka. – Otwórz. Wiem, że zaraz obaj zamarzniemy, ale chciałbym, żebyś otworzył.

Michael rozdarł cienki, złoty papier i natychmiast zobaczył stary srebrny medalik na łańcuszku. – Archanioł Michał – uśmiechnął się. – Wspaniały, Aaronie. To przemawia do mojej przesądnej, irlandzkiej duszy.

– Święty Michał prowadzi diabła do piekła – powiedział Aaron. – Znalazłem to w starym antykwariacie na ulicy Sklepowej, kiedy ty już odszedłeś. Pomyślałem, że może chciałbyś go mieć.

– Dziękuję, chłopie. – Michael przyglądał się niewyraźnemu wizerunkowi. Był wytarty jak ryt na starej monecie, ale można było dostrzec skrzydlatego Michała z trójzębem wzniesionym nad leżącym u jego stóp w płomieniach rogatym diabłem. Rozwinął łańcuszek, który był tak długi, że nie musiał go rozpinać, i włożył przez głowę. Wpuścił medalik pod sweter.

Patrzył przez chwilę na Aarona, potem objął go ramionami i mocno uściśnął.

– Bądź ostrożny, Michael. Zadzwoń do mnie wkrótce.

Cmentarz był zamknięty na noc, ale to nie miało znaczenia. Także ciemność i zimno nie stanowiły problemu. W bocznej furtce zamek był wyłamany i bez trudu mogła ją otworzyć, potem zamknąć za sobą i pójść pokrytą śniegiem ścieżką.

Coraz bardziej marzła, ale to także nie było ważne. Śnieg wyglądał tak pięknie. Chciała zobaczyć grobowiec pokryty warstwą białych płatków.

– Znajdziesz go dla mnie, prawda? – wyszeptała. Było teraz zupełnie ciemno. Wkrótce zacznie schodzić się rodzina. Nie miała dużo czasu.

– Ty wiesz, Rowan, gdzie to jest – powiedział w jej myślach tym czystym, cichym głosem.

Tak. To prawda. Stała przed grobowcem, lodowaty wiatr przenikał przez cienką koszulę. Było tam dwanaście małych portali, po jednym dla każdej krypty, a powyżej rzeźba drzwi z dziurką od klucza.

– Nigdy nie umrzeć.

– To pakt pomiędzy tobą i mną, to obietnica, Rowan. Jesteśmy blisko jej spełnienia.

– Nigdy nie umrę, a co obiecałeś innym? Coś im przecież przyrzekłeś. Jesteś kłamcą.

– Och nie, kochana, teraz poza tobą nic nie jest istotne. Oni wszyscy nie żyją. Ich kości leżą pod ziemią w lodowatej ciemności. Także ciało Deirdre, jeszcze doskonale, naszpikowane chemikaliami, zimne wewnątrz wyściełanej

atłasem trumny. Zimne i martwe.

– Mamo!

– Ona cię nie usłyszy, moja piękna, ona odeszła. Tylko ty i ja jesteśmy tutaj.

– Jak mogę być przejściem? Czy zawsze było mi to przeznaczone?

– Zawsze, kochanie, i czas niemal nadszedł. Jeszcze jedna noc z twoim aniołem z krwi i kości, a potem będziesz moja na wieki. Schody prowadzą do nieba. Zaczynają tworzyć doskonały wzór.

– Nie mogę ich zobaczyć. Widzę tylko padający śnieg.

– Ale one tam są. To najgłębsza część zimy, wszystko, co znów się narodzi, śpi bezpiecznie w śniegu.

Marmur był jak lód. Dotknęła palcami rowków liter „Deirdre Mayfair”. Nie mogła dosięgnąć do wygrawerowanej dziurki od klucza.

– Chodź, kochanie, chodź do domu i ciepła. Już niemal czas. Oni nadchodzą

– moje dzieci, całe potomstwo, wielki klan Mayfairów, wzbogacający się w cieniu moich skrzydeł. Wróc teraz do domowego ogniska, ukochana, ale jutro, tak, jutro, ty i ja powinniśmy zostać sami w domu. Musisz odesłać swego anioła.

– I pokażesz mi, jak być przejściem?

– Ty wiesz, kochanie. W swoich snach i w swym sercu zawsze wiedziałaś.

Szła szybko po śniegu, miała przemoczone nogi, ale nie zwracała na to uwagi. Puste ulice lśniły w szarym zmierzchu. Śnieg był teraz tak jasny, że wydawał się mirażem. Oni wkrótce przyjdą.

Czy w jej zimnym ciele było małe dziecko?

Lemle powiedział: „Są ich tysiące, miliony. Wyrzucane jak odpadki w ścieki świata – wszystkie te mózgi, narządy, organy”.

Ciemność i nadchodzący Mayfairowie. Trzeba udawać, że wszystko jest w porządku. Szła tak szybko, jak tylko mogła. Coś paliło ją w gardle. Zimne powietrze przyjemnie chłodziło wewnętrzną gorączkę.

Dom stał ciemny. Czekał na nią. Wróciła na czas. W ręku trzymała klucz.

– Co będzie, jeśli nie zdołam nakłonić go jutro, by wyszedł? – cicho

zapytała. Stała przed bramą, patrząc w górę na puste okna. Jak pierwszej nocy, kiedy Carlotta wyszeptała: wybierz.

– Musisz przekonać Michaela. Do jutrzejszego wieczoru. Inaczej go zabiję.

– Nie. Nigdy, nigdy nie wolno ci tego zrobić. Nie wolno ci nawet tego mówić. Słyszysz mnie? Nic złego nie może mu się przydarzyć, słyszysz?

Stała na werandzie, mówiąc na głos do nikogo. Wokół padał śnieg. Piękny jak w raju. Obsypywał zamarzniete liście bananowca, gromadził się wśród wysokich, cienkich łodyg bambusa. Czym byłby raj bez śniegu?

– Rozumiesz, prawda? Nie możesz zrobić mu krzywdy. Absolutnie nie możesz. Obiecuj mi. Zawrzyj ze mną umowę. Żadne nieszczęście nie spotka Michaela.

– Jak sobie życzysz, skarbie. Naprawdę kocham go. Ale on nie może przeszkodzić nam podczas tej nocy nad nocami. Gwiazdy układają się w doskonałą konfigurację. Są tak stare jak i ja, są mymi odwiecznymi świadkami. Chciałbym, aby świeciły nade mną w tym wyjątkowym momencie. Jeśli ocalisz swego śmiertelnego kochanka od mego gniewu, zobaczysz, że on przyszedł dzięki mnie.

Była druga w nocy, kiedy wyszli ostatni goście. Nigdy nie widział tak wielu szczęśliwych ludzi, zupełnie nie pamiętających o tym, co się naprawdę dzieje.

Ale tak naprawdę, to co się dzieje? Oto wielki, ciepły dom, pełen śmiechu i śpiewu, z płonącymi kominkami, a za oknem pada śnieg pokrywający drzewa, krzewy i ścieżki lśniąca bielą. Dlaczego wszyscy nie mieliby się świetnie bawić?

Jak oni się śmiali, ślizgając się na pokrytych lodem płytach chodnika. Śniegu było dość nawet do dziecięcej zabawy w śnieżki. Maluchy w kolorowych czapkach i rękawiczkach jeździły po cienkiej skorupce lodu pokrywającej trawnik. Nawet ciotka Viv kochała śnieg. Wypiła zbyt wiele sherry – w takich momentach przypominała mu matkę – ale Lily i Bea, które stały się jej najdroższymi przyjaciółkami, zdawały nie zwracać na to uwagi.

Przez cały wieczór Rowan była wspaniała. Śpiewała ze wszystkimi kolędy przy dźwiękach fortepianu, pozowała do zdjęć na tle choinki.

Oto spełniało się kolejne marzenie Michaela, dom pełen promiennych twarzy i radosnych głosów ludzi umiejących cieszyć się tą chwilą. Brzęk kieliszków wzniesionych we wspólnym toaście, serdeczne pocałunki i melancholijne tony starych pieśni.

- Jak to ładnie z twojej strony, że urządziłaś takie przyjęcie...
- ...wszyscy zebrani razem jak za dawnych, dobrych dni.
- Tak właśnie powinno się obchodzić Boże Narodzenie.

Podziwiali cenne choinkowe ozdoby Michaela. Obchodzili się z nimi bardzo delikatnie, uważali, gdy kładli małe prezenty pod drzewkiem, choć nikt nie zwracał im na to uwagi.

Kiedy nie mógł już wytrzymać narastającego w nim niepokoju, poszedł na górę i wdrapał się na poddasze. Stał obok okna i patrzył w dół na światła miasta. Śnieg leżał cienką warstwą na dachu, parapetach, kominach i wszędzie, tak daleko jak mógł sięgnąć wzrokiem, było pięknie.

Miał wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, a nigdy jeszcze nie był bardziej nieszczęśliwy. Czuł jakby ta zjawia trzymała go oburącz za gardło. Bał się. Miał ochotę walić pięścią w ścianę. Wszystko to nappełniało go goryczą smutku.

Kiedy w ciszy szedł na górę, by być z dala od gości, wydawało mu się, że w zakamarkach domu czuje obecność tej istoty, że gdy dotyka framug i klamek, chwyta mignięcia jej spojrzenia.

– Jesteś tu, Lasher. Wiem, że jesteś.

Coś cofnęło się głębiej w ciemność. Bawiło się nim, prześlizgiwało daleko pod ścianami i w końcu się rozproszyło. W korytarzu na górze, w paśmie przyćmionego światła znów był sam.

Ktoś, kto by go śledził, mógłby pomyśleć, że jest szaleńcem. Roześmiał się. Czy wyglądał jak pijany Daniel McIntyre? Stare dzieje. A co z innymi nieudolnymi mężami, którzy poznali tajemnicę? Odeszli do kochanek, potem pewnie umarli – przestali się liczyć w tej historii. A co jemu, do diabła, miało się przydarzyć?

To nie był koniec. To był dopiero początek. Rowan musi grać na zwłokę, a on musi wierzyć, że za jej wykrętami kryje się miłość, która kiedyś znowu się ujawni.

W końcu goście poszli.

Ostatnie zaproszenia na bożonarodzeniowy obiad zostały delikatnie odrzucone, padły obietnice rychłych spotkań. Ciotka Viv spędzi Wigilię z Beą, więc niech się o nią nie martwią. Mogą mieć te święta dla siebie.

Wymieniono polaroidowe zdjęcia, pościągano z kanap śpiące dzieci, ostatni raz uściśnięto sobie ręce i wreszcie wszyscy wyszli na zewnątrz, w czysty, jasny chłód.

Zmęczony napięciem i chory ze zmartwienia niespiesznie zamykał drzwi. Nie trzeba już uśmiechać się, udawać czegokolwiek. Boże, jak ona to zniosła?

Bał się wejść na górę. Obszedł dom, sprawdził, czy okna są zamknięte, czy system alarmowy włączony – czy świecą się na tablicy wszystkie zielone lampki. Zakręcił wodę, by chronić rury przed zamarznięciem.

Na koniec stanął w salonie przed pięknie oświetlonym drzewkiem. Czy mogły istnieć bardziej gorzkie i samotne święta Bożego Narodzenia niż te? Wściekał się na myśl, że prawdopodobnie wszystko to jest częścią jakiegoś planu.

Przez chwilę leżał na sofie, czekając aż ogień w kominku się dopali, i w milczeniu rozmawiał z Julienem i Deborą, pytając, jak już tysiące razy tej nocy, co powinien robić.

W końcu wspiął się po schodach. W sypialni było ciepło i ciemno. Rowan leżała przykryta kocami. Zobaczył tylko włosy na poduszce, twarz miała odwróconą do ściany.

Ileż razy tego wieczoru próbował spojrzeć jej w oczy i nie udało się? Czy ktoś zauważył, że nie powiedzieli do siebie ani słowa? Wszyscy byli zbyt pewni ich szczęścia. On też był kiedyś pewien.

Podszedł cicho do frontowego okna i odsunął ciężką, adamaszkową zasłonę, by ponownie spojrzeć na padający śnieg. Już Wigilia. Wieczorem przyjdzie ten magiczny moment, kiedy będzie myślał o swoim życiu i o tym, czego dokonał, a potem zacznie snuć w marzeniach plany na nadchodzący rok.

Rowan, to się nie może tak skończyć. To tylko potyczka. Od początku wiedzieliśmy dużo więcej niż inni.

Odwrócił się i zobaczył na poduszce jej szczupłą, piękną rękę. Palce miała lekko zaciśnięte. Stanął blisko łóżka. Chciał dotknąć jej dłoni, poczuć ciepło,

przytrzymać, jakby miała odpłynąć od niego w jakieś ciemne, niebezpieczne morze. Zabrakło mu odwagi.

Kiedy spojrział za okno na padający śnieg, jego serce na moment zatrzymało się i poczuł bolesny skurcz w piersiach. Zerknął na Rowan. Oczy miała otwarte. Patrzyła na niego w ciemności. Jej wargi powoli rozchyły się w lubieżnym uśmiechu.

Skamieniał. W nikłym świetle docierającym zza okna twarz dziewczyny była blada i zimna jak marmur, a oczy błyszczały niczym dwa kawałki szkła. Serce zabiło mu szybciej i ból przeszył pierś. Nadal wpatrywał się w Rowan. Nie był w stanie oderwać wzroku od jej twarzy. I nagle, zanim zdołał się powstrzymać, wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek.

Odwróciła się. Rozpustny wyraz twarzy zniknął. Usiadła nagle, niespokojna i zakłopotana.

– O co chodzi, Michael? – powiedziała, patrząc na jego rękę. Cofnął dłoń. – Cieszę się, że mnie obudziłeś – szepnęła. Oczy miała szeroko otwarte, jej usta drżały. – Miałam koszmarne sen.

– Co ci się śniło?

Siedziała, patrząc przed siebie, i nagle nerwowo splotła palce. Niejasno zdał sobie sprawę, że już kiedyś widział u niej ten desperacki gest.

– Nie wiem – wyszeptała. – Nie wiem, co to było. Jakieś miejsce... wieki temu i zgromadzeni lekarze. Małe ciało leżące na stole. – Mówiła niskim, pełnym cierpienia głosem. Gdy spojrzała na Michaela, łzy popłynęły jej po policzkach.

– Rowan.

Podniosła rękę. Kiedy przysiadł na łóżku, położyła dłoń na jego ustach.

– Nie mów tego, Michael. Nie mów, proszę. Ani słowa. Gwałtownie potrząsnęła głową.

Palcami lekko dotknął jej szyi, schyliła głowę. Starał się nie wybuchnąć płaczem.

– Wiesz, że cię kocham, wiesz wszystko, co chcę powiedzieć. Kiedy się uspokoiła, ujął jej dłonie i ścisnął mocno. Zamknął oczy.

Ufaj mi, Michael.

– W porządku, kochanie – wyszeptał. – W porządku. Niezręcznie rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Czuł ciepły, czysty zapach ciała Rowan. Leżał z otwartymi oczami i myślał, że nigdy już nie odpocznie. Czuł jej drżenie, a potem, gdy ciało dziewczyny odprężyło się i zobaczył, że ma zamknięte oczy, powoli zapadł w ciężki sen.

* * *

Obudził się po południu. Był sam. Sypialnię wypełniało duszne i gorące powietrze. Wziął prysznic, ubrał się i zszedł na dół. Ani śladu Rowan. Świecek na choince paliły się, ale dom był pusty.

Zaglądał po kolei do wszystkich pokoi – nikogo.

Wyszedł z domu na mróz i zaczął przemierzać zamarznięty ogród, w którym ciężki, błyszczący śnieg leżał na alejkach i trawie. Szukał jej, ale nigdzie nie mógł znaleźć.

W końcu założył ciepły płaszcz i poszedł na spacer.

Niebo było spokojne i bezmiernie błękitne. Okolica wyglądała pięknie – wszystko pokryte bielą, dokładnie tak, jak podczas tamtych odległych świąt, ostatnich jakie spędził w Nowym Orleanie.

Rosła w nim panika.

Była Wigilia, a oni nie zrobili żadnych przygotowań. Miał dla Rowan maleńki prezent ukryty w spiżarni – lustro ze srebrną rączką, które znalazł w swoim sklepie w San Francisco i zapakował jeszcze przed wyjazdem. Ale jakie to może mieć znaczenie teraz, gdy ona ma klejnoty i złoto, całe niewyobrażalne bogactwo. Był sam. Jego myśli krążyły w kółko.

Wigilia, godziny mijają jedna po drugiej.

Wszedł do sklepu w Alei Washingtona, pełnego ostatnich klientów. Kupił indyka i inne potrzebne rzeczy. Szperał w kieszeniach szukając pieniędzy, jak pijak wysupłujący ostatnie grosze na butelkę, na którą go nie stać. Ludzie śmiali się i gadali o śnieżycy. Białe święta w Nowym Orleanie. Przyłapał się na tym, że patrzy na nich jak na dziwne zwierzęta. Ich rozbawione głosy sprawiały, że czuł się samotny jak zagubione dziecko. Wziął ciężką torbę do ręki i ruszył do domu.

Uszedł zaledwie parę kroków, kiedy zobaczył remizę, dawne miejsce pracy ojca. Ledwie zdołał ją rozpoznać, wszystko się zmieniło. Tylko olbrzymia brama, przez którą kiedyś wozy strażackie z rykiem wyjeżdżały na ulicę, stała w tym samym miejscu. Razem z ojcem często siadywali na stojącej naprzeciwko ławce.

Wpatrywał się w remizę i widocznych przez okna strażaków, mających dość rozsądku, by siedzieć w ciepłe. Gdy tak stał, musiał wyglądać jak włóczęga bez dachu nad głową. Wróciły wspomnienia – odległe Boże Narodzenie i ojciec umierający w ogniu.

Spojrzał w niebo, miało ciemnoszarą barwę, światło dnia umierało. Była Wigilia, a absolutnie wszystko szło źle.

* * *

Wszedł w drzwi i zawołał. Nikt nie odpowiedział. Światła na choince w salonie zarzyły się jasnym blaskiem. Wytarł starannie nogi i przeszedł przez długi hol. Twarz i ręce piekły go od mrozu. Rozpakował torbę, wyjął indyka i pomyślał, że zrobi wszystko po kolei, tak jak zawsze. Uczta będzie gotowa o północy – dokładnie o tej porze, o której ludzie gromadzili się w kościele na Pasterce.

To nie będzie komunia święta, ale zawsze wspólna wieczerza, pierwsza Gwiazdka w jasnym, odnowionym i nie nawiedzonym domu.

Ruszaj do dzieła.

Jak ksiądz, który sprzedawał duszę diabłu, idący do ołtarza, by odprawić mszę.

Włożył zakupy do kredensu. Można zaczynać. Wyjął świece. Trzeba znaleźć do nich lichtarz. Rowan musi gdzieś tu być. Pewnie też wyszła na spacer i teraz z pewnością jest już w domu.

W kuchni panowała ciemność. Za oknem znowu padał śnieg. Chciał zapalić lampy. Najchętniej zaświeciłby je wszędzie, żeby zalać dom potokami jasności. Ale nawet nie drgnął. Stał w kuchni zupełnie nieruchomo, patrząc przez francuskie drzwi na ogród za domem. Przyglądał się jak śnieg topnieje, opadając na wodę w basenie. Obrączka lodu powstawała przy brzegach, wokół błękitnej tafli. Widział jak woda błyszczy i pomyślał, że musi być potwornie, boleśnie zimna.

Zimna jak Pacyfik w tę letnią niedzielę, kiedy stał na skale lekko wystraszony, z poczuciem pustki. Droga, którą od tamtego momentu przebył, wydawała się nieskończenie długa. Cała energia i wola opuściły go teraz. Czuł się jak uwięziony w lodowatym pokoju człowiek, który nie jest w stanie ruszyć nawet palcem, by było mu lepiej, bezpieczniej i cieplej.

Czas mijał. Usiadł przy stole, zapalił papierosa i patrzył, jak zapada zmierzch. Przestało padać, ale ziemię pokrywała świeża, czysta biel.

Pora coś zrobić, zabrać się za obiad. Wiedział to, ale nie mógł się ruszyć. Sięgnął po następnego papierosa. Widok drobnego, czerwonego ognika podniósł go na duchu. Skończył palić i po prostu siedział, nic nie robiąc. Zupełnie tak jak wtedy, gdy w swym pokoju na ulicy Wolności, niezdolny do myślenia i działania, na zmianę wpadał w panikę i otrząsał się z niej.

Nie wiedział, która godzina. Światła wokół basenu błyszczały jasno w ciemności nocy i ukazywały błękitną tafelę wody. Ciemne liście czerniły się wokół, ożywiając biel. Ziemia powlekała się upiorną, księżycową poświatą.

Nie był sam. Wiedział to. Uświadomił sobie, że musi tylko odwrócić głowę i na tle stojącej w głębi szafy zobaczy jej wyraźną postać...

Nigdy w życiu nie był bardziej przerażony. Wstał, wsunął paczkę

papierosów do kieszeni i podniósł wzrok. Rowan odeszła.

Ruszył za nią. Przemierzył szybko ciemną jadalnię i wszedł do holu. Spostrzegł ją daleko na końcu korytarza, stojącą w świetle choinki naprzeciw białych, frontowych drzwi. Zobaczył wokół niej wyraźny kształt dziurki od klucza. Postać dziewczyny wydawała się mała w tym obramowaniu. Podchodził coraz bliżej, jej spokój szokował go. Kiedy znalazł się już na tyle blisko, by móc w mroku dojrzeć rysy twarzy Rowan, jego przerażenie wzrosło.

To nie była jednak ta obrzydliwa kamienna maska, którą widział ostatniej nocy. Ukradkiem spoglądała na niego, a w jej oczach dostrzegał odbłaski choinkowych światełek.

– Zajmę się naszą wieczerzą. Zrobiłem zakupy. – Jak niepewnie brzmiał jego głos, ile w nim było bólu. Próbował się opanować. Wziął głęboki oddech i zacisnął dłonie w kieszeniach. – Mogę już zacząć. Przyniosłem małego indyka. Będzie gotowy za parę godzin, mam wszystko co potrzeba. Usiądziemy do stołu zastawionego porcelaną. Nigdy jej nie używaliśmy. Nigdy nie jedliśmy posiłku w salonie. To jest... Wigilia.

– Musisz iść – powiedziała.

– Ja... Nie rozumiem.

– Musisz teraz stąd wyjść.

– Rowan?

– Musisz wyjść, Michael. Muszę tu zostać sama.

– Kochanie, nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Wynoś się, Michael. – Jej głos stawał się coraz ostrzejszy. – Chcę, żebyś poszedł.

– Jest Wigilia, Rowan. Nie zamierzam nigdzie wychodzić.

– To mój dom, Michael. Mówię ci, że masz wyjść. No, jazda!

Patrzył na nią przez chwilę. Widział jak jej wymizerowana twarz się zmienia. Dostrzegał grymas ust. Oczy dziewczyny zwęziły się, pochyliła lekko głowę i spojrzała na Michaela spod brwi.

– To... nie ma żadnego sensu, Rowan. Wiesz co mówisz? Zrobiła parę kroków do przodu. Nie dał się przestraszyć. Jego lęk zamieniał się w gniew.

– Idź precz, Michael! – krzyknęła. – Wynoś się z tego domu i pozwól mi zrobić to, co muszę.

Gwałtownie podniosła rękę i zanim zrozumiał, co się dzieje, wymierzyła mu policzek.

Poczuł piekący ból. Gniew narastał. Był bardziej gorzki i bolesny niż jakikolwiek dotąd. Patrzył na nią zaszokowany i wściekły.

– Nie jesteś sobą, Rowan – powiedział. Zrobił ruch, jakby chciał ją uderzyć, ale powstrzymał się. Odepchnęła go, zatoczył się na ścianę. Rozwścieczony, całkowicie wytrącony z równowagi, wpatrywał się w Rowan. Podeszła bliżej. Jej oczy pałały.

– Wynoś się – wyszeptała. – Słyszysz, co mówię? Ogłuszony patrzył, jak szczupłe palce zaciskają się na jego ramieniu. Popchnęła go w kierunku drzwi. Był zaskoczony siłą Rowan, ale nie chodziło tu o siłę fizyczną. Emanowała z niej złość, maska nienawiści znowu zakrywała rysy.

– Wynoś się z tego domu, rozkazuję ci – powiedziała, uwalniając jego ramię. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Wtargnął zimny wiatr.

– Jak możesz mi to robić? – zapytał. – Odpowiedz. Jak możesz? Zdesperowany wyciągnął rękę ku Rowan, złapał ją i potrząsnął.

Odwróciła się i popatrzyła mu w oczy tak, jakby wzrokiem chciała go zmusić do tego, żeby pozwolił jej zostać samej.

– Nie potrzebuję cię martwego, Michael – wyszeptała. – Jeśli mnie kochasz, odejdz. Wróc, kiedy cię wezwę. Muszę zrobić to bez niczyjej pomocy.

– Nie mogę. Nie zrobię tego.

Odwróciła się tyłem i poszła w głąb domu. Podążył za nią.

– Rowan, nie wyjdę! Słyszysz? Nieważne, co się stanie. Nie zostawię cię. Nie prosz o to.

– Wiedziała, że nie pójdziesz – powiedziała łagodnie, gdy wszedł za nią do

ciemnej biblioteki. Ciężkie aksamitne zasłony były zasunięte i ledwie dostrzegął w mroku jej sylwetkę. Podchodziła do biurka.

– Rowan, nie możemy tak żyć dalej, nie rozmawiać o tym. To nas zniszczy. Posłuchaj mnie.

– Michaelu, mój piękny aniele, mój archaniele – powiedziała przytłumionym głosem. – Prędzej umrzesz, niż mi zaufasz, prawda?

– Rowan, jeśli zajdzie taka potrzeba, będę z nim walczył gołymi rękami. – Podszedł do niej. Gdzie się zapala światło w tym pokoju? Wyciągnął rękę w poszukiwaniu włącznika mosiężnej lampy stojącej przy krześle. Wtedy właśnie odwróciła się gwałtownie i raptownym gestem wymierzyła coś w jego kierunku. Zobaczył uniesioną strzykawkę.

– Nie, Rowan!

W tej samej chwili igła wbiła mu się w ramię.

– Chryste, co mi zrobiłaś? – Nogi ugięły się pod nim i upadł. Przewrócona lampa potoczyła się po podłodze. Leżał i patrzył prosto na ostry kawałek potłuczonej żarówki.

Próbował wymówić jej imię, ale usta nie poruszyły się.

– Śpij, skarbie – powiedziała. – Kocham cię, kocham z całego serca.

Gdzieś bardzo daleko słyszał dźwięk obracającej się tarczy telefonu. Głos Rowan był bardzo cichy i słowa... Co mówiła? Rozmawiała z Aaronem. Tak, Aaron...

Kiedy go podnosili, wyszeptał imię przyjaciela.

– Pojedziesz do Aarona, Michael – rzekła cicho.

– Z tobą – usiłował powiedzieć, ale znów stracił przytomność. Samochód zwolnił na zakręcie, usłyszał męski głos: – Będzie dobrze, panie Curry. Jedziemy do pańskiego przyjaciela. Proszę tylko leżeć spokojnie. Doktor Mayfair mówiła, że poczuje się pan dobrze.

Dobrze, dobrze, dobrze...

Najemnicy. Nic nie rozumiecie. Ona jest czarownicą. I za pomocą trucizny

rzuciła na mnie urok, jak Charlotta na Petyra, i cholernie was okłamała.

Świecek na choince paliły się, roztaczając krąg łagodnego światła. Poza tym dom drzemał w ciepłej ciemności. Mróz pukał do okien, ale nie mógł wdrzeć się do środka.

Siedziała na środku sofy z założonymi rękoma i patrzyła daleko w głąb pokoju, na wysokie lustro, w którym blado odbijała się jasność otaczająca drzewko.

Wskazówki na starym, należącym kiedyś do dziadka zegarze, wolno przesuwały się ku dwunastej.

Ta noc jest taka ważna dla ciebie, Michael. Chciałeś, żebyśmy spędzili ją razem. Będąc na krańcach świata, nie byłbyś dalej ode mnie niż teraz. To jak Wigilia, podczas której Lemle prowadził mnie przez kolejne drzwi w głąb swego pogrążonego w ciemności, sekretne laboratorium. Co ten koszmar może mieć z tobą wspólnego, kochanie?

Przez całe życie, długie czy krótkie, będzie pamiętała twarz Michaela, gdy wymierzyła mu policzek; brzmienie głosu, gdy błagał, by nie kazała mu odejść i wyraz szoku, kiedy wbijała igłę w jego ramię.

Więc dlaczego jest tak spokojna? Dlaczego wciąż ogarnia ją tylko pustka i jałowy bezruch? Miała na sobie luźną, miękką flanelową koszulę nocną. Bose stopy opierała na ciepłym chińskim dywaniku. Czuła się jednak naga, samotna, i to aż tak, jakby nigdy nie doznała ciepła i wygody.

Coś poruszyło się pośrodku pokoju. Gałązki choinki drżały, a małe, srebrne

dzwonki wydawały dźwięk przypominający w ciszy ledwie słyszalną muzykę. Aniołki z połączanymi skrzydłami tańczyły na długich, złotych nitkach.

Mrok gęstniał, narastała ciemność.

– Ta godzina nadchodzi, ukochana. Czas wyboru.

– Masz poetycką duszę – powiedziała, wsłuchując się w nieśmiałe echo własnego głosu.

– Tej poezji nauczyłem się od ludzi. Od tych, którzy przez tysiące lat kochali tę noc nad nocami.

– I teraz, ponieważ nie wiem, jak przenieść cię na drugą stronę, chcesz mi przekazać tę umiejętność.

– Ty nie wiesz? Czyż nie rozumiałaś tego zawsze?

Nie odpowiedziała. To przypominało film – intensyfikujące się obrazy z jej snów pozwalały na moment się uchwycić, potem odchodziły, a samotność i chłód stawały się coraz większe, niemal nie do zniesienia.

Ciemność gęstniała, skupiała się w kształty i wirujące struktury. Rowan wydawało się, że widzi zarys szkieletu. Kości tańczyły, gromadziły się razem, a potem, zalane światłem z choinki, powlokły się ciałem. Cudowne, błyszczące zielone oczy patrzyły na nią.

– Ten moment jest już bliski, Rowan – powiedział.

Ze zdumieniem ujrzała poruszające się usta. Zobaczyła błysk zębów. Uświadomiła sobie, że bezwiednie podniosła się i stoi przy nim. Idealne piękno jego twarzy oszalało dziewczynę. Wyższy od Rowan spoglądał na nią z góry. Jego oczy lekko ściemniały, a jasne rzęsy złociły się w świetle.

– To niemal doskonałość – wyszeptała.

Dotknęła jego twarzy i przesunęła po niej ręką. Zatrzymała palce na mocno zarysowanej szczęce. Drugą dłoń położyła mu na klatce piersiowej. Zamknawszy oczy, wsłuchiwała się w wyczuwalny rytm serca. Wyobraziła sobie wewnątrz ze wszystkimi żyłami, arteriami i naczyniami, w których krążyła krew.

– Wszystko, co musisz zrobić, to poddać się! – Stała patrząc na niego, widząc wargi układające się w uśmiech. – Puść – powiedziała. – Nie widzisz, że dokonałeś przemiany?

– Dokonałem? – zapytał. Mięśnie jego twarzy poruszyły się, zmrużył oczy. Wyglądał jak skupiony na czymś człowiek. – Myślisz, że mam ciało? To tylko kopia, rzeźba, posąg. Jest niczym i ty to wiesz. Myślisz, że zwabisz mnie w tę skorupę bez życia. Chcesz, abym spełniał twoje rozkazy jak robot? Chcesz mnie zniszczyć?

– Co ty mówisz? – Zrobiła krok do tyłu. – Nie mogę ci pomóc. Nie mam pojęcia, czego ode mnie oczekujesz.

– Dokąd idziesz, kochanie? – zapytał, unosząc delikatnie brwi. – Myślisz, że uda ci się uciec ode mnie? Spójrz na zegar, moja śliczna. Wiesz, czego chcę. To jest Wigilia, Rowan. Godzina czarownic jest tuż, tuż. Chrystus przyszedł na świat i w końcu Słowo stało się ciałem. Ja także się narodzę, moja piękna czarownico, jestem już tylko oczekiwaniem.

Gwałtownie ruszył do przodu, jedną ręką chwycił dziewczynę w pasie, drugą ujął za ramię. Przeniknął ją podmuch ciepła i wtedy nagle poczuła mdłości.

– Trzymaj się z dala ode mnie! – wyszeptała. – Nie mogę tego zrobić. – Przeszywając spojrzeniem tę stojącą przed nią istotę, przywoływała na pomoc całą swoją wolę i cały swój gniew. – Nie zmusisz mnie, bym uczyniła coś, czego nie chcę – powiedziała. – A nie możesz tego zrobić beze mnie.

– Znasz moje odwieczne marzenie. Nigdy więcej żadnych martwych powłok, prymitywnych iluzji. Żywe ciało w twoim wnętrzu. Jakie inne na świecie czeka na mnie, równie giętkie i podatne, złożone z milionów maleńkich komórek, których doskonałości nie jest w stanie wykorzystać. Jaki jeszcze organizm powiększa tysiąckrotnie własny rozmiar w pierwszych kilku tygodniach istnienia i gotowy jest teraz, by się rozciągnąć, wydłużyć, rozszerzyć, gdy moje komórki wciela się w niego.

– Wynoś się! Trzymaj się z daleka ode mnie i dziecka. Jesteś rzeczą, głupią i

szaloną. Nie tkniesz ani jego, ani mnie! – Drżała. Jej gniew był zbyt wielki, by mogła nad nim zapanować. Czowała wrzącą w żyłach krew. Miała spocone, mokre stopy, pośliznęła się na podłodze, kiedy wściekła odwracała się, by skierować swoją wszechogarniającą złość wprost na Lashera.

– Myślałaś, że mnie oszukasz, Rowan? – powiedział wolno tym swoim melodyjnym, pełnym cierpliwości głosem. Jego piękna postać nie ginęła, trwała. – Wydawało ci się, że zwiedzisz mnie przedstawieniem odegranym przed Michaeliem i Aaronem? Sądzisz, że nie widzę głębi twojej duszy? To ja ją stworzyłem. Wyselekcjonowałem geny, które się na ciebie złożyły. Wybrałem rodziców, przodków. Ja cię spłodziłem, Rowan. Wiem, gdzie ciało i dusza spotykają się w tobie. Znam twą moc jak nikt inny. Zawsze wiedziałaś, czego chcesz. Zrozumiałaś wszystko, kiedy poznawałaś dzieje Mayfairów. Widziałaś w laboratorium Lemlego embriona otoczonego siecią przewodów i rurek wypełnionych substancjami chemicznymi. Wiedziałaś! Wiedziałaś! Uciekłaś stamtąd, bo zdawałaś sobie sprawę, co twoja odwaga i siła mogą zdziałać, nawet beze mnie, bez wiedzy o tym, że czekam, kocham cię i że mam dla ciebie największy z możliwych podarunków – siebie samego, Rowan, pomożesz mi lub to małe dziecko umrze, kiedy wejdę w nie. A na to nigdy nie pozwolisz.

– Boże, Boże ratuj! – szeptała. Wpatrywała się w Lashera, skrzyżowawszy ręce na brzuchu, jakby w obronie przed ciosem.

Zgiń skurwielu, przepadnij!

Wskazówki przesunęły się, wydając cichy dźwięk. Stały w jednej linii. Zegar zaczął wybijać północ.

– Chrystus się narodził! – zawołał. Jego głos zagłuszył kolejne uderzenia. Ludzki kształt wirował jak powietrzna trąba, unosił się pod sufit i roztopiał w wielkiej, kipiącej chmurze ciemności.

Krzyknęła i gwałtownie cofnęła się. Wstrząs przebiegł przez ściany domu. Towarzyszył temu odgłos przypominający ryk trzęsienia ziemi.

– Nie, Boże nie! – wykrzyknęła z panicznym lękiem. Odwróciła się i

wybiegła do holu. Chwyciła za klamkę frontowych drzwi. – Boże, ratuj mnie! Michael, Aaron!

Ktoś musi usłyszeć te krzyki. W uszach dziewczyny brzmiał ogłuszający łoskot, rozrywał ją na strzępy, narastał. Czuła niewidzialne dłonie na ramionach. Została brutalnie ciśnięta na drzwi. Jej ręka ześliznęła się z klamki. Rowan osunęła się na kolana, poczuła ból w udach. Ciemność gęstniała, żar narastał.

– Nie, tylko nie moje dziecko! Będę walczyć do ostatniego tchu. Zniszczę cię. – Wpadła w skrajną, desperacką furję. Stawiała czoło otaczającej wszystko wokół ciemności, pluła na nią z nienawiścią, życzyła śmierci. Niewidzialne ramiona otoczyły Rowan i zaczęły ciągnąć w głąb domu.

Szarpięta za nogi uderzyła głową o podłogę. Patrzyła w górę, wymachiwała rękami, usiłowała wstać. Ciemność kipiała, wrzała nad nią.

– Przeklinam cię, wracaj do piekła, Lasher, zdychaj! Zgiń jak Carlotta! Precz! – krzyczała.

– Tak Rowan, twoje dziecko, twoje i Michaela.

Głos otaczał ją teraz jak mrok i gorąco. Odepchniętą do tyłu głową znów uderzyła o podłogę. Rozrzucone ramiona miała przygwożdżone, unieruchomione, bezradne.

– Będziesz moją matką, a Michael ojcem. To jest godzina czarownic, Rowan. Zegar bije. Stanę się ciałem. Urodzę się.

Ciemność zawirowała znowu, skręcając się wokół siebie spływała w dół. Wdzierała się w nią, gwałciła, rozrywała na strzępy, jak olbrzymia pięść wciskała się w jej łono. Ciało Rowan, chwyczone w ostre kleszcze smagającego bólu, drżało konwulsyjnie. Pod zamkniętymi mocno powiekami widziała oślepiającą jasność.

Żar był nie do zniesienia. Fala bólu wstrząsała nią raz po raz. Krwawiła. Wody płodowe płynęły po podłodze.

– Zabiłeś je, diabelski pomiole. Zamordowałeś moje dziecko. Bądź przeklęty! Boże, pomóż! Zabierz to z powrotem do piekła! – Walila pięściami w

ścianę. Podpierając się o mokrą podłogę, próbowała wstać. Mdlilo ją od gorąca, ścisnęło w płucach, łaknęła powietrza.

Dom palił się. Musiał być w ogniu. Ona płonęła. Żar pulsował w jej wnętrzu. Rowan wydawało się, że widzi rosnące płomienie, ale był to tylko odrażający, wielki strumień straszego, czerwonego światła. W końcu jakoś uniosła się na rękach i kolanach. Wiedziała, że jej ciało jest puste i dziecko nie żyje. Walczyła, starając się uciec. Raz jeszcze, desperacko, w przypiływie dzikiego, nieustępliwego skurczu sięgnęła do klamki.

– Michael, Michael, pomóż mi! O Boże, próbowałam to oszukać, zabić. Michael, on jest w naszym dziecku. – Przyszedł kolejny atak bólu i z ciała dziewczyny wypłynął nowy potok krwi.

Szlochała, kręciło jej się w głowie, chwilami traciła przytomność. Nie mogła ruszać nogami ani rękoma. Upał dobijał ją, łyzy strumieniem płynęły po twarzy. Słyszała płacz dziecka. Ten sam straszny dźwięk, który powracał w jej snach. Kwilący dziecięcy głosik. Nie mogła tego znieść, próbowała zakryć uszy, chciała, by ucichł. Dusila się od gorąca.

– Pozwól mi umrzeć – szeptała – pozwól, bym spłonęła. Zabierz mnie do piekła. Pozwól umrzeć.

Pomóż mi. Jestem cielesny. Pomóż mi lub zginę. Rowan, nie możesz odwrócić się do mnie plecami.

Mocniej przycisnęła ręce do uszu, ale nie mogło to stłumić telepatycznie przekazywanego głosu, który narastał i opadał wraz ze szlochem dziecka. Ręce pośliznęły się jej na lepkiej podłodze, głowa opadła, twarz zanurzyła się we krwi. Przewróciła się na plecy i znów zobaczyła strumień żaru. Krzyk dziecka rósł i rósł, jakby umierało z głodu, było w agonii.

Rowan, pomóż mi! Jestem twoim synem! Twoim i Michaela! Potrzebuję cię!

Jeszcze zanim spojrzała, wiedziała, co ujrzy. Przez łyzy i fale gorąca dostrzegła manekina, potworka. *Nie z mego ciała, nie zrodzony ze mnie. Ja nie...*

Leżał na plecach. Gdy płakał, jego głowa, wielkości głowy dorosłego

człowieka, opadała z boku na bok. Cienkie ramiona wydłużały się, palce błędziły po omacku, zaciskały się, rosły. Jak dziecko przebierał drobnymi nogami w powietrzu. Na rękach, napiętych łydkach, puciołowatych policzkach, lśniących włosach miał krew i śluz. Miliony komórek dzieliło się i łączyło z jej komórkami, jak podczas nuklearnej eksplozji. Rowan przyglądała się wzrastającemu tworowi z krwi i kości, mutantowi, dziecku, które z niej się narodziło.

Rowan, jestem żywy, nie pozwól mi umrzeć. Nie daj mi umrzeć. Masz moc ocalania życia. Jestem żywy. Pomóż mi.

Szarpnęła się w jego kierunku, wciąż wstrząsana spazmami bólu. Kiedy objęła rękoma to miękkie, śliskie dziecięce ciało, spłynęła na nią ciemność i pod zamkniętymi powiekami ujrzała rozwijające się narządy, stary cud łączenia się komórek tworzących tkanki kości, włókna płuc, wątroby, żołądka. Zlewały się z nimi jego komórki, jego siła. Wcielały się w DNA i cienki łańcuch chromosomów. A wszystko to działo się dzięki jej wewnętrznej wiedzy, która jest jak symfonia w umyśle kompozytora – nuta za nutą, takt po takcie, crescendo następujące po crescendo.

Jego ciało, oddychające, żywe, drżało pod jej palcami. Płacz stawał się coraz bardziej chrapliwy, głębszy. Powracał echem, gdy traciła przytomność, a potem znów narastał. Położyła dłoń na jego głowie – drobnych lokach, drgających powiekach i wpół przymkniętych ustach, z których wyrывał się szloch. Dotykała klatki piersiowej i czuła bijące wewnątrz serce. Ta istota była teraz już tak duża, że Rowan mogła położyć głowę na miarowo unoszącym się torsie. Jego pierś poruszała się rytmicznie, kiedy nabierał w płuca powietrze. Serce pulsowało. Natknęła się dłonią na jedwabiste włosy wyrastające wokół członka.

Usłyszała głos przemawiający cicho i łagodnie.

– Zataj krew.

Nie mogła odpowiedzieć.

– Krwawisz. Zataj krew.

– Nie chcę żyć – wyszeptała. Z pewnością dom palił się. Przyjdź, stara kobieto, ze swoją lampą. Wznieć wszędzie ogień.

Lemle powiedział: „Nigdy nie mówiłem, że to niemożliwe. Kiedy już raz wyobrazisz sobie szansę na jakiś rozwój, wykorzystanie jej będzie nieuniknione. Embrion i miliony jego komórek – to klucz do nieśmiertelności”.

– Wciąż możesz go zabić – odezwał się Petyr, spoglądając na nią.

– Oni są tworamii twojej wyobraźni, świadomości – rzekł nowo narodzony.

– Czy ja umieram?

– Nie – roześmiał się cicho. – Słyszysz? Śmieję się, Rowan. Mogę się teraz śmiać.

– Zabierz mnie do piekła. Pozwól umrzeć.

– Nie, kochanie. Zatrzymaj krwawienie, mój skarbie.

* * *

Obudziło ją światło słońca. Leżała na podłodze w salonie, na miękkim chińskim dywanie. Natychmiast uświadomiła sobie, że dom nie spłonął. Obrzydliwy żar nie strawił rezydencji. Jakoś ocalała.

Przez moment nie mogła zrozumieć, co widzi.

Jakiś mężczyzna siedział obok i patrzył na nią. Skórę miał gładką i delikatną jak u dziecka. Bardzo przypominał Rowan. Nigdy nie spotkała nikogo, kto byłby do niej tak podobny. Istniały jednak między nimi zasadnicze różnice. Miał ciemne włosy i duże, ocienione czarnymi rzęsami niebieskie oczy – oczy i włosy Michaela. Cechowała go jednak drobna budowa, niemal identyczna jak jej własna. Jego ręce były szczupłe, choć dobrze umięśnione. Wąskie i delikatne palce, którymi, patrząc na dziewczynę, w zadumie gładził usta, przypominały dłonie Rowan.

Był znacznie wyższy od niej, miał wzrost dorosłego mężczyzny. Zaszła krew i śluz pokrywały jego ciało jak ciemna, czerwona sieć żyłek.

Z początku zaczęła cicho jęczeć. Wstając z podłogi, krzyczała. Głośniej, dłużej, bardziej przeraźliwie niż w jakiegokolwiek chwili ostatniej, potwornej nocy. W krzyku tym było wszystko, co przeżyła, widziała i co pamiętała z pełnego grozy zajścia.

Położył rękę na ustach dziewczyny, pchnął ją z powrotem na dywan. Nie mogła się ruszyć. Wrzask potężniał w niej, był jak duszące wymioty. Ciało przeszył dojmujący skurcz bólu. Leżała słaba i cicha.

Pochylił się nad nią.

– Nie rób tego – wyszeptał tym samym co niegdyś głosem o niepowtarzalnej modulacji.

Zaróżowione policzki, wąski nos, duże niebieskie oczy i wyraz zdziwienia na jego twarzy sprawiały, że wyglądał absolutnie niewinnie. Patrzył na nią tak, jakby jej nie widział, mrugał szybko powiekami – zupełnie jak leżący na stole manekin ze snu. Uśmiechnął się. – Potrzebuję cię – powiedział. – Kocham cię, jestem twoim dzieckiem.

Po chwili cofnął ręce.

Usiadła. Koszulę miała sztywną od zakrzepłej krwi, której zapach unosił się wszędzie. Odsunęła się. Siedziała na dywanie z podwiniętymi nogami i patrzyła na niego.

Piękna twarz – świetnie, ładne ręce – doskonale, duży członek – znakomicie, ale jak to ciało, każda z drobnych, precyzyjnych części, będzie funkcjonować?

Przysunęła się bliżej. Patrzyła na mocne ramiona, poruszaną oddechem klatkę piersiową, a potem spojrzała w jego oczy. Nie zwracała uwagi na to, że on też patrzy, po prostu studiowała badawczo tę twarz.

Położywszy rękę na szczupłej piersi, wyczuła mocny rytm serca.

Nie próbował jej powstrzymać, kiedy dotykała jego skroni. Czaszka była miękka jak u niemowlęcia, zdolna zagoić się po uderzeniu, które zabiłoby dorosłego mężczyznę. Ale jak długo tak będzie?

Oparła palec na dolnej wardze, rozchyliła usta i zaczęła oglądać język.

Usiadła z powrotem na dywanie i położyła ręce na kolanach.

– Czy coś ci jeszcze dolega? – zapytał, a jego głos był czuły i delikatny. Zmrużył oczy i na moment w jego twarzy pojawiła się odrobina dojrzałości. A potem powrócił na nią wyraz dziecięcego zdumienia. – Straciłaś tak wiele krwi...:

Długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Przyglądał się Rowan i po prostu czekał.

– Nie, nic mi nie jest – mruknęła, i znów na dłuższy czas utkwiała w nim wzrok. – Potrzebuję różnych rzeczy – powiedziała w końcu. – Niezbędny jest mikroskop. Muszę pobrać próbkę krwi i zobaczyć, czym te tkanki są teraz. Boże, potrzebuję całego, dobrze wyposażonego laboratorium. Trzeba się stąd wydostać.

– Możesz wstać?

– Nie wiem.

– Spróbuj. – Klęknięła i wspierając się o obramowanie kominka dźwignęła w górę.

Chwyciła go za zaciśnięte dłonie.

– Wstań. Nie myśl o tym, tylko po prostu to zrób. Zmusz swoje ciało, by odkryło, że ma mięśnie. To jest to, co różni ciebie od noworodka – posiadasz szkielet i mięśnie dorosłego człowieka.

– Dobrze, spróbuję – powiedział. Wyglądał na dziwnie uradowanego, choć trochę wystraszonego. Drżąc, oparł się najpierw na kolanach tak jak ona, a potem wstał. Zatoczył się i by nie upaść, zrobił kilka gwałtownych kroków do tyłu.

– Ooooch... – wyśpiewał. – Chodzę, naprawdę chodzę.

Rzuciła się w jego kierunku, podtrzymała ramieniem pozwalając, by do niej przylgnął. Uciszył się i spojrzał na Rowan, następnie wyciągnął rękę i poklepał ją po policzku. Jego ruchy były źle skoordynowane, przypominały gesty pijaka, ale palce miał sprawne.

– Rowan, moja piękna – powiedział. – Spójrz, łzy napływają mi do oczu. Prawdziwe łzy. Och, Rowan!

Próbował stać o własnych siłach. Pochylił się, by ją pocałować. Chwyliła go i pomogła utrzymać równowagę, wtedy przycisnął wargi do jej ust. Przeszył ją silny dreszcz, ten sam, który zawsze przychodził z jego dotknięciem.

– Rowan – jęknął głośno, ściskając dziewczynę mocno, a potem nagle zachwiał się. Wzięła go szybko w ramiona.

– Chodź, nie mamy wiele czasu – powiedziała. – Musimy znaleźć jakieś miejsce, bezpieczne, nikomu nie znane.

– Dobrze, kochanie, dobrze... ale widzisz, to wszystko jest takie nowe i piękne. Pozwól mi objąć się raz jeszcze i pocałować...

– Nie czas teraz – odparła, ale jedwabiste wargi dziecka znów przycisnęły się do jej ust. Czowała twarde członek napierający na łono, naciskający do bólu. Odsunęła się, wzięła Lashera za rękę i pociągnęła za sobą.

– Tak właśnie – powiedziała, spoglądając na jego stopy. – Nie myśl o tym, po prostu patrz na mnie i chodź.

Przez sekundę zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na kształt dziurki od klucza. Przypomniała sobie rozmowę o jej znaczeniu. Całe życie stanęło Rowan przed oczami, radości i smutki, zmagania i składane sobie obietnice. Zobaczyła też inne drzwi. Te, które przez moment widziała milion lat temu, kiedy jako dziewczynka po raz pierwszy otworzyła magiczną księgę wiedzy. Teraz już wszystko było w porządku, zniknęła gdzieś groza laboratorium Letniego i Holendrzy zgromadzeni wokół stołu w mitycznej Lejdzie.

Idąc ostrożnie, krok za krokiem, prowadziła go wolno po schodach na górę.

Próbował obudzić się, ale za każdym razem, gdy zbliżał się do powierzchni jawy, ciężki i senny opadał w dół. Tonął w miękkiej, puszystej kołdrze przykrywającej łóżko. Desperacko chciał ocknąć się, ale nie był w stanie.

W końcu obudziły go mdłości. Wydawało mu się, że od zawsze siedzi na tej podłodze w łazience, naprzeciw drzwi, i wymiotuje tak intensywnie, że aż czuje ból wokół żeber. Żołądek był już pusty, mdłości męczyły go niemiłosiernie. Odnosił wrażenie, że to nigdy nie minie.

Pomieszczenie wirowało, ktoś wszedł wreszcie do środka i zaczął stawiać go na nogi. Chciał przeprosić, że zamknął drzwi i powiedzieć, że próbował sięgnąć do klamki, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa.

Północ. Widział zegar na kredensie. Wigilia. Chciał jakoś przekazać, że to ma znaczenie, ale mógł tylko myśleć o mężczyźnie stojącym za żłóbkiem w kościele. Znow zasypiał, głowa opadała mu na poduszkę.

Kiedy ponownie otworzył oczy, przy łóżku stał doktor. Michael nie mógł sobie uprzytomnić, kiedy już widział tego lekarza.

– Panie Curry, czy orientuje się pan, co to był za zastrzyk?

Nie. Myślałem, że mnie zabija. Myślałem, że umrę. Sama próba poruszenia wargami sprawiała, że go mdliło. Kiwnął tylko przecząco głową i to też wywołało nudności. Za oknem, przez oszronione szyby, widział wciąż ciemność nocy.

– ...przynajmniej przez następne osiem godzin – powiedział doktor.

– Śpij, Michael, nie przejmuj się, śpij.

– Pozostałe funkcje organizmu – w normie. Czysta woda, jeśli poprosi o coś do picia. W przypadku nastąpienia najmniejszej zmiany...

Zdradziecka wiedźma. Wszystko zniszczone. Człowiek uśmiechający się do niego zza żłóbka. Oczywiście, to był ten moment, odpowiedni czas. Wiedział, że utracił Rowan na zawsze. Pasterka się skończyła. Jego matka płakała, bo umarł ojciec. Nic nie będzie już teraz takie samo.

– Po prostu prześpij to. Jesteśmy z tobą.

Zawiodłem. Nie powstrzymałem go. Straciłem ją na zawsze.

* * *

– Jak długo tu jestem?

– Od wczorajszego wieczoru.

Ranek Bożego Narodzenia. Patrzył za okno, bał się poruszyć, żeby fala mdłości znów nie powróciła. – Nie pada już, prawda? – zapytał. Ledwo dosłyszał odpowiedź, że śnieg przestał sypać jakiś czas przed świtem. Zmusił się, żeby usiąść. Czuł się nieco lepiej. Wciąż bolała go głowa, miał trochę zamglony wzrok – nie było to jednak nic gorszego niż kac.

– Proszę poczekać, panie Curry. Zawołam Aarona. Lekarz chce pana zobaczyć.

– Dobrze, ale czy mogę się już ubrać?

Jego torba podróżna ze wszystkimi rzeczami stała w łazience. Wziął prysznic i walcząc z chwilowymi nawrotami mdłości, ogolił się szybko. Wyszedł z łazienki. Miał ogromną ochotę zatonać z powrotem w łóżku, ale powiedział:

– Muszę tam wrócić, zobaczyć, co się stało.

– Poczekaj, proszę – odezwał się Aaron. – Zjedz coś, zobaczysz, jak się będziesz czuł.

– To teraz nieważne. Możesz mi dać samochód? Jeśli nie, pojedę stopem.

Wyrzał przez okno. Śnieg nadal leżał na ziemi. Drogi będą niebezpieczne. Musiał już iść.

– Posłuchaj, nie wiem, jak ci dziękować za opiekę.

– Co zamierzasz zrobić? Nie masz pojęcia, co możesz tam znaleźć. Ostatniej nocy powiedziała mi, żebym dopilnował, byś nie wracał.

– Do diabła z tym, co powiedziała. Jadę.

– Więc jadę z tobą.

– Nie, zostaniesz tutaj. To sprawa między mną a Rowan. Daj mi samochód. Wyjeżdżam.

* * *

To był ogromny, szary lincoln, miejski wóz nie w jego stylu, ale miękkie, skórzane siedzenia miał wygodne. Kiedy docierał do międzystanowej autostrady, samochód naprawdę mknął. Do tego momentu Aaron jechał za nim. Ale teraz, kiedy Michael wyprzedzał jeden samochód za drugim, nie widział już przyjaciela za sobą.

Po obu stronach drogi leżał brudny śnieg. Lód jednak stopniał. Niebo było idealnie niebieskie, powietrze ostre i przejrzyste. Dopadł go ból głowy, powodując regularne nawroty mdłości. Starał się temu nie poddawać. Nogę trzymał na gazie i wjeżdżając do Nowego Orleanu miał na liczniku dziewięćdziesiątkę.

Minął cmentarz w Metairie, przejechał obok amfiteatru w Superdome, który wyglądał jak latający spodek opadający wśród drapaczy chmur i wież kościołów.

Niemal wpadł w poślizg, gdy skręcając w Aleję świętego Karola, przyhamował zbyt gwałtownie. Samochody wlokły się między pasami zamrożonego na kość śniegu.

Nie minęło pięć minut, gdy dotarł na ulicę Pierwszą. Lincolnem znów niebezpiecznie zarzuciło. Wolno jechał po śliskim asfalcie, aż zobaczył wyglądający jak ponura forteca dom, który wyrastał w cienistym, pokrytym śniegiem kącie.

Brama nie była zamknięta. Otworzył drzwi i wszedł. Przez moment stał jak skamieniały. Wszędzie na podłodze ciemniały kałuże i smugi krwi. Na drzwiach zobaczył krwawe ślady dłoni. Ściany wyglądały jak osmalone przez ogień.

Przykry zapach przypominał woń pokoju, w którym umarła Deirdre.

Widział plamy krwi, odciski stóp wiodące do salonu, lepki śluz rozmazany na parkiecie. Chiński dywan był cały czerwony. Na choince płonęły świece, drzewko stało w głębi salonu jak nieuważny wartownik, ślepy i głuchy świadek, który nie może opowiedzieć, co się stało.

Nieznośny ból głowy był niczym wobec straszliwego ucisku w piersiach i gwałtownego bicia serca. Poczul, jak narasta w nim gniew. Jego dłoń konwulsyjnie zacisnęła się w pięść.

Odwrócił się, wyszedł z salonu i podążył do jadalni.

W drzwiach bezszelestnie zatrzymała się jakaś postać, wpatrywała się w niego, jedną rękę unosząc ku framudze.

Był to dziwny gest, zdradzający niezdecydowanie. Człowiek przed nim wyglądał jak w szoku. Michael wpatrywał się w niego, próbując zrozumieć, co widzi.

Mężczyzna był bardzo wysoki i nieproporcjonalnie chudy. Miał na sobie luźne, za duże, pomięte i ściśnięte w pasie spodnie oraz starą, przepoconą koszulę Michaela, która na wąskich ramionach wisiała jak tunika. Jego kręcone włosy były czarne i gęste. Miał bardzo duże niebieskie oczy. Równocześnie jednak przypominał Rowan. Wyglądał niczym brat bliźniak. Skórę miał jedwabistą i młodą, jeszcze gładszą niż Rowan. Jego usta to prawie jej usta, tylko bardziej pełne i zmysłowe. Także oczy, choć duże i niebieskie, miały coś z jej oczu. Jego nieznaczny uśmiech niemal do złudzenia przypominał uśmiech

Rowan.

Zrobił krok w stronę Michaela i widać było, że ledwie trzyma się na nogach. Michael zdał sobie sprawę, co za twór stoi przed nim. I choć przeczyło to zdrowemu rozsądkowi i doświadczeniu, było oczywiste w przerażający sposób, że ta istota jest nowo narodzona, o czym świadczyła przede wszystkim miękka, wspaniała sprężystość dziecka. Szczupłe i długie ręce cechowała niemowlęca gładkość. Podobnie szyja. Twarz nie nosiła jeszcze żadnych śladów przeżyć.

Jednak wyraz twarzy nie był dziecinny. Dominowało w nim zdziwienie, uwielbienie i straszne szyderstwo.

Michael rzucił się na tę postać i schwytał przez zaskoczenie. Trzymał chude, lecz silne ramiona w swoich rękach. Był zdumiony i przerażony wybuchem łagodnego, wibrującego śmiechu.

Lasher, żywy przedtem, żywy znowu, z powrotem w ciele, zwycięski! Twoje dziecko, twoje geny, twoje ciało i jej ciało. Kocham cię, pokonanego i wykorzystanego. Dziękuję ci, mój wybrany ojcze!

Zaslepiiony gniewem Michael stał niezdolny się poruszyć, trzymając dłonie na barkach tej istoty, która walczyła, by wyrwać się z uścisku. I nagle zataczając rękoma łuk, jak ptak zrywający się do lotu, uwolniła się. Michael jęknął.

– Zabiłaś moje dziecko, Rowan! Dałaś je temu potworowi! – szlochał boleśnie, a słowa zlewały się w jego uszach w jeden wielki krzyk: – Rowan!

W głębi jadalni kreatura wiła się, niezdarnie obijała o ściany, wymachiwała w górę rękoma i zaśmiewała się. Uderzyła Michaela w klatkę piersiową, chwyciła i z łatwością cisnęła na stół.

– Jestem twoim dzieckiem, ojcze, cofnij się. Spójrz na mnie.

Michael wstał.

– Spójrzeć na ciebie? Ja cię zabiję!

Rzucił się na znenawidzoną istotę, ale ona tańcząc cofnęła się do sąsiedniego pokoju. Wyginała ciało i rozkładała ręce szyderczym gestem. Wirując dotarła do kuchennych drzwi. Jej nogi plątały się, zginały i prostowały

jak nogi słomianej kukły. Zjadliwy śmiech znów narastał. Był głęboki i pełen obłąkanego rozbawienia. Także we wzroku mutanta tkwiło szaleństwo i chęć beztroskiej zabawy.

– Dalej, Michael. Nie chcesz znać własnego dziecka? Nie możesz mnie zabić. Nie możesz zniszczyć własnego ciała i krwi. Mam w sobie twoje geny. Jestem tobą, jestem Rowan. Jestem waszym synem.

Michael rzucił się ponownie na niego, złapał i pchnął na francuskie drzwi. Zadrżały szyby pod wpływem wstrząsu. Wysoko, na froncie domu, włączył się alarm. Jego dźwięk potęgował harmider i zamęt.

Michael zacisnął ręce na szyi walczącej z nim istoty, która z wyrazem zdziwienia na twarzy próbowała się uwolnić. Podniosła rękę, zacisnęła pięść i wymierzyła przeciwnikowi cios w szczękę.

Pod Michaeliem ugięły się nogi, przewrócił się i natychmiast przeturlał po podłodze pod ścianę. Drzwi na zewnątrz były otwarte, alarm wciąż był, a ta koszmarna kreatura podskakiwała radośnie i z jakimś odrażającym wdziękiem posuwała się w stronę basenu.

Kiedy wyszedł za nią, kątem oka dostrzegł zbiegającą w dół po kuchennych schodach Rowan. Usłyszał jej krzyk.

– Michael, trzymaj się od niego z daleka!

– To twoja wina, Rowan, ty oddałaś mu nasze dziecko, on w nim jest!

Odwrócił się, podniósł rękę, ale nie potrafił jej uderzyć. Skamieniały wpatrywał się w Rowan. Z pobladłą twarzą i drżącymi ustami była uosobieniem przerażenia. Michael dygotał spazmatycznie, ból ścisnął mu klatkę piersiową jak kleszcze. Wykonał gwałtowny obrót, szukając wzrokiem tej istoty.

Podrygiwała w tył i w przód na śniegu pokrywającym chodnik wokół niebieskiej, falującej wody. Przekrzywiła głowę, klepała się rękoma po udach i wskazywała na Michaela. Jej donośny głos wzniósł się ponad zawrozczenie alarmu.

– Będziesz musiał to przeżyć, jak mówią ludzie. Stworzyłeś coś na kształt

dziecka, Michael. Jestem twoim dziełem. Kocham cię. Zawsze kochałem. Miłość określała moje pragnienia, które pozostały niezmiennie. Daję ci siebie z miłości.

Michael, ślizgając się na zamarzniętym śniegu, zmierzał prosto ku szczerze rozbawionej istocie. Rowan rzuciła się, by go powstrzymać. Poczł ostry ból, kiedy zerwała mu z szyi medalion z wizerunkiem świętego Michała. Pęknięty łańcuszek trzymała w ręku, medalik upadł w śnieg. Szlochała i błagała, by się zatrzymał.

Nie zwracał na nią uwagi. Z rozmachem uderzył tę istotę w głowę. Znowu zaczęła się śmiać, mimo że z rozciętego czoła trysnęła krew. Pochyliła się, ślizgała po lodzie i gwałtownie roztrącała metalowe krzesła.

– Zobacz, co zrobiłeś. Nie wyobrażasz sobie, jakie to wspaniałe uczucie! Zawsze czekałem na tę chwilę, tę niezwykłą chwilę.

Złapała Michaela za lewe ramię i wykręciła je boleśnie. Uniosła brwi i wykrzywiła usta w uśmiechu, ukazując mlecznobiałe zęby i różowy język. Wszystko nowe, wszystko lśniące, wszystko nieskazitelne jak u dziecka.

Michael wymierzył następny cios, czując pod pięścią pękające zębra.

– Tak, lubisz to, ty diabelski pomioście, chciwy skurwielu! Zgiń! – Splunął na mutanta i uderzył raz jeszcze. Z ust popłynęła krew.

– Tak, jesteś teraz w ciele, więc umrzesz w nim!

– Tracę do ciebie cierpliwość – zawyła istota, patrząc na krew kapiącą jej na koszulę. – Patrz, coś zrobił, wyrodny ojczy! – Szarpnęła Michaela, przewróciła go, nie wypuszczając jego rąk z żelaznego uścisku.

– Lubisz to? – krzyknął Michael. – Lubisz krwawiące ciało? Ciało mego dziecka, moje ciało? – Usiłował uwolnić prawą rękę, palce lewej zaciskał na szyi kreatury, wbijając kciuk w jej krtań. Kolanem kopnął w krocze.

W błysku światła znowu zobaczył Rowan. Istota, z którą walczył, zwróciła się teraz przeciw niej, co pozwoliło Michaelowi w końcu się uwolnić. Rowan upadła na balustradę. Zanim zdołała wstać, zwijające się z bólu monstrum

cofnęło się, unosząc ramiona jak skrzydła. Krzyknęło: – Uczysz mnie, ojcze, dobrze mnie uczysz! – Słowa zamieniły się w głuche warczenie. Z pochyloną głową przeciwnik rzucił się na Michaela, potężnym ciosem zwalając go z nóg prosto do basenu.

Rowan wydała z siebie przenikliwy wrzask, który zagłuszył dźwięk alarmu.

Michael zanurzał się w lodowatej wodzie coraz głębiej, aż w końcu błękitna tafla zamknęła się nad nim. Przejmujący chłód sprawił, że stracił oddech. Zesztywniał z zimna, poczuł, że jego ciało uderza o dno. Ostatkiem sił odepchnął się, usiłując wypłynąć. Mokre ubranie oblepiało go jak ciężki pancerz i ściągało w dół. Zdołał jednak wynurzyć się, ale wtedy kolejne uderzenie wepchnęło go pod wodę po raz wtóry. Z jego ust wydobywały się pęcherzyki powietrza. I jeszcze raz to samo: opadanie na dno, lodowata woda. Nie, tylko nie to, nie znowu. Próbował zamknąć usta, ale poczuł w piersiach tak wielki ból, że nie zdołał tego zrobić. Woda wdarła się do płuc. Nie czuł już nic, nie widział kolorów ani światła. W przeblýsku świadomości przypomniał sobie bezkresny, szary Pacyfik i błyski latarni Cliff House migoczące i zanikające w falach.

Nagle odprężył się, zaprzestał walki, nie usiłował wypłynąć ani oddychać. Opuścił swe ciało. Znał to uczucie – lekkość i nieskończona wolność.

Tylko że teraz nie unosił się w górę, nie pokonywał drogi, jaką przebył w tamtym odległym dniu, prosto ku ołowianoszaremu niebu i chmurom, z których mógł zobaczyć całą ziemię z milionami drobnych istnień.

Tym razem był w tunelu, ciasnym i ciemnym, a jakaś niewidzialna siła ściągała go w dół. Podróż zdawała się nie mieć kresu. Opadał gdzieś bezwolnie, pełen dziwnej ciekawości.

I wreszcie otoczyło go silne czerwone światło. To miejsce nie było mu obce. Tak, bębny, ich znajomy, karnawałowy rytm, odgłos marszowych werbli, dźwięki parady Komusa, płynącej wartko przez zimową ciemność aż do smutnego krańca ostatkowej nocy. Płomienie migotały jak pochodnie pod splątanymi konarami dębów i jego lęk był dobrze znanym chłopięcym strachem

sprzed wielu lat. Wszystko, czego się bał, było tutaj, istniało nie w wizji lub na krawędzi snu, ale wokół niego.

Spadł na dymiącą ziemię i kiedy próbował wstać, zobaczył gałęzie dębów, które przebiły sufit salonu, wplątały żyrandol w gęstwinę liści i muskały wysokie lustra. To był prawdziwy dom. Niezliczone ciała, na które nieopatrznie następował, kłębiły się w ciemności. Szare, obnażone postaci cudzołożyły, wiły się w płomieniach i cieniach. Dym falował i unosił się w górę, ku niewyraźnym, wpatrzonym w niego twarzom otaczających go osób. Wiedział kim są. Potknął się i, by utrzymać równowagę, wyciągnął przed siebie rękę, ale dłoń przeszła na wylot przez płonąca skałę. Stopy wpadły w dymiące błoto.

Nadchodziły zakonnice – wysokie, odziane na czarno figury ze sztywnymi białymi kornetami. Pamiętał z dzieciństwa ich twarze i imiona. Grzechotały paciorki różańców, nogi miarowo uderzały w sosnową podłogę. Stały wokół niego kołem. Do środka kręgu weszła Stella. Jej oczy błyszczały, ufryzowane włosy lśniły od pomady. Nagle przyciągnęła Michaela ku sobie.

– Zostawcie go, poradzi sobie sam – powiedział Julien. I on tam był, we własnej osobie, z kręconymi białymi włosami, z małymi pełnymi blasku oczami. Miał na sobie nienagannie skrojone ubranie. Uśmiechał się, uniósł rękę i kiwał na Michaela.

– Dalej chłopcze, wstawaj – mówił z wyraźnym francuskim akcentem. – Jesteś teraz z nami, wszystko skończone, lepiej od razu zaprzestań walki.

– Tak, Michael, wstań – powiedziała Mary Beth – wysoka, postawna kobieta z włosami przetykanymi siwizną. Jej ciemna taftowa spódnica musnęła jego twarz.

– Jesteś wśród nas. – To była Charlotta w wydekoltowanej sukni, o promiennie jasnych włosach i obfitych piersiach. Podnosiła go, choć próbował się wyrwać. Jego ręka przeszła przez klatkę piersiową kobiety.

– Przestańcie, trzymajcie się ode mnie z daleka – krzyczał – Idźcie precz!

Stella była prawie naga, miała na sobie jedynie koszulę, a jedna strona jej

głowy ociekała krwią.

– Dalej, Michael, kochanie! Jesteś tu, by zostać z nami. Nie widzisz? Skończyło się. Dobra robota.

Bębny z głuchym odgłosem, bliżej i bliżej, wybijały żalobną melodię dixielandowej orkiestry. W głębi stała otoczona świecami otwarta trumna. Płomyki próbowały dosięgnąć draperii i spalić to miejsce na popiół.

– To tylko iluzje, kłamstwa! – wołał. – Żałosny trik! – Usiłował się wyprostować i znaleźć drogę ucieczki, ale wszędzie gdzie spojrzał widział okna o dziewięciu szybach, drzwi z dziurkami od klucza, dębowe gałęzie przewiercające sufit i ściany. Cały dom, otoczony wdzierającymi się weń sękatymi drzewami, był jak monstrualny potrzask. Płomienie odbijały się w wysokich lustrach. Zwoje bluszczu i kwitnące kamelie porastały kanapy i krzesła. Bugenwilla rozrastała się na suficie, wiała po obramowaniach kominków. Drobne płatki jej purpurowych kwiatów opadały wprost na szalejące języki ognia.

Jedna z zakonnic wymierzyła mu nagle mocny policzek. Zirytowany poczuł piekący ból.

– Co takiego powiedziałaś, chłopcze? Oczywiście, że jesteś tu z nami. Wstawaj! – krzyczała ordynarnym, szorstkim głosem. – Odpowiedz!

– Nie dotykaj mnie! – wołał w panice. Próbował ją odepchnąć, ale dłoń znów nie napotkała na opór ciała.

Julien z rękoma założonymi do tyłu kręcił głową. Za nim stał Cortland – przystojny, z kpiącym uśmiechem upodabniającym go do ojca.

– Michael, powinno być dla ciebie oczywiste, że spisałeś się znakomicie – mówił Cortland. – Usidliłeś Rowan, przywiodłeś z powrotem, dałeś jej dziecko. Zrobiłeś dokładnie to, czego od ciebie oczekiwaliśmy.

– Nie chcemy walczyć – powiedziała Marguerita. Wyciągnęła ku niemu rękę, włosy spadały wiedzmię na twarz. – Jesteśmy po tej samej stronie, *mon cher*. Wstań, proszę, i chodź do nas.

– Sam wywołałeś całe to zamieszanie – odezwała się Zuzanna. Kiedy pomagała mu wstać, mrugała szybko dużymi, naiwnymi oczami wieśniaczki. Jej piersi prześwitywały przez przetarty materiał ohydnych szmat.

– Dokonałeś tego mój synu – powiedział Julien. – *Eh bien*, byłeś cudowny, oboje byliście, ty i Rowan. Wykonałeś swoją życiową misję.

– Teraz możesz wrócić z nami, przekroczyć przejście – odezwała się Debora. Wyciągnęła ręce do innych, nakazując im gestem rozstąpić się.

Szmaragd pobłyskiwał na ciemnogramatowej, aksamitnej sukni. Dziewczyna z obrazu Rembrandta, z zaróżowionymi policzkami i jaśniejącymi oczami, równie pięknymi jak klejnot na jej szyi. – Nie rozumiesz? Taki był pakt. Teraz, kiedy on przeszedł, wszyscy możemy wrócić. Rowan wie, jak poprowadzić nas z powrotem, tą samą drogą, którą przeprowadziła Lashera. – Nie, Michael, przestań się szamotać. Musisz być z nami i czekać na swoją kolej. Inaczej pozostaniesz martwy na zawsze.

– Wreszcie wszyscy jesteśmy zbawieni, Michael – powiedziała wątła Antha, stojąca z boku jak mała dziewczynka w prostej, kwiecistej sukience. Krew spływała z rany w tyle głowy. – Nie wyobrażasz sobie, jak długo tu czekaliśmy. Teraz jeden fałszywy krok...

– Tak, zbawieni – potwierdziła Marie Claudette. Siedziała obok Marguerity na ogromnym łóżu z czterema kolumnami. Płomienie okręcały się wokół nich, ogarniały baldachim. Lestan i Maurice stali przy łóżku, patrząc na nie z wyrazem znudzenia na twarzach. Światło odbijało się w mosiężnych guzikach ich strojów, płomienie lizały skraje surdutów.

– Spalili nas na Santo Domingo – powiedziała Charlotte, trzymając z wdziękiem fałdy swej cudownej spódnicy. – Rzeka pochłonęła dawną plantację.

– Ale ten dom nigdy nie przepadnie – odezwał się uroczyście Maurice, błędząc wzrokiem po suficie, sztukateriach i kandelabrach. – Będzie trwał dzięki twojemu imponującemu wysiłkowi. Mamy to bezpieczne i cudowne miejsce, w którym możemy czekać na naszą kolej, by znów przyoblec ciało.

– Cieszymy się, że jesteś, kochanie – powiedziała Stella z tą samą, znudzoną miną. Poruszyła się gwałtownie, a jej jedwabna koszula z trzaskiem rozdarła się na biodrze. – Oczywiście, na pewno nie chcesz stracić takiej okazji.

– Nie wierzę wam! Łżecie! Jesteście złudą! – Michael obrócił się i powiódł wkoło wzrokiem. Roznamiętnione pary wiły się przed nim w uściskach. Kiedy szedł, jego stopy przenikały przez ich ciała – plecy mężczyzn, brzuchy kobiet.

Stella chichocząc przebiegła przez pokój i usadowiwszy się w wyściełanej satyną trumnie, wyciągnęła rękę po kieliszek szampana. Werble grały coraz głośniejsze. Dlaczego tego wszystkiego nie pochłania ogień, dlaczego nie obraca w proch?

– Ponieważ to piekło – odpowiedziała zakonnica, unosząc rękę, by uderzyć go raz jeszcze. – Ono po prostu płonie i płonie.

Rzucił się w kierunku Juliana i potknął się. Płomienie strzeliły w górę, osmalając mu twarz gorącym podmuchem.

Zakonnica chwyciła go za kołnierz. Trzymała w ręce medalion z wizerunkiem świętego Michała. – Zgubiłeś to, prawda? A mówiłam ci, żebyś tego pilnował jak oka w głowie, czyż nie? I gdzie to znalazłam? Na ziemi! Leżące na ziemi! – Znów wymierzyła Michaelowi policzek. Poczł ostry ból i zakipiał gniewem. Potrząsała nim, usiłował odepchnąć ją od siebie.

– Wszystko, co ci teraz pozostało, to być z nami, by przejść z powrotem – powiedziała Debora. – Nie rozumiesz? Wrota są otwarte i to już tylko kwestia czasu. Lasher i Rowan zabiorą nas przez nie, najpierw Zuzannę, potem mnie, następnie...

– Nie, poczekaj chwilę, nigdy nie zgodzę się na taką kolejność – wtrąciła Charlotte.

– Ani ja – dodał Julian.

– Kto mówi coś o porządku? – wrzasnęła Marie Claudette, odkopując kołdrę i siadając na łóżku.

– Ależ z was głupcy – powiedziała Mary Beth chłodno, ze znudzoną miną. –

Mój Boże, spełniła się przepowiednia. Możliwości przekształceń są teraz nieograniczone. Wyobraźcie sobie jakość tych nowych genów i ciał. To najwspanialsze w dziejach osiągnięcie nauki.

– Wszystko jest naturalne, Michael. Jeśli pojdziesz tę prostą prawdę, poznasz istotę świata. I przekonasz się, że bieg wypadków jest... w mniejszym lub większym stopniu przewidziany – odezwał się Cortland. – Nie wiesz, że od samego początku byłeś w naszych rękach?

– To właśnie przede wszystkim powinieneś zrozumieć – rozsądnie zauważyła Mary Beth.

– Ogień, który zabił twego ojca – powiedział Cortland – nie był przypadkowy...

– Nie mówcie takich rzeczy! – krzyczał Michael. – Nie zrobiliście tego, nie wierzę, nie zgadzam się!

– ...dokładnie, zobaczysz, że byłeś pożądaną kombinacją doświadczenia i wdzięku, zdolną zwrócić uwagę Rowan i sprawić, że przestanie się bronić...

– Nie warto z nim gadać – warknęła wysoka zakonnica. Zagrzechotały paciorki różańca wiszącego u jej skórzanego pasa. – Niczego nie pojmie. Po prostu zostawcie go mnie. Wykrzesam z niego ogień.

– Nieprawda – powiedział, usiłując zasłonić oczy przed oślepiającym blaskiem płomieni. Werble waliły, powodując ból w skroniach. – To nie jest wyjaśnienie! To nie jest ostateczny sens! – przekrzykiwał łomot bębnów.

– Michael, ostrzegałam cię – wątłym głosem powiedziała siostra Bridget Marie, zerkając ku innym zakonnicom. – Mówiłam, że w tych ciemnych ulicach mieszkają czarownice.

– Chodź tu zaraz i napij się szampana – zawołała Stella. – Przestań tworzyć te piekielne obrazy. Czy nie rozumiesz, że ty sam kreujesz wizje?

– Tak, przez ciebie to miejsce jest takie obrzydliwe! – wykrzyknęła Antha.

– Nie ma tu żadnych płomieni – oburzyła się Stella. – One są tylko w twojej głowie. Chodź, zatańczmy w rytm bębnów, dorosłam do tej muzyki.

Pokochałam te twoje szalone karnawałowe werble!

Zamachał rękoma, czuł ogień w płucach.

– Nie uwierzę w wasze istnienie, wszyscy jesteście jego głupim żartem, nędznym trikiem, płodem jego chorej wyobraźni...

– Nie, *mon cher* – powiedział Julien. – Jesteśmy ostateczną odpowiedzią i właściwym sensem.

Mary Beth, patrząc na Michaela, potrząsnęła smutno głową. – Zawsze byliśmy.

– Diabelska świta, oto czym jesteście!

W końcu udało mu się stanąć. Uchylił się przed następnym ciosem zakonniczy. Przemknął przez zagęszczającą się przed nim postać Julienu. Oślepił na chwilę, a potem wynurzył się wolny, nie zwracając uwagi na śmiech i werble.

Zakonnice zacieśniły krąg, ale przedarł się przez zwarte ciasno ciała. Nic go nie zatrzymywało. Widział drogę na zewnątrz, światło wpadające przez dziurkę od klucza. – Nie, nie uwierzę...

– Kochanie, przypomnij sobie, jak tonąłeś po raz pierwszy – powiedziała nagle obok niego Debora, próbując ująć go za rękę. – Zanim umarłeś, wyjaśnialiśmy ci, że jesteś nam potrzebny. Zgodziłeś się wypełnić misję, my oczywiście wiemy, że po prostu targowałeś się o życie, okłamałeś nas. Musieliśmy sprawić, byś zapomniał o tym spotkaniu, bo inaczej nigdy, ale to nigdy byś się nie wywiązał...

– Kłamstwa! Łgarstwa Lashera! – Uwolnił się od Debory. Jeszcze tylko parę kroków do drzwi i wydostanie się stąd. Biegł do przodu, potykając się o ciała pokrywające podłogę, depcząc po plecach, ramionach, głowach. Dym szczypał go w oczy. Był coraz bliżej światła.

W przejściu stała postać w hełmie i długim płaszczu. Znał ten strój. Tak, znał bardzo dobrze.

– Idę! – krzyczał, ale jego usta ledwie się poruszały.

* * *

Leżał na plecach. Jego ciało przeszywał ból. Otaczała go mroźna cisza. Słyszał nad sobą męski głos: – W porządku, synu, oddychaj!

Tak, przypomniał sobie ten hełm i płaszcz – był to strój strażaka. Leżał obok basenu na lodowato zimnych płytach chodnika. W piersiach czuł ogień, bolały go ręce i nogi. Jakiś strażak pochylał się nad nim i przykładał mu do twarzy maskę tlenową. Wyglądał dokładnie jak jego ojciec i powtarzał: – Tak, synu, oddychaj!

Inni stali wkoło. Ich sylwetki rysowały się na tle przeganianych wiatrem chmur. Dzięki swym strojom wszyscy byli do siebie podobni, przypominali Michaelowi ojca.

Każdy oddech sprawiał ostry ból, ale wciągał powietrze głęboko w płuca. Zamknął oczy.

– Jestem tu, Michael – usłyszał głos Aarona. – Jestem przy tobie.

Czuł nasilający się ucisk w piersiach, ramiona mu zdrętwiały. Ciemność była niezmacona i cicha. Kiedy wieźli go na noszach, miał wrażenie, że płynie w powietrzu.

Głosy, rozmowy, trzaski krótkofalówki. Ale nic nie miało teraz znaczenia. Otworzył oczy i ujrzał nad sobą niebo. Krople wody ściekały ze ściętej mrozem bugenwilli. Za bramą wózek, na którym jechał, podskakiwał na nierównych kamieniach.

Ktoś mocniej przycisnął mu do twarzy małą maskę. Wsunęto go do karetki.

– Stan zagrażający życiu, jedziemy, przygotujcie... Pogrążył się w ciemności.

Potem głos Aarona i jeszcze jakiś inny:

– Znowu migotanie serca, cholera, ruszajmy!

Trzasnęły drzwi karetki. Jego ciało zakołysało się, kiedy zjechali z krawężnika. Poczul uderzenie w pierś, jedno, drugie, trzecie... Płuca wypełnił

mu zimny strumień pompowanego tlenu.

Sygnal karetki wciąż był. Brzmiał jak pożegnalny lament, jak wrzask wystraszonych nagle ptaków, krzyk rozlegający się wśród wielkich dębów, uderzający w niebo i rozdzierający aksamitną ciszę.

EPILOG

1

Kiedy się ocknął przed zmrokiem, zrozumiał, że jest na oddziale intensywnej terapii, jego serce zatrzymało się – najpierw w basenie, potem w karetce i trzeci raz już tu, w szpitalu. Dostał silne leki, świadomość miał przymgloną, nie mógł zebrać myśli w żadną całość.

Pozwolono Aaronowi zaglądać do niego co pewien czas, także ciotka Viv była tutaj. Przyszedł też Ryan.

Różne twarze pojawiały się nad łóżkiem, jakieś głosy mówiły do niego. Lekarz wyjaśniał, że słabości, którą odczuwa, można się było spodziewać. Na szczęście trwałe uszkodzenie mięśnia sercowego jest nieznaczne; właściwie pacjent dochodzi już do siebie. Będą trzymać go na lekach regulujących pracę serca, rozrzedzających krew, rozkładających cholesterol. „Odpoczynek” i „powrót do zdrowia” – to ostatnie słowa, które Michael usłyszał, zanim znów stracił przytomność.

* * *

Był sylwestrowy wieczór, kiedy ostatecznie wyjaśniono mu wszystko. Ponieważ dostawał teraz mniejszą ilość leków, mógł już nadążyć za tym, co mówią.

Kiedy przyjechała straż, w domu nie było nikogo. Alarm wył. Ochronna szybka była zbita, ktoś wcisnął guziki wzywając pogotowie, policję i straż.

Pospiesznie penetrując okolice domu, strażacy spostrzegli rozbite szyby w otwartych, francuskich drzwiach, przewracane meble na werandzie i krew na chodniku. Ujrzeni też ciemny kształt pływający w basenie tuż pod powierzchnią wody. W momencie, gdy wyciągali Michaela, zjawił się Aaron. Przyjechała też policja. Przeczესali dom, ale nikogo nie znaleźli. Zobaczyli tam tylko plamy krwi i dziwne ślady jakiegoś ognia. Innych oznak walki nie odkryto. Na górze szafy i szuflady były pootwierane. Na łóżku leżała nie zamknięta, na wpół spakowana walizka. To wszystko.

Jeszcze tego samego popołudnia Ryan ustalił, że nie ma mercedesa Rowan, jej portfel i dokumenty zniknęły. Nikt nie mógł znaleźć jej lekarskiej torby, choć kuzyni byli pewni, że kiedyś ją tu widzieli.

Nie istniało żadne sensowne wyjaśnienie tego, co się stało. Rodzina wpadła w panikę. Było zbyt wcześnie, by zgłosić zaginięcie, jednak policja rozpoczęła nieoficjalne poszukiwania. Przed północą znaleziono na parkingu przy lotnisku samochód Rowan. Wkrótce stwierdzono, że wczesnym popołudniem kupiła dwa bilety do Nowego Jorku. Samolot bezpiecznie wylądował zgodnie z planem. Kasjer przypomniał sobie, że podróżowała z wysokim mężczyzną. Stewardesy pamiętały ich oboje – przez cały lot rozmawiali i pili drinki. Nie było żadnych oznak porwania. Rodzina mogła tylko czekać, aż Rowan się odezwie, lub Michael wszystko wytłumaczy.

Trzy dni później, dwudziestego dziewiątego grudnia, przyszła od Rowan depesza ze Szwajcarii. Donosiła, że przez pewien czas pozostanie w Europie, a instrukcje dotyczące jej osobistych spraw nadejdą niebawem. Telegram zawierał jedno ze słów kodu znanego tylko prawnym pełnomocnikom firmy Mayfair & Mayfair, co stanowiło dowód, iż wiadomość została rzeczywiście wysłana przez Rowan. Depesza z żądaniem przelania pieniędzy na konto w Zurichu przyszła tego samego dnia. Jeszcze raz użyto kodu. Nie było więc podstaw, by kwestionować te dyspozycje.

* * *

Szóstego stycznia, kiedy Michael został przeniesiony z oddziału intensywnej terapii do zwykłej separatki, odwiedził go Ryan. Wyglądał na wyraźnie zmieszanego i niezadowolonego z wieści, które miał przekazać. Zrobił to na tyle taktownie, na ile było można.

Rowan odeszła „na czas nieokreślony”. Jej miejsce pobytu jest nieznane. Kontakt z Mayfair & Mayfair będzie utrzymywała przez prawniczą firmę w Paryżu.

Jeżeli chodzi o dom na Pierwszej, wyłączne prawo zostało przekazane Michaelowi. Nikomu z rodziny nie wolno tego kwestionować. Rezydencja ma pozostać w jego i tylko jego rękach, aż do dnia śmierci. Potem będzie obowiązywał poprzedni zapis. Co do bieżących wydatków, Michael otrzymał *carte blanche*. Innymi słowy, miał dostawać z pieniędzy Rowan każdą sumę, o jaką poprosił, bez wyznaczonego limitu.

Kiedy prawnik skończył, chory nie odezwał się ani słowem.

Ryan zapewnił Michaela, że jest do jego dyspozycji w każdej, najmniejszej nawet sprawie. Mówił, że instrukcje Rowan były długie i dokładne, i że firma Mayfair & Mayfair jest przygotowana, by wypełniać je w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy Michael zdecyduje się na powrót do domu, zostaną podjęte wszelkie działania zmierzające do zapewnienia mu wygody.

Michael słuchał nieuważnie tego, co mówił Ryan. Naprawdę nie było sensu wyjaśniać jemu, czy komukolwiek innemu, całej ironii zdarzeń. Opowiadać tego, o czym otumaniony lekami myślał dzień po dniu, wszystkich wypadków i perypetii swego życia, poczynając od tych najwcześniejszych.

Kiedy zamykał oczy, one pojawiały się znowu – czarownice rodu Mayfair – w płomieniach i dymie. Słyszał uderzenia werbli, wibrujący śmiech Stelli, widział migotanie ognia.

Potem to odeszło.

Wróciła cisza, raz jeszcze był małym dzieckiem, szedł z matką ulicą Pierwszą, w tę dawno minioną noc karnawałową, i myślał: „Ach, jaki piękny dom”.

Ryan przestał mówić i po prostu siedział cierpliwie, przyglądając się Michaelowi. Nawał pytań kłębił się w jego głowie, ale bał się wypowiedzieć je na głos. Wtedy właśnie odezwał się Michael, pragnął wiedzieć, czy rodzina nienawidzi go za to, że dostał dom; czy chcą, żeby opuścił rezydencję.

Ryan wyjaśnił, że oczywiście nie. Wszyscy mają nadzieję, że Michael będzie nadal tam mieszkał. Wierzą, że Rowan wróci i dom odzyska dawną świetność. Wyglądał na zagubionego. Był wyraźnie przejęty i bardzo zmartwiony, kiedy oschłym tonem powiedział, że „rodzina po prostu nie może zrozumieć, co się stało”.

Parę możliwych odpowiedzi pojawiło się w głowie Michaela. Z chłodnym dystansem wyobrażał sobie siebie wypowiadającego tajemnicze uwagi, które staną się pożywką dla starych, rodzinnych legend; robiącego niejasne aluzje do trzynastki, drzwi i tego mężczyzny. Byłoby to zapewne rozważane latami podczas wszelkich możliwych uroczystości – zabaw, przyjęć, pogrzebów. Wiedział jednak, że tego nie zrobi. Musiał milczeć.

Wtedy usłyszał siebie, mówiącego z absolutną pewnością w głosie: – Rowan wróci. – Potem nie odezwał się już ani jednym słowem.

Wczesnym rankiem następnego dnia, kiedy Ryan znów przyszedł, Michael powiedział, że chce, aby ciotka Viv wprowadziła się do rezydencji, jeśli ma ochotę. Nie widzi teraz żadnego powodu, żeby mieszkała sama. Także Aaron sprawiłby mu przyjemność, zostając jego gościem.

Ryan rozpoczął długi prawniczy wywód; wyjaśniał, że dom jest wyłączną własnością Michaela i że ten nie potrzebuje niczyjego pozwolenia lub akceptacji dla swoich planów dotyczących spraw na Pierwszej. Od siebie dodał najgorętsze zapewnienie, że Michael może liczyć na niego „absolutnie we wszystkim”.

Na koniec zapadła cisza i wtedy Ryan załamał się. Powiedział, że nie jest w

stanie zrozumieć, w którym momencie on i rodzina zawiedli Rowan. Mówił, że zaczęła wydawać wielkie sumy pieniędzy poza ich plecami, co prawdopodobnie znaczyło, że kontynuowała prace związane z centrum medycznym Mayfairów, że on po prostu nie rozumie, co się stało.

– To nie twoja wina. Nie masz z tym nic wspólnego! – odezwał się Michael podniesionym głosem.

Po dłuższej chwili, gdy Ryan nadal patrzył na niego smutnym wzrokiem, dodał, wyraźnie zawstydzony swym wybuchem: – Ona wróci. Poczekaj, a zobaczysz. To jeszcze nie koniec.

* * *

Dziesiątego lutego Michael wyszedł ze szpitala. Był nadal bardzo słaby, co go nieco irytowało. Serce jednak pracowało coraz lepiej. Jego niezły stan ogólny poprawiał się z dnia na dzień. Czarną limuzyną jechał z Aaronem do Dzielnicy Ogrodów.

Samochód prowadził mulat o imieniu Henri. Zamieszka w małym pawilonie stojącym obok dębu Deirdre i będzie się troszczył o Michaela.

Dzień był przejrzysty i ciepły. Zaraz po Bożym Narodzeniu ostry mróz chwycił na krótko, potem spadły ulewne deszcze, ale teraz pogoda wyglądała na prawdziwie wiosenną. Różowe i czerwone azalie kwitły w całym ogrodzie. Drzewo oliwkowe pokrywało się nowymi liśćmi i świeża, jasna zieleń pokazała się na dębach.

Wszyscy się cieszą, wyjaśniał Henri, ponieważ karnawałowe szaleństwo „jest tuż tuż”. Parady rozpoczną się najpewniej któregoś z najbliższych dni.

* * *

Michael przechadzał się po ogrodzie. Zniszczone przez mróz tropikalne

rośliny zostały wyrzucone, ale młode pędy drzew bananowych odrastały już z ciemnych pni. Odradzały się nawet gardenie; zrzucały pomarszczone, brązowe liście i budziły się do życia w nowej, połyskliwej zieleni. Mirt pozostawał wciąż nagi, ale tego można się było spodziewać. Wszystkie kamelie wzdłuż frontowego ogrodzenia okryły się czerwonymi kwiatami. Magnolie dopiero co pogubiły różowe, wielkie jak talerzyki płatki, cały chodnik był nimi usłany.

W lśniącej czystości domu panował całkowity porządek.

Ciocia Vivian zajęła sypialnię należącą kiedyś do Carlotty. Eugenia nadal mieszkała w odległym krańcu pierwszego piętra, obok kuchennych schodów. Aaron spał w pokoju, który przed laty był sypialnią Mille.

Michael nie chciał wracać do frontowego pokoju i trzeba było dla niego przygotować starą północną sypialnię, z wielkim łóżem o wysokim oparciu, w którym umarła Deirdre. Polubił to miejsce, zwłaszcza małą werandę, gdzie mógł siadywać przy żelaznym stoliku i rozglądać się wokół.

Procesje gości ciągnęły całymimi dniami. Była już Bea z Lily, potem Cecylia i Clancy, a także Pierce. Randall przyszedł z Ryanem. Miał dla Michaela różne papiery do podpisania. Zaglądali też inni, których imiona ledwie pamiętał. Czasem rozmawiał z nimi, czasem nie. Aaron serdecznie troszczył się o przyjaciela. Ciotka Viv sprawnie radziła sobie z gośćmi.

Widział, jak bardzo kuzyni martwili się o niego. Byli spokojni, opanowani, ale przede wszystkim zakłopotani. Robili spore zamieszanie, nawet jeśli wpadali tylko na chwilę.

Michael wolał samotność w pustym domu. Znał w nim już każdy odcień farby, dostrzegał wszystkie dokonane naprawy, zauważał najdrobniejsze uzupełnienia w stolarce i otynkowaniu ścian. Ten dom był jego największym osiągnięciem, cały – od miedzianych rynien, aż po podłogę, na którą sam przygotował nowe deski. Czuł się tu po prostu dobrze.

– Cieszę się, że nie nosisz już tych okropnych rękawiczek – powiedziała Beatrice w niedzielę, kiedy odwiedziła go po raz drugi. Siedzieli w sypialni.

– Nie potrzebuję ich teraz. To najdziwniejsza rzecz, po wypadku w basenie moje dłonie stały się zupełnie normalne.

– Nie miewasz już wizji?

– Nie – odpowiedział. – Może nie używałem tej mocy we właściwy sposób? Może nie wykorzystywałem jej w odpowiednim czasie? Więc została mi odebrana.

– Brzmi to dość patetycznie – rzekła Bea, starając się ukryć zakłopotanie.

– Teraz to nieistotne – odparł.

Kiedy Aaron odprowadzał Beatrice do drzwi, Michael przypadkiem usłyszał, jak mówiła do niego: – Postarzał się o dziesięć lat. – Płakała. Błagała Aarona, by powiedział jej, jak doszło do tragedii. – Nie mogę uwierzyć, że ten dom jest przeklęty, pełen zła. Nie powinni tu nigdy zamieszkać. Trzeba ich było powstrzymać, zabrać stąd.

Michael wrócił do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Patrzył w stare lustro Deirdre i musiał przyznać, że Bea ma rację. Rzeczywiście wyglądał dużo starzej. Nie zauważył wcześniej siwych włosów na skroniach ani srebrnych pasemek nad czołem. Miał też chyba więcej zmarszczek niż przedtem. Dużo więcej, zwłaszcza koło oczu.

Nagle się uśmiechnął. Nawet nie zwrócił rano uwagi, w co się ubrał. Spoglądał teraz na atłasowy smoking z aksamitnymi wyłogami. Bea przysłała mu go do szpitala, ale potem ciotka Viv odłożyła gdzieś. Pomyśleć tylko – Michael Curry, chłopak znad Irlandzkiego Kanału, noszący coś takiego! To raczej pasowało do Maxima de Wintera z Manderley. Uśmiechnął się melancholijnie do swego odbicia, unosząc jedną brew. Siwizna na skroniach sprawiała, że wyglądał... dostojnie.

– *Eh bien, monsieur* – powiedział, starając się naśladować głos Julienu, który słyszał na ulicy w San Francisco. Nawet wyraz jego twarzy jakoś się zmienił. Dostrzegł w nim podobne piętno rezygnacji.

Oczywiście, to był Julien widziany w autobusie, ten, którego Richard

Llewellyn zobaczył kiedyś we śnie. Nie figlarnie uśmiechnięty Julien z portretów, ani nie ten śmiejący się złowrogo z piekła pełnego dymu i ognia. Tamto miejsce w rzeczywistości nie istniało.

Powoli, tak jak zalecił lekarz, zszedł na dół, do biblioteki. Biurko opróżnione po śmierci Carlotty stało długo puste. Teraz Michael trzymał w nim swój notes. Był to jego pamiętnik.

Na początku znajdował się opis pierwszej wizyty w „Dębowym Ustroniu”. Od tamtego momentu robił notatki niemal każdego dnia. Uważał, że to jedyny sposób, w jaki mógł wyrazić wszystko, co naprawdę czuł i co myślał o wypadkach, które się zdarzyły.

Drugim jego powiernikiem był naturalnie Aaron. Nigdy z nikim więcej nie dzielił się swoimi przemyśleniami.

Potrzebował jednak tych cichych, pełnych kontemplacji chwil nad pustą kartką papieru, kiedy w pełni odsłaniał swą duszę. Było cudownie tak siedzieć, tu i teraz, i przez koronkowe firanki przyglądać się przechodniom, którzy zdążali w górę Aleją świętego Karola, by obejrzeć paradę Wenus. Jeszcze tylko dwa dni do ostateków.

Jedyną rzeczą, której nie lubił było to, że słyszał czasem w ciszy odgłos bębnow.

Kiedy czuł się już zmęczony pisaniem, zdejmował z półki „Wielkie nadzieje”, siadał w kącie skórzanej kanapy przy kominku i zaczynał czytać. Za chwilę przyjdzie Eugenia lub Henri, myślał, przyniosą coś do jedzenia, a on spokojnie usiądzie do posiłku.

Wtorek, 27 lutego, Ostatki.

„Nigdy nie uwierzę, że wszystko, co widziałem za drugim razem, było prawdziwe. Uważam i zawsze tak będę myślał, że tę piekielną wizję wywołał Lasher. To nie były czarownice z rodu Mayfairów. Historie o istnieniu wiedźm, oczekujących na przejście przez wrota, jest kłamstwem, które mógł im opowiadać za ich życia, częścią paktu, ustalonego po to, by pomagali swemu demonowi.

Wierzę, że kiedy ktoś z nich umierał, po prostu przestawał istnieć lub docierał do jakiejś innej, wyższej rzeczywistości. Będąc już tam, nie miał najmniejszego zamiaru kierować ludzkim losem. Jeśli nawet miał taki zamiar, starano się go udaremnić.

Taka próba została podjęta, gdy Debora i Julien przyszli do mnie za pierwszym razem. Opowiadali o planie i mówili, że muszę interweniować, przeciwstawić się Rowan, nie pozwolić, by uległa Lasherowi i jego oszustwom. I w San Francisco, kiedy kazali mi wracać do domu, także chcieli uzyskać moją pomoc.

Wierzę w to, ponieważ nie ma żadnego innego sensownego wyjaśnienia. Nigdy nie zgodziłbym się na diabelski pomysł, by zostać ojcem dziecka, które stanie się przejściem dla tego żarłocznego potwora. I nawet gdybym był wtajemniczony w te koszmarnie manipulacje, ocknąłbym się w absolutnej panice i zwróciłbym mój bunt przeciw tym, którzy chcieli mnie wykorzystać.

Nie, to wszystko sprawki Lashera – ta ostatnia halucynacja, obraz piekła, w którym przebywają ludzkie dusze nacechowane frenetyczną, mroczną moralnością. Pojawienie się w wizji zakonnic, nie wiem jak Aaron może tego nie dostrzegać, było oczywiście ostrzeżeniem. One, co absolutnie pewne, nie przynależą do potwornego świata piekła. I werble parady Komusa także nie są stamtąd. Biorą się ze strachów dzieciństwa.

Cały ten spektakl został wysnuty z tkwiącego we mnie od lat przerażenia i lęku. Lasher połączył to z legendami o wiedźmach rodu Mayfairów i stworzył piekło dla mnie, takie, w którym utonę, które będzie mnie trzymało, zrozpaczonego, bez życia.

Gdyby jego plan się udał, umarłbym naprawdę. Wtedy, oczywiście, obraz piekła zniknąłby. I być może, ale tylko być może, w jakimś innym życiu odnalazłbym prawdziwe wyjaśnienie.

Trudno mi rozważać te ostatnią kwestię, bo przecież nie umarłem. Najważniejsze, że mam drugą szansę powstrzymania Lashera, po prostu przez pozostanie przy życiu, przez bycie na ulicy Pierwszej.

Poza tym wszystkim, Rowan wie, że nie opuściłem Dzielnicy Ogrodów i nie mogę uwierzyć, że wyrzuciła z serca wszystko, co nas łączyło. Przeczą temu moje odczucia.

Co więcej, Rowan nie tylko jest pewna, że czekam. Ona chce, żebym czekał. Dlatego dała mi dom. Na swój sposób poprosiła, bym został tu i nadal jej ufał.

Moje największe obawy dotyczą jednak tego, że ta mroczna istota jest obecnie cielesna i może skrzywdzić Rowan. W pewnym sensie Lasher nie potrzebuje jej już więcej i będzie próbował się od niej uwolnić. Mogę tylko mieć nadzieję i modlić się, by Rowan zniszczyła go, zanim ten moment nadejdzie. Kiedy myślę o tym, uświadamiam sobie w pełni, jak bardzo trudno będzie jej to zrobić.

Rowan zawsze starała się ostrzec mnie, że ma w sobie skłonność do zła, której ja nie posiadam. Oczywiście, nie jestem tak niewinny, jak jej się wydaje,

a ona nie jest tak naprawdę zła. Ma przenikliwy umysł naukowca. Jest zakochana w komórkach nowo powstałej istoty, wiem to na pewno. Bada je, przygląda im się z czysto naukowego punktu widzenia. Studiuje cały organizm, chcąc odkryć, w jakiej postaci pojawił się na świecie, jak funkcjonuje. Koncentruje się na tym, czy to rzeczywiście jest ulepszona wersja człowieka, co to ulepszenie znaczy i jak może być wykorzystane dla dobrych celów.

Nie wiem, dlaczego Aaron nie zgadza się z moją koncepcją. Lightner ma w sobie ogromną zdolność do współczucia, ale jednocześnie tyle rezerwy. Talamasca to prawie zakon, jej członkowie żyją jak mnisi. I dlatego, choć Aaron prosi mnie, bym jechał z nim do Anglii, jest to po prostu niemożliwe. Są za bardzo pasywni i zbyt dalecy od życia.

A poza tym, i to jest najważniejsze, czekam tu na Rowan. To dopiero dwa miesiące, a mogą minąć jeszcze lata, zanim ona będzie w stanie podjąć ostateczną decyzję. Jest jeszcze bardzo młoda, ma dopiero trzydziestkę.

O ile znam Rowan, a tylko ja cokolwiek o niej wiem, to w końcu podąży w stronę prawdziwej mądrości. Jestem o tym przekonany.

Tak widzę to, co się stało. Wiedźmy z rodu Mayfairów, jako ziemski sabat, nie istnieją i nigdy nie istniały. Pakt był kłamstwem, a moje początkowe wizje pochodziły od dobrych istot, które mnie tu przysłały z nadzieją na koniec królestwa zła.

Czy odwróciły się od swego wysłannika w obliczu jego klęski? Czy też rozumieją, że używając jedynych narzędzi, jakie miał, starał się zrobić, co mógł. Wiedzą pewnie też, tak jak ja, że Rowan wróci i że walka nie jest skończona.

Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale myślę, że w tym domu nie ukrywa się zło, że nie ma tu żadnych dusz blakających się po pokojach. Przeciwnie, jest cudownie czysty i jasny, dokładnie taki, jak chciałem, by był.

Grzebałem na strychu i znalazłem interesujące rzeczy. Wszystkie nowe le Anthy – są fascynujące. Siedziałem w pokoju na poddaszu i czytałem je przy wpadającym przez okno słonecznym świetle. Czułem Anthę wokół – nie ducha,

ale żywą obecność kobiety, która napisała te subtelne zdania, usiłując opowiedzieć o swej agonii a jednocześnie radości, że przez ten tak krótki czas spędzony w Nowym Jorku była wolna.

Kto wie, co jeszcze mogę tam znaleźć? Może gdzieś za jakąś belką wetknięta jest autobiografia Julienu?

Gdybym tylko miał więcej energii, nie musiał działać tak wolno i spacerować w kółko, to wszystko nie byłoby takim... kieratem.

Zawsze wiedziałem, że stary różany ogród jest najrozkoszniejszym miejscem do spacerów, jakie można sobie wyobrazić.

Wszystko tu ożywa w ciepłe jak teraz dni. Wczoraj ciotka Viv powiedziała mi, że zawsze marzyła, by na starość móc opiekować się różami, więc od dziś ona zajmie się ich pielęgnacją. Potrzebuje tylko odrobiny pomocy. Ogrodnik pamiętający jeszcze „starą pannę Bellę”, która w przeszłości zajmowała się tymi kwiatami, nauczył ją nazw różnych odmian.

Myślę, że to cudownie, że jest taka szczęśliwa.

Ja osobiście wolę bardziej dzikie, mniej ozdobne kwiaty. W ostatnim tygodniu, po tym jak odtworzyli ażurową osłonę na starym ganku Deirdre i ustawili na nim nowy fotel na biegunach, zauważyłem, że kapryfolium bujnie porasta drewniane poręcze, zupełnie tak jak wtedy, gdy pierwszy raz tu przyszliśmy.

Na grządkach z fantazyjnymi kameliami zakwita znów pomarańczowo i brązowo mały krzak lantany. Powiedziałem ogrodnikowi, żeby nie ruszał tych roślin, by pozwolił im zachować dawny, dziki wygląd. Geometryczne wzory ułożone z płyt chodnikowych wydają mi się teraz zbyt wyraziste. Gdy chodzę po tych wszystkich prostokątach, rombów, kwadratach, chciałbym złagodzić ich ostrość, przyciemnić barwę, sprawić, by bardziej przypominały te z moich wspomnień.

Nie jest tu także wystarczająco ustronnie. Dziś, kiedy ludzie ciągną ulicami, zmierzając do Alei świętego Karola, by wystąpić w swoich kostiumach lub tylko

obejrzeć karnawałowy orszak królewski, zbyt wiele głów odwraca się, aby zajrzeć przez ogrodzenie. Wolałbym być dalej od ludzkiej ciekawości.

Najdziwniejsza rzecz zdarzyła się dziś wieczór. Ale zanim o tym opowiem, opiszę krótko ten wyjątkowy, szalony ostatni dzień karnawału.

Cały klan Mayfairów zjawił się w domu przy Pierwszej dość wcześnie. Parada królewska miała się odbyć w Alei świętego Karola około jedenastej wieczór. Ryan doglądał wszystkich przygotowań. Zorganizowano duży bufet. Śniadanie podano o dziewiątej, lunch – o dwunastej, a bar z kawą i herbatą otwarty był przez cały dzień.

Wspaniale, zwłaszcza odkąd nie biorę w tym wszystkim udziału. Muszę jedynie czasami zjechać windą, uścisnąć kilka rąk, ucałować parę policzków. I wtedy mogę już, powołując się na zmęczenie, co zresztą nie jest kłamstwem, wrócić na górę i odpocząć. Taki mam pomysł na ten dzień. Dobrze, że jest do pomocy Aaron i ciotka Viv, której ostatkowe przyjęcie sprawia ogromną radość.

Z górnej werandy widziałem dzieci biegające po alejkach, bawiące się na trawniku, a nawet kąpiące się – bo dzień był wyjątkowo piękny. Nie podszedłbym do tego basenu za żadne skarby świata, ale to miło widzieć, jak brzdące pluszczą się w wodzie, naprawdę.

Jak wspaniale, że dom stwarza możliwość wesołej zabawy, bez względu na to, czy Rowan tu jest. Bez względu na to, czy ja tu jestem.

Około piątej, kiedy wszystko ucichło, niektóre dzieci drzemały, a wszyscy czekali na Krużę Komusa, mój cudowny spokój skończył się. Spojrzałem znad „Wojny i pokoju” i zobaczyłem stojących przy mnie Aarona i ciotkę Viv. Jeszcze zanim się odezwali, wiedziałem, co chcą powiedzieć.

Mówiła ciotka Viv. Powinienem się ubrać, coś zjeść, przynajmniej spróbować dań, które Henri specjalnie dla mnie tak starannie przygotowywał. Powinienem zejść na dół. Powinienem pójść na Aleję świętego Karola i obejrzeć Krużę Komusa, największą paradę ostatkowej nocy.

Jakbym sam tego nie wiedział.

Aaron nie odzywał się. W końcu jednak odważył się powiedzieć, że może dobrze by było, abym po wielu, wielu latach obejrzał paradę, by rozwiła się ta mistyczna atmosfera, która wokół niej narosła, i że on, oczywiście, będzie przy mnie cały czas.

Nie wiem, jak to się stało, ale powiedziałem: „Tak”.

Założyłem krawat i ciemny garnitur, uczesałem się, poruszony widokiem siwizny. Po tygodniach, które przechodziłem w szlafroku i piżamie, w odświętnym mundurku było mi niewygodnie, czułem się skrępowany. Zszedłem na dół. Masa uścisków i pocałunków, serdeczne pozdrowienia od tuzinów Mayfairów kręcących się po całym domu. Czyż nie wyglądam dobrze? Czyż nie wyglądam znacznie lepiej? Wszystkie te uwagi są nieznośne, choć czynione w najlepszych intencjach.

Michael, słabeuszu. Zejście po schodach tak mnie zmęczyło, że brakowało mi tchu.

Koło wpół do siódmej wyruszyłem powoli w kierunku alei. Towarzyszył mi Aaron. Ciotka Viv szła z przodu razem z Beą, Ryanem i innymi. Odgłosy bębnów przybliżały się. Ich diaboliczny rytm przywodził na myśl akompaniament towarzyszący w ostatniej drodze czarownicom prowadzonym na stos.

Nienawidzę tego z całego serca, nie cierpię widoku pochodni, masek, ale wiem, że Aaron miał rację. Powinienem zobaczyć paradę. A poza tym, wcale się nie bałem. Nienawiść to jedna rzecz, a strach druga. Byłem absolutnie spokojny.

Tłum rzedł coraz bardziej. Kończył się dzień. Kończył się cały sezon. Znalezienie wygodnego miejsca na placu, porośłym zdeptaną teraz trawą i zaśmieconym po całodniowej imprezie, nie stanowiło żadnego problemu. Z założonymi z tyłu rękoma oparłem się o drzewo i wtedy w polu widzenia ukazała się pierwsza platforma.

Te olbrzymie, zrobione z *papiermache*, trzęsące się dekoracje przejeżdżające w dół alei nad głowami świętującego tłumu są okropne. Wydawały mi się

równie upiorne jak w czasach dzieciństwa.

Pamiętam ojca karcącego mnie – miałem wtedy siedem lat: „Michael, ty się nie boisz niczego realnego, prawda? A dostajesz niemal bzika ze strachu, kiedy oglądasz te pochody”. I, oczywiście, miał rację. Bałem się potwornie, zachowywałem jak beksa i psułem w ten sposób święto jemu i matce, naprawdę tak było. Przeszło mi to dość szybko, lub przynajmniej nauczyłem się z czasem ukrywać swoje lęki.

Patrzyłem, jak uczestnicy parady maszerowali i harcowali wzdłuż alei, niosąc te fascynujące, kopcące pochodnie, a odgłos bębnów wzmagał się wraz z naciąganiem pierwszej grupy młodzieży.

To po prostu szalony, sympatyczny spektakl. Wszystko było teraz znacznie jaśniej oświetlone dzięki silnym ulicznym latarniom. Pochodnie miały tylko przypominać stare czasy, nie służyły już iluminacji. Chłopcy i dziewczęta grający na werblach byli po prostu miłymi, rozbawionymi młodymi ludźmi.

Wśród ogłuszających, radosnych okrzyków pojawiła się królewska platforma z tekturowym tronem, wielkim i wspaniale udekorowanym, i człowiekiem w przyozdobionej świecidelkami koronie, masce i ufryzowanej, długiej peruce. Wyglądał całkiem ładnie. Wznosił, oczywiście, swój złoty puchar i robił to z tak doskonałym spokojem, jakby to nie był jeden z najdziwaczniejszych widoków na świecie.

Wszystko przedstawia się całkiem niewinne, nieszkodliwe. Nie ma w tym nic mrocznego czy okropnego, nikogo oczekującego na egzekucję. Mała Mona Mayfair pociągnęła mnie nagle za rękę. Chciała, żebym posadził ją sobie na ramionach. Jej tatuś powiedział, że jest zmęczony.

Rzecz jasna, zgodziłem się. Trzeba było podnieść dziewczynkę w górę i przenieść nad głowę, a to nie takie łatwe dla starego słabeusza – mało co nie umarłem – ale udało się. Bawiła się świetnie, wykrzykując i łapiąc w powietrzu błyskotki, kwiatki, plastikowe puchary rzucane nam z przejeżdżających platform.

Co za wspaniałe starodawne pojazdy. Zupełnie jak z czasów naszego dzieciństwa, wyjaśniała Bea, bez żadnych elektrycznych czy mechanicznych ozdób. Po prostu cudowna mieszanina delikatnie drżących gałęzi, listków, ptaszków rozkosznie przybranych błyszczącą srebrną folią. Jeden z członków zespołu, ubrany w atłasowy kostium i maskę, musiał się ciężko napracować, rzucając świecidełka w morze wyciągniętych rąk.

Wreszcie skończyło się. Ostatki minęły. Ryan pomógł Monie zejść z moich ramion, karcąc ją, że mnie trudziła. Zaprotestowałem, mówiąc, że trzymałem dziewczynkę z przyjemnością.

Wracaliśmy powoli. Szedłem z Aaronem z tyłu, za innymi. Dotarliśmy do domu i zaczęło się przyjęcie z muzyką i szampanem. Wtedy właśnie to się zdarzyło:

Byłem na swoim codziennym spacerze po ciemnym ogrodzie. Cieszyły mnie piękne białe azalie, które kwitły wszędzie, wdzięczne petunie i inne zasadzone na grządkach kwiaty. Kiedy doszedłem do dużego krzewu mirtu rosnącego na końcu trawnika, zauważyłem po raz pierwszy, że w końcu okrył się młodymi listkami. W świetle księżyca nadal jednak wyglądał jak nagi i uschnięty.

Stałem tam przez kilka minut, spoglądając w stronę ulicy na ostatnich widzów, którzy rozchodzili się do domów, przechodząc wzdłuż ogrodzenia. Miałem ochotę zapalić tutaj, gdzie nikt by mnie nie powstrzymał ani mi tego nie zabronił, ale uświadomiłem sobie, że, oczywiście, nie mam papierosa. Aaron i ciotka Viv, zgodnie z zaleceniem lekarza, wyrzucili wszystkie.

Nie myślałem o niczym, po prostu cieszyłem się wiosennym ciepłem. Nagle spostrzegłem idącą ulicą matkę z dzieckiem. Chłopiec pokazywał na mnie, tkwiącego pod drzewem, i mówił coś o „tym mężczyźnie”.

Zatrząsałem się od śmiechu. Byłem „tym mężczyzną”. Zamieniłem się miejscami z Lasherem. Przejąłem jego pozycję i rolę. Stałem się mężczyzną z ogrodu. Bez wątplenia byłem ciemnowłosym człowiekiem z ulicy Pierwszej i ten schemat, jego ironia sprawiły, że śmiałem się i śmiałem.

Nic dziwnego, że ten skurwiel mnie kocha, jak sam powiedział. Powinien. Ukradł mi dziecko, ukochaną żonę, a mnie zostawił tutaj, wsadzając na własne miejsce. Zabrał moje życie, dając w zamian swój nawiedzony dom. Dlaczego miałby mnie nie kochać?

Nie wiem, ile czasu tak stałem, cicho śmiejąc się w ciemności, zanim poczułem narastające zmęczenie. Byłem na nogach dosyć długo, jak na możliwości rekonwalescenta, i to mnie zmordowało.

Ogarnięty nagle rozpaczliwym smutkiem, ponieważ powtarzający się schemat miał swoje znaczenie, pomyślałem, że może myliłem się i czarownice istnieją. A wszyscy jesteśmy przeklęci.

Nie, nie wierzę w to.

Pospacerowawszy jeszcze trochę, wróciłem do domu, pożegnałem wszystkich rozkosznych Mayfairów, obiecałem złożyć wizyty, oczywiście, kiedy poczuję się lepiej i zapewniłem, że za parę tygodni, w dniu świętego Patryka, odbędzie się tu następne duże przyjęcie.

Na koniec noc stała się cicha i pusta, jak wszystkie inne noce w Dzielnicy Ogrodów. Parada Komusa wydawała się we wspomnieniu jeszcze bardziej nierealna ze swoją urodą i barwnością, jak coś, co nie mogło mieć miejsca w tym poważnym i pompatycznym świecie dorosłych.

Idąc tam pokonałem bestię dręczącą mnie od lat, uciszyłem bębny na zawsze. Mam taką nadzieję.

I nie wierzę, że istnieje jakiś wzór do ułożenia, plan, i ślepe przeznaczenie.

Może Aaron ze swoją pasywnością i dogmatycznym sposobem myślenia jest w stanie uznać, że wszystko było zamierzone – śmierć mojego ojca, wybór mnie na samca Rowan i ojca Lashera. Ale ja naprawdę się nie zgadzam.

Nie tylko dlatego, że nie wierzę w to. Po prostu nie mogę się zgodzić.

Nie mogę uwierzyć w to, ponieważ mój rozsądek mówi mi, że taki system, w którym coś kieruje każdym naszym ruchem, wszystko jedno – Bóg, szatan, podświadomość czy geny – jest po prostu niemożliwy.

Samo życie musi opierać się na przypadkach i nieskończonych możliwościach wyboru. I nawet jeśli nie możemy udowodnić, że tak jest, musimy w to wierzyć. Musimy wierzyć, że jesteśmy w stanie zmieniać i kontrolować nasze losy, kierować nimi.

Sprawy mogły potoczyć się rozmaicie. Rowan mogła odmówić tej istocie pomocy. Mogła ją zabić i niewykluczone, że to zrobi. Istnieje też tragiczna ewentualność, że skoro Lasher stał się cielesny, ona nie zmusi się, by go zniszczyć.

Nie chce jej osądzać. Gniew, który czułem, minął.

I z własnej woli decyduję się pozostać tu, czekać i wierzyć w nią.

Zaufanie do Rowan jest podstawowym dogmatem mojej wiary. Bez względu na to, jak niezwykła i pogmatwana wydaje się ta sieć zdarzeń i jak bardzo przypomina powtarzające się wzory z kamieni, kolumnienek czy płyt poukładanych na tym skrawku ziemi, ja obstaję przy mojej wierze.

Wierzę w Wolną Wolę i Siłę Wszechmogącego, dzięki której możemy uważać siebie samych za dzieci sprawiedliwego i mądrego Boga, nawet jeśli nie ma żadnej Najwyższej Istoty. I mając wolną wolę, możemy czynić dobro na tej ziemi, choć umrzemy i choć naprawdę nie wiemy, dokąd wzlecą nasze dusze po śmierci i czy czeka tam sąd i wyjaśnienie.

Wierzę, że dzięki sile naszego umysłu możemy poznać, co jest dobrem. Ufam, że żyjemy we wspólnocie, w której wybaczenie zła zawsze będzie ważniejsze niż pomszczenie go. W tym pięknym świecie jesteśmy najwspanialszym i najlepszym istnieniem, ponieważ sami możemy dostrzec jego naturalne piękno, uczyć się go, docenić i opłakiwać, starać się zachować i chronić.

Wierzę też, że stanowimy jedyną prawdziwą siłę moralną na ziemi, jesteśmy twórcami etyki, i musimy być tak dobrzy jak uczyli nas bogowie, których w przeszłości stworzyliśmy.

Wierzę, że dzięki naszym wysiłkom zdołamy w końcu stworzyć niebo na

ziemi i że służymy temu zawsze, kiedy kochamy, bierzemy w objęcia, angażujemy się w budowanie, a nie niszczenie; zawsze, gdy przedkładamy życie nad śmierć, to co zgodne z naturą nad to co nienaturalne na tyle, na ile jesteśmy w stanie dokonać rozróżnienia.

Ostatecznie dochodzę do wniosku, że wierzę głęboko, iż spokój umysłu można uzyskać w obliczu największej grozy i najcięższych strat.

Można go osiągnąć dzięki wierze w zmianę, w wolę i w przypadek, dzięki wierze w nas samych i w to, że w obliczu przeciwności losu znacznie częściej postępujemy dobrze niż źle.

Nasza jest potęga i chwała, ponieważ jesteśmy zdolni do tworzenia wizji i idei, które są potężniejsze i trwalsze niż my.

To jest moje credo. Oto powody, dla których wierzę w wypracowaną przez siebie interpretację opowieści o czarownicach rodu Mayfairów.

Prawdopodobnie takie poglądy nie są zgodne z przemyśleniami filozofów z Talamaski. Być może nie da się tego nawet porównać. Ale to moje przekonanie, a co najważniejsze, podtrzymuje mnie ono na duchu. Gdybym musiał teraz umrzeć, nie bałbym się, ponieważ nie mogę uwierzyć, że po śmierci czeka nas chaos.

Jeśli w ogóle istnieje jakikolwiek byt pozaziemski, musi być tak dobry jak nasza najlepsza filozofia. Natura z pewnością troskliwie łączy w sobie to co widzialne i niewidzialne, nie może nas zawieść. Siła sprawiająca, że rosną kwiaty i pada śnieg musi zawierać mądrość i ostateczną tajemnicę, tak zawiłą i piękną, jak kwitnąca kamelia lub chmury gromadzące się nad nami, białe i czyste w ciemności.

Jeśli tak nie jest, to znajdujemy się we władaniu straszliwej ironii. Wszystkie piekielne duchy mogą tańczyć w salonie. Może istnieć szatan. Ludzie, którzy innych palą na stosach, są świetni. Wtedy możliwe jest wszystko. Ale świat jest na to zbyt piękny.

I tak to w końcu widzę, teraz, gdy siedzę tu na werandzie, w bujanym fotelu,

i piszę w świetle lampy dochodzącym z odległego salonu, a cały zgiełk karnawału zamarł już dawno.

Tylko nasza zdolność czynienia dobra jest tak wspaniała jak jedwabista bryza nadchodząca z południa; tak piękna jak zapach deszczu, który zaczyna padać, nieśmiało potrącając drżące liście; tak delikatna, jak jego smugi podobne do nici srebrnej przędzy obejmujących ciemności.

Wracaj do domu, Rowan. Czekam”.